

Gwiazda północy

Coulter Catherine

Książka II z Gwiazda



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

GWIAZDA PÓLNOCY

PRZEŁOŻYŁA ANNA PAJEK

PROLOG

Guildford, Surrey, 1852

- ...Z prochu powstałeś...

Wilgotne grudy świeżo rozkopanej ziemi spadły na trumnę, wydając głuchy, jednostajny odgłos. Pojedyncza czerwona róża zabłysła plamą koloru i znikła, przysypana brązową ziemią. Przynajmniej on jest teraz z mamą.

- ...Nasz Pan, Jezus Chrystus, zrządził, iż wszyscy przedstawiciele rodu ludzkiego muszą pewnego dnia spotkać się z nim i zaznać wiekuistego spokoju...

- Tak nam przykro, Elizabeth...

- Gdybyśmy mogli ci jakoś pomóc, Elizabeth...

- ...Błagamy cię, Zbawco, przyjmij duszę naszego zmarłego przyjaciela sir Aleca Jamesona Fitz-Hugha...

- Twój ojciec był miłym, kochającym człowiekiem...

- Co za tragedia, Elizabeth, jaka strata...

- Elizabeth!

Potrząsnęła głową, aby usunąć z myśli pełne współczucia słowa pastora i kondolencje przyjaciół. Zamrugła, a potem podniosła wzrok i spojrzała na Paula Montgomery'ego, długoletniego przyjaciela ojca i jego doradcę prawnego. Odchrząknął i spojrzał z wyrzutem na ciotkę Elizabeth, Augustę. Jednak Augusta Penworthy, niezrażona jego pełnym nagany spojrzeniem, jeszcze bardziej podniosła głos i powiedziała władczo:

- Skup się, Elizabeth! Pan Montgomery ma z pewnością coś lepszego do roboty, niż siedzieć i patrzeć, jak śnisz na jawie! I, pozwolę sobie dodać, ja także!

- Wybacz mi, wujku Paulu - powiedziała Elizabeth, ignorując ciotkę.

Zdawała sobie sprawę, że ciotka, która poza nią była jedyną żyjącą krewną jej ojca, musi być obecna przy odczytaniu ostatniej woli swego brata. Spojrzała na wuja Alfreda, pocącego się obficie, mimo iż kwiecień dopiero się zaczął i popołudnie było chłodne. Ojciec pogardzał Alfredem Penworthym, nazywając go żalonym małym człowieczkiem, który bałby się wypić szklaneczkę porto, nie zapytawszy wpierw Gussie o pozwolenie.

- Chauncey - powiedział Paul Montgomery, używając tego zdrobnienia po raz pierwszy - jeśli mam być zupełnie szczery - tu machnął dłonią w kierunku stosu dokumentów na biurku jej ojca - to niewiele zostało do odziedziczenia. Obawiam się też, że Jameson Hall będzie musiało zostać sprzedane, by pokryć długi.

- Co takiego?

Skrzekliwy głos ciotki Augusty powstrzymał Paula Montgomery'ego w pół słowa. Zmarszczył brwi i pochylił głowę, by spojrzeć na kobietę ponad grubymi szklami okularów.

- Rozmawiam z panną Fitz-Hugh, madame - powiedział stanowczo.

- Więc Alec nie zostawił ani grosza? To właśnie próbuje nam pan powiedzieć? Ale to przecież niemożliwe! Nie mógł być aż tak nieudolny!

- Sir Alec zostawił niewielkie zapisy dla służby, madame.

Pan Montgomery wzruszył wąskimi ramionami.

- Widzisz, Elizabeth - kontynuował tonem tak pełnym współczucia, że Chauncey łzy napłynęły do oczu - obawiam się, że twój drogi ojciec poczynił w ostatnich latach kilka dość... niefortunnych inwestycji. Próbowałem go ostrzec, powstrzymać, ale na próżno. Obawiam się także, iż nie sporządził testamentu. To dlatego twój wuj i ciotka są tu dziś z nami.

Chauncey wpatrywała się w niego, wiedząc, co za chwilę się wydarzy. Mimo to zapytała:

- Co chcesz przez to powiedzieć, wujku? Pan Montgomery zdjął okulary i zaczął polerować szkła o mankiet koszuli.

- Chcę powiedzieć, że nie przewidział, iż będziesz potrzebowała kogoś w rodzaju opiekuna prawnego, dopóki nie ukończysz dwudziestu jeden lat. Oczywiście, spodziewał się, że kiedy umrze, ty już od dawna będziesz żoną sir Guya Danforda. A skoro sam nie wyznaczył opiekuna, twoja ciotka i wuj, jedyni żyjący krewni, będą musieli podjąć się tej roli.'

- A zatem - stwierdziła ciotka z niesmakiem - mam przyjąć dziewczynę pod swój dach, żywić ją i ubierać, i to bez nadziei na jakąkolwiek rekompensatę!

- Cóż, moja droga, biedna Elizabeth nie odpowiada przecież za to, że jej ojcu zabrakło... - zaczął wuj Alfred, któremu „biedna Elizabeth” natychmiast przerwała.

- Ależ ja skończę dwadzieścia jeden lat już za pół roku, wujku! Nie potrzebuję opiekuna, aby zarządzał moim majątkiem. Zresztą, czym tu zarządzać? A nawet, gdyby było, czy sądzisz, że chciałabym, aby moja chciwa ciotka sprawowała nad tym kontrolę?

- Takie jest prawo, moja droga - powiedział Paul Montgomery. - Lecz, oczywiście, istnieje alternatywa, czyż nie?

Chauncey spuściła głowę i pomyślała o Guyu Danfordzie. Jej narzeczony rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, które miała mu wnieść w posagu. Lecz żadnych pieniędzy nie było.

- Nie, wujku - odparła cicho, lecz w miarę wypowiedzanych zdań jej głos nabierał pewności - nie ma alternatywy.

Wstała i strząsnęła czarną wełnianą spódnicę.

- Jeśli to już wszystko, wujku, to pozwól, że się oddalę i wydam polecenia służbie. Ciotko Augusto, wuju Alfredzie - czy zostanieie w Jameson Hall na noc?

Ciotka tylko skinęła głową i Chauncey ruszyła w kierunku drzwi biblioteki, zastanawiając się, czy Augusta pomyślała w końcu o bracie i czy żałuje swych szorstkich słów. Zamknęła cicho drzwi, zza których dobiegło ją pełne furii:

- To śmieszne, że musimy wziąć dziewczynę! To niemal stara panna! Z pewnością żaden dżentelmen nie zechce się z taką ożenić! I co mamy z nią zrobić, panie Montgomery?

Chauncey nie czekała, aby usłyszeć odpowiedź. To by było wszystko, jeśli chodzi o ciotkę i jej ewentualny moment skruchy.

- Panno Chauncey?

- Tak, Convers?

Przełknęła zdradzieckie łzy i przybrawszy obojętny wyraz twarzy, odwróciła się, by spojrzeć na kamerdynera Fitz-Hughów.

- U kobiety drobne przejawy emocji są uważane za jak najbardziej do przyjęcia - powiedziała jej jej ojciec. Niemal widziała, jak wzrusza ramionami, uśmiechając się kątem ust. - Jednak w ten sposób pozwalasz innym, by poznali twoje uczucia. A to nie zawsze jest pożądane, prawda?

- Sir Guy jest tutaj. Chce się z panią zobaczyć. Widząc, że się zawahała, spytał miękko:

- Czy mam mu powiedzieć, że pani dziś nie przyjmuje?

- Nie, Convers, zobaczę się z nim. Jest w Błękitnym Salonie?

- Tak, panienko. Dobrze się pani czuje?

- Oczywiście, przynieś, proszę, coś do picia. Nie, zaczekaj, to nie będzie konieczne.

Nim weszła do Błękitnego Salonu, zatrzymała się na chwilę przed oprawnym w srebro lustrem. Błada twarz, która spojrzała na nią z lustrzanej tafli, nie przypominała zbyt często roześmianej, beztroskiej Chauncey Jameson Fitz-Hugh. Za nią znajdowała się wielka sala, skąd olbrzymie, podwójne dębowe drzwi prowadziły do wyłożonego marmurem przedsionka. Przez chwilę wpatrywała się w lustrzane odbicie wspaniałego wysokiego sufitu, zdobionego rytym geometrycznym deseniem z herbami rodu, i na kamienną podłogę, pokrytą tureckim dywanem o jaskrawych barwach. Ciężkie mahoniowe meble, których ciemnoczerwony kolor zamienił się z czasem w brąz, poustawiano zgodnie z ich przeznaczeniem. Wisząca na ścianach średniowieczna broń - lance, łuki i hełmy - była nietknięta przez kurz, jako że służba Fitz-Hughów stanowiła bardzo zdyscyplinowaną oraz sumienną drużynę.

Zamknęła na chwilę oczy, wspominając małą dziewczynkę, która pojedynkowała się na niby z wypolerowaną na wysoki połysk zbroją, stojącą dumnie w kącie sali. Jameson Hall, własność i dom rodzinny trzech pokoleń Fitz-Hughów miał oto przejść w obce ręce. Żadnych więcej pojedynków z nieznanym, dawno zmarłym rycerzem. Koniec z taplaniem się w leniwie płynącej rzece Wey, toczącej swe wody na wschód od Jameson Hall, bo to nie przystoi młodej damie.

Nie będzie już miłych pogaduszek z ojcem przed masywnym kominkiem, kiedy to siadała na podłodze, podwijając pod siebie spódnice. Rzadko zajmowała miejsce w małym fotelu, który należał kiedyś do jej matki, pięknej Isobel. Czowała, że w głębi serca ojciec nadal uważa go za własność zmarłej żony.

Poczuła, jak jej ciało przenika dreszcz. Bogu niech będą dzięki, pomyślała, że oszczędzono ci tego, ojczu. Wcisnęła nieposłuszne pasmo wijących się włosów w upięty z tyłu głowy, skromny kok, wyprostowała ramiona i weszła do salonu.

- Elizabeth!

Stłumiła niezadowolenie. Guy nie potrafił się zmusić, aby nazywać ją Chauncey. Widocznie używanie tego zdrobnienia, nadanego jej w dzieciństwie przez irlandzką nianię, wydawało mu się pospolite. A także świadczące o braku poczucia własnej wartości. Jednak tatuś kochał to imię. W jego ustach brzmiało zawsze tak miękko, że było niczym pieśczęta. „Chauncey, kochanie” droczył się z nią, wymawiając słowa z irlandzkim akcentem, „co ty, u licha, wyprawiasz, przesuwasz skoczka na to pole. Czyżbyś była aniołem, że tak łatwo pozwalasz mi z sobą wygrać?”

- Cześć, Guy - powiedziała, wchodząc do pokoju. - Miło z twojej strony, że przyszedłeś.

Pozwoliła mu ująć swoje dłonie i uściskiem odpowiedziała na uścisk.

- To oczywiste, że przyszedłem, kochanie - odparł uprzejmie.

Jaka ona blada, pomyślał, spoglądając na niebieskawe cienie pod jakże wyrazistymi oczami dziewczyny. Czarna suknia nie pasowała do niej, podkreślając bladość ściągniętych zmartwieniem rysów. Choć nie cieszyła go zbyt perspektywa nadchodzących miesięcy żałoby, wypełni swój

obowiązek, pozostając cierpliwym i wyrozumiałym.

Chauncey uwolniła dłonie i skierowała się ku odległemu kąтови salonu, gdzie stała obok marmurowego włoskiego kominka, dumy jej zmarłej babki. Spojrzała na Guya spod opuszczonych rzęs. Ciekawe, dlaczego w ogóle chciałam go poślubić, pomyślała nagle. Oczywiście, był przystojny na swój spokojny, ascetyczny sposób. Jego wąska, pociągła twarz podobała jej się kiedyś, ponieważ sądziła, iż odzwierciedla szczerzy, choć nieco skomplikowany charakter. Lecz teraz patrzyła na tego mężczyznę nowymi oczami. Przecież to pedant i zarozumialec, pomyślała, już w wieku dwudziestu ośmiu lat nadęty i sztywny w poglądach i zachowaniu. No i jeszcze ta jego niewiarygodnie ograniczona matka. Dlaczego nie widziałam go takim wcześniej? Czy byłam tak skoncentrowana na sobie i ślepa, że nie postrzegałam ludzi takimi, jakimi naprawdę są? Dlaczego ojciec nie poznał się na Guyu? On z pewnością nie powinien był być tak zaślepiiony jak ja.

- Proszę, przyjmij moje kondolencje, Elizabeth. Matka także przesyła wyrazy współczucia.

- Oczywiście - mruknęła Chauncey. - Dziękuję, Guy.

- Matka martwi się o ciebie, kochanie. Oczywiście, zdaje sobie sprawę, że nie będziemy mogli się pobrać, nim minie rok żałoby, i zastanawia się, co zamierzasz. Wspomniałam jej, że z pewnością chętnie pozostałabyś w Jameson Hall, lecz ona nie uważa tego za właściwe. Musiałabyś przynajmniej mieć przyzwoitkę. Zasugerowała więc, byś zamieszkała u ciotki i wuja w Londynie.

- Tak - powiedziała Chauncey - wszystko wskazuje na to, że będę musiała z nimi zamieszkać.

- Oczywiście, droga Elizabeth, wezmę na siebie obowiązek rozmówienia się z twoim doradcą prawnym i zaopiekuję się Jameson Hall do chwili, kiedy będziemy mogli w nim zamieszkać.

- To nie będzie konieczne, Guy.

Spojrzała mu prosto w oczy i nagle uświadomiła sobie, że Guy najwyraźniej wcale nie przejął się śmiercią jej ojca. Przeciwnie, świadomość, że wkrótce wszystko będzie należało do niego, sprawiła mu ulgę. Doprawdy, czy musi już teraz spoglądać na wyposażenie salonu chciwym okiem przyszłego właściciela? Miała ochotę się roześmiać, lecz zamiast tego powiedziała z wolna i bardzo wyraźnie:

- Jameson Hall wkrótce zostanie sprzedane.

- Ja... nie rozumiem, Elizabeth - wykrztusił sir Guy, ściągając ciemne brwi.

Boże, chyba nie postradała zmysłów, kiedy siedziała bezczynnie przez dwa dni, pogrążona w pełnym rozpaczyci milczeniu. No cóż, histeria byłaby z pewnością jeszcze gorsza, pomyślała. Lecz nie, Elizabeth nigdy nie wprawiłaby go w zakłopotanie, demonstrując swoje uczucia.

- Z pewnością jesteś zdenerwowana, kochanie - powiedział z niepozobawionym wyższości współczuciem. - Dyskusje z prawnikiem możesz pozostawić mnie.

- Posłuchaj, Guy - oznajmiła, ściągając z palca zaręczynowy pierścionek - nie ma żadnych pieniędzy. Mój ojciec nie zostawił mi niczego. Jameson Hall musi zostać sprzedane, by pokryć roszczenia wierzycieli. Jak już powiedziałam, nie mam innego wyboru, jak tylko zamieszkać z wujem i ciotką, dopóki nie ukończę dwudziestu jeden lat.

- Nie ma pieniędzy - powtórzył tępo. - Ależ to niemożliwe!

Miała ochotę się uśmiechnąć, ponieważ w jego głosie nietrudno było doszukać się tego, co już słyszała wcześniej z ust ciotki Augusty: zdumienia, oburzenia i potępienia. Przecież nie mógł być aż tak nieudolny!

- No cóż, to wszystko prawda, Guy. Oto twój pierścionek. Zwalniam cię z przyrzeczenia.

To dziwne, lecz zwrot delikatnego pierścionka z szafirem był niczym zrzucenie z ramion

wielkiego ciężaru. Musiałam być szalona i nie myśleć jasno, skoro zgodziłam się poślubić tego mężczyznę.

Tak jak się spodziewała, Guy przyjął pierścione. Nie oczekiwała, że będzie się z nią kłócił, błagając i zapewniając, że kocha. Obserwowała, jak wyraz zaskoczenia znika powoli z jego twarzy. Poszukiwał uprzejmych słów, którymi mógłby ją pożegnać.

- To nie do wiary - powiedział w końcu, czując, jak wzbiera w nim gniew, wywołany tym nagłym odwróceniem się fortuny. Do diabła z sir Alecem! - Wiesz, że zależy mi na tobie, lecz...

- Rozumiem, Guy - przerwała mu. - Proszę, podziękuj ode mnie matce za troskę. A teraz pozwól, że cię pożegnam. Jest wiele spraw, którymi muszę się zająć. Do widzenia. Covers cię odprowadzi.

Nie powiedziawszy ani słowa więcej, wyszła z salonu, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 1

Londyn, 1852

Wpatrywała się w drzwi sypialni zwężonymi z gniewu oczami. Klamka powoli ustępowała pod naciskiem, dopóki nie zatrzymał jej mechanizm zamka. Chauncey wydało się, że słyszy stłumione przekleństwo, a potem odgłos oddalających się kroków w korytarzu.

Zerwała się na równe nogi, wygrażając pięścią w kierunku zamkniętych drzwi. Ten wstrętny Owen! Jak ta ropucha mogła sądzić, że ona nie uzna go za zdecydowanie odrażającego?

Westchnęła, podeszła z powrotem do okna i przycisnęła policzek do chłodnej szyby. Dzień był paskudny, mglisty i ledwie mogła dostrzec sylwetki przechodzących ulicą ludzi. Jakże nienawidziła Londynu! Jak bardzo nie lubiła mieszkać z wujem i ciotką! Ciotka sprzedała nawet jej klacz, Imbir, a potem nie pozwoliła bratanicy dosiadać żadnego z koni z własnej stajni.

- Jesteś w żałobie, Elizabeth - powiedziała tym swoim szorstkim głosem - i będziesz zachowywała się, jak przystoi damie.

Dama, też mi coś! Podczas tych pięciu miesięcy, jakie spędziła w domu ciotki, była raczej wołem roboczym i popychadłem. Traktowano ją jak typową ubogą krewną, zmuszaną wykonywać polecenia ciotki i znosić paplaninę trzech jej hałaśliwych córek. O unikaniu niewybrednych zalotów Owena nie wspominając.

- Doprawdy, Lizzie - jęczała czternastoletnia kuzynka Janinę w pokoju do nauki, na drugim piętrze - te lekcje historii to jedna wielka bzdura. Po co dziewczynie wiedza na temat Gibraltaru? Jesteś tylko głupią starą panną!

A Owen, stojący w otwartych drzwiach, dodał kpiąco:

- No cóż, siostrzyczko, biedna Elizabeth musi czymś się zająć, prawda? Skoro nie ma twoich możliwości...

- Tak - pulchna, jedenastoletnia Alice o piskliwym głosie aż się wzdrygnęła - ona jest tylko głupią starą panną!

Co się ze mną stanie, gdy skończę dwadzieścia jeden lat?

To pytanie powracało nieustannie, od kiedy szok i rozpacz po śmierci ojca nieco zelzały. Chauncey przygryzła dolną wargę. Była wykształcona, przynajmniej jak na Anglię i swoje środowisko, lecz myśl o zostaniu guwernantką napawała ją odrazą. Nie znosiła tego. Czy wszystkie dziewczęta były takie jak jej kuzynki? Niezainteresowane niczym poza sentymentalnymi miłosnymi piosenkami? Nie chciała też być lekceważona ani narażona na niepożądane zaloty ze strony mężczyzn takich jak Owen. Jej dwudziestotrzyletni kuzyn, równie chudy, jak jego ojciec był pulchny, miał szpiczastą brodę i taksujące, nieszczerze spojrzenie. Chauncey bardzo się zdziwiła, kiedy tydzień wcześniej zatrzymał ją na schodach.

- Jak przyjemnie jest mieć cię tutaj, droga kuzynko - powiedział, dotykając jej policzka.

Chauncey nie wiedziała, co to strach. Co prędzej odwróciła twarz.

- Doprawdy, Owenie - odparła ostro - przyjemność nie ma tu nic do rzeczy. Muszę z wami mieszkać. To wszystko.

- Ależ Elizabeth - zaoponował, obrzucając ją charakterystycznym spojrzeniem, które sprawiało, że poczuła się naga, odziana jedynie w swoje zdumienie. - Nie doceniasz swoich... wdzięków, choć mnie wydają się bardzo inspirujące. Wkrótce ukończysz dwadzieścia jeden lat, wiesz o tym. I co wtedy zrobisz? Widzę, że ta sprawa cię martwi. Być może, gdybyś zdecydowała się być dla mnie miła...

Spostrzegł, że się cofnęła, a w jej oczach zabłysnął gniew. Dziwny, jakby mahoniowy kolor tych oczu ogromnie go fascynował.

- Tak, po prostu bądź dla mnie miła, Elizabeth. Mogę dać ci różne rzeczy, nauczyć cię tego czy owego. Nie wierzę, że uda ci się znaleźć odpowiedniego męża. Ale kto powiedział, że musisz go mieć? Posiadanie męża nie zawsze jest konieczne.

Jak bardzo Owen różni się od Guya! - pomyślała - A może był po prostu bardziej szczerzy.

- Jesteś moim kuzynem, Owenie - powiedziała spokojnie - niczym więcej. I nie życzę sobie, abyś w ten sposób ze mną rozmawiał.

Ależ ona jest śliczna, myślał Owen, niezrażony jej chłodem. Jak na jego gust, była może nieco zbyt szczupła, lecz nawet obcisły gorset nie mógł ukryć bujności jej piersi. Wyobraził sobie, jak smukłe nogi dziewczyny zaplatają się wokół jego bioder, i poczuł przypływ pożądania.

Lecz to jej oczy najbardziej go pociągały. W ich głębi dostrzegał bowiem ukryty płomień namiętności. Teraz jednak, rozświetlone gniewem, zdawały się złote niczym bursztyn.

- Dumna z ciebie sztuka, co, kuzyneczko? - roześmiał się szorstko. - A nie masz do tego powodów. Nie mieszkasz już w wielkim domu pełnym służby, gotowej zaspokoić każdy twój kaprys. A kochający tatuś nie kupi ci pięknych strojów. Jedyne, co możesz zrobić, to poszukać sobie... protektora.

Chauncey parsknęła śmiechem. Nie potrafiła się powstrzymać.

- A ty, jak rozumiem, chciałbyś zgłosić swoją kandydaturę?

Twarz Owena pobladła z gniewu, a oczy zwęziły się.

- Zostaw mnie w spokoju, kuzynie, słyszysz? I trzymaj się z daleka od pokoju do nauki.

- Zapewne szybko zmienisz zdanie - powiedział cicho, po czym objął ją i przycisnął do siebie tak szybko, że nie zdążyła zaprotestować. Jego dłonie sunęły po ciele dziewczyny w kierunku piersi. Teraz Chauncey już wcale nie było do śmiechu. Na szczęście przypomniała sobie, co zwykła mawiać jej stara niania: - Udawaj martwą, kochanie, a potem spraw mu ból, który nieprędko będzie w stanie zapomnieć!

Zwiotczała w jego ramionach, on zaś, podbudowany brakiem oporu, rozluźnił uścisk i pochylił twarz, aby poszukać jej warg. I wtedy Chauncey, nie myśląc o konsekwencjach, błyskawicznie uniosła kolano najwyżej, jak mogła. Owen krzyknął z bólu, chwytając się za krocze.

- Ty suko! - wrzasnął. - Zapłacisz mi za to!

- Wątpię, żalсна ropucho - odpaliła ostro. - Zobaczymy, co powie twoja matka!

I, przepełniona słusznym gniewem, pośpieszyła do pokoju ciotki.

- O czym ty mówisz, panienko? - przerwała jej bezceremonialnie ciotka. Wstała od toaletki i odstawiła na blat słoiczek pomady.

- Mówię o Owenie, ciotko. Zachował się ze wszech miar niewłaściwie.

Kobieta zmierzyła ją spojrzeniem i zacisnęła usta.

- Doprawdy, Elizabeth, takie opowieści po prostu ci nie przystoją. Wiem, co ci chodzi po głowie, ale nic z tego. Lepiej przestań flirtować z moim synem. I tak się z tobą nie ożeni.

Chauncey spojrzała na ciotkę z niedowierzaniem.

- Naprawdę sądzisz, że sobie to wymyśliłam? I że staram się złapać Owena na męża? Prędeż wyszłabym za złodziejaską z nabrzeża!

Później Owen nie raz próbował przyłapać ją samą, lecz Chauncey nie była głupia. Wydawało się jej, że to nieustanne skradanie się, ta denerwująca zabawa w kotka i myszkę, sprawiają mu przyjemność. Na szczęście drzwi jej sypialni posiadały solidny zamek.

Co się ze mną stanie, - myślała nieustannie - kiedy za miesiąc skończę dwadzieścia jeden lat?

Chauncey, z uniesioną dłonią, stała przed drzwiami sypialni ciotki i zastanawiała się, czy zapukać. Jej dwudzieste pierwsze urodziny zbliżały się nieuchronnie i musiała porozmawiać o swojej przyszłości. Z pewnością siostra jej ojca choć trochę zatroszczy się o bratanicę!

Uniesiona dłoń Chauncey znieruchomiała, bo zza drzwi dobiegł głos ciotki, wymawiającej słowa ze złośliwą wręcz wyrazistością:

- Dziewczyna nie potrafi przystosować się do sytuacji. Spójrz tylko, co dla niej zrobiliśmy, Alfredzie, a ona nadal zachowuje się niczym dumna dziedziczka! I te kłamstwa na temat drogiego Owena! Biedny chłopiec był zaszokowany, zapewniam cię!

- Doprawdy?

- Ależ tak! Poza tym dziewczęta nie są w stanie niczego się od niej nauczyć. Biedna Janinę skarżyła mi się, że Elizabeth miała czelność skarcić ją za to, że nie uważa podczas lekcji matematyki. Matematyki, na miłość boską! Muszę położyć temu kres. Szkoda, że nie udało jej się poślubić sir Guya, lecz pewnie narzeczony porzucił ją, kiedy dowiedział się, jak sprawy stoją.

- Nie, Elizabeth sama zwolniła go z danego słowa.

- To ona tak twierdzi - powiedziała ciotka drwiąco. - No cóż, postąpiła niemądrze. Oczywiście, jeśli to prawda. Elizabeth jest zupełnie taka, jak jej matka. Dumna, marzycielska i zupełnie pozbawiona rozsądku. Ty też mógłbyś przestać mieć taką rozmarzoną minę, Alfredzie. Tak, wiem, że smaliłeś cholewki do drogiej, słodkiej Isobel.

Chauncey zamarła. Wuj Alfred i jej matka?

Podśluchujesz, moja droga, zganiła samą siebie. Jednak, choć chciała odejść, jej nogi po prostu wrosły w podłogę. Usłyszała, że wuj wzdycha ciężko:

- Isobel nie żyje, Gussie. Owszem, podziwiałem ją, podobnie jak większość ludzi.

- Ha! Dała Alecowi tylko jedną bezwartościową córkę, a potem traktowała ją jak księżniczkę, dopóki nie umarła w połogu, rodząc następną. Gdyby Isobel wniosła w posagu dość pieniędzy, być może dziś Jameson Hall należałoby do nas!

- I tak odziedziczyłaby je Elizabeth, nie my.

- Gdybym była starszym bratem Aleca, nie jego siostrą, to mnie dostałaby się posiadłość! Bóg wie, że nie poczyniłaś nazbyt szczęśliwych inwestycji, Alfredzie, a mamy przecież trzy córki, dla których musimy znaleźć mężów.

- Przynajmniej zyskałaś dla nich darmową guwernantkę, kochanie - powiedział spokojnie Alfred. - To z pewnością zaoszczędzi ci wydatków. A co do moich inwestycji, to wiesz doskonale, że Owen wydaje całą swą, niemałą przecież, pensję, a nie zarabia ani grosza.

- Owen jest dżentelmenem - powiedziała Augusta gniewnie. - I wkrótce bogato się ożeni, już ja

tego dopilnuję. A co do tej hardej kuzyneczki, to z pewnością nie zadzierałaby tak nosa, gdyby знаła całą prawdę o swoim drogim ojcu.

Prawdę? Jaką znów prawdę? Daj spokój, Chauncey, i lepiej stąd odejdz.

Nie poruszyła się jednak. Wuj też pewnie siedzi już jak na szpilkach, pomyślała.

- Przestań, Augusto. Dziewczyna zarabia na swoje utrzymanie.

- Widzę, że chcesz ją chronić, i nawet wiem dlaczego. Ponieważ jest córką Isobel! No cóż, jeśli jeszcze raz przyjdzie do mnie i zacznie opowiadać mi niestworzone historie na temat Owena, nie będę kryła, że jej drogi ojciec odebrał sobie życie, ot co!

Zaszokowana Chauncey przez dłuższą chwilę wpatrywała się w drzwi niewidzącym spojrzeniem. Jej drogi ojciec odebrał sobie życie...

- Nie! - jęknęła głucho, zginając się w pół. Ból był tak silny, iż wydawało się jej, że za chwilę umrze. - Nie!

Mary, jedyna służąca w Heath House, która traktowała Chauncey uprzejmie, znalazła ją skuloną na stopniach schodów prowadzących na piętro dla służby.

- Panienko - powiedziała cicho, dotykając leciutko ramienia Chauncey. - Dobrze się panienka czuje?

Chauncey spojrzała na Mary, oszołomiona.

- On nie mógł tego zrobić - szepnęła.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła ją Mary, nie mając pojęcia, o co właściwie chodzi. Dostrzegła jednak rozpacz w oczach młodej damy i żałowała bardzo, że nie potrafi jakoś ulżyć jej w bólu. Z pewnością to ostry język pani doprowadził to biedne stworzenie do takiego stanu. Niech piekło pochłonie tego starego babsztyla!

- Och, Mary! - wykrztusiła Chauncey. Łzy trysnęły jej z oczu i rozszłochała się, wtulona w obfity biust służącej.

Chauncey uniosła wyżej brodę i przyśpieszyła kroku. Nie miała pieniędzy, a spacer z placu Bedford do biura wuja Paula na Fleet Street okazał się długi i męczący. Na domiar złego dziewczyna miała na sobie ciężki czarny kapelusz z woalką, co miało uchronić ją przed zaczepkami mężczyzn, przekonanych, że kobieta idąca samotnie ulicą z pewnością wyruszyła w oczekiwaniu przygody. Woalka utrudniała oddychanie. Kiedy znalazła się wreszcie na miejscu, była spocona i brakowało jej tchu. Przez chwilę nie potrafiła się zmusić do wejścia po niskich stopniach prowadzących do drzwi wejściowych.

Nie bądź tchórzem, Chauncey. Ciotka Augusta to podła stara wiedźma. Na pewno kłamała, lecz wujek Paul powie prawdę.

Kilku ubranych na czarno urzędników siedziało na wysokich stołkach, pochylając głowy i pracowicie skrobiąc piórami. Chauncey chrząknęła.

- Przepraszam bardzo - powiedziała, zwracając się do młodego urzędnika. - Chciałabym zobaczyć się z panem Montgomerym. Nazywam się Elizabeth Fitz-Hugh.

- Jest pani umówiona? - zapytał młodzieniec.

- Proszę powiadomić go, że tu jestem - odpowiedziała stanowczo, unosząc woalkę.

Młodzieniec przyjrzał się jej z uznaniem.

- Proszę spocząć, panienko. Zobaczę, czy jest wolny. Paul Montgomery niemal natychmiast wyłonił się ze swego biura.

- Chauncey! Co za przyjemna niespodzianka! Ależ wejdz, proszę, wejdz!

Chauncey uśmiechnęła się do niego i był to jej pierwszy szczerzy uśmiech od śmierci ojca.

- Doceniam to, że tracisz czas, by się ze mną zobaczyć, wujku.

- Nonsens, kochanie! - Zaprowadził ją do swego biura i usadowił na krześle stojącym przed masywnym dębowym biurkiem. - A teraz powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

Lecz Chauncey milczała.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział w końcu Paul, kiedy milczenie przeciągało się. - Mam nadzieję, że jest ci dobrze u ciotki i wuja?

Błagam, niech ona powie „tak”, modlił się w duchu, formułując w myśli słowa, które pragnął usłyszeć.

- Wujku Paulu, czy mój ojciec odebrał sobie życie?

Słowa, bezlitosne i nieubłagane, zawisły w powietrzu pomiędzy nimi. Chauncey zauważyła, że wuj zeszywniał.

Powoli zdjął okulary i zaczął czyścić je mankietem koszuli, jak miał w zwyczaju.

- Skąd ci to przyszło do głowy, moja droga?

- A zatem to prawda - powiedziała. - Proszę, wujku, nie okłamuj mnie. Ja... podsłuchałam jak ciotka rozmawiała o tym z wujem.

- Głupia kobieta! - wymruczał Paul Montgomery. Przez chwilę badał spojrzeniem pobladłą twarz dziewczyny, a potem podjął decyzję. - Przykro mi, moja droga. Nie było powodu, abyś musiała się o tym dowiedzieć. Nie miałem pojęcia, że twoja ciotka... Lecz teraz to i tak nie ma znaczenia, prawda?

- Dla mnie ma.

Poczuła spływającą pomiędzy piersiami strużkę potu.

- Miał chrześcijański pogrzeb - powiedziała głucho. - Nikt nie pisnął ani słówka. Nawet doktor Ramsay.

- No cóż, ja z pewnością nie miałem zamiaru wspominać pastorowi, że śmierć twego ojca była czymś więcej niż tylko nieszczęśliwym wypadkiem! Bo i, prawdę mówiąc, tym właśnie była. Doktor Ramsay zgodził się ze mną. Przedawkowanie laudanum...

- Ale dlaczego, wujku Paulu? Dlaczego on to zrobił?

Paul Montgomery przeniósł wzrok na swój wydatny brzuch, okryty wykrochmaloną kamizelką.

- Modliłem się, bym nigdy nie musiał ci o tym powiedzieć, Chauncey.

- Nie mogę uwierzyć, że zabił się z powodu kilku nieudanych inwestycji!

- Nie chodziło wyłącznie o to. To dosyć zagmatwana historia, moja droga.

Umilkł na chwilę, jakby zbierając myśli. Spostrzegł wyraz determinacji, malujący się na twarzy dziewczyny, i powiedział spokojnie:

- No cóż, Chauncey, skoro już musisz wiedzieć... Otóż latem 1851 roku twój ojciec poznał w Londynie pewnego Amerykanina, niejakiego Delaneya Saxtona. Saxton przyjechał do Anglii szukać inwestorów. I chociaż wydawał się dosyć zamożny - podobno zarobił na wydobywaniu złota - twierdził, że pragnie pomnożyć swój majątek. Dobił interesu z twoim ojcem, który uparł się, abyśmy wraz z angielskim doradcą prawnym Saxtona, Danielem Boyntonem, zaaranżowali transfer dwudziestu tysięcy funtów na konto pana Saxtona. Powiniennem był się domyślić, że twój ojciec zastawił wszystko, by zdobyć tę sumę, lecz jakoś uszło to mojej uwagi. Boynton i ja podpisaliśmy dokumenty, które miały zabezpieczyć inwestycje twego ojca. Otóż, gdyby kopalnia kwarcu - pewny interes, według Saxtona - nie przyniosła takiego dochodu, jaki obiecywał, zgodził się on podpisać dokument, w którym przekazywał twemu ojcu część praw własności do świetnie prosperującej, czynnej kopalni

złota. Saxton przedstawił dowód, iż kopalnia rzeczywiście przynosi dochód. W kilka miesięcy później opuścił Anglię i wszelki ślad po nim zaginął. Twój ojciec zaczął popadać w rozpacz. Wreszcie, mniej więcej na dwa miesiące przed jego śmiercią, doradca Saxtona poinformował mnie, iż pan Saxton przysłał mu list, w którym donosił, że interes z kopalnią kwarcu okazał się absolutnym niewypałem. Odmówił też honorowania umowy. Twój ojciec przyjął to bardzo źle.

- Ależ to nie do wiary, wujku, po prostu nie do wiary!

- Nie tak zupełnie, moja droga. Przyznam, że od początku byłem mocno sceptyczny, jeśli chodzi o ten interes, ale twój ojciec... - Wzruszył ramionami.

- Zapewniał mnie, że ten Saxton ma w Londynie wpływowych przyjaciół. Ufał mu.

- A kim są ci jego wpływowi przyjaciele?

- Nie powiedział. Z jakiegoś tajemniczego powodu wolał zatrzymać to dla siebie. I choć zdeklarowałem się, że nadam sprawie dalszy bieg, on się uparł, że załatwi wszystko sam.

- Najwidoczniej odmówili udzielenia mu pomocy. A co z tym doradcą Saxtona, Boyntonem? Z pewnością musiał o wszystkim wiedzieć!

- I znów, moja droga, nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Widzisz, biedny Boynton zmarł na apopleksję kilka tygodni przed śmiercią twojego ojca.

Chauncey wpatrywała się w niego bez słowa. Gdybym była synem, nie córką, myślała, z pewnością ojciec pozwoliłby mi sobie pomóc.

- Z tego, co usłyszałam, jasno wynika, że nie bardzo wierzysz, iż ta kopalnia kwarcu kiedykolwiek istniała - powiedziała.

- Wszystko możliwe, Chauncey. Obawiam się, że nigdy nie poznamy prawdy.

- A co na to prawo? Czy nic już nie da się zrobić? - zapytała drżącym głosem.

- Droga Chauncey, Delaney Saxton mieszka w San Francisco, mieście położonym w Kalifornii. To wiele tysięcy mil stąd. Uwierz mi, kiedy twój ojciec wyznał, że straci wszystko, jeżeli Saxton nie wywiąże się z umowy, powiadomiłem o całej sprawie zaprzyjaźnionego bankiera z Nowego Jorku. Przeprowadził dochodzenie, ale niczego nie odkrył, a kontynuowanie badań kosztowałoby zbyt wiele pieniędzy. Ani twój ojciec, ani ja nie posiadaliśmy takiej sumy. Bo, widzisz, nic nie zostało.

Chauncey zamknęła na chwilę oczy. Dlaczego ojciec jej się nie zwierzył? Czy nie zdawał sobie sprawy, że zrobiłaby dla niego wszystko? Zamiast tego odebrał sobie życie z powodu pieniędzy... i pozostawił ją samą, na łasce ciotki. Poczwała, jak na myśl o jego tchórzliwym zachowaniu ogarnia ją gniew. Czym prędzej zdusiła go w sobie. Z pewnością ojciec nie myślał jasno. No i spodziewał się, że ona jednak zostanie żoną Guya Danforda.

- Pieniądzy jak nie było, tak nie ma. Ani grosza! A temu kanciarzowi, temu wstrętnemu łajdakowi ujdzie to na sucho!

- Chauncey, kochanie, jesteś przemęczona i wytrącona z równowagi. Musisz się uspokoić. Co ze mnie za bezmyślny głupiec, że ci o wszystkim opowiedziałem!

Chauncey zapanowała nad ogarniającą ją histerią. Świat nigdy dotąd nie wydawał jej się tak ponury.

- A ja mogę co najwyżej zostać panną sklepową i szyć kapelusze. - Roześmiała się. - Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że nie umiem szyć!

- Chauncey, proszę. Zostaniesz u wuja i ciotki. Wkrótce zapewne wyjdiesz za mąż, a smutne wspomnienia zblakną i odejdą w niepamięć. Sama się przekonasz.

Dziewczyna wstała, wyprostowała ramiona i powiedziała stanowczo:

- Nie, wujku Paulu, ja nie zapomnę. Nigdy. Paul Montgomery spojrzał na jej ściągniętą twarz.

Dumna i bezradna, pomyślał. To całkiem prawdopodobne, że nie zapomni, lecz to jej nie pomoże.

Nic jej nie pomoże. Nie odezwawszy się już ani słowem, odprowadził dziewczynę do wyjścia.

ROZDZIAŁ 2

- To dla mnie, ciotko? - zapytała Chauncey, w najwyższym stopniu zdumiona.

Ciotka obdarzyła dziewczynę szerokim, cokolwiek sztucznym uśmiechem.

- Oczywiście, moja droga Elizabeth. To twoje urodziny, czyż nie? Dość już tej czerni, pora na zmiany. Chcemy trochę podnieść cię na duchu, kochanie. Nie wierzę, aby twój ojciec życzył sobie, byś chodziła w tych ponurych żałobnych strojach dłużej niż przez pół roku.

Wrażenie nierealności nie opuszczało Chauncey. Ścisłała w dłoni skraj jedwabnej lawendowej sukni. Ciotka Augusta uśmiecha się do niej? Daje jej prezenty? Najwidoczniej świat przewrócił się do góry nogami. Przesunęła bezmyślnie spojrzeniem po salonie ciotki, zastawionym masywnymi, ciemnymi meblami, pełnym ciężkich, obszytych frędzlami draperii i zapełniających każdy kąt gratów. Co za udręka wszystko to odkurzać, powiedziałyby zapewne Mary.

- Będzie ci w niej do twarzy, kuzynko - oznajmił Owen, podchodząc bliżej. - Chociaż i tak wyglądasz pięknie.

Chauncey spojrzała na kuzyna. Wpatrywał się w nią z wyrazem szczerego podziwu. On kłamie, uświadomiła sobie. Przecież nie znosi mnie z całego serca!

Wuj Albert chrząknął, ale, zganiony spojrzeniem żony, nie odezwał się.

- Droga Elizabeth - odezwała się ciotka. - Zdaję sobie sprawę, że ostatnich sześć miesięcy nie było dla ciebie szczególnie... przyjemne. Ten szok, wywołany śmiercią ojca... Będę z tobą szczerą. Byliśmy bardzo zaskoczeni, że Alec zostawił cię bez grosza i może dlatego nie zachowywaliśmy się, jak należy. Mogę ci tylko powiedzieć, że sami borykamy się akurat z pewnymi kłopotami finansowymi, co nie pozostało bez znaczenia, jeśli chodzi o nasze zachowanie. Byliśmy dla ciebie zbyt oschli, a jesteś przecież taką miłą dziewczyną. Mam nadzieję, że zdołasz nam wybaczyć.

Tu ciotka uśmiechnęła się i czule objęła Chauncey.

Chauncey pozwoliła się objąć i na chwilę ogarnęła ją fala ciepłych uczuć. Jak to miło być znowu kochaną i mieć rodzinę. Wujostwo troszczyli się o nią, pragnęli, by była szczęśliwa.

Wuj Alfred chrząknął ponownie.

- Elizabeth, moja droga, dziś wieczór uczymy twoje urodziny. Uroczysta kolacja, a potem teatr. Co ty na to?

- Och, tak, wuju Alfredzie, dziękuję - wykrztusiła.

- Może byś się przebrała? - zaproponowała ciotka. - Przydzieliłam ci Mary jako osobistą pokojówkę. Wiem, sądziłaś, iż odprawiłam ją po twojej małej... wycieczce w zeszłym tygodniu i rzeczywiście tak było, lecz kiedy przekonaliśmy się, jak bardzo polubiłaś tę dziewczynę, kazałam sprowadzić ją z powrotem. Czeka w twoim pokoju, by pomóc ci w ubieraniu.

Uczucie nierealności jeszcze się wzmoгло. Miękka, błyszcząca suknia wydawała się równie nierzeczywista jak to, co się przed chwilą wydarzyło.

- Dziękuję - mruknęła i, oszołomiona, wyszła z salonu.

Mary już na nią czekała, dokładnie tak, jak powiedziała ciotka.

- Ja też tego nie rozumiem, panienko - powiedziała, jakby czytając w myślach Chauncey i pomagając jej zdjąć zniechęconą, czarną wełnianą suknię. - Kiedy w agencji powiedzieli mi, że mam tu wrócić, o mało nie połknęłam własnego języka! Zostałam przecież odprawiona bez referencji i to dlatego, że pomogłam panience zobaczyć się z prawnikiem ojca i nie pisnęłam ani słowa starej wiedźmie!

Mary potrząsnęła głową.

- Oczywiście, ten żalosny donosiciel Cranke dowiedział się o tym i natychmiast poinformował jej lordowską mość. Dopiero urządziła mi scenę! Wrzeszczała niczym handlarka ryb!

Chauncey wzdygnęła się, przypominając sobie, jaką scenę urządziła ciotka po jej powrocie z biura wuja Paula. A potem, aż do dnia urodzin, traktowano ją jak pariasa. Nie żeby ją to szczególnie obchodziło, ponieważ umysł i tak miała zajęty czym innym. Lecz wkrótce to odrętwienie zmieniło się w zimną nienawiść do człowieka, który oszukał jej ojca i zmusił go do samobójstwa. Zrozumiała wszystko, o czym mówił Paul Montgomery, absolutnie wszystko. I czuła się tak diabelnie bezradna! Delaney Saxton znajdował się o tysiące mil stąd, a ona tkwiła w Londynie bez grosza przy duszy.

Uświadomiła sobie, że Mary przygląda się jej wyczekująco, ale nawet za cenę życia nie byłaby w stanie przypomnieć sobie, czy służąca o coś ją pytała.

- Przykro mi, Mary, nie uważałam. To wszystko bardzo mnie zaskoczyło. Ciotka Augusta tłumaczyła się przede mną. I nawet mnie objęła. Nie wiem, w co wierzyć. To wszystko jest strasznie zagadkowe.

- Rzeczywiście, panienko. Ja naprawdę wierzę w chrześcijańskie miłosierdzie i w to, że powinno się go przestrzegać we własnych czterech ścianach, ale w tym domu? Nie jestem przecież ślepa i doskonale widziałam, jak oni dotąd panią traktowali. Teraz na pewno czegoś od pani chcą. Tak, z pewnością o to właśnie im chodzi. Chcą czegoś. Proszę usiąść, panienko, ułożę panience włosy, zanim włożymy suknię.

Chauncey usiadła na krytym brokatem stołku przed toaletką.

- Ale - odezwała się po chwili, napotykając spojrzenie Mary w lustrze - co też ja mogę mieć takiego, czego oni by pragnęli? To nie ma sensu. Tak naprawdę to bardzo chciałabym im zaufać, uwierzyć, że pragną uznać mnie za członka rodziny.

Kot zawsze pozostanie kotem, zwykła mawiać jej stara niania, Hannah. Koty to nieobliczalne stworzenia i choćby nie wiem jak długo je głaskać i słuchać ich mruczenia, i tak się nie zmieniają. Nigdy.

Mary przeciągnęła ostatni raz szczotką po gęstych splotach, ujęła je w dłoń, okręciła na palcach i upięła na czubku głowy Chauncey.

- Ma pani piękne włosy. Ilekroć wydaje mi się, że wiem, jakiego są koloru, pada na nie inny rodzaj światła i dostrzegam kolejny odcień miedzi czy brązu. A jakie są gęste! Madame z pewnością nie sprawia przyjemności kontrast pani urody z wyglądem jej pucołowatych córek. Jak już mówiłam, panienko, nie rozumiem, co się tu dzieje, lecz coś mi się zdaje, że szybko odkryje pani motywy ich postępowania.

- Nie wierzysz, że mogli się... zmienić? *Proszę, Mary, powiedz, że to możliwe!*

- Czy pomarańcze rosną w Londynie? Wątpię w to, panienko. A teraz proszę wstać, zobaczymy, jak wygląda pani w tej sukni. Pochodzi z pracowni, w której szyją suknie madame. Słyszałam, jak jej

krawcowa, Broome, mówiła, że dostarczono ją dziś po południu. Jakaś dama zamówiła tę suknię, a potem za nią nie zapłaciła. Na szczęście doskonale na panią pasuje.

Miękki lawendowy jedwab pieścił jej ramiona, a kaskada starannie zszytych koronek zakrywała biust. Suknia rzeczywiście nieźle na niej leżała. Przez chwilę czuła się niczym Chauncey sprzed roku, która wirowała, roześmiana, w bibliotece ojca, prezentując mu nową suknię i przysłuchując się zapewnieniom, że tego wieczoru z pewnością złamie wszystkie męskie serca w Surrey.

- Panienska jest taka śliczna - powiedziała Mary, poprawiając nieposłuszną falbankę. - Musi się pani wystrzegać panicza Owena. Jest taki gładki i przystojny, ale to diabeł wcielony. Kucharka powiedziała mi, że w zeszłym roku próbował zniewolić jedną z młodych pokojówek, i to gdzie: w toalecie! Oczywiście madame natychmiast ją odprawiła. - Mary wzruszyła ramionami. - Tak to już jest.

Mary widzi rzeczy bardziej jasno. Muszę przejrzeć na oczy i nie postrzegać wszystkiego tak, jak chciałabym, aby wyglądało. Pora dorosnąć i przestać być naiwnym głuptasem.

- Wiesz, Mary - powiedziała z lekkim odcieniem goryczy w głosie, wciągając na dłonie nowe białe rękawiczki. - Chyba musi coś być w tym powiedzeniu, że razem z miodem dostajesz i pszczoły. Dziś wieczór zamierzam wręcz ociekać słodyczą.

- Tylko proszę wziąć pod uwagę, że nie jest panienska garnkiem na miód, a pszczoły mogą nieźle użądlić! - westchnęła Mary.

Owen, zdecydowała Chauncey po kwadransie jazdy powozem, był taką właśnie pszczołą. Jego nader poprawne zachowanie dziwiło ją i napawało niepokojem. Prawił jej komplementy i z przypochlebną uwagą przysłuchiwał się wszystkiemu, co mówiła - chociaż nie było tego zbyt wiele. Najwidoczniej porzucił już pomysł, aby przyłapać ją samą na schodach. Chauncey uśmiechała się przez cały czas, toteż kiedy przybyli wreszcie do restauracji Russela na Albion Street, mięśnie zuchwy bolały ją od ciągłego wysiłku.

- Ach, moja droga - oświadczył wuj Albert, kiedy zasiedli wokół stolika, nakrytego białym koronkowym obrusem - jesteś tu najpiękniejszą młodą damą. Widzę, jak dżentelmeni spoglądają z zazdrością na Owena. Oczywiście, skoro to twoje urodziny, musimy zamówić szampana, prawda, kochanie? Tak, mamy z pewnością co świętować. Dwudzieste pierwsze urodziny. Cudowny wiek. Ma się całe życie przed sobą. Trzeba przyznać, że poszczęściło ci się, Elizabeth. Mieszkasz u kochającej rodziny...

- Chyba zamówię rostbef - oznajmiła ciotka, ucinając w pół słowa wylewne zachwyty pocącego się obficie małżonka. - Ty zaś, Elizabeth, choć niewątpliwie śliczna, tak jak mówi wuj, jesteś jednak nieco zbyt szczupła. Zamów wszystko, na co tylko będziesz miała ochotę, skarbie.

Dlaczego nie potrafisz ci zaufać? Uwierzyć w twoją szczerą? - pomyślała Chauncey.

- Dziękuję, ciotko Augusto - powiedziała na głos.

- Tak sobie myślę - mówiła dalej ciotka - że powinnaś zacząć spotykać się z kucharką. Przez kilka ładnych lat prowadziłaś ojcu gospodarstwo i nie chcę, by twoje umiejętności osłabły. Oczywiście kucharka będzie przygotowywała to, co jej każesz. Jestem pewna, że twój gust w doborze potraw okaże się doskonały.

- Z przyjemnością zjem wszystko, co Elizabeth wybierze - powiedział Owen.

- A zatem postanowione. I gdzie też podziewa się kelner, Alfredzie?

Chauncey już miała powiedzieć wujowi, by wybrał za nią, lecz powstrzymała się. Nie, pomyślała, prostując plecy, pora wziąć sprawy w swoje ręce. Zamówi to, co wyda jej się

najkosztowniejsze.

Owen, zwykle dość blady, poczerwieniał po wypiciu czwartego kieliszka szampana. Chauncey zdusiła chichot, ponieważ ciotka co chwilę obrzucała syna karcącym spojrzeniem.

Kiedy raczyli się wspaniałą galaretką migdałową ze śmietanką, ciotka Augusta pochyliła się ku bratanicy i poklepała ją po dłoni w rękawicze.

- Wiesz, kochanie - oznajmiła z odcieniem szczerości w głosie - dobrze się złożyło, że nie poślubiłaś Guya Danforda. On nie potrafiłby uczynić cię szczęśliwą. Z pewnością wolałabyś kogoś... subtelniejszego, bardziej wyrafinowanego i nie tak dużo starszego. Sądzę, że wypiełeś już dosyć szampana, Owenie. W końcu, to przecież nie twoje urodziny.

- Masz rację, mam. Obawiam się, że nieco przesadziłem.

Dlaczego mam ochotę wybuchnąć śmiechem? - pomyślała Chauncey. - Nawet ta ropucha Owen wydaje mi się zabawny.

Nagle powróciła myślami do ojca i do łajdaka, który go zamordował, tak jakby własnoręcznie doprawił jego wino laudanum.

Wuj Alfred zasłonił usta dłonią i ziewnął dyskretnie.

- Wiesz, moja droga - powiedział do żony - chyba jestem już za stary na tego rodzaju rozrywki. Może wrócimy do domu i zostawimy młodych samym sobie? Mogą przecież iść do teatru bez nas.

- Znakomity pomysł, Alfredzie.

- I co ty na to, Elizabeth? - zapytał Owen, zawieszając głos, co pewnie wydawało mu się rodzajem intymnej pieśczości. - Dobrze się tobą zaopiekuję. Obejrzymy Romea i Julię. Oczywiście, my nie mamy takich problemów - dodał, uśmiechając się nad wyraz znacząco.

My? Mój Boże, pomyślała Elizabeth, dobrze mi się zdawało.

Spostrzegła pełen aprobaty wyraz twarzy wujostwa. Ale dlaczego? Jeszcze nie tak dawno ciotka oskarżyła ją, że chce złapać Owena na męża. O co tu chodzi? Hannah zawsze ostrzegała ją, by poskromiła swoją ciekawość i nie kusiła losu. Ale czym byłoby życie bez choćby odrobiny ryzyka? Nie wątpiła, że sobie poradzi.

Złożyła serwetkę w mały kwadracik i odłożyła ją na stolik. Uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko do trojga przypatrujących się jej ludzi.

- Bardzo chętnie obejrzałabym sztukę - powiedziała niewinnym głosem - jak to miło z twojej strony, że mnie zaprosiłeś, Owenie. Na pewno nie będziesz miała nic przeciwko temu, ciotko?

Potrafię być równie nieszczerą jak wy.

- Oczywiście, moja droga. Ja... twój wuj i ja pragniemy, abyś była szczęśliwa i dobrze się bawiła. Możesz być pewna, że Owen doskonale się tobą zaopiekuje.

- O, tak, Elizabeth, obiecuję.

Spektakl był żenujący. Aktorzy gestykulowali, próbując przyciągnąć uwagę niespokojnej widowni. Biedny Romeo liczył sobie co najmniej czterdzieści lat. Przynajmniej się nie nudzę, pomyślała Elizabeth, kiedy Owen po raz kolejny przycisnął udo do jej nogi. Podczas antraktu pozwoliła, by eskortował ją do foyer, gdzie podawano napoje.

- Czy mogłabym dostać szklaneczkę lemoniady, Owenie? - spytała.

- Już się robi, moja droga Elizabeth - odparł, kłaniając się jej przesadnie.

Kiedy wrócił ze szklanką, Elizabeth podziękowała mu wylewnie i zaczęła saczyć napój. Jednak po chwili spojrzała na niego z namysłem i powiedziała:

- Obawiam się, że ta lemoniada jest zbyt kwaśna. Czy mógłbyś przynieść mi słodsza?

Spostrzegła błysk gniewu w jego oczach i miała ochotę się roześmiać. Ów błysk został niemal natychmiast zastąpiony czymś, co Owen uważał zapewne za uwodzicielskie, lecz Chauncey nie dała się oszukać. A zatem, moja droga ropucho, myślała, przyglądając się, jak kuzyn toruje sobie drogę do stolika z napojami, matka zmusiła cię, byś zaczął zabiegać o moje względy.

Upiła łyk z nowej szklaneczki, a potem wręczyła ją Owenowi i powiedziała:

- Wiesz, Owenie, rozbolała mnie głowa. Czy mógłbyś odwieźć mnie do domu?

Jej życzenie spotkało się jedynie z życzliwym skinieniem głowy i pełnym troski spojrzeniem.

- Czujesz się lepiej, Elizabeth? - zapytał, kiedy już zasiedli w wynajętym powozie.

- Och tak, Owenie - odparła zadowolona, że nie mógł dostrzec chytrego błysku w jej oczach. - To był naprawdę ekscytujący dzień... Jestem taka szczęśliwa, że aż kręci mi się w głowie.

- Droga Elizabeth - mruknął Owen i delikatnie uścisnął jej dłoń. - Tak się cieszę, że czujesz się szczęśliwa - dodał po chwili, a Elizabeth mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy to wstęp do wcześniej przygotowanej mowy. - Moim najszczerzym pragnieniem jest dać ci wszystko, czego mogłabyś sobie zażyczyć, kochanie - powiedział i znowu umilkł.

Zbierasz się na odwagę, aby mi coś powiedzieć, Owenie? - miała ochotę go zapytać. Czekwała cierpliwie, uśmiechając się delikatnie.

- Doprawdy? - zapytała, by przerwać przedłużającą się ciszę.

- Ależ tak, Elizabeth. I choć zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie jest jeszcze zbyt wcześnie, ponieważ twój ojciec nie żyje zaledwie od kilku miesięcy, to serce zmusza mnie, bym przemówił. Uwielbiam cię od lat, droga Elizabeth, od lat.

Mój Boże, on zamierza mi się oświadczyć! Prędzej zostanę panną sklepową, niż wyjdę za niego za mąż!

Nie mogła na to pozwolić, bo gdyby Owen poprosił ją o rękę, roześmiałyby mu się w twarz, a potem prawdopodobnie wybuchnęłyby płaczem. Nagle uświadomiła sobie, że się boi.

- Ten ból głowy, Owenie... powrócił - powiedziała gwałtownie. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym posiedzieć w milczeniu, dopóki nie wrócimy do domu.

- Oczywiście, moja droga.

Czyżby naprawdę dosłyszała w jego głosie ulgę?

Powrót do domu upłynął Chauncey na gorączkowych rozmyślaniach. Jednak żaden rozsądny powód nagłej zmiany postępowania wujostwa nie przyszedł jej do głowy. No cóż, pomyślała, wygląda na to, że znowu będę musiała podsłuchiwać.

Pozwoliła Owenowi ucałować dłoń, po czym szybko oddaliła się do swego pokoju. Wysłała Mary na spoczynek, a potem odczekała kilka minut i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Nikogo nie było widać, zaczęła więc skradać się w stronę apartamentów ciotki. Pod drzwiami saloniku widać było smugę światła. Nie musiała nawet przyciskać ucha do drzwi, bowiem głos ciotki dźwięczał niczym dzwon.

- Dobrze zrobiłeś, że nie usiłowałeś przyśpieszyć biegu spraw, drogi chłopcze - mówiła ciotka. - Możliwe, że Elizabeth nie uwierzyłaby, iż zakochałeś się w niej tak szybko. - Westchnęła z ulgą. - Naprawdę mam nadzieję, że dziewczyna wybaczy nam, iż nie zajmowaliśmy się nią jak należy podczas tych ostatnich miesięcy. Doprawdy, nie uważałam, że aż tak łatwo będzie nią kierować, ale być może nie miałam racji.

- Jeśli mam być szczery, nie podoba mi się to wszystko - powiedział wuj Albert. - Nie chodzi o to, że jesteśmy...

Ciotka przerwała mu w pół słowa.

- Wystarczy, Alfredzie. Nie mamy zbyt wiele czasu. Owen musi okazywać kuzynce jak najwięcej względów.

Nie mają zbyt wiele czasu - na co? Usłyszała, jak Owen odzywa się ponuro:

- Nie sądzę, by Chauncey...

- Co za okropne zdrobienie! Proszę, byś więcej go nie używał!!

- Dobrze, mamó. Jak już powiedziałem, nie sądzę, by Cha... Elizabeth na mnie zależało.

Po chwili pełnej napięcia ciszy Augusta powiedziała z naganą w głosie:

- To było głupie z twojej strony! Traktować ją jak służącą! Naprawdę głupie. Musisz odzyskać jej zaufanie. Tak, o to właśnie chodzi. Dziewczyna czuje się samotna, a my stanowimy jej rodzinę. Jej kochającą rodzinę.

- A jeśli ona nie da się zwieść? Albo zabraknie nam czasu? - zapytał Owen tak cicho, że Chauncey musiała dobrze się wysilić, by go usłyszeć.

W saloniku znowu zapanowało milczenie. Po dłuższej chwili ciotka powiedziała:

- Nie chciałabym posuwać się aż tak daleko, no i skompromitowanie młodej damy to coś doprawdy okropnego, lecz...

Chauncey zaczerpnęła powietrza. Usłyszała, że Owen się śmieje, zagłuszając ostatnie słowa ciotki. Poczowała, jak ogarnia ją fala gniewu.

- Nie podoba mi się to - odezwał się wuj. - Ani trochę mi się nie podoba.

- Zapomnij o Isobel - skarciła go ciotka. - Trzeba to zrobić, i już.

- Chyba się położę - oznajmił Owen. Chauncey pomknęła korytarzem i błyskawicznie zamknęła za sobą drzwi swego pokoju. Tej nocy długo nie mogła zasnąć.

- Proszę, panienko, oto czekolada. Mamy dziś piękny dzień, a ja chciałabym się dowiedzieć, co też panienka odkryła.

Chauncey strząsnęła z siebie resztki snu.

- Dzień dobry, Mary - powiedziała, ziewając. - Mam ci co nieco do powiedzenia. Obmyśliłam też pewien plan.

Kiedy skończyła zdawać relację z podsłuchanej rozmowy, Mary spojrzała na nią skonsternowana.

- Jakie to podłe! Sugerować, by Owen panienkę skompromitował! To po prostu...

- Masz rację, Mary - przerwała jej Chauncey.

Podczas bezsennych godzin zdołała jakoś zapanować nad smutkiem, gniewem i żalem. Pozostała jej tylko determinacja.

- Pomożesz mi, Mary? Mam pewien pomysł. Prawdopodobnie niezbyt mądry, lecz nic lepszego nie potrafiłam na razie wymyślić.

- Oczywiście, panienko, zrobię, co będzie trzeba.

- Chciałabym, byś dowiedziała się, czy w ciągu ostatnich dni ktoś nas odwiedzał. Nie znajomi ciotki, ale ktoś obcy.

- Ten stary opój Cranke może stanowić pewną przeszkodę. Ale mam przecież uszy, panienko, poza tym mogę przepytac służbę. Oczywiście, bardzo ostrożnie.

- Jeżeli był ktoś taki... - Chauncey wzruszyła ramionami. - No cóż, wtedy zobaczymy. Domyślam się, że ktoś pragnie mnie stąd usunąć, a ciotka z jakiegoś tajemniczego powodu nie chce się na to zgodzić. Jeżeli nie było żadnych gości, będę po prostu musiała mieć się na baczności, dopóki nie opuszczę tego domu i jego kochających mieszkańców. Proszę, przynieś mi papier, Mary - chyba

powinnam zacząć rozglądać się za posadą.

Co tu się, u licha, dzieje? Postrzegała ich teraz zupełnie obiektywnie, jak swego czasu Guya. Już nigdy nie zrobi z siebie idiotki. Westchnęła. Była niemądra, sądząc, że jakiś nieznajomy mógł mieć cokolwiek wspólnego ze zmianą w postępowaniu ciotki.

ROZDZIAŁ 3

Dwa następne dni Chauncey przeżyła w stanie permanentnego obłączenia, jak określiła to wobec Mary. Pokojówka dowiedziała się, iż rzeczywiście w domu ciotki pojawił się pewien mężczyzna - „zasuszony człowieczek, który wyglądał, jakby przybył z City”. Tak właśnie określił go Cranke w rozmowie z lokajem. Jednak tożsamość gościa nadal pozostawała tajemnicą.

- Chciwość - powiedziała Chauncey. - Nie wyobrażam sobie innego motywu. Czy możesz uwierzyć, że ciotka wydałaby tyle pieniędzy z jakiegokolwiek innego powodu?

Machnęła dłonią w kierunku dwóch nowych sukien, tworzących na łóżku falę jedwabiu i satyny.

- Musi mieć w tym jakiś interes.

- A zatem, sądzi panienska, że ten człowiek był współnikiem ojca panienski? I przyszedł powiedzieć, że jednak sir Alec nie stracił wszystkiego?

- Wiem, że to trochę dziwnie brzmi - powiedziała Chauncey, wzdychając ciężko - ale za Boga nie potrafię wymyślić niczego innego.

- Proszę nie obgryzać paznokci, paniensko.

- Och! - Chauncey spojrzała na swoje dłonie. - To wszystko przez nich! I pomyśleć, że ukrywam się w sypialni!

Wstała z niewygodnego fotela, stojącego w pobliżu kominka, i zaczęła niespokojnie przemierzać pokój.

- Jestem tchórzem, Mary, żalonym tchórzem! Powinam zażądać, by mi powiedzieli, dlaczego traktują mnie jak... klacz na sprzedaż. Powinam spojrzeć ciotce Augustie prosto w oczy...

- Chyba lepiej byłoby zapytać panicza Owena - zasugerowała Mary spokojnie.

- Tak, być może masz rację. W końcu nie ulega wątpliwości, że kiedy tylko skończymy jeść kolację, ciotka zaproponuje, by Owen poczytał mi poezję lub byśmy zaśpiewali razem kilka pieśni miłosnych. Po czym ziewnie demonstracyjnie, skinie głową i wyprowadzi z salonu wuja, pozostawiając „drogą młodzież” samą.

- Nie wolno paniensce działać pochopnie. Jeżeli ten dżentelmen znów się pojawi, będę o tym wiedziała. Być może najlepiej byłoby ich przeczekać.

Chauncey skinęła głową i pozwoliła, by Mary pomogła jej się ubrać w kolejną nową suknię podarowaną przez ciotkę. Toaleta, uszyta z jasnozielonego jedwabiu, miała modny głęboki dekolt. Zbyt głęboki, pomyślała Chauncey, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Przypominała smakowity cukierek, który wręcz się prosi, aby go odpakować.

- Warkocze, Mary. Uważam, że prosta fryzura będzie najodpowiedniejsza na dzisiejszy wieczór.

Mary uśmiechnęła się do swojej młodej pani, gdyż wkrótce się okazało, że owa prosta fryzura czyni ją jeszcze bardziej ponętną, przynajmniej zdaniem służącej. Gruby zwój warkoczy, upięty wysoko na czubku głowy, czynił jej szyję jeszcze smuklejszą i dodawał dziewczynie wdzięku.

- Proszę na siebie uważać - powiedziała. - Myślę, że przy pianinie powinna być panienska bezpieczna.

Niestety, wyglądało na to, że ciotka i Owen uznali, iż Chauncey rozmyślnie wybrała tak twarzową fryzurę. A do tego biust niemal przelewał jej się przez dekolt.

- Wyglądasz dzisiaj szczególnie uroczo - powiedziała ciotka. - Prawda, Owenie?

- Z pewnością, mam, z pewnością.

- Piękna nowa przedstawicielka rodu Penworthów - dodał wuj Alfred.

Ciotka Augusta zachichotała. Naprawdę zachichotała! Chauncey, której aż do bólu zadźwięczał ten śmiech w uszach, zwróciła na wujka spojrzenie błyszczących oczu i powiedziała z wymuszonym spokojem:

- Zapomniałeś, że nie należę do rodziny Pentworthów, wuju. Pochodzę z Fitz-Hughów. I Jamesonów.

- Mogę się założyć, że ten stan nie potrwa zbyt długo - oznajmiła ciotka z figlarnym uśmiechem.

Chauncey nie przeoczyła ostrzegawczego spojrzenia, jakim obdarzyła przy tym Owena. Ciotka musiała wyczuć, że posunęli się w rozmowie zbyt daleko, więc szybko zmieniła temat.

- Wiesz, Elizabeth, doszliśmy z wujem do wniosku, że twoja sypialnia jest nieco zbyt ciasna. Postanowiliśmy przenieść cię do Zielonego Pokoju. Jesteś obdarzona tak doskonałym gustem, że z pewnością pięknie go urządzisz.

Ja obdarzona doskonałym gustem? Chauncey miała ochotę głośno się roześmiać. Jeżeli ciotka Augusta oceniała gust swej krewniaczki po doborze potraw, które teraz stały przed nią na stole, jej zdolność do wypowiadania kłamstw była po prostu zadziwiająca.

Duszona szynka w sosie winnym i gotowana kapusta! Gdy wydawała dyspozycje, kucharka patrzyła na Chauncey, jakby ta postradała zmysły. A teraz Zielony Pokój? Obszerny, przestronny i dyskretnie połączony drzwiami z sypialnią Owena? Najwidoczniej postanowiono zacieśnić obłężenie.

Przez moment Chauncey czuła strach. Nie mogła się spodziewać, że w razie potrzeby ciotka czy wuj przyjdą jej z pomocą. Będzie musiała znowu udać się do wujka Paula. On jej pomoże.

Uśmiechnęła się słodko.

- Pomyślę o tym, ciociu.

Kiedy ciotka i wuj życzyli młodemu dobrej nocy - dokładnie tak, jak się tego spodziewała - Chauncey wyczuła, że Owen zamierza jej się oświadczyć. Pocił się obficie, na jego szerokim czole widać było grube krople.

- Czy chciałbyś, abym dla ciebie zagrała, Owenie? - zapytała słodko, widząc, że kuzyn wyciera dłonie w spodnie.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do fortepianu. Wybrała sonatę Mozarta. Jest bardzo długa, pomyślała.

Tymczasem Owen przewyciężył drżenie rąk i podszedł do kuzynki.

- Elizabeth, kochanie - zamruczał prosto do jej ucha.

Drgnęła, czując na policzku jego gorący oddech, i pomyliła klawisze.

- Muszę z tobą porozmawiać. Proszę, Elizabeth, nie mogę już dłużej walczyć z tym, co do ciebie czuję!

Chauncey odwróciła się i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kuzyna.

- Jak płynnie wypowiadasz swoją kwestię, Owenie - powiedziała.

Zaskoczony, umilkł, lecz tylko na chwilę.

- Wątpię, czy kiedykolwiek będę potrafił wypowiadać się równie płynnie jak ty, moja droga.

Chodź tutaj, Elizabeth, usiądź koło mnie.

Wstała i poszła za nim ku sofie z wysokim oparciem. Nie usiadła jednak.

- Co takiego chciałeś mi powiedzieć? - spytała bez ogródek.

Owen roześmiał się.

- Jesteś taka prostolinijna, Elizabeth. Jak sobie życzysz. - Wzruszył ramionami. - Chcę, żebyś za mnie wyszła.

Chauncey spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego to?

- Dlaczego? Ponieważ cię kocham, oczywiście. Czyż nie powtarzałem ci nieskończoną ilość razy, że cię uwielbiam?

- Rzeczywiście, powtarzałeś. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego poprosiłeś mnie o rękę akurat teraz?

- Właśnie skończyłaś dwadzieścia jeden lat. Pora, byś wyszła za mąż.

- A zatem, gdy tylko minął dzień moich urodzin, uświadomiłeś sobie, że mnie kochasz.

- To nie tak, ale, ogólnie biorąc, masz rację. Przez chwilę wydawało się, że doda „do licha”, lecz, oczywiście, nie zrobił tego.

- Ależ, Owenie - powiedziała w końcu, nie tracąc nadziei, że kuzyn jednak się wygada - czyżbyś zapomniał, że nie posiadam ani grosza? Musisz przyznać, że kiepski ze mnie materiał na żonę.

- Są rzeczy ważniejsze niż pieniądze.

- Nie dla twojej rodziny.

- Mylisz się, Elizabeth, całkowicie się mylisz! Moi rodzice uważają, że jesteś cudowna i nie przeszkadza im, że nie masz posagu, uwierz mi.

On nie ma zamiaru nic mi powiedzieć, uświadomiła sobie Chauncey, rozczarowana. Widać dobrze przećwiczył swoją rolę.

- Owenie - powiedziała - nie zamierzam wychodzić za mąż. Za nikogo. Radzę ci, byś zapomniał o swoich zaskakująco świeżych uczuciach wobec mnie.

- Nie mogę! - wykrzyknął, próbując mocniej ująć jej dłonie. Chauncey wyrwała się jednak i stanęła za krzesłem. - To nieładnie z twojej strony, że tak igrasz z moimi uczuciami!

- Posłuchaj, Owenie - powiedziała - nie chcę igrzać z niczymi uczuciami. Chcę tylko, by pozostawiono mnie w spokoju.

Spuściła na moment wzrok, a potem dodała.

- W rzeczy samej, uprzejmość twoich rodziców uświadomiła mi, że nie mogę dłużej żyć na ich koszt. Zamierzam znaleźć sobie posadę.

- Posadę! Ależ to śmieszne! Matka nawet nie będzie chciała o tym słyszeć. Nie, Elizabeth, musisz mnie poślubić - dla własnego dobra.

- Pamiętam, Owenie, że kiedyś zaofiarowałeś mi opiekę - bez małżeństwa.

- To był tylko... żart, moja droga. Tak, żart.

- Dobranoc, Owenie - powiedziała, unosząc wyżej brodę.

- Nie, zaczekaj! Chauncey wybiegła z salonu.

- Elizabeth!

Ledwie zdążyła zamknąć za sobą drzwi sypialni, poruszyła się klamka.

- Wpuść mnie, Elizabeth! Chcę z tobą tylko porozmawiać. No, otwórz.

Gdzie też podziewa się Mary? Czy ciotka Augusta każe wyłamać drzwi, by Owen mógł ją zniewolić?

Rusz głową, Chauncey, pomyślała. Powinnaś była nauczyć się czegoś od ciotki.

- Owen, kochanie - powiedziała miękko. - Okropnie boli mnie głowa. A poza tym strasznie mnie zaskoczyłeś. Ja... chyba nie potrafię teraz myśleć rozsądnie. Czy nie moglibyśmy porozmawiać o... - słowo „małżeństwo” jakoś nie chciało jej przejść przez gardło - naszych uczuciach jutro?

Zapadła cisza. Chauncey wydało się, że słyszy kroki, przycisnęła więc ucho do drzwi. Usłyszała głos ciotki, ale nie mogła rozróżnić słów. W końcu Owen powiedział:

- Oczywiście, Elizabeth. Uważasz, że moje uczucia do ciebie zrodziły się nagle, gdy tymczasem żywię je już od dawna. Porozmawiamy o tym jutro rano.

Chauncey zaczerpnęła głęboko powietrza. A zatem ciotka pozwoli jej spokojnie przespać noc. To wszystko przypomina melodramat, pomyślała, czując, jak wzbiera w niej bolesny śmiech. A Owen gra równie fatalnie, jak ów nieszczęsny Romeo ze sztuki. Teraz już się nie śmiała. Zbyt była przerażona. Przez jakiś czas stała nieruchomo, a potem podeszła do szafy, wyjęła z niej wielką walizę i zaczęła pakować swoje rzeczy. Przez chwilę wpatrywała się w nowe suknie, lecz w końcu rzucił je na dno szafy.

Kiedy waliza została spakowana, dziewczyna podeszła do okna i odsunęła ciężkie zasłony. Noc była ciemna i nieprzyjemnie wilgotna, a gęsta mgła otulała nawet wierzchołki drzew w parku. Co za nonsens, pomyślała, odzyskując zdrowy rozsądek, przecież nie mogą mnie tu więzić!

Następnego ranka obudziło ją głośnie pukanie do drzwi. Zamrugnęła, usiłując rozproszyć senność.

- Kto tam? - zawołała.

- Mary, panienko.

Westchnęła z ulgą i pośpieszyła otworzyć drzwi.

- Pomyślałam, że to Owen.

- Ta walizka, panienko - powiedziała Mary, spoglądając na wypchany bagaż.

- Tak - odparła Chauncey. - Odchodzę stąd, Mary. Pójdę zobaczyć się z wujkiem Paulem. On mi pomoże. Musi.

A widząc zaintrygowany wyraz twarzy pokojówki, opowiedziała jej, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

- O Boże! - wykrzyknęła Mary. - Kiedy będzie panienka ubrana, spakuję swoje rzeczy. I proszę się nie martwić, damy sobie radę.

Ciekawe jak, pomyślała Chauncey, ale nie miała dość energii, aby się sprzeczać.

- Dziękuję, Mary - odparła tylko.

Chauncey nie spostrzegła Owena, dopóki nie usłyszała, jak pozdrawia ją serdecznie zza jej pleców.

- Dzień dobry, Elizabeth - powiedział. Podskoczyła, czując jak na ramiona występuje jej gęsia skórka.

- Idę na śniadanie, Owenie - mruknęła, usiłując wyminąć natręta.

- Najpierw musimy jakoś się... dogadać, kochanie - odparł Owen, zaciskając dłoń wokół jej nadgarstka.

Chauncey spojrzała w dół na jego palce.

- Obiecay mi, że za mnie wyjdiesz, Elizabeth. Boleśnie zacieśnił uścisk.

- Puść mnie, Owenie.

- Moi rodzice wystarali się o specjalne pozwolenia, kochanie - oznajmił, ignorując to, co powiedziała. - Pan Hampton, pastor, już czeka, aby udzielić nam ślubu. Powiedz „tak”, Elizabeth.

- Co takiego? Więc mamy pobrać się przed śniadaniem?

- Nie będziesz się więcej ze mną bawiła, Elizabeth - warknął i jeszcze mocniej ścisnął jej nadgarstek.

- Nie wyjdę za ciebie, Owenie - powiedziała, starając się zachować spokój. - Ani przed śniadaniem, ani nigdy. Prawdę mówiąc, nie wyszłabym za ciebie, nawet gdyby to oznaczało, że będę musiała... sprzedawać swoje ciało. Zrozumiałeś?

- Ależ wyjdiesz za mnie - odpowiedział, zniżając głos. - O tak, zrobisz to, droga kuzynko.

Przycisnął ją do ściany, chwycił za dekolt sukni i rozerwał ją aż do pasa. Poczula na uchu dotyk jego warg.

- Tak, Elizabeth. Posiadę cię teraz. Potem będziesz musiała za mnie wyjść.

Choć przedtem nie raz odgrywała tę scenę w wyobraźni, to realistyczny charakter przeżyć na chwilę pozbawił ją zdolności działania. Owen całował ją namiętnie, wpychając jej język w usta, a dłońmi miętosząc piersi. Stał zwrócony do niej bokiem, tak że nawet nie mogła kopnąć go w krocze.

Poczula, że ciągnie ją w kierunku swojej sypialni.

Zwisła bezwładnie w jego ramionach. Usłyszała, jak wzdycha, zaskoczony. Jednak nie puścił jej, pamiętając, co zrobiła mu poprzednim razem.

- Ach, Owenie - westchnęła, unosząc ku niemu twarz.

Przycisnął ją mocno do siebie, napierając językiem na jej zamknięte usta. Rozchyliła wargi, a kiedy wsunął między nie język, z całej siły zacisnęła na nim zęby.

Owen krzyknął z bólu. Odskoczył, trzymając się dłonią za usta. Pomiędzy palcami pojawiła się krew.

Chauncey uniosła spódnicę i pobiegła w kierunku schodów. Niemal z nich sfruwała. Owen był tuż za nią, przeklinając ordynarnie. Chauncey uświadomiła sobie, że w pobliżu nie ma nikogo, ani służby, ani wuja czy ciotki.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

- Proszę wejść! - dziewczyna krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła.

Drzwi otworzyły się niezbyt szeroko i do środka zajrzał niewysoki mężczyzna o krzaczastych bokobrodach.

- Proszę wejść! Niech mi pan pomoże!

Frank Gilette wpatrywał się zdumiony w biegnącą ku niemu młodą damę. Włosy miała zmierzwiłone, a suknię rozdartą do pasa. Tuż za nią pędził młody człowiek, który wyglądał jak potępieniec.

Dobry Boże, chyba przeszkodziłem w dokonaniu gwałtu, pomyślał zaskoczony przybysz.

- Co tu się, u licha, dzieje? - zapytał stanowczo. Nagle w holu zaroilo się od ludzi. Pani Penworthy i jej raczej mało pociągający małżonek wyłonili się z salonu po lewej. Zaś mężczyzna, który, jak uważał Gilette, musiał być kamerdynerem, wyszedł z jadalni, powiewając połami surduta.

- Powtarzam - powiedział uparcie Gilette, wskazując dłonią dziewczynę - o co tu chodzi?

- Co pan tu robi? - krzyknęła ciotka Augusta. Jej twarz pobladła ze zdenerwowania. - Miał pan przyjść jutro!

Chauncey poczuła, że strach nieco ustąpił. To był ten mężczyzna, który „wyglądał na kogoś z

City”.

- Kim pan jest? - spytała.

- Elizabeth, idź do swego pokoju! Zaraz do ciebie przyjdę!

Chauncey spojrzała na ciotkę i podeszła do gościa.

- Jestem Frank Gilette. A czy pani jest może przypadkiem panną Elizabeth Jameson Fitz-Hugh?

Dziewczyna skinęła głową.

- Ciszę się, że widzę panią w dobrym zdrowiu.

- Zawsze dopisuje mi zdrowie.

- Elizabeth, nie będę ci dwa razy powtarzać - wycodziła ciotka przez zaciśnięte zęby. - Idź do swego pokoju. Owen, odprowadź kuzynkę.

- Nie zamierzam nigdzie iść z żadnym z was - odparła Chauncey, sztywniejac u boku swego wybawcy. - Opuszczam ten dom.

- Panie Gilette - przemówiła ciotka błagalnie - moja bratanica nie jest dziś w pełni sobą. Proszę, aby pan zignorował ten niestosowny wybuch i udał się ze mną do salonu. Natychmiast wezwiemy do niej lekarza.

Pieniądze, pomyślał pan Gilette, który właśnie pojął, o co tu chodzi. Jakim był głupcem, że zawierzył tej kobiecie!

- Przyszedłem zobaczyć się z panną Fitz-Hugh, madame - powiedział, zwracając się do ciotki.

- A teraz, jeśli państwo, wybaczą, pozwolimy sobie was pożegnać.

- Nigdzie nie pójdziesz, Elizabeth! - krzyknęła ciotka, trzęsac się ze zdenerwowania i frustracji.

- Jeżeli ośmielisz się stąd wyjść, będziesz głodować na ulicy, bo my na pewno nie będziemy dłużej cię utrzymywać!

- Lecz, z drugiej strony, ciotko - powiedziała Chauncey, prostując się - nie będę już musiała się martwić, że zostanę zniewolona przez Owena, nieprawdaż?

- Kłamczucha! Ona kłamie, panie Gilette! Proszę nie zwracać na nią uwagi!

- Czy mogę zabrać swoją walizkę - jest już spakowana - i pokojówkę?

- Oczywiście. Jeśli się nie mylę, na rogu czeka na panią jakaś młoda kobieta z torbą. Proszę iść po rzeczy, zaczekam tutaj na panią. I jeszcze jedno - dodał mężczyzna, dotykając jej ramienia - nie będzie pani musiała głodować, obiecuję. Pani Pentworthy - mówił dalej, zwracając się do ciotki - jeżeli nie pozwoli pani, aby ta młoda dama poszła ze mną, zawołam strażę.

- Nie - zapewnił wuj Alfred stanowczo, ocierając dłonią pot z czoła - to nie będzie konieczne. Idź do salonu, Augusto i weź ze sobą Owena. Wszystko skończone. - A po namyśle dodał: - Tak naprawdę, nigdy nie wierzyłem, że Elizabeth da się omotać. Ma zbyt silny charakter.

Odwrócił się, by odejść, lecz został zatrzymany przez Cranke'a, który powiedział załamującym się głosem:

- Ale co ja mam zrobić z pastorem, sir? Pije już trzecią kawę.

- Dobry Boże, człowieku, posadź go do polerowania sreber! Nic mnie to nie obchodzi!

ROZDZIAŁ 4

- Spadek? Otrzymałam spadek? Ja... ja w to nie wierzę - szepnęła Chauncey, wpatrując się w pana Gillette'a szeroko otwartymi oczami. Siedzieli naprzeciw siebie w małym saloniku apartamentu Chauncey, mieszczącym się w hotelu Bradford. - Och, domyśliłam się, że ich machinacje muszą mieć coś wspólnego z pieniędzmi, lecz tak naprawdę niczego nie oczekiwałam. Powiedział pan, że nie reprezentuje mojego ojca. A zatem, skąd ten spadek?

- Widzę, że doszła już pani do siebie - powiedział pan Gillette, uśmiechając się. - A oto cała historia, panno Fitz-Hugh. Otóż pani ojciec chrzestny, sir Jasper Dunkirk - pamięta go pani?

- Tak, oczywiście, choć nie widziałam go już od dziesięciu lat.

- Jestem, a raczej byłem, doradcą prawnym sir Jaspiera, który ostatnie dziewięć lat swego życia spędził w Indiach i, prawdę mówiąc, zbił tam majątek. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że podczas jednego z powstań narodowowyzwoleńczych stracił żonę i syna. W rezultacie uczynił swoim spadkobiercą ojca pani, ponieważ nie miał innej rodziny, ani tam, w Indiach, ani tu, w Anglii. Sir Jasper zmarł na malarię w kilka miesięcy po śmierci ojca pani. Najwidoczniej przeczytał nekrolog sir Aleca w gazecie, ponieważ krótko przed śmiercią wezwał mnie do siebie. Świadom pani powiązań rodzinnych zarządził, bym nie powiadamiał pani o spadku, nim nie ukończy pani dwudziestu jeden lat. Najwidoczniej nie życzył sobie, by ktokolwiek przejął kontrolę nad majątkiem. W dzień pani dwudziestych pierwszych urodzin złożyłem wizytę w Heath House, lecz wykazałem się pożałowania godnym brakiem rozeznania i powiedziałem o wszystkim ciotce pani, a potem uwierzyłem jej na słowo, gdy poinformowała mnie, że jest pani chora i chwilowo nie może się ze mną zobaczyć. Zachowałem się jak głupiec i pokornie panią za to przepraszam.

Chauncey uśmiechnęła się do niego serdecznie.

- Gdyby wcześniej nie byli dla mnie tacy podli, być może nie rozeznałabym się w tej intrydze. Widzi pan, nagle tak bardzo zaczęli troszczyć się o moje dobro, że musiałabym być zupełną ignorantką, by ich nie przejrzeć. No i ten Owen. Nic dziwnego, że chcieli, abym za niego wyszła.

- Rzeczywiście - zgodził się pan Gillette. - Jako mąż pani przejąłby całkowitą kontrolę nad majątkiem.

- Panie Gillette, czy dzięki tym pieniądzom będę mogła stać się niezależna? Nie potrzebuję wiele, ot, tyle, bym mogła utrzymać siebie i pokojówkę.

Ku zdumieniu Chauncey pan Gillette wybuchnął głośnym śmiechem.

Przez chwilę wpatrywała się, zbита z tropu, w jego łysą czaszkę.

- Czy powiedziałam coś zabawnego, sir?

- Panno Fitz-Hugh - wykrztusił wreszcie pan Gillette - nie tylko będzie pani niezależna, ale jest pani teraz jedną z najzamożniejszych dziedziczek w całej Anglii. Odziedziczyłaś dwieście tysięcy funtów, moja droga.

Chauncey wpatrywała się w prawnika oszołomiona.

- Dwieście tysięcy funtów - powtórzyła.

- Tak, moja droga. Na szczęście miałem choć tyle rozsądku, aby nie zdradzić twoim krewnym, pani, o jaką sumę chodzi. Powiedziałem im tylko, że jest znaczna. Wyobrażam sobie, że gdyby znali prawdę, wysłaliby cię w mgnieniu oka do Gretna Green ze swoim synkiem, by mógł tam zawrzeć z tobą pośpieszne małżeństwo.

- Dwieście tysięcy funtów - znowu powtórzyła Chauncey, zrywając się na równe nogi. - Ależ... to za dużo! O, Boże, co ja mam z tym zrobić?

Frank Gillette przez chwilę w milczeniu przyglądał się, jak śliczna młoda dama krąży po pokoju.

- Uważam, że jest pani inteligentną młodą kobietą - powiedział w końcu. - Do tego pełnoletnią i sprawującą całkowitą kontrolę nad swoim majątkiem. Tak, jak ja to widzę, ma pani teraz dwa wyjścia: może pani znaleźć sobie męża, który zarządzałby pani pieniędzmi, albo nauczyć się tego sama.

- Ależ ja nigdy nie widziałam nawet stu funtów! O Boże - wykrztusiła - z pewnością wstąpiłam prosto na karty jakiejś bajki, w której pan jest moim ojcem chrzestnym!

- No cóż - stwierdził pan Gillette sucho - ten ojciec chrzestny z bajki pobiera dziesięć procent pani dochodu.

Dopił herbatę i wstał.

- Proponuję, by przemyślała pani to, co jej dziś powiedziałem. Jednocześnie zapewniam, że spadek jest zupełnie bezpieczny. Oto moja wizytówka. Kiedy postanowi pani, co chce zrobić, proszę dać mi znać.

Mary odprowadziła gościa, a potem wróciła do saloniku, gdzie jej pani wpatrywała się tępo w kominek.

- Czy życzy pani sobie jeszcze czegoś, madame? Chauncey odwróciła się i spojrzała na stojącą przed nią w ugrzecznionej pozie dziewczynę.

- Zachowujesz się okropnie sztywno, Mary - powiedziała. - Więc teraz, kiedy odziedziczyłam pieniądze, nie jestem już panienką, ale „madame”?

- Ja... ja tylko chciałam zachować się właściwie...

- Och, Mary, daj sobie spokój! Usiądź i napij się ze mną herbaty. Musimy postanowić, co też mam zrobić z tą fortuną!

Następnego popołudnia Chauncey, z Mary depczącą jej po piętach, otworzyła drzwi biura pana Gillette'a na Fleet Street.

Urzędnik w czarnym surducie najwidoczniej jej oczekiwał, gdyż zerwał się z miejsca i skłonił nisko, jakby miał do czynienia z członkiem rodziny królewskiej.

- Panna Fitz-Hugh? Pan Gillette oczekuje pani. Proszę za mną.

Co za służalczość, pomyślała Chauncey. A wszystko dzięki pieniądзом. Mrugnęła do Mary i weszła do gabinetu pana Gillette'a. Było to duże, ciemne pomieszczenie, wyposażone w komplet ciemnych mebli. Dwie ściany gabinetu zajmowały półki na książki. Grube brokatowe kotary zasłaniały wąskie okna.

- Ach, droga panna Fitz-Hugh! Proszę usiąść.

- Podjęłam decyzję - oznajmiła Chauncey bez zbędnych wstępów, gdy tylko usiadła po drugiej stronie imponującego biurka.

- Tak, moja droga? - zapytał z pozorną obojętnością w głosie pan Gillette.

- Chcę sprawować nadzór nad moim majątkiem. Przeprowadziłam wczoraj pewne rozeznanie i dowiedziałam się, że kiedy kobieta wychodzi za mąż, traci nad wszystkim kontrolę.

- Tak, to prawda.

Chauncey przeniosła wzrok na splecione na kolanach dłonie. Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie poinformować pana Gilette'a o swoich planach, ale zdecydowała, że jednak tego nie zrobi. W końcu to nie była jego sprawa.

- Jestem świadoma, że aby w miarę sprawnie zarządzać majątkiem, muszę dowiedzieć się wielu rzeczy o finansach i prowadzeniu interesów. - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Będę pilną uczennicą, proszę pana. Dałam sobie dwa miesiące na nauczenie się tego, co niezbędne. - A wobec przedłużającej się ciszy, dodała: - Nie jestem głupia, ani nie mam pstro w głowie!

- Tak, rzeczywiście, nie ma pani.

- Domyślam się, że większość mężczyzn potraktowałaby mnie protekcyjnie, gdybym powiedziała im, czego oczekuję. Dlatego pytam pana, czy nie zna pan kogoś, kto mógłby mi pomóc, naprawdę pomóc?

- Tak, panno Fitz-Hugh, znam kogoś takiego. - Zamilkł i zaczął bawić się piórem. - Powiedziała pani, że postanowiła przeznaczyć na naukę dwa miesiące. Czy mogę zapytać, co zamierza pani uczynić później?

Chauncey uśmiechnęła się przymilnie.

- Oczywiście, panie Gilette. Zamierzam opuścić Anglię i udać się do... Ameryki.

Pan Gilette westchnął, zaskoczony.

- A to dopiero niespodzianka, panno Fitz-Hugh.

- Proszę zwracać się do mnie Chauncey. Moja ciotka sądzi, że to pospolite zdrobnienie, lecz ja je lubię.

- Doskonale, Chauncey. Czy mogłabyś mi zdradzić, dlaczego wybrałaś Amerykę?

- Być może zdecyduję się tam osiąść, przynajmniej na jakiś czas - powiedziała Chauncey spokojnie. - Jest tam dość miejsca. Z pewnością będę podróżowała. Wzruszyła ramionami. - Zresztą zobaczymy. Pochyliła się do przodu i utkwiała spojrzenie w twarzy prawnika. - Ufam panu, panie Gilette. Chciałabym, aby pozostał pan moim doradcą tu, w Anglii. Ale będzie pan musiał mi wyjaśnić, jak mogłabym przenieść część moich funduszy za ocean.

Znaczną część, dodała w myśli.

- Z przyjemnością wszystko pani wyjaśnię, panno Fitz... Chauncey. Chętnie uczyłbym cię sam, ponieważ posiadam stosowną wiedzę... choć może i nie. Jesteś wolna dziś wieczorem?

Chauncey skinęła głową, a on uśmiechnął się w odpowiedzi.

- To dobrze. Pojawię się u ciebie około siódmej i przyprowadzę ze sobą pewnego dżentelmena. Nazywa się Gregory Thomas. To jeden z najzdolniejszych i najsprytniejszych finansistów w całej Anglii. Z pewnością nie będzie traktował cię protekcyjnie ze względu na twoją płęć, mogę ci to obiecać!

- Chyba wolałabym pana - powiedziała Chauncey, uśmiechając się szelmowsko.

- Tak, ja również przedkładałam znane nad nieznanie. Ale polubisz pana Thomasa. On ma teraz wiele wolnego czasu i będzie traktował cię jak ukochaną wnuczkę.

Frank Gilette odprowadził Chauncey do wyjścia, po czym wrócił do gabinetu, usiadł za biurkiem i zaczął się zastanawiać. Nie był ślepy. Dostrzegł determinację, malującą się w jej oczach o wyrazistym spojrzeniu. O co tu chodzi? Dlaczego dziewczyna chce jechać do Ameryki? Być może,

jeśli Gregory zgodzi się wziąć ją pod swoje skrzydła, uda mu się czegoś dowiedzieć. Pan Gillette nie lubił tajemnic.

- Doprawdy, Chauncey, musisz bardziej uważać! Chauncey drgnęła i podniosła na Gregory'ego Thomasa pełne skruchy spojrzenie. Rzeczywiście, pomyślała, z tymi gęstymi, falującymi białymi włosami i wesołymi brązowymi oczami wygląda zupełnie jak mój dziadek.

Wziął ją pod swoje skrzydła, wykazując przy tym spory entuzjazm, ponieważ, jak przypuszczała, musiał się niezłe nudzić, odkąd wycofał się z interesów i pozostawił zarządzanie firmą synowi.

- Przepraszam, Gregory - powiedziała. - Ja tylko...

- Co z tobą, Chauncey?

Nie, pomyślała, nie powiem mu. Nikt nie może być w to zamieszany. Uśmiechnęła się ciepło, mając nadzieję, że zmyli tym Gregory'ego, który był niezwykle spostrzegawczy. Nieraz wydawało się jej, że była dla niego otwartą księgą, w której mógł swobodnie czytać.

- Jeśli już musisz wiedzieć, myślałam właśnie o wuju i ciotce!

Tym razem Chauncey udało się odwrócić uwagę jej mentora.

- Co wymyślili tym razem?

- Nie uwierzysz, Gregory. Ciotka przysłała mi rachunek! Za pokój i utrzymanie za sześć miesięcy. A także za suknie i rzeczy, które mi kupiła.

- Mam nadzieję, że powiedziałaś im, by poszli do diabła?

- Ależ, Gregory, taki język u młodej damy? Nie, prawdę mówiąc, poleciłam panu Gillette'owi, aby wypłacił im pięćdziesiąt funtów. Już sobie wyobrażam minę ciotki! Ona próbuje mnie oczernić. To bardzo zabawne.

- Podła kobieta! Uważam, że powinniśmy położyć temu kres, Chauncey. W końcu reputacja to ważna rzecz...

- Szczególnie dla kobiety? - spytała odrobinę ironicznie.

- Tak, nie zamierzam okłamywać cię w tym względzie i ty także nie powinnaś tego robić. - Pomachał szczupłą dłonią. - A skoro już udało ci się odwieść mnie od fascynującego tematu naszej lekcji, to muszę ci powiedzieć, że państwo Penworthy wybrali się z wizytą do prawnika twego ojca.

- Do wujka Paula? A po cóż? Kiedy? Widziałam się z nim w zeszłym tygodniu i nic o tym nie wspominał.

W rzeczy samej, pomyślała, serdeczność Paula Montgomery'ego wobec niej zmieniła się ostatnio w rodzaj wymuszonej uprzejmości. Przypuszczała, że poczuł się dotknięty, iż nie zaproponowała mu zarządzania jej okazałym majątkiem. Ale nie, z pewnością nie wspominał o wizycie wujostwa.

Kiedy zdradziła mu swoje plany, wydawał się mocno zaniepokojony:

- Ależ nie możesz tego zrobić! To niesłychane! Na miłość boską, Chauncey, daj sobie spokój!

Przyjrzała mu się uważnie, zdumiona tym nietypowym jak na niego wybuchem.

- Nie, wujku, nie potrafię. Delaney Saxton zapłaci. Dopiero kiedy go zniszczę, a on dowie się, że to ja, Elizabeth Jameson Fitz-Hugh, przyczyniłam się do jego zguby, dopiero wówczas będę mogła zająć się własnym życiem.

Prawnik poruszył nerwowo szczęką i wydać było, że zbladł pod uważnym spojrzeniem dziewczyny.

- Ale, Chauncey... - zaczął.

- Nie martw się o mnie, wujku. Zapewniam, że wiem, w co się pakuję. I proszę, nie mów mi, ile to będzie kosztowało. W końcu nie jestem przecież biedna.

Chauncey, świadoma, że Gregory przygląda się jej badawczo, otrząsnęła się ze wspomnień i zapytała spokojniej:

- Czego chcieli od wujka Paula?

- Chcieli się dowiedzieć, czy istnieje jakiś sposób, by przejąć część twego spadku. Jako najbliżsi krewni, byli opiekunowie i temu podobne.

- Domyślam się - stwierdziła Chauncey cierpko - że odesłał ich do wszystkich diabłów?

- To dziwne, ale nie - odparł Gregory. - Informatorzy donieśli mi, że jest teraz bardzo zajęty - próbuje sfabrykować dowód na to, że złamałaś obietnicę małżeństwa i że de facto byłaś zaręczona z Owenem Penworthym, ale zerwałaś zaręczyny, kiedy dowiedziałaś się o spadku. Plotki szybko się rozchodzą, moja droga. Dziwi mnie, że jeszcze do ciebie nie dotarły. Ale nie musisz się tym martwić, Chauncey. Przedyskutowałem sprawę z Frankiem Gillette. Gdyby takie oskarżenie było prawdziwe, mogłabyś zostać zmuszona do zapłacenia znacznego odszkodowania, lecz, oczywiście, nie jest. Twój wujek Paul nie ma szans.

Jednej rzeczy Gregory Thomas zdążył jej już nauczyć: starannego przyglądania się faktom, które składają się na problem. Zmusiła się, by zrobić to teraz. Po chwili powiedziała:

- Potrafię zrozumieć zachowanie ciotki i wuja, bowiem, jak mawiała moja niania, kot zawsze pozostanie kotem. Co do plotek, które rozpowszechniają, to słyszałam jedynie, że nazywają mnie oschłą, wyrodną i temu podobne. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego wujek Paul miałby im pomagać.

Gregory Thomas wzruszył ramionami.

- Kto wie? Pieniądze, jak pewnie zdążyłaś się już przekonać, często skłaniają ludzi do podłości.

- Nie lubisz wujka Paula - stwierdziła.

- Stajesz się o wiele zbyt spostrzegawcza, Chauncey. Tak, przyznaję. Nie znoszę go z całego serca. I to od dawna. Nie ufam mu.

- Dlaczego?

- To nie ma nic wspólnego z tobą, moja droga, więc pozwól, że zatrzymam dla siebie powody mojej niechęci.

- Doskonale, nie zamierzam naciskać. Zresztą wkrótce i tak nie będzie miało to znaczenia. Za trzy tygodnie będę już na pokładzie „Wschodniej Zorzy”.

- Wzruszyła ramionami. - Kto wie? Być może nigdy nie wrócę do Anglii.

Potrząsnął głową, zdumiony.

- „Wschodnia Zorza” - wyjaśniła uprzejmie - odplywa z Plymouth trzynastego listopada.

- Przestań się ze mną droczyć, Chauncey!

- Droczyć? - powtórzyła, unosząc brwi. - Mówiłam nie raz, że zamierzam udać się w podróż. Ale dość o moich planach, Gregory. Pytałeś mnie o to, jak się sporządza kontrakty, pamiętasz?

Gregory westchnął. Żałował, że Chauncey nie zwierzyła się Frankowi. Niechętnie skupił się znowu na uczniu i jej pytaniu.

- Nie chodzi tylko o kontrakty, Elizabeth. Dobry prawnik potrafi sporządzić kontrakt. To ludzie są ważni. Musisz dowiedzieć się wszystkiego o tych, z którymi zamierzasz prowadzić interesy.

- Tak - powiedziała Chauncey, kiwając głową.

- Rozumiem.

Naprawdę rozumiem, pomyślała. Jej oczy zabłyśły. Niemal czuła smak zemsty. Jakże będzie się nią rozkoszowała, kiedy już zniszczy Delaneya Saxtona!

- Mam jeszcze kilka pytań na temat transferu funduszy - mówiła dalej. - Jeżeli zdecyduję się

podróżować po Ameryce, skąd mogę mieć pewność, że moje pieniądze będą na mnie czekały?

- To nie takie proste, zwłaszcza w Ameryce. W dużych miastach, takich jak Nowy Jork czy Boston, nie powinno być z tym kłopotu, ale na zachód od Chicago nigdy nie można być pewnym, czy uda się zrealizować wymianę. Oczywiście, podam ci nazwiska ludzi godnych zaufania i nazwy banków, które przetrwały wahania kursu walut.

Teraz wiedziała o San Francisco znacznie więcej niż pół roku temu.

- Oznacza to, że jeśli zechcę się udać dalej na zachód, będę musiała zabrać z sobą gotówkę.

- Owszem. Niektórzy z moich znajomych, zmuszeni podróżować w mniej cywilizowane strony, zamieniają pieniądze na drogie kamienie, najczęściej diamenty. Łatwo je ukryć, nie przyciągają uwagi złodziei, a potem nie ma problemu z zamienieniem ich z powrotem na gotówkę. Ale, moja droga, trudno mi sobie wyobrazić, że mogłabyś chcieć podróżować w takie miejsca.

- Zapewne ma pan rację - stwierdziła - lecz nie zaszkodzi wiedzieć, jakie są możliwości, prawda?

ROZDZIAŁ 5

San Francisco, Kalifornia, 1853

Delaney Xavier Saxton zeskoczył z szerokiego grzbietu ogiera Brutusa i stanął na rogu ulic Second i Bryant z dumą popatrzył na swój licowany szarym kamieniem dom, jeden ze znaczniejszych budynków w rejonie South Park. Tu, na wschodnim stoku wzgórza Rincon, niemal zawsze panowała słoneczna pogoda, a typowa dla San Francisco mgła rzadko otulała dom gęstym, białym woalem. Chociaż od ukończenia budowy minął prawie rok, kontemplowanie imponującej budowli o szerokim portyku i głęboko osadzonych kamiennych stopniach nadal sprawiało mu przyjemność. Jak to dobrze, pomyślał, że architektowi, Archibaldowi Groverowi, udało się odtworzyć dom jego ojca w Bostonie, i to mając do dyspozycji tylko nieudolne szkice, które dla niego sporządził.

Choć w swoim czasie wcale tak nie uważał, straszliwy pożar z czerwca 1851 w pewien sposób okazał się dla niego błogosławieństwem. Nowy dom był trwały - byle ogień go nie zniszczy. Oto budynek, który może stać się domem, pomyślał, a kiedy jego właściciel wreszcie się ożeni, puste dotąd pokoje wypełnią się śmiechem i radością.

Nagle pomyślał o Penelopie Stevenson. Spochmurniał. Penelopa o ślicznej twarzy i zgrabnej figurze już traktowała jego dom z samozadowoleniem posiadacza, podobnie jak jej matka i bogaty ojciec, Henry Stevenson. Henry, pośród swoich kumpli od interesów znany, jako Bunker, zaczynał go naciskać, napomykając swoim szorstkim, donośnym głosem, że jego dziewczynka może wybierać pomiędzy najlepszymi.

I była to prawda. W San Francisco nie przebywało zbyt wiele kobiet mogących wyjść za mąż. Większość mieszkanki to były po prostu dziwki, utrzymanki bogatych mężczyzn albo matrony o zaciętych wargach, uparcie starające się podnieść poziom miejscowego towarzystwa poprzez organizowanie bali charytatywnych, uroczystych kolacji na cele dobroczynne i ambitnych spektakli.

Penelopa jest całkiem ładna, pomyślał Delaney. Przynajmniej dopóki nie krzywi swych małych usteczek lub nie opuszcza ich kącików w wyrazie ponurego uporu. I, z jakiegoś dziwnego powodu, ona go pragnie. Dlaczego zatem nie zadał jej dotąd tego jednego pytania?

Potrząsnął głową, gdyż dobrze znał odpowiedź. Nie kocha Penelopy, która ma zaledwie osiemnaście lat, pod wieloma względami jest jeszcze bardzo dziecinna, a poza tym kapryśna, próżna i zepsuta powodzeniem oraz miłością, okazywaną jej przez ojca.

- Czy chce pan, bym odprowadził Brutusa do stajni?

Delaney odwrócił się na dźwięk głębokiego, dudniącego głosu Lucasa.

- Tak, poproszę. Staruszek potrzebuje, by go porządnie wytarto. A ja jestem złym panem, skoro stoję tutaj jak głupiec i bujam w obłokach - dodał ze skruchą.

- Panna i pani Stevenson wkrótce przybędą na herbatę.

Delaney prychnął.

- Herbata, na miłość boską! Z tego co wiem, pani Stevenson nie ma ani kropli angielskiej krwi w swoich otluszczonych żyłach.

Lucas zachował obojętny wyraz twarzy.

- Lin Chou upiekła ciasteczka, lecz nie wydaje mi się, by były szczególnie angielskie. Jest w nich zbyt wiele ryżu.

Delaney roześmiał się.

- Chyba powinienem popracować nieco nad swoim wyglądem. Jestem pewny, że pani Stevenson nie spodobałby się zapach męskiego potu.

- Zapewne nie - zgodził się Lucas. - Był pan na poczcie?

- Tak. Otrzymałem list od brata z Nowego Jorku. - A widząc rozczarowaną minę służącego, dodał z większą dozą optymizmu, niż w rzeczywistości odczuwał: - Nie było dziś niczego od twojej siostry. Ale wiesz, jaka jest poczta.

- Tak, wiem.

Mimo to Lucas był rozczarowany. Jego siostra, Julia, mieszkała w Baltimore. Lucas napisał do niej z tuzin listów, błagając, by przyjechała do niego do San Francisco. Ona zaś to zgadzała się, to znowu odwoływała przyjazd.

Delaney poklepał lśniąca szyję Brutusa i wszedł do domu. Jego obute w sztylpy stopy zadźwięczały głucho na granitowej posadzce holu wejściowego, a wielki żyrandol nad głową zagrzechotał.

Ruszył na piętro klatką schodową, wykładaną rzeźbioną dębina. Jego sypialnia była olbrzymia, a podłogę pokrywało kilka przepięknych chińskich dywanów. Wielkie łóżko zostało wykonane z drzewa różanego, podobnie jak szafa i nocny stolik. Opadł na fotel przed kominkiem i wyjął z kieszeni list od brata.

Drogi Delu. Mam nadzieję, że ten list zastanie cię w tak dobrym zdrowiu, jakim zazwyczaj się cieszysz. Choć, prawdę mówiąc, będę szczęśliwy, jeśli w ogóle cię zastanie! Giana ma się doskonale, podobnie jak Leah i Nicolas. W moim życiu nie ma miejsca na nudę, zapewniam cię.

Delaney przerzucił następną stronę, gdzie mowa była głównie o interesach i możliwościach zyskownego inwestowania gotówki.

A skoro już mowa o inwestowaniu, załączam wycinek z londyńskiego Timesa. Czy sir Mec Fitz-Hugh nie był przypadkiem jednym z tych dżentelmenów, którzy zainwestowali w twoją kopalnię w Downieville? Wygląda na to, że on nie żyje i to już od prawie dziesięciu miesięcy. Niestety, ani Giana, ani ja nie zauważyliśmy wcześniej nekrologu. Chyba prawnik sir Aleca już dawno zawiadomił cię o zgonie pracodawcy? Mimo to wysyłam ci tę gazetę.

Delaney odłożył list i zapatrzył się w puste palenisko kominka. Nie, Paul Montgomery, doradca prawny sir Aleca, o niczym go nie powiadomił. On zaś co miesiąc wysyłał do Londynu czek na pokaźną sumę, ponieważ kopalnia doskonale prosperowała, co zresztą bezbłędnie przewidział. Dlaczego Montgomery do niego nie napisał? Być może to zrobił, tylko zawiódła poczta. Czy sir Alec nie miał przypadkiem córki? Czy to jej Montgomery przekazuje teraz pieniądze? Mimo to powinien był mnie zawiadomić, pomyślał, ociężałe podnosząc się z fotela. Dowiedział się przecież o śmierci swego prawnika, która miała miejsce niedługo przed zgonem sir Aleca.

Wykąpał się i włożył białą, przybraną żabotem koszulę. Podczas ubierania się układał w myślach list, który zamierzał napisać do Paula Montgomery'ego. Lecz kiedy w niespełna trzydzieści minut później dołączył do pań Stevenson w pomieszczeniu, które matka Penelopy upierała się nazywać

salonem, był dziwnie rozkojarzony.

- Drogi panie Saxton, jak miło znów pana widzieć! Penelopa tak za panem tęskniła! To bardzo uprzejmie ze strony pana, że zaprosił nas pan na herbatę.

Kobieta była równie pospolita i krzykliwa jak jej mąż, mimo to Delaney ani na chwilę nie przestawał się uśmiechać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame. Wyglądasz ślicznie, Penelopo, jak zwykle zresztą.

Ujął jej małą dłoń i podniósł do ust. Dziewczyna, polectana jego zachowaniem, zaczęła się krygować.

- Może szanowne panie raczą spocząć? Możesz już podać herbatę i ciastka, Lucasie.

Pani Agatha Stevenson była niewiastą grubokościstą, obdarzoną na dodatek imponującym biustem. Mimo to upierała się, by nosić młodzieńcze suknie paryskiego kroju, nader śmiałe w kolorze i przyozdobione olbrzymią ilością wstążek i falbanek. Delaney żywił skrytą nadzieję, że krzesło, które wybrała, załamie się pod jej ciężarem. To nie do pojęcia, jak ona i jej równie potężny i niezdarny małżonek mogli spłodzić tak smukłą i drobną córkę, pomyślał.

- Angielska herbata - stwierdziła pani Stevenson z zadowoleniem, poprawiając się na trzeszczącym rozpaczliwie krześle. - Czy nie wspominał pan, że przed paroma laty spędził pan jakiś czas w Anglii?

- Och, Del, opowiedz nam o tym - poprosiła Penelopa, a w jej brązowych oczach zabłyśła ciekawość. - Tak bardzo chciałabym tam pojechać!

- Najpierw, herbata, miłe panie - powiedział Delaney, dając znak Lucasowi, by podprowadził wózek z zastawą bliżej pani Stevenson. - Ciasteczka - dodał od niechcienia - to pomysł Lin Chou. Mam nadzieję, że będą paniom smakowały, tak jak smakowały mnie.

- Jakże mogłoby być inaczej!

- Wyglądają wspaniale, Del!

Kiedy pani Stevenson wbiła zęby w ciastko, Delaney o mało się nie uśmiechnął. Jej podbródki zatrzęśły się, ale teraz nie mogła już nic powiedzieć. Ryzowe ciasteczka Lin, płaskie i delikatnie przyrumienione, nadawały się raczej do patrzenia niż do jedzenia.

Dlaczego nie miałbym wyrzucić na nich jeszcze większego wrażenia? - pomyślał i dodał jak gdyby nigdy nic:

- Wróciłem do Londynu w towarzystwie teściów mojego brata, księcia i księżnej Graffton.

- Och - wykrztusiła Penelopa, prostując się na krześle. - Rodzina królewska!

- Niezupełnie, droga Penelopo - stwierdził obojętnie Delaney. - Tak czy inaczej, spędziłem w Londynie kilka bardzo przyjemnych miesięcy, nie zaniedbując bynajmniej interesów. Zawarłem też parę bardzo intratnych transakcji. Na przykład myślę tu o sir Alecu Fitz-Hugh, który teraz nie żyje.

- Och, Del, opowiedz mi o Tower - powiedziała Penelopa niemal bez tchu. - Czy nadal widać tam krew świętych ofiar?

- Nie ma żadnej krwi. Anglicy są bardzo wymagający, jeśli idzie o tego rodzaju sprawy, wiesz o tym.

To Montgomery naciskał na sir Aleca, aby ten zainwestował pieniądze w kopalnię. Dlaczego zatem nie powiadomił mnie o jego śmierci?

Delaney poczuł, jak ogarnia go nuda. Z pewnością w Anglii pora picia herbaty nigdy nie trwała tak długo! I czy on naprawdę pragnie poślubić osiemnastoletnią dzierlatkę, głupiotkę i pustą niczym tykwa?

- Jezu! - mruknął pod nosem.

- Co powiedziałaś, Del? Nic? Pozwól, że w takim razie ja przekażę ci nowiny. Za trzy tygodnie mama wydaje uroczysty bal, na który przyjdą dosłownie wszyscy! I wszyscy będziemy nosić maski - tatuś sobie tego zażyczył.

Delaney o mało nie zakrztusił się herbatą. Maski! Jak te kobiety mogą być tak źle poinformowane! Pan Stevenson pragnął, aby na balu, wydanym przez małżonkę, pojawili się wszyscy notable, a to oznaczało, że niektóre spośród towarzyszących im dam bynajmniej damami nie będą. Ale pani Stevenson z pewnością o tym wiedziała. Każdy sposób jest dobry, byle tylko zapełnić salę balową, pomyślał.

W końcu usłyszał, że powóz Stevensonów zajeżdża przed drzwi frontowe. Nie zawołał Lucasa, lecz osobiście odprowadził damy. Odwzajemnił wylewne pożegnanie Penelopy, a potem wszedł do domu i udał się do kuchni. Drzwi pomieszczenia były uchylone, więc już z daleka dobiegł go chichot Lin Chou.

- Uwierz mi, Lin - opowiadał Lucas - stary potwór nie mógł wykrztusić ani słowa na temat ciasteczek. Pan Saxton pokrzyżował jej plany, zmuszając ją, by przyznała, że są wspaniałe, jeszcze zanim ich spróbowała!

Delaney wyobraził sobie, jak drobna chińska dziewczyna potakuje szybkim, ptasim ruchem.

- Ryżowe ciasteczka to wielki przysmak, Lucasie. Jesteś pewny, że nie chcesz spróbować jeszcze jednego?

Lin Chou zaśmiała się słodko, po raz pierwszy chyba, od kiedy przed sześcioma miesiącami zabrał ją z obskurnej budy na Washington Street. Prawdę mówiąc, kupił tę milczącą, śmiertelnie przerażoną dziewczynę na aukcji. Nie wiedział, czy podczas długiej podróży z Chin zmuszona była uprawiać prostytutkę i nie zamierzał jej o to pytać. Straciłaby wówczas twarz, a nic gorszego nie mogło przytrafić się chińskiej dziewczynie. Na szczęście Lucas wziął Lin pod swoje skrzydła. Delaney uśmiechnął się na wspomnienie kpiącego tonu Sama Brannana, który tak podsumował jego słabość do wyrzutków:

- Chińska dziwka i jednonogi pirat! Jezu, Del, nie obawiasz się, że w końcu poderżną ci gardło? Albo że złapiesz jakąś paskudną chorobę, od której zgniją ci genitalia?

Delaney odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swego ulubionego pomieszczenia, zbudowanego dokładnie według jego planów. Była to biblioteka, stanowiąca pomniejszony model biblioteki Grafftonów w Londynie. Wyposażono ją w ciemne, skórzane meble, zaś trzy ściany obudowano aż po sufit półkami mieszczącymi książki. Gruby czerwony dywan Aubusson łagodził nieco surowy wystrój pomieszczenia, przydając mu elegancji. Delaney próbował wyobrazić sobie w tym otoczeniu Penelopę, lecz wyobraźnia go zawiodła.

Na miłość boską, człowieku, zganił się w myśli, masz dwadzieścia osiem lat! Musisz kogoś poślubić, a jeden Bóg wie, że San Francisco nie zapewnia zbyt dużego wyboru. Jeżeli poślubię Penelopę, postanowił, zasiadając za swoim masywnym biurkiem, nie oddalę Marie Duchamps. Po czym przez kilka rozkosznych minut oddawał się wspomnianiu miękkiego, cudownie białego ciała swej francuskiej kochanki, jej wyciągniętych ku niemu ramion i wyrazu radosnego oczekiwania w ciemnych, rozmarzonych oczach. Marie była mu wierna, przynajmniej taką miał nadzieję, ponieważ bynajmniej nie pragnął złapać kiły. Przypomniawszy sobie, jak szarpała, rozdrażniona, grzywę czarnych włosów, kiedy uprzedził ją, że nie będzie mógł jej zabrać na bal do Stevensonów. Wzruszył ramionami i postanowił, że poleci któremuś ze swoich pracowników, by go wyręczył. Najlepiej

Jarvisowi. Jarvisowi można zaufać, ponieważ nie lubi kobiet.

Wyciągnął papier listowy i, odegnawszy precz myśli o Marie i Penelopie, pochylił się nad listem do Paula Montgomery'ego.

ROZDZIAŁ 6

Na pokładzie „Wschodniej Zorzy”, 1853

Choć dzień wstał chłodny i wilgotny, Chauncey zbyt była podekscytowana, by zwracać uwagę na pogodę. Wyszła na ulicę, uśmiechając się do starej kobiety, sprzedającej na rogu jabłka. I nagle uświadomiła sobie, że znajduje się na jednej z ulic Plymouth sama, a naprzeciwko niej pędzi, podskakując niebezpiecznie na wybojach, powóz. Co ten głupiec wyprawia? Wyraźnie widziała woźnicę: jego twarz, osłoniętą ciemną chustką, ocieniał wciśnięty głęboko na czoło, sfatygowany kapelusz. Słyszała jego szorstki głos poganiający konie oraz świst bata, spadającego na ich grzbiety.

Zginą, rozdeptana końskimi kopytami i przygnieciona kołami powozu!

Czuła zapach wydychanej przez konie pary i widziała plamiące ich szyje płaty piany. Niemal czuła napierające na nią końskie ciała miażdżące jej członki...

- Nie!

Chauncey usiadła na koi, przerażona przeżytym we śnie koszmarem.

- Panno Chauncey! Dobrze się pani czuje? Oszołomiona, spojrzała na zatroskaną twarz Mary, ledwie widoczną w bladym świetle poranka.

- Nic mi nie jest - powiedziała, choć jej głos drżał teraz równie mocno jak ciało.

- Znowu się to panience śniło, prawda? Chauncey skinęła głową, przesuując dłońmi po zmierzwionych włosach.

- To był wypadek - powiedziała. Powtarzała te słowa niczym litanie, ilekroć przyśnił jej się ten koszmar.

- Tak, w pewnym sensie - powiedziała Mary, wręczając swej pani mokry ręcznik, by mogła otrzeć pot z czoła. - Jednak zdarzyło się to w Anglii i kimkolwiek był szaleniec, który próbował panienkę rozjechać, zostawiłyśmy go daleko za sobą. Nie ma potrzeby dłużej się tym przejmować.

- Ale dlaczego? - spytała Chauncey cieniutkim głosem dziecka, pragnącego, by rodzice utulili je i pocieszyli. - Nie wyrządziłam nikomu krzywdy.

Kto mógłby chcieć mnie zabić? Nawet ciotka Augusta i wuj Alfred...

- Proszę mnie posłuchać - przerwała jej stanowczo Mary, siadając na skraju wąskiej koi. - Ten miły marynarz uratował panią i choć pojawił się w ostatniej chwili, nic się panience nie stało. To jakiś szaleniec prowadził powóz, a tacy nie potrzebują powodów, by chcieć kogoś zabić. Proszę już o tym nie myśleć.

Ale jakim sposobem szaleniec mógłby prowadzić taki wytworny powóz? I dlaczego miałby ukrywać twarz za chustką? I czemu wariat, wiedziony jedynie szaleństwem, poganiał konie, kiedy ona już leżała w rymszoku, podtrzymywana przez marynarza, który zasłonił ją własnym ciałem?

- Po prostu chciałam, by to się już skończyło - westchnęła, opadając na wąską poduszkę. Nie powtórzyła po raz kolejny dręczących ją pytań, ponieważ Mary i tak nie знаła na nie odpowiedzi.

- I tak się stanie, jeśli tylko panienka nie będzie w kółko o tym myślała - stwierdziła ostro Mary. - Ja już prawie zapomniałam o wypadku. Dzięki Bogu, kapitan Markham zatrzymał się na dłużej w Los Angeles, by zaopatrzyć statek w świeżą żywność.

Mary łatwo było o wszystkim zapomnieć, ponieważ to nie ona została zaatakowana.

- Mam nadzieję, że wzięła sobie panienka do serca przestrogi kapitana. W mieście, do którego się udajemy, nie ma zbyt wielu dam. I jeszcze jedno, panienko. To całe, niewinne na pozór, wypytywanie o bogatych mężczyzn, zwłaszcza o pana Delaneya Saxtona - chyba powinna panienka dać sobie z tym spokój. Kapitan mógłby pomyśleć, że panienka nadmiernie interesuje się tym człowiekiem.

- Dowiedziałam się już wszystkiego, co chciałam wiedzieć, zwłaszcza o panu Saxtonie - odparła Chauncey. - Koniec z wypytywaniem, przynajmniej na razie. Przyznaję, zaskoczyło mnie, że jest taki młody, i do tego nieżonaty. Człowiekowi mimo woli wydaje się, że łajdak musi być stary, gruby, o twarzy naznaczonej śladami rozpusty.

- W San Francisco jest wielu młodych, nieżonatych mężczyzn, a jeśli nawet mają żony i dzieci, to przebywają one daleko na wschodzie kraju, gdzie jest o wiele bezpieczniej. A jak panienka sądzi, dlaczego w San Francisco potrzebują aż tylu prostytutek?

Ta znowu swoje, pomyślała Chauncey. Gdyby tylko Mary wiedziała choć połowę tego, o czym poinformował ją kapitan! Przynajmniej nie musiała martwić się o motywy jego postępowania, gdyż było oczywiste, że traktuje ją jak córkę, którą należy chronić.

- Tylu młodych mężczyzn o gwałtownym charakterze, moja droga - zwykł powtarzać podczas długich miesięcy podróży. - Szalonych, zادیornych i potencjalnie niebezpiecznych. Pojedynki, bójki, przemoc, to dla nich chleb codzienny. Ćwicz strzelanie z tego pistoletu, który ci dałem, moja droga. Jest mały, ale kaliber ma duży. San Francisco nie jest tak cywilizowane jak Nowy Jork czy twoje rodzinne miasto, Londyn. Choć, oczywiście, w ciągu kilku ostatnich lat dużo się zmieniło. Przybyło porządnych kobiet, choć nie tak znów wiele. Powołanie straży obywatelskiej dwa lata temu znacznie wpłynęło na uspokojenie nastrojów. Od tego czasu powieszono paru łajdaków, członków bandy Australijczyków z Sydney. Wielu tamtejszych rozbitków życiowych przybywa do San Francisco, by rabować i zabijać. Tak, lepiej trzymaj się z dala od ich dzielnicy, zwanej Sydney Town.

Gdyby Mary zobaczyła śmiertelnie niebezpieczny pistolecik z rękojeścią wykładaną kością słoniową, pewnie by zemdląła. Chauncey strzelała już bardzo dobrze. Dwa miesiące ćwiczeń, odbywanych w czasie, gdy Mary udawała się na popołudniową drzemkę, uczyniły z niej wybornego strzelca. W ciągu ostatniego miesiąca instruktorem Chauncey został pierwszy oficer, pan Johansen, który tak bardzo bał się swego kapitana, że Chauncey czuła się z nim równie bezpieczna, jak gdyby przebywała w towarzystwie proboszcza z rodzinnego Surrey.

Mary umilkła, uświadomiła sobie bowiem, że jej pani pograżyła się w rozmyślaniach. Bez przerwy tylko o tym człowieku.

Tymczasem Chauncey wcale nie myślała o Delaney Saxtonie, lecz wspominała swoje beztrudne życie u boku ojca. Wątpiła, czy wówczas w jej głowie gościły choć dwie poważne myśli. „Jesteś takim słodkim, kochającym stworzeniem”, zwykł mawiać jej ojciec, wicherząc loki córki. „A zarazem takim niesfornym! Ciekawe, co by na to powiedziała twoja matka!”

„Słodkie, kochające stworzenie” najwidoczniej znikło gdzieś bez śladu. Podobnie jak niesforny łobuziak. Być może oboje przebywali teraz tam, gdzie jej rodzice. Wzdrygnęła się. Ciekawe, czy gdyby ojciec nie umarł w takich okolicznościach, byłaby teraz żoną sir Guya, zmuszoną okazywać

posłuszeństwo jego matce, pomyślała. Wszystko ma swoje dobre strony, jak często powtarzała jej irlandzka niania, Hannah. Ale ostatni raz Chauncey słyszała to, kiedy piknik został odwołany z powodu ulewnego deszczu! Biedna Hannah, umarła na cholere, kiedy wracała statkiem do Irlandii.

Trzy miesiące na statku mogą każdego doprowadzić do szaleństwa. Robię się sentymentalna i niemądra. A tymczasem powinnam planować.

- Czy już pora na śniadanie, Mary?

- Prawie. Jak zwykle, mamy tylko małą miednicę.

- Ach - westchnęła Chauncey. - Marzę o prawdziwej kąpieli!

Zsunęła się z koi i stanęła na drewnianej podłodze.

- Teraz to już nie potrwa długo. Kapitan powiedział, że za trzy dni będziemy w San Francisco! Wydaje się, że od kiedy opuściliśmy Nowy Jork, minęło co najmniej dziesięć lat, o Anglii nie wspominając.

- Wątpię, by San Francisco w czymkolwiek przypominało Nowy Jork - powiedziała Chauncey, ściągając przez głowę białą, batystową koszulę nocną. - Byłam zdumiona, jak bardzo cywilizowany wydał mi się Nowy Jork.

Umilkła na chwilę, wspominając Rio de Janeiro, równie egzotyczne, jak miejsca opisywane na kartach powieści wydawanych przez Minerva Press. Zatrzymali się tam na tydzień, potrzebny, by dokonać na statku koniecznych napraw. Choć w mieście mieszkało wielu Europejczyków i Amerykanów, wpływy dawnych portugalskich kolonistów zdawały się dominować. Wiedziała, że nigdy nie zapomni zakupów robionych na otwartych straganach, kiedy to przyglądała się krzykliwie ubranym czarnym kobietom, zachwalającym głośno owoce, ubrania, biżuterię, herbatę i kawę. Kupiła dość błyskotek, aby zapełnić nimi małą walizkę.

Uśmiechnęła się blado, wspominając, jak mało obchodziły ją te egzotyczne nabytki, kiedy podczas mijania przylądka Horn statkiem miotano niczym drewnianą zabaweczką, a strugi lodowatego deszczu zalewały pokład. Chauncey, podobnie jak większość pasażerów, tak bardzo wówczas chorowała, że śmierć wydawała jej się wybawieniem. Zdarzyło się kilka razy, że podczas szczególnie srogiej burzy śnieżnej wypadła z koi. Ominięcie przylądka zajęło „Wschodniej Zorzy” aż tydzień. Jeden z wielkich żagli został rozerwany, jednak kapitan zbytnio się tym nie przejął.

- To bardzo niewielka strata, doprawdy, bardzo niewielka. Mieliśmy dużo szczęścia - powiedział tylko.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak nam się poszczęściło, Mary? Pan Johansen powiedział mi, że wielu statkom podróż z Nowego Jorku do San Francisco zabiera osiem miesięcy. A my będziemy na miejscu już po trzech.

Trzy miesiące kiepskiego jedzenia, przebywania w ciasnej kabinie i ciągłego poczucia zagrożenia, pomyślała Mary.

- Przypuszczam, że to i tak lepsze, niż przedzieranie się przez jakiś okropny kraj zwany Panamą, z jego niezdrowym, malarycznym powietrzem i dzikimi mieszkańcami! A proszę tylko pomyśleć o jeździe tymi wstrętnymi wozami przez dzikie obszary Ameryki, gdzie człowiek umiera z pragnienia, a na dodatek czerwonoskórzy Indianie mogą pozbawić go głowy...

- Skalpu, Mary, nie głowy.

- Na jedno wychodzi, panienko.

- Rzeczywiście - przyznała Chauncey nieobecny tonem. Nie słuchała już Mary, a jej myśli pobiegły znów ku nieznanemu mężczyźnie w San Francisco. - Już niedługo, panie Delaney

Saxtonie - powiedziała cicho. - Już niedługo.

„Wschodnia Zorza” minęła Złote Wrota dopiero po pięciu dniach. Przedtem czekał ich jeszcze jeden sztorm, co prawda nie tak silny, jak ten w okolicy przylądka Horn, kiedy to statek, miotany wiatrem i zalewany deszczem, zapadał się pomiędzy olbrzymie fale. Burza, choć nie tak zjadła, była jednak dostatecznie silna, by skłonić Mary do modlitwy na klęczkach i wywołać nieprzyjemne skurcze żołądka u jej pani.

- Kolejna podróż dobiegła bezpiecznie kresu - powiedział z nieukrywaną dumą kapitan, kiedy stał obok Chauncey na pokładzie, przyglądając się, jak jego statek podchodzi do nabrzeża. - Widzę, że od mojej ostatniej bytności zaszły tu zmiany - mówił dalej. - Za każdym razem, kiedy zawijam do portu, miasto wydaje się większe. I pomyśleć, że jeszcze dwa lata temu zajmowało jedynie obszar wokół zatoki. Od czasu, kiedy pierwsi poszukiwacze złota, zwani argonautami, przybyli tutaj w czterdziestym dziewiątym, miasto i port bardzo się rozrosły. Wiele ulic krytych jest drewnianymi chodnikami. Ich mieszkańcy mają szczęście, bowiem jeszcze niedawno wystarczył byle deszcz, a już wszyscy tonęli w błocie po kolana. Słyszałem też, iż wkrótce ulice będą oświetlały gazowe latarnie. To już nie jest posępna, mała wioska, lecz miasto portowe, ruchliwe niczym Nowy Orlean.

- Proszę tylko spojrzeć na wzgórza - powiedziała Chauncey z lękiem w głosie.

- To wzgórze nosi nazwę Russian Hill - wyjaśnił kapitan, spoglądając w kierunku, który wskazała. - Tamto zaś Telegraph Hill, z powodu ustawionego na szczycie sygnalizatora. Jeszcze dalej widać Fern Hill. Niektórzy zaczynają już wznosić domy na stokach, ale nie idzie to szybko. Od strony oceanu nie ma wzgórz, jedynie wydmy i ruchome piaski.

- Miasto wygląda dość nowocześnie. Tyle tu domów z cegły...

- Tak, to prawda. Kiedyś były tu tylko drewniane chaty, ale pożary zbyt często dawały się we znaki. Na dłuższą metę wyszło to miastu na dobre, gdyż po każdym kolejnym ataku ognia odbudowuje się piękniejsze. Cegła już niemal zastąpiła drewno. Ludzie zaczynają być dumni ze swego miasta.

Nim Chauncey i Mary odjechały wraz z bagażem dwukołowym wozem, służącym do przewożenia beczek piwa, minęły jeszcze trzy godziny. Kierowały się ku hotelowi Oriental przy Market Street w Battery.

- To jedyne miejsce, gdzie może zatrzymać się dama - poinformował je kapitan.

Chauncey pożegnała go serdecznie, obiecując zjeść z nim kolację za dwa dni.

Wóz toczył się powoli zatłoczoną ulicą, wytyczoną ceglanyymi budynkami, na których porozwieszano szyldy, informujące o tym, jakim rzemiosłem parają się jego mieszkańcy. - Co za piękne i niezwykle miasto - powiedziała Chauncey do woźnicy.

- To Montgomery Street - wyjaśnił mężczyzna. - Tu znajdują się wszystkie banki, zakłady probiercze i jubilerskie, a także kantory, w których skupuje się złoto.

Zatem i bank Saxtona musi znajdować się w pobliżu.

- A gdzie znajduje się bank Saxton, Brewer i Spółka?

- Tutaj, panienko, na rogu California Street. To dobry, solidny bank. Zostanie tam pani obsłużona, jak należy.

Możesz być tego pewny, pomyślała, a jej oczy pociemniały, gdy spoglądała na budynek o ceglanej fasadzie. Pomyślała o zaszytych w skraj sukni diamentach, wartych grube tysiące dolarów. O, tak, pan Saxton będzie miał dzięki mnie sporo roboty.

- Proszę mi wybaczyć - zapytał woźnica, spoglądając na Chauncey przez ramię. - Przyjechała panienska do rodziców?

- Przyjechałam, by zwiedzić wasze piękne miasto - odparła.

- No cóż, panienko, San Francisco nie jest już tak niebezpieczne, jak w czterdziestym dziewiątym, lecz jeśli wolno mi powiedzieć...

Kolejny wykład ze strony życzliwego mężczyzny, pomyślała, przechylając na bok głowę i słuchając z uwagą.

Hotel „Oriental” sprawił im przyjemną niespodziankę. Portyki, zdobiące trzykondygnacyjną fasadę budynku tworzyły nad wejściem ocienioną galerię. Przed budynkiem ulicę pokrywał szeroki drewniany chodnik, a na spotkanie obu kobiet wyszedł portier, ubrany w złotą liberię.

Podczas krótkiej podróży z portu Chauncey zorientowała się, że obie z Mary wzbudzają pośród tutejszych mężczyzn wielkie zainteresowanie. Niektórzy wręcz stawali na ulicy i bez żenady przypatrywali im się. Choć wielu z nich, ubranych w kapelusze z opuszczoną połową runda i flanelowe spodnie, wyglądało podejrzanie, to, ku zdziwieniu Chauncey, inni wyglądali jak żywcem przeniesieni z londyńskiej St. James Street. Ci mieli na sobie przeważnie białe koszule z żabotami i czarne surduty o długich połach.

Kiedy przybyły do hotelu, sytuacja nie uległa zmianie. Pół tuzina zgromadzonych w holu mężczyzn przypatrywało się Chauncey, jakby była przedstawicielką rzadkiego i bardzo egzotycznego gatunku. Mężczyzna za ladą aż zamrugał, gdy ją zobaczył. Dopiero po chwili grzecznie zapytał, czego sobie życzy.

Pragnęła, by możliwie szybko rozeszła się wieść, że do miasta przybyła młoda, bogata angielska dama.

Poinformowała więc urzędnika, iż życzy sobie, by umieszczono ją w najlepszym pokoju, jakim dysponuje hotel. Przedstawiła się też wystarczająco donośnie, aby obecni mogli ją usłyszeć.

- Witamy w San Francisco, panno Jameson.

I tak oto, pomyślała, idąc pięknie zdobioną, krętą klatką schodową za boyem, który niósł jej bagaże, wkrótce stanę się ulubionym tematem rozmów w tym mieście. A przynajmniej taką mam nadzieję.

- Czy zawsze panuje tu taka piękna pogoda? - zapytała boya.

- To zależy, wie pani. Teraz mamy marzec, i tak dalej ... Wkrótce z pewnością zrobi się mglisto. No i te deszcze. Proszę zawsze nosić ze sobą parasol i wkładać solidne buty. Kiedy pada, ulice stają się grząskie. W zeszłym miesiącu pewien dżentelmen szedł sobie jak gdyby nigdy nic chodnikiem, aż tu chodnik się zarwał i biedny człowiek wpadł po kolana w błoto! To ci dopiero było!

Apartament na najwyższym piętrze wydał się Chauncey znacznie ładniejszy, niż jej pokoje w hotelu Bradford w Londynie. I z pewnością bardziej zbytkownie i krzykliwie wyposażony, pomyślała, uśmiechając się na widok zasłon w kolorze żywej czerwieni, przewiązanych złotymi, aksamitnymi kokardami.

- O rany, panienko Chauncey - westchnęła z pełnym grozy podziwem Mary, gdy młody człowiek wyszedł. - Nie uwierzy panienka, jaki dostałam pokój! To jakiś przeklęty pałac! Wszystko w najlepszym gatunku!

Chauncey w skrytości ducha pomyślała, że jej olbrzymia sypialnia wygląda jak pokój w haremie, ale nie powiedziała tego. Pomieszczenie było przestronne, a z jego okien roztaczał się piękny widok na śródmieście, wznoszące się w tle nagie wzgórza i zatokę, której błyszczące wody usiane były statkami. Musiało ich tam być co najmniej sto. Tak wiele budynków i ludzi, pomyślała, próbując wyobrazić sobie San Francisco sprzed dziesięciu lat, gdy było jeszcze wioską, zamieszkaną przez nie

więcej niż sto dusz. Podeszła do szerokiego łoża i przesunęła dłonią po miękkiej, ciemnoniebieskiej narzucie z aksamitu. Rzeczywiście, w doskonałym gatunku, pomyślała.

- Proszę spojrzeć - zawołała Mary. - Za tym parawanem znajduje się miejsce do mycia. Jest nawet wanna!

Chauncey zatrzymała się i spojrzała na imponujący szyld, namalowany jaskrawoniebieską farbą. Saxton, Brewer i Spółka - przeczytała. Przez chwilę wydawało się jej, że nie zdoła wejść do banku. Ależ się ze mnie zrobił tchórz, pomyślała. Co będzie, jeśli on rozpozna moje nazwisko? Nie bądź głupia, zbesztala się w duchu. Elizabeth Jameson to ktoś obcy, Saxton z pewnością nie doszuka się związku pomiędzy nią, a swoim londyńskim współnikiem.

Nagle uświadomiła sobie, że kilku mężczyzn, podążających Montgomery Street, zatrzymało się, by się jej przyjrzeć, co zresztą czynili bez skrępowania.

Zmusiła się, by wyprostować ramiona, po czym zadarła wyżej brodę i przeszła przez masywne dębowe drzwi, z Mary depczącą jej po piętach. Przestronne wnętrze banku nie było tak spokojne, jak to zazwyczaj bywało w bankach angielskich. Uśmiechnęła się, uświadomiwszy sobie, że przecież była tylko w jednym z nich. Tutaj mężczyźni głośno dyskutowali, gromadząc się wokół ubranych w czarne surduty urzędników bankowych. Rozmowy ucichły jednak, gdy tylko dostrzeżono jej obecność.

Po chwili od grupy odłączył się wysoki przystojny mężczyzna, odziany w posępny, choć dobrze skrojony czarny strój. Ruszył w stronę Chauncey, a na jego twarzy malowała się ciekawość i zadowolenie. Jest młody, pomyślała, ma niewiele ponad trzydziestkę. Momentalnie zaschło jej w ustach, a serce zaczęło bić gwałtownie.

- Czym mogę służyć, panienko? - zapytał głębokim, przyjemnym dla ucha tonem.

Opanuj się!

- No cóż, przybyłam, aby zobaczyć się z panem Saxtonem. Pozostanę przez jakiś czas w San Francisco i chciałabym otworzyć u was konto.

Mężczyzna milczał przez chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko, ukazując szparę między przednimi zębami.

- Jest pani Angielką - powiedział, a kiedy przytaknęła, dodał: - Nazywam się Brewer, panno...

- Jameson. Elizabeth Jameson.

- Tak, panno Jameson. Przykro mi, lecz pana Saxtona nie ma w tej chwili w banku.

Chauncey miała ochotę zawyć z rozczarowania. Przebyła taki szmat drogi, a tego drania nie ma.

- A kiedy się go pan spodziewa?

Daniel Brewer pociągnął się za lewe ucho, jak miał w zwyczaju.

- Pan Saxton przebywa obecnie w Downieville, gdzie przeprowadza inspekcję kopalń, madame.

Spodziewamy się go mniej więcej za tydzień. Czym mogę służyć?

Kopalnie? Kopalnie jej ojca?

- Panno Jameson?

- W takim razie, panie Brewer, załatwię sprawę z panem. Czy moglibyśmy przejść do pańskiego biura? - spytała, przezwyciężając gniew i rozczarowanie.

- Będziemy potrzebowali pomocy uczciwego jubilera - dodała.

Sprawa zamiany klejnotów na gotówkę została załatwiona szybko i ku obustronnemu zadowoleniu. Jubiler wycenił brylanty nieco wyżej, niż jego kolega w Londynie, a pan Brewer zaopatrzył swoją klientkę w książeczkę czekową, uprzedzając ją, by nigdy nie nosiła przy sobie większej ilości gotówki, gdyż mogłoby się to okazać niebezpieczne.

- Czy mogę odprowadzić panie do hotelu? - zapytał z troską w głosie.

Mary nie zdziwiła się ani trochę, gdy Chauncey obdarzyła pana Brewera olśniewającym uśmiechem i wyraziła zgodę. Wyciągnie z tego biedaka każdy strzęp informacji, pomyślała, postępując za swoją panią i mocno ściskając w dłoni parasolkę.

- Nie napiłby się pan herbaty? - spytała uprzejmie Chauncey.

Pan Brewer aż pojaśniał z zadowolenia.

Kiedy siedzieli w hotelu, popijając herbatę, Chauncey nie starała się przyspieszyć biegu spraw, lecz gawędziła uprzejmie z panem Brewerem, wpytując o jego przeszłość i plany na przyszłość.

Pan Brewer pochodził z Atlanty, gdzie jego ojciec pracował jako urzędnik w młynie. Od dwóch lat przebywał w San Francisco i nie zamierzał wracać na południe. Po drugiej filiżance herbaty Chauncey zapytała, jak gdyby nigdy nic:

- Powiedział pan, że pan Saxton nie wróci przed upływem tygodnia, prawda?

- Zgadza się, panno Jameson. Wiem, że z pewnością pojawi się w mieście przed balem maskowym u Stevensonów. Obiecał być na nim obecny, a z pewnością nie zawiódłby panny Stevenson.

Panna Stevenson! Upiła łyk herbaty.

- Jak się domyślam, to młoda dama?

- Tak. Panna Penelopa jest jedyną córką Henry'ego Stevensona. To ładna dziewczyna i oblegana przez wielbicieli. Wkrótce zapewne ogłoszą zaręczyny. A gdzie poznała pani pana Saxtona?

Chauncey spojrzała na swego rozmówcę, skonsternowana.

- Poleciał mi go kapitan Markham. Przyłączyliśmy się do Ameryki na jego statku, na „Wschodniej Zorzy”. Kapitan zapewniał, że pan Saxton to człowiek z gruntu uczciwy.

- To prawda, Del jest właśnie taki. Przybył tu jako jeden z pierwszych argonautów i nie tylko zbił fortunę, ale potrafił ją utrzymać. Teraz zajmuje się bankowością i transportem morskim, a nawet polityką. Bardzo się cieszę, że mogę być jego partnerem.

Chauncey poruszyła filiżanką, wpatrując się w wirujące na dnie resztki herbaty.

- A pan Stevenson? Czy jest równie uczciwy i zamożny, jak pan Saxton?

Pan Brewer roześmiał się serdecznie.

- Uczciwy? No cóż, panno Jameson, w San Francisco uczciwość to rzecz względna. Panuje tu o wiele większa swoboda, jeśli wie pani, co mam na myśli. Najwięksi kanciarze zostają politykami, ale tak chyba dzieje się wszędzie. Co do pana Stevensona, to jest bogaty, bogatszy niż Del. Posiada kilka odlewni żelaza - a to tutaj bardzo lukratywny interes - i jedną z gazet.

Jest bogatszy niż Delaney Saxton. Jak będę mogła go zniszczyć, jeśli poślubi dziedziczkę?

- Jak pan zapewne wie, dopiero przybyłam do tego pięknego miasta i jest pan moim pierwszym znajomym. Być może mogłabym poznać panią Stevenson i...

- Oczywiście, panno Jameson, oczywiście! - przerwał jej poruszony. - Młoda dama powinna spotykać się z innymi damami. Być może mógłbym zapytać panie Stevenson, kiedy byłyby skłonne panią przyjąć?

Chauncey obdarzyła go swoim najbardziej królewskim spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć:

- Ja miałabym zabiegać o spotkanie z nimi? Nie robi się fortuny, będąc głupcem. Toteż pan Brewer szybko uświadomił sobie, że popełnił gafę. Panna Jameson była nie tylko śliczna, ale i dosyć bogata. No i ekscentryczna, pomyślał, przepaszając ją. Z pewnością pani Stevenson sprzedałaby swoje klejnoty, by móc nazywać się przyjaciółką tej młodej Angielki.

- Z drugiej strony - powiedział - mógłbym wspomnieć pani Stevenson, że gości pani w mieście, a ona skontaktowałaby się z panią... może jutro? Jestem pewny, że z przyjemnością zaprosiłaby panią na bal.

- Dziękuję, panie Brewer - powiedziała Chauncey wyniośle. Uniosła się z wdziękiem i wyciągnęła do niego rękę. - Był pan bardzo uprzejmy. Mam nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy.

Mary odprowadziła pana Brewera i odwróciła się do Chauncey. Wyglądała na zmartwioną.

- Nie wzięła pani tego pod uwagę - powiedziała. Chauncey nawet nie próbowała udawać, że nie rozumie.

- Nie - rzekła powoli. - Nie wzięłam. Jestem bogata, Mary, lecz jeśli pan Saxton poślubi tę dziewczynę, bogactwo Stevensonów, połączone z jego własnym majątkiem, uczyni całą sprawę znacznie trudniejszą.

Umilkła, podeszła do szerokiego okna i zapatrzyła się na ruchliwą ulicę poniżej.

- I co teraz, panienko?

- Jeszcze nie wiem, Mary - odparła Chauncey, nie odwracając się. - Najpierw zaznajomię się z paniami Stevenson. Być może dobrze się składa, że pan Saxton nie przebywa akurat w mieście. Będę miała czas, aby dowiedzieć się wszystkiego o lwie, nim wejdę mu w paszczę.

ROZDZIAŁ 7

Delaney, pogrążony w zadumie, przypatrywał się swemu odbiciu w lustrze, wiążąc krawat. Już pierwsza próba dokonania tej skomplikowanej czynności zadowoliła go, wsunął więc ramiona w rękawy czarnego surduta, trzymanego przez milczącego Lucasa.

- To będzie nudny wieczór - powiedział.

- Niekoniecznie - zasugerował Lucas. - Proszę nie zapominać, że ma pan przyjrzeć się tej nowej angielskiej damie, o której wszyscy mówią, że wygląda jak anioł.

- Nie wszyscy, tylko Dan Brewer. Penelopa twierdzi, że jest zaledwie ładna, a do tego straszliwa z niej snobka.

Lucas uśmiechnął się.

- No cóż, sam pan to oceni.

Wręczył Delaneyowi czarną aksamitną maseczkę i czarną pelerynę.

- Co za cholerny nonsens - mruknął Delaney pod nosem. - Przypuszczam, że wrócę późno. Przyprowadź powóz i nie czekaj na mnie, Luc. Zabiorę się z kimś znajomym. I jedź powoli, muszę zebrać siły, nim stanę przed rozkoszną panią Stevenson.

Lucas postąpił, jak mu kazano. Delaney oparł się o twarde skórzane poduszki i zamknął oczy. W jego kopalni „Gwiazda Północy” doszło do zamieszek, w wyniku których dwaj ludzie zginęli. Cholerna przemoc, pomyślał, nadal niezdolny zaakceptować to, z czym na co dzień musiał się borykać. A teraz jedzie na bal, żeby udawać galanta!

Panna Elizabeth Jameson, Angielka. Od kiedy wrócił do domu, Dan Brewer nie mówił o niczym innym. Dama była ponoć piękna, bogata i ekscentryczna. Dan pokazał mu diamenty o pięknym szlifie.

- Z pewnością jest ekscentryczna - zapewniał. - W przeciwnym razie, po cóż miałyby tu przyjeżdżać?

- Być może rozgląda się za bogatym mężem - zasugerował Delaney.

- Ha! Nie musiałyby opuścić nawet jednego kwartału ulicy, aby go znaleźć! Czy już ci mówiłem, że najpierw zapytała o ciebie? - dodał, spoglądając z ukosa na przyjaciela i współnika.

- Nie - odparł krótko Delaney. - Nie mówiłeś. Ona nie jest moją starą znajomą, przynajmniej nie sądzę, aby tak było. Zastanawiam się, dlaczego...

- Wspomniała coś o kapitanie „Wschodniej Zorzy”, wychwalającym cię pod niebiosa.

Niezamężna młoda dama nadal była w San Francisco osobliwością i Delaney nie mógł zaprzeczyć, że jest jej ciekaw. Skrzywił się, wspomniawszy jeszcze jedną angielską herbatkę z Penelopą i jej matką.

- Proszę sobie wyobrazić - dziwiła się głośno pani Stevenson - prawdziwa angielska dama, i będzie na naszym balu! Wczoraj z przyjemnością wypiliśmy z nią herbatę w Orientalu. Zajmuje tam najbardziej luksusowy apartament.

- Wyraża się pani o niej, jakby była egzotycznym ptakiem - powiedział Delaney.

Penelopą zachichotała.

- Rzeczywiście, Delaney! Czy ona nie ma dzioba zamiast nosa, mamó?

- A co z zapierającym dech upierzeniem? - zapytał mężczyzna.

- No cóż - przyznała niechętnie Penelopa - stroje ma naprawdę piękne. Ale była raczej chłodna i oficjalna.

- Nie, moja droga - sprostowała pani Stevenson, spoglądając karcąco na córkę. - Panna Jameson nie była chłodna. Ona po prostu jest Angielką. Z radością przyjęła nasze zaproszenie. Czy nie wspominał pan, Delaney, że Anglicy są bardziej powściągliwi w zachowaniu niż Amerykanie?

- Mniej więcej.

- Chyba jest dosyć stara - powiedziała Penelopa.

- Stara? - powtórzyła jej matka. - Ależ kochanie, ona z pewnością nie ma więcej jak dwadzieścia jeden lat!

Delaney roześmiał się cicho, wspominając, jak Penelopą gniewnie odeła usteczka. Z pewnością trudno jej było pogodzić się z konkurencją.

Powóz zwolnił, gdyż dojechali do posiadłości Stevensonów. Tego wieczoru imponujący budynek, wzniesiony na stoku Rincon Hill, jarzył się światłami niczym choinka. Sznur powozów blokował drogę. Delaney wychylił się przez okno i krzyknął:

- Zatrzymaj się tutaj! Resztę drogi przejdę piechotą. Dzięki Bogu, nie pada. Nie chciałbym powalać błotem mojego wytwornego stroju!

Włożył maseczkę i okrył ramiona peleryną.

W pobliżu masywnych drzwi wejściowych zatrzymał się i spojrzał na usiane gwiazdami niebo. Wciągnął głęboko do płuc rześkie powietrze wieczoru, zastanawiając się, czy Marie i Jarvis, jej towarzysz, są już w środku. Marie będzie wiedziała, jak się zachować. W końcu jest Francuzką, a Francuzki bywają na ogół rozsądne i praktyczne.

Stevensonowski odpowiednik kamerdynera, mężczyzna nazwiskiem Boggs, był groźnie wyglądającym osobnikiem o krzywym nosie i wyszczerbionych zębach. Niewiele o nim wiadomo, i chyba dobrze, gdyż dzięki tej niewiedzy Stevensonowie mogli spać spokojnie. Wystrojony w wieczorowy strój, wyglądał niczym buldog pomiędzy pudłami.

- Dobry wieczór, Boggs - powiedział Delaney. - Elegancko dziś wyglądasz.

- Dziękuję, panie Saxton - odparł Boggs poważnie.

Delaney wręczył mu cylinder i ruszył schodami na górę. W sali balowej błyszczące żyrandole rzucały tańczące cienie na gości, z których wielu wirowało już po parkiecie w takt szybkiego walca. Niewielka orkiestra, ulokowana na podium w odległym kącie sali, przygrywała ochoczo.

Choć goście mieli na twarzach maski, Delaney rozpoznał większość z nich. Jak zwykle, przybyło więcej panów niż pań, i to wliczając damy wątpliwej kondyty. Zobaczył panią Stevenson. Starsza dama upięła skręcone w ciasne loczki, stalowszare włosy tak wysoko, iż wpięte w nie dwa olbrzymie strusie pióra wznosiły się kilkadziesiąt centymetrów ponad jej szeroką twarz. Penelopę otaczała, jak zwykle, gromadka mężczyzn. Z miejsca, gdzie stał, słyszał chichot, jakim kwitowała komplementy wielbicieli.

W milczeniu rozglądał się po sali. Uświadomił sobie, że szuka panny Elizabeth Jameson. Spostrzegł Marie, tańczącą z trzymającym się sztywno Janasem. Penelopa mogłaby wiele nauczyć się od Marie, jeśli chodzi o elegancję, pomyślał. Podobnie jak większość obecnych dam. Przyjrzał się

zółtej aksamitnej sukni, jaką miała na sobie jego kochanka, i z aprobatą skinął głową. Jediną ozdobę toalety Marie stanowił diamentowy naszyjnik, który podarował jej na Gwiazdkę.

A oto i ona - był tego pewny - tajemnicza angielska dama, za którą tak pilnie się rozglądał. Stała obok Dana Brewera, który, niech będzie błogosławione jego życzliwe serce, osłaniał ją przed atakami rozentuzjasmowanych dżentelmenów. Miała na sobie elegancką jasnoniebieską suknię, która spływała jej do stóp, odsłaniając białe ramiona. Przyjrzał się figurze dziewczyny, przychylnie oceniając pełny biust i wąską talię.

- Odwołuję to, co powiedziałem - mruknął pod nosem. - Ona ma styl.

Nie widział jej twarzy, lecz włosy miała piękne. Gęste, wielobarwne pasma przypominały mu, nie wiedzieć czemu, deszcz jesiennych liści w Bostonie. Nie podszedł bliżej, lecz zadowolił się obserwowaniem dziewczyny z daleka. Zbliżył się dopiero, kiedy Dan odszedł, by przynieść coś do picia. Choć nadal otaczało ją pół tuzina mężczyzn, Delaney z łatwością ich wyminął.

- To chyba mój taniec, panno Jameson - powiedział spokojnie, podając jej ramię.

Chauncey spojrziała na mężczyznę, który z taką swobodą ją zagadnął. Był wysoki, szczupły i dobrze ubrany. Jego jasnobrązowe włosy miały barwę ciemnego miodu i były nieco dłuższe, niż angielski dżentelmen uznałby za właściwe. Nie nosił bokobrodów ani brody. Jego usta były ładnie zarysowane, a uśmiech pociągający. Wydawał się człowiekiem godnym szacunku, no i znał jej nazwisko.

Musi być kimś ważnym, pomyślała, skoro inni mężczyźni tak ochoczo rozstąpili się, by go przepuścić. Mimo to zawahała się, nim wyraziła zgodę na taniec. Jej oczy niespokojnie lustrowały salę. Gdzie może być Saxton? Dan Brewer zapewnił ją, że bankier na pewno przyjdzie.

- Wie pan, jak się nazywam - powiedziała, poświęcając znów całą uwagę dżentelmenowi.

- Oczywiście - odparł. - I obiecuję, że nie podepczę pani pantofli. Tańczenie walca to jeden z moich głównych talentów.

Chauncey uśmiechnęła się i przyjęła podane sobie ramię. Szybko przekonała się, jak dobrym był tancerzem. Prowadził doskonale, zachowując przy tym stosowny odstęp.

- Nie wiem, jak brzmi pańskie nazwisko - powiedziała, spoglądając mu w oczy.

Oczy miał jasnobrązowe z jaśniejszymi, złotymi cętkami, podobne barwą do włosów. A może były nieco bardziej bursztynowe? Co do rysów, to czarna maseczka skutecznie je skrywała.

- Nie sądzę, by miała pani haczykowaty, ptasi nos - powiedział.

- Haczykowaty? To bezczelność mówić mi takie.

- Zgadza się, jednak tak właśnie mnie poinformowano. Oczywiście, powiedziała to młoda dama. Żaden dżentelmen bowiem, nawet gdyby była to prawda, nie wyraziłby się w tak karygodny sposób o niezamężnej damie, a przynajmniej nie w San Francisco.

- Coś mi się wydaje, że pan byłby do tego zdolny!

- Ja? - brwi mężczyzny powędrowały w górę. Uśmiechnął się, odsłaniając równe, białe zęby. - Nigdy! Mogę sobie być szubrawcem, lecz nigdy nie obraziłbym damy, która tańczy tak dobrze, jak pani.

- Nie mam zwyczaju tańczyć z szubrawcami, sir.

- Pozwolę sobie być odmiennego zdania. Jeśli tańczy pani od początku wieczoru, z pewnością pomiędzy pani partnerami znalazło się paru niezłych łotrów.

Jakiż on nieuchwytny, pomyślała. A przy tym bystry, dowcipny i nie udaje, że jestem najbardziej godnym pożądanym stworzeniem na świecie!

Pogrążona w myślach, zmyliła krok.

- Przypuszczam - stwierdził jej partner melancholijnie - że powinienem był spytać, czy będzie pani miała litość dla moich pantofli.

- Zwykle nie depczę partnerom po nogach - powiedziała nieco oschle, zirytowana jego nietaktownym zachowaniem - ale zaciekało mnie, kim może być tamten dżentelmen.

Wskazała na brzuchatego, śmiejącego się tubalnie mężczyznę, który stał obok kobiety ubranej w suknię o krzykliwym odcieniu czerwieni.

- To chyba niezupełnie prawda - stwierdził Delaney. - Tak czy inaczej, ten mężczyzna to John Parrot, jeden z najbardziej znanych w San Francisco finansistów. Kogo naprawdę pani szuka?

- Trzeba przyznać, że ma pan tupet - zauważyła, marszcząc brwi.

- Ależ skąd, tak naprawdę bardzo spokojny ze mnie człowiek. Ach, walc się kończy. Proszę spojrzeć, to stado głodnych sępów tylko czeka, by do pani dopaść. Uchronię panią przed nimi, przynajmniej na czas kolejnego tańca.

I zanim Chauncey zdążyła się odezwać, porwał ją do następnego walca. Już miała zaprotestować, gdy nagle jej spojrzenie powędrowało ku niskiemu i przysadzistemu młodzieńcowi, który akurat zatrzymał się w drzwiach sali balowej. Czy to mógł być Delaney Saxton?

Wyglądał na to, przynajmniej z tej odległości. Wydawał się człowiekiem aroganckim i zarozumiałym, niczym księżę spoglądający na swoje włości.

Znowu nadepnęła partnerowi na stopę.

- O Boże, bardzo przepraszam - wykrztusiła. - Zapewniam pana, iż rzadko bywam tak niezdarna.

- Jak przypuszczam, chyba nic w tym dziwnego, skoro jest pani taka ekscentryczna.

Chauncey roześmiała się, zaskoczona.

- Ekscentryczna! Tylko o bardzo starych, bardzo bogatych ludziach mawia się, że są ekscentrykami. Cała reszta to po prostu wariaci.

- Tak właśnie mi panią opisano, panno Jameson. Z jakiego innego powodu przyjechałaby pani do San Francisco?

Umilkła. Mężczyzna nie odrywał oczu od jej twa-

- A zatem, jest pani podróżniczką - stwierdził w końcu, ponieważ jej zmieszanie, którego powodu nie znał, sprawiło mu dziwną przykrość.

- Być może - odparła po dłuższej chwili.

- Gdyby zechciała mi pani powiedzieć, za kim tak się rozgląda, zaoszczędziłoby mi to dalszego bólu. Znowu zmyliła pani krok.

- No cóż, skoro już musi pan wiedzieć... Chciałabym poznać dziś mego bankiera.

- Bankiera? - zapytał ostrożnie, zerkając na Dana.

- Tak. Nazywa się Delaney Saxton. Pan Brewer zapewnił mnie, że będzie tu dziś obecny. Ma poślubić pannę Stevenson, a zatem z pewnością nie zechce sprawić jej zawodu.

Delaney umilkł, zdziwiony. Jak to możliwe, by człowiek, którego nigdy dotąd nie widziała na oczy, mógł wprawiać ją w takie pomieszenie? Będzie jeszcze dość czasu, by powiedzieć jej prawdę. Lecz jeszcze nie teraz. Miał ochotę nieco zabawić się jej kosztem.

- Poślubić Penelopę Stevenson? - zapytał przeciągle. - Delaney Saxton? No cóż, to chyba możliwe. Proszę mi powiedzieć, czy to Dan Brewer udzielił pani tych wszystkich informacji?

Chauncey zaczerwieniła się lekko. Ten człowiek sprawiał, że paplała bez chwili namysłu.

- Nie, niezupełnie. Widzi pan, w zeszłym tygodniu pani i panna Stevenson przyszły do mnie z

wizytą i wówczas poinformowały mnie o zamiarach pana Saxtona.

- Hmm... Dlaczego tak bardzo pragnie pani poznać tego dżentelmena? Nie jest ani trochę ujmujący. To kiepski tancerz, do tego niezbyt elokwentny i bufonowaty. Zawsze śmieje się z głupich dowcipów. Doprawdy, panno Jameson, lepiej niech pani o nim zapomni. To straszny nudziarz, zapewniam panią.

- Bez krztyny dowcipu?

- Zdecydowanie.

- Wygląda na to, że nie jest pan jego bliskim przyjacielem?

- Czy powiedziałem coś takiego? Ach, jaka szkoda, że taniec się kończy. Obawiam się, iż muszę przekazać panią innym adoratorom. Mam nadzieję, że uda się pani obronić przed ich zalotami. Choć tak naprawdę, nie ma się czego obawiać. Oni wszyscy zwykli traktować damy z pełnym szacunku lękiem.

- Wszyscy, poza panem - stwierdziła ostro.

- Za to jestem większym nudziarzem niż oni - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Właśnie zastanawiała się nad jakąś zręczną odzywką, kiedy u jej boku pojawił się Dan Brewer.

- Mógłby pan przynajmniej mi się przedstawić - powiedziała złośliwie - nim pan odejdzie.

- Może później, panno Jameson. Dobry wieczór, Dan. Przyszedłeś, by służyć wsparciem damie?

Dan uśmiechnął się do niej nieśmiało.

- Tak, w rzeczy samej. Cieszę się, że nareszcie się poznaliście. Czy zaszczyci mnie pani kolejnym tańcem, panno Jameson?

- Poznali? - krzyknęła Chauncey, zupełnie wyprowadzona z równowagi. - Nie mam pojęcia, kim on jest!

Delaney uśmiechnął się do niej szatańsko i odmaszerował, zmierzając zdecydowanie ku pannie Penelopie Stevenson.

- Ach, jakże ten Del lubi tajemnice! I niezły z niego kawalarz, panno Jameson. Będzie musiała mu pani wybaczyć.

Chauncey zamarła.

- Del? - zapytała głosem cienkim i wysokim, zupełnie niepodobnym do tego, jakim posługiwała się na co dzień.

- Oczywiście. Mój współnik, Delaney Saxton.

ROZDZIAŁ 8

- Jesteś głupia, Chauncey, po stokroć głupia!

- Madame? Przepraszam, nie dosłyszałem, co pani mówiła.

Chauncey opanowała się z trudem, mając na względzie swego partnera. Tańczyła akurat z jakimś bardzo nieśmiałym młodzieńcem, który trzymał ją w ramionach, jakby była kruchą porcelanową lalką.

- Ja tylko... głośno myślałam - odparła, zmuszając usta do uśmiechu. Umilkła na chwilę i machnęła lekko dłonią w kierunku Delaney Saxtona.

- Jak rozumiem, panie Hewlitt, panna Stevenson i pan Saxton wkrótce zaproszą na wesele.

Pan Hewlitt przygryzł dolną wargę. Denerwujący nawyk na dłuższą metę, pomyślała Chauncey.

- Tak sędzę, madame. Panna Penelopa to taka ładna mała dama, a Del... no cóż, wszyscy życzymy mu jak najlepiej. Taa... przypuszczam, że wkrótce połączą się węzłem małżeńskim.

Wszyscy wychwalają go pod niebiosa! Czy nikt tu się na nim nie poznał? Potrząsnęła głową, wspominając powiedzonko, które tak często słyszała w Surrey: „Sprytny złodziej nigdy nie kradnie we własnym domu”.

Taniec dobiegł końca i Chauncey znowu spojrzała na Delaney Saxtona, który właśnie unosił do ust małą rączkę Penelopy Stevenson. A kiedy się wyprostował, spojrzał prosto na Chauncey i uśmiechnął się kpiąco. Zamarła, zastanawiając się, czy znowu zamierza do niej podejść.

Nie zrobił tego. Tańczyła, dopóki nie rozboleły jej stopy. Poznała wszystkie damy godne tego miana i dzielnie zniosła obrzydliwie przesadne komplementy dżentelmenów. W końcu Dan Brewer znowu poprosił ją do walca.

- Czy o północy nie nadejdzie czas zdejmowania masek? - spytała.

Chcę zobaczyć jego twarz, spojrzeć mu w oczy.

- No cóż, niezupełnie, panno Jameson.

- Dlaczego? Mruknął coś, zmieszany.

- Po prostu nie mamy tego w zwyczaju, madame. To Penelopa wyjaśniła jej powody takiego zachowania, kiedy spotkały się w toalecie dla dam.

- Aaa, o to chodzi - powiedziała, machając lekceważąco małą dłonią. - Mama nigdy by się na to nie zgodziła. - Zachichotała, widząc malujące się na twarzy Chauncey zdziwienie. - Wiele spośród obecnych tu dzisiaj dam to wcale nie są damy. Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nic nie mówi, dopóki są zamaskowane.

- Kto taki?

- Upadłe kobiety - oznajmiła Penelopa, bynajmniej niezmiészana. - W końcu - mówiła dalej rzeczowo - jest tu tylu samotnych mężczyzn. Co mają robić? Nawet Delaney ma francuską kochankę.

- Wzruszyła obojętnie ramionami. - Oczywiście, oddali ją, kiedy się pobierzemy.

Chauncey przez chwilę milczała, przetrawiając te zadziwiające informacje.

- A zatem - spytała po chwili - kiedy ogłosicie zaręczyny?

- Kiedy tylko Del mnie przekona - odparła Penelopa, zerkając spod oka na Angielkę.

Nie uszło bowiem jej uwagi, że Del przetańczył z nią dwa walce, gdy tylko pojawił się na balu.

Penelopa jest dosyć głupiotka i raczej próżna, oceniła Chauncey, poprawiając fryzurę.

Mimo to nie chciała skrzywdzić niewinnej osoby. Zmusiła się, aby zapytać niby od niechcenia:

- Chyba bardzo go pani kocha. Mnie wydał się nader... dowcipny i błyskotliwy.

Ku zdumieniu Chauncey Penelopa wzruszyła ramionami.

- Ach, to! Czasami nie rozumiem, co do mnie mówi, a on śmieje się, kiedy proszę, by mi to wyjaśnił. Mimo to dosyć go lubię. Tatuś uważa, że to dobra partia. Mama zaś sądzi, że skoro był w Anglii - i ma tam nawet wysoko urodzonych krewnych - słońce wschodzi specjalnie dla niego. Chauncey nie była w stanie się odezwać.

Ma w Anglii krewnych. To tak udało mu się zwabić w pułapkę jej ojca! Ale dlaczego Paul Montgomery nie wiedział, kim są ci krewni? Postanowiła grać na zwłokę.

- Mam nadzieję, że wszystko ułoży się po myśli pani, panno Stevenson.

Penelopa uśmiechnęła się do niej z wyższością.

- Och, na pewno, panno Jameson. Chyba nie zostanie pani w San Francisco zbyt długo?

Chauncey niemal się uśmiechnęła, słysząc w jej głosie nadzieję.

- Zobaczymy - odparła. - Wasze piękne miasto bardzo mi się podoba.

Chauncey poprawiła poduszkę, mimo to sen nie nadchodził. Ona go nie kocha, powtarzała sobie. A zatem nie poczuje się zraniona w swoich uczuciach. Ucierpi jedynie jej duma. I kiedy słońce zaczęło wschodzić nad miastem, Chauncey podjęła wreszcie decyzję.

To takie proste. Takie proste i takie ostateczne, idiotko! Wyskoczyła z ciepłego łóżka i boso podbiegła do okna. Ciekawe, czy on już wstał. I czy mu się spodobałam. Zdecydowanie sprawiał takie wrażenie, chociaż unikał jej przez resztę wieczoru. A co, jeśli on kocha Penelopę? I jeśli nie zdołam go od niej odciągnąć?

- Tak wcześnie na nogach, panienko? Dobrze się panienka czuje?

Chauncey odwróciła się do Mary i mocniej związała pasek szlafroka.

- Nie, widzę, że nie o to chodzi - dodała pokojówka, ziewając dyskretnie. - Poznała pani pana Saxtona.

- Tak, poznałam go, a nawet przetańczyłam z nim dwa walce. - Uśmiechnęła się do siebie. - On nie jest taki, jak się spodziewałam, Mary. Nie wygląda na złego człowieka. A przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ do końca balu nie wolno nam było zdjąć masek. A zachowuje się tak swobodnie, jak tylko można sobie wyobrazić.

- A zatem dlaczego sterczy panienka przy oknie, jakby straciła ostatniego na świecie przyjaciela?

- Zamierzam wydać się za niego - oznajmiła Chauncey bez ogródek.

- A więc stąd wieje wiatr - powiedziała Mary z namysłem. - Jest pani pewna, że on zamierza poślubić pannę Penelopę?

- Na to wygląda. Ona jest głupiotka i próżna, ale ma bogatego ojca. Pan Saxton najwidoczniej jest nie tylko łajdakiem, ale i oportunistą.

- Nie sądzi pani, że on kocha tę dziewczynę?

- Wiem, że ona go nie kocha. - Wzruszyła ramionami i powiedziała stanowczo: - A co się tyczy pana Saxtona, to jakiegokolwiek by były jego uczucia, postaram się, aby uległy zmianie.

Mary poczuła skurcz żalu. To nie w porządku, że panna Chauncey, która wreszcie uwolniła się od chciwej rodziny, musi posuwać się aż tak daleko. Westchnęła, zdając sobie sprawę, że kiedy jej pani raz wbije sobie coś do głowy, nic już nie wpłynie na zmianę jej postanowienia.

- Nie patrz na mnie, jakbym była bezdomnym kociakiem moknącym na deszczu! To nie będzie takie znowu okropne, Mary. Poślubię go, zrujnuję, a potem wrócimy do Anglii, gdzie nasze miejsce.

Pannie Chauncey wszystko wydaje się takie proste, pomyślała Mary. Lecz życie tak nie wygląda. Życie to śliska droga pełna wybojów i zakrętów. Spojrzała na swoją panią i usłyszała, jak Chauncey mówi cicho do siebie:

- ...a jako jego żona, będę znała wszystkie plany tego łajdaka i z łatwością dowiem się, gdzie uderzyć, by zadać mu najboleśniej straty.

Mary wymruczała pod nosem parę zdecydowanie niestosownych słów i wyszła z sypialni Chauncey.

- Masz gościa, Del.

Delaney podniósł wzrok znad rejestru. Dwuznaczny ton głosu Jarvisa sprawił, że ruchliwe brwi Saxtona powędrowały ku górze.

- Domyślam się, że nie chodzi o starą panią Tucker, która przyszła, by skłonić mnie do uczestnictwa w kolejnym dobroczynnym przedsięwzięciu?

- Nie, proszę pana. To ta Angielka, panna Jameson. Życzy sobie zobaczyć się właśnie z panem.

- Doprawdy? - zapytał miękko Delaney, przybierając obojętny wyraz twarzy. - Zważywszy, że młoda dama jest jedną z naszych najpoważniejszych klientek, chyba powinienem zadośćuczynić jej życzeniu. Wprowadź ją, Jarvisie. I... no cóż, nie ma potrzeby, byś podsłuchiwał z uchem przyciśniętym do dziurki od klucza!

Jarvis spojrzał na szefa z miną skrzywdzonego niewiniątka, po czym opuścił jego biuro. Czego ona może chcieć? - pomyślał Delaney leniwie, rozparłszy się wygodnie na skórzanym krześle. Kiedy panna Jameson pojawiła się w drzwiach, wstał, obciągając szarą kamizelkę. Przez chwilę rozkoszował się czystą przyjemnością przyglądania się dziewczynie. Nawet wtedy, na balu, ani przez chwilę nie wątpił, że jej ukryta za maseczką twarz okaże się piękna, a teraz jego przewidywania się sprawdziły. Swe wspaniałe włosy upięła na czubku głowy i tylko kilka loczków opadało figlarnie na skronie. Na głowie miała kapelusik obszyty żółtą wstążką, pasującą do koloru sukni.

Oczy o dziwnej, mahoniowej barwie, podobnie jak włosy dziewczyny, z pewnością zmieniały kolor w zależności od oświetlenia i jej nastroju. Spojrzał w te oczy i zorientował się, że dziewczyna taksuje go wzrokiem, podobnie jak on ją.

- Cóż to za niespodziewana przyjemność, panno Jameson - powiedział. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Mógłby mieć chociaż cofnięty podbródek, pomyślała, zdegustowana wrażeniem, jakie wywarła na niej jego uroda. Planowanie, jakby tu go poznać i pomieszać mu szyki, a wprowadzanie tego w czyn, to były dwie zupełnie różne sprawy. Bądź sprytna i śmiała. To mężczyzna, który nie znosi nudy. Choć przerażały ją własne myśli, wiedziała, że się nie myli.

- Co za piękny dzień, panie Saxton - powiedziała, pozwalając na chwilę ująć swą dłoń. - Przyszłam, aby wybawić pana od obowiązków.

Ona na mnie poluje, pomyślał, zaintrygowany i rozbawiony zarazem. Machnął dłonią w kierunku sterty papierów na biurku.

- Niestety, jestem tylko biednym wołem roboczym. Proszę spojrzeć, ile mam pracy. Obawiam się,

iż żadna sprawa nie zostanie załatwiona, jeśli nie zajmę się nią osobiście.

- Powiedziano mi, że jest pan bardzo zaradny. Być może zatem mógłby pan zapomnieć na jakiś czas o obowiązkach, a ja kupiłabym panu coś do jedzenia. - I, widząc jego zdumienie, dodała ponuro: - Widzi pan, otrzymałam już trzy propozycje małżeńskie i obawiam się, że chętni do ożenku dżentelmeni tylko czekają, aby przyłapać mnie na spacerze. Czy nie ma pan w sobie ani odrobiny współczucia dla samotnej kobiety, panie Saxton? Zapewniam pana, że jestem w potrzebie.

- Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, by mogła pani potrzebować mojej pomocy, zwłaszcza w celu poradzenia sobie z chętnymi dżentelmenami. Zawsze jest pani tak szczerą?

Jej oczy zabłyśły.

- Tylko kiedy to absolutnie konieczne. A teraz, drogi panie, czuję, że z głodu grzechoczą mi zębra. Delaney skłonił z przesadnym szacunkiem głowę.

- Jak sobie droga pani życzy... czy mam poprosić Dana, by do nas dołączył?

Zaintrygowany, spostrzegł, że jego propozycja zaskoczyła pannę Jameson, a jej niezwykle oczy nagle pociemniały.

- Nie - powiedział szybko, pragnąc zaoszczędzić jej zmieszania. - Jak sądzę, Dan zbyt pochłonięty jest zarabianiem dla nas pieniędzy. Ja zaś z przyjemnością przejem część tych dochodów. Roześmiała się.

- Panie Saxton. Ocalę pana przed trwonieniem funduszy. Proszę wybrać najdroższą restaurację. Nie mam węża w kieszeni.

- Zwłaszcza kiedy dostaje pani to, czego pragnie?

- Zwłaszcza wówczas - przyznała.

Delaney skłonił się ponownie i podał jej ramię, świadomy, że wszyscy napotkani po drodze mężczyźni będą spoglądali za nim z zazdrością.

- Drewniane chodniki to dobry pomysł - powiedziała Chauncey, zerkając na błotnistą ulicę.

Padający od rana drobny deszczyk właśnie ustał, jednak w wilgotnym powietrzu nadal unosiła się mgła.

- Owszem - rzekł bankier, stając u jej boku.

- Wam, mężczyznom, jest znacznie lepiej. Te spodnie i wysokie buty... - zauważyła Chauncey, przyglądając się krocącym śmiało przez kałuże przechodniom.

- To dlatego, że nasza próżność nie jest skierowana na strój. Na to jesteśmy zbyt praktyczni.

- Zapewniam pana, że to wyłącznie męska próżność zmusiła kobiety do tego, by zaakceptowały tak dziwny sposób ubierania się!

- Mnie proszę z tego wyłączyć! Z rozkoszą zobaczyłbym panią w bryczesach i butach z cholewami!

Błyskawiczna riposta wprowadziła Chauncey w zakłopotanie, jednak szybko odzyskała kontenans.

- Być może kiedyś pańskie życzenie się spełni - powiedziała, uśmiechając się do niego szelmowsko.

Odwróciła głowę, pochłonięta otaczającym ich zewsząd hałasem. Jakież tu wszędzie panuje ożywienie, pomyślała, przyglądając się kupcom, sprzedawcom oraz wypełniającym ulicę niezliczonym wozom i furmankom.

- Pańskie miasto żyje - powiedziała. - Tu żaden ze zmysłów nie pozostaje w uśpieniu.

- Tak, w porównaniu z San Francisco inne miasta wydają się nudne. Widzę, że podziwia pani te nowoczesne domy z cegły. - Spostrzegłszy jej zdziwione spojrzenie, dodał: - A jeśli nawet ich pani

nie podziwia, to powinna. To nasza obrona przeciwko pożarom. Wszyscy spośród argonautów, jak nas tu nazywają, stracili kiedyś cały dobytek w pożarze, ze mną włącznie. Ostrożnie, panno Jameson, ten mężczyzna chyba nieco przesadził z piciem.

- Lecz teraz nie wygląda na to, by cierpiał pan niedostatek - zauważyła, obserwując mijającego ich chwiejnym krokiem pijaka.

- Rzeczywiście - przyznał, uśmiechając się do swej towarzyszki. - Czy próbowała już pani wspiąć się na któreś z tych wzgórz?

- Tak, oglądałam sygnalizator na Telegraph Hi 11. Bardzo intrygujące. Co zaś się tyczy pozostałych, to chyba mogą poczekać.

- No, jesteśmy w jadalni Pierre'a. To bardzo dobra restauracja, zapewniam panią. I odpowiednio droga.

Restauracja była nader elegancko urządzona. W olbrzymiej sali od frontu ze ścian i okien zwieszały się draperie uszyte z ciemnoniebieskiego aksamitu. Chauncey szybko uświadomiła sobie, że jest tu jedyną kobietą. Delaney pozdrowił kilku spośród obecnych, lecz nie zatrzymał się.

- Francois - powiedział, uśmiechając się do niskiego brzuchatego mężczyzny, który już śpieszył w ich stronę. Po czym dodał półgłosem: - Tak naprawdę Francois nazywa się Jud Stubbs i pochodzi bodaj z Pensylwanii.

- Pan Saxton i nowo przybyła angielska dama. Co za przyjemność gościć panią u nas, madame.

- Pani sława panią wyprzedza. Dotarła już nawet do kuchni - mruknął Delaney pod nosem.

- Mam nadzieję, że będzie pan zachowywał się uprzejmie. W końcu to ja płacę!

Francois poprowadził ich ku spokojnemu stolikowi z dala od okien, a potem wręczył im menu.

- Spodoba się pani to menu, panno Jameson. Francois sam przetłumaczył je na francuski.

Chauncey pohamowała chichot, dopóki kelner nie odszedł, pozostawiając ich samych.

- Sześć miesięcy temu Francois połączył siły z prawdziwym Francuzem, niejakim Pierrem LeGrandem. Zapewniam panią, że to on gotuje. Doprawdy, panno Jameson, powinna pani powściągnąć nieco swą wesołość. Wolę nie wyobrażać sobie, co myślą o nas ci dżentelmeni. - Z pewnością myślą o panu z zazdrością, panie.

- Jest pani aż tak pewna siebie, panno Jameson? - powiedział drwiąco.

Ku jego zadowoleniu dziewczyna nie wydawała się ani trochę zmieszana.

- Oczywiście, proszę pana. Czyż podczas dziesięciu dni pobytu w tym mieście nie otrzymałam aż trzech propozycji małżeństwa?

A zatem, miał ochotę ją zapytać, dlaczego polujesz akurat na mnie? Nie odezwał się jednak. Francois wręczył mu butelkę markowego bordeaux.

- Bez wątpienia okaże się wspaniałe, Francois. Dziękuję ci. Pod względem drobnych przyjemności codziennego życia w niczym nie ustępujemy Londynowi - dodał pod adresem Chauncey.

Kiedy napełniono im kieliszki, Delaney podniósł swój i powiedział:

- Wypijmy za panią, panno Jameson. Oby poszczęściło się pani w tym, co zaplanuje.

Chauncey splonęła rumieńcem. On sobie ze mnie pokpiwa, pomyślała, prostując się na krześle.

- Zgoda, panie Saxton. Za mój sukces!

- Tylko dlaczego czuję się jak świnia prowadzona do rzeźni? - zauważył, uśmiechając się do niej kątem ust.

- Pan, panie Saxton - stwierdziła poważnie - wręcz pławi się w zarozumiałości!

- Mimo to nie powinienem chyba zamawiać pieczonej wieprzowiny, hmmmm?

- Być może świńskie podgardle byłoby bardziej stosowne.

- Skoro omówiliśmy już wszystko poza szynką, może pozwoli pani, bym skierował jej uwagę na gulasz rybny. Z pewnością uzna pani, że jest bez zarzutu, choć lepiej nie słyszeć, jak Francois wymawia słowo „bouillabaisse”.

Zwrócił menu właścicielowi i Francois przyjął zamówienie.

- Skłaniam głowę przed pańską wiedzą i doświadczeniem.

- Lecz nie przed moim dowcipem?

- O ile sobie przypominam, powiedział pan, że dżentelmen, o którego pytałam, nie posiada ani krzty dowcipu.

- Przez panią znowu złapałem się we własne sidła, madame, a muszę wyznać, że nie jestem do tego przyzwyczajony.

Uśmiechnął się do niej, a był to uśmiech szczery i pełen ciepła. Czy posługiwał się nim, by oczarować jej ojca? Poczula, że cała sztywnieje z gniewu.

- Jest wiele rzeczy, do których po prostu musimy się przyzwyczać - stwierdziła spokojnie.

- Czuję, że penetruje pani jakieś głębie, podczas gdy ja nadal grzęznę na płyciźnie. Nie wiedzieć czemu przypomina mi pani moją szwagierkę.

- Pańską szwagierkę? Teraz to ja tonę, sir.

- Ma na imię Giana i jest Angielką jak pani. Mieszka w Nowym Jorku z moim bratem, Alexem. To uparta pannica o silnym charakterze, lecz do tej pory mój brat chyba nauczył się sobie z nią radzić.

Najwyraźniej próbował wciągnąć ją w wesołą rozmowę, lecz Chauncey nie zwracała na to uwagi. Żona jego brata była Angielką, stąd angielscy krewni. Upiła łyk wina.

- Jak brzmiało panięskie nazwisko pańskiej szwagierki?

- Pańskiej? Skoro już nakłoniła mnie pani, bym towarzyszył jej podczas lunchu, wcześniej powierzając mi swoje pieniądze, być może powinna pani zwracać się do mnie po imieniu. Nie jestem taki stary, mam dopiero dwadzieścia osiem lat. Zbyt mało, aby odgrywać kochającego wujka.

- A zatem, jak brzmiało jej nazwisko... Delaneyu?

- Van Cleave - powiedział, przyglądając się bacznie Elizabeth. Usłyszał napięcie w jej głosie i nie rozumiał, czemu je przypisać.

- Van Cleave - powtórzyła Chauncey w zamyśleniu. - Obawiam się, że to nazwisko nic mi nie mówi.

- Anglia jest mała, lecz nie aż tak mała - powiedział. Z jakiegoś powodu nie miał ochoty informować jej, że matka Giany to Aurora Arlington, obecna księżna Graffton. Czyżby spodziewał się, że dziewczyna wybuchnie entuzjazmem, jak panna Stevenson? Nie, ona z pewnością by tak nie postąpiła. Lecz jak właściwie? Trudno mu było sobie to wyobrazić.

Na czas serwowania *bouillabaisse* przy stoliku zapanowało milczenie. W końcu Delaney zapytał, postukując palcami w kieliszek:

- Wszyscy się dziwią, dlaczego taka dama jak ty zdecydowała się odwiedzić San Francisco.

- I pan... to znaczy, ty, także?

- Oczywiście. Dano mi do zrozumienia, że nie tylko masz haczykowaty nos, ale jesteś straszną snobką. Z zadowoleniem stwierdzam, że to pierwsze mija się z prawdą. Co zaś się tyczy drugiego...?

- Och, oczywiście, że jestem snobką - powiedziała swobodnie. - Ta zupa smakuje wybornie.

Żołądek nie będzie mi ciążył, gdy pójdę do przytułku.

- Och, nie jest aż tak droga, panno Jameson. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że jesteś pierwszą damą, która kiedykolwiek zaprosiła mnie na lunch.

- Być może powinieneś popracować nad swoim urokiem osobistym.

- Widać nie jestem do końca pozbawiony zalet.

- Czy nie jest dobrze żyć w przyjaźni z własnym bankierem?

- Masz bardzo ostry języczek, jak na kobietę. Nie jestem do tego przyzwyczajony.

- Jak już powiedziałam, być może powinien pan nad sobą popracować, panie Saxton.

- Więc znowu jesteśmy na „pan”? No cóż, zasłużyłem na to. Proszę, wybac mi, że obraziłem słabą pleć. Lecz muszę powtórzyć, że nie jestem przyzwyczajony, by kobieta zabiegała o moje towarzystwo.

Przyglądał się jej bacznie, lecz ona wbiła wzrok w talerz i podniosła go dopiero, gdy, jak przypuszczał, odzyskała nad sobą kontrolę. Nie zajęło jej to zbyt wiele czasu.

Ku jego dalszemu zdumieniu Elizabeth uśmiechnęła się szelmowsko i machając w jego stronę widelcem, powiedziała:

- Nie miałeś przypadkiem ochoty powiedzieć „zbyt śmiała kobieta”, Delaney?

- Pani, panno Jameson - stwierdził, odchylając się do tyłu i zakładając na piersi ramiona - stanowi dla mnie zagadkę.

- Czyżbyś nie lubił zagadek?

- Przeciwnie. Ciekawostki dodają życiu smaku. Chauncey zaczerwieniła się.

- Nie jestem ciekawostką!

- Może bogatą, dobrze wychowaną ciekawostką?

- Przynajmniej kiedy piję popołudniową herbatę, nie urządzam z tego przedstawienia!

- Biedna pani Stevenson. - Pokiwał głową. - Tak bardzo się stara, czyż nie?

Nim Chauncey zdążyła odpowiedzieć, do ich stolika podszedł jakiś dżentelmen. Idąc ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy Chauncey.

- Ach, Tony - powiedział Delaney uprzejmie. - Ile ciętych artykułów już dziś napisałeś?

- Zaledwie jeden, Del - odparł Tony, nadal wpatrując się w Chauncey.

- Wybac mi. Panno Jameson, pozwoli pani, że przedstawię jej Anthony'ego Dawsona, jednego ze współwłaścicieli naszej najbardziej rzetelnej gazety, Alta California. Tony próbuje również pisać.

Dlaczego ten przeklęty facet po prostu sobie nie pójdzie? - pomyślała Chauncey w dziesięć minut później. Próbowwała być uprzejma, lecz jej głos zdradzał zniecierpliwienie.

Delaney o mało nie parsknął śmiechem, przysłuchując się z pozornym znużeniem, jak Tony sączy w śliczne uszka panny Jameson nieskończoną listę komplementów. Komplementy go nie zaskoczyły, jedynie brak reakcji na nie. Tony to przystojny mężczyzna, pomyślał, a jednak panna Jameson w ogóle nie jest nim zainteresowana. Dlaczego wybrała mnie?

- Wietrzę kolejne oświadczyzny - powiedział kpiąco, wyprowadzając swą towarzyszkę z restauracji.

- Mam nadzieję, że się mylisz - odparła Chauncey, marszcząc brwi.

- Chyba będziesz musiała do nich przywyknąć, jeżeli dłużej pozostaniesz w San Francisco. Tony Dawson to porządny facet, możesz mi wierzyć.

Porządni mnie nie interesują!

- Czy mogę się spodziewać, że odwiedzisz mnie wkrótce w hotelu?

- Zrobię wszystko, aby utrzymać wilki z dala od ciebie, droga pani.

Nie poprosił, by znów się z nim spotkała. Zwlekała z rozstaniem, ale na próżno.

- Może wstąpiłbyś do mnie na herbatę, Delaney? - spytała w końcu, zdesperowana. -

Prawdziwą, angielską herbatę?

Lecz on tylko uniósł brwi.

- Wybacz, proszę, lecz muszę zadbać o bezpieczeństwo twoich brylantów. Mam nadzieję, że spodoba ci się San Francisco.

Po czym uchylił kapelusza i odszedł.

Co z nim jest nie tak? - pomyślała Chauncey, czując, jak przepelnia ją frustracja. Przecież odpowiadało mu jej towarzystwo, była tego pewna. Przeklęty łajdak!

ROZDZIAŁ 9

Trzy dni zabrało jej oczekiwanie, by Delaney Saxton coś zrobił. By zrobić cokolwiek. Kilka razy natknęła się na niego, kiedy była wraz z Mary na zakupach, lecz on tylko pozdrawiał ją grzecznie i szedł w swoją stronę.

- Co jest nie w porządku z tym facetem? - mamrotała pod nosem, odrzucając z drogi kamyk czubkiem parasolki. - Czy mam polować na niego tak, jak poluje się na lisa?

Mary nie odpowiedziała. Zbyt była zajęta podziwianiem uroków placu Portsmouth.

- Tutaj, panienko Chauncey - powiedziała, przerywając tok ponurych myśli swej pani - aż do zeszłego roku mieścił się teatr imienia Jenny Lind.

Proszę sobie tylko wyobrazić! Tyle zachodu, by uczcić żyjącą Jenny Lind, która nigdy tu nie przyjechała. Jeden z portierów, Bob, powiedział mi, że teatr spłonął aż trzy razy. W końcu pan Maguire sprzedał go miastu i teraz mieści się tu ratusz San Francisco.

- Bez wątpienia musiał odetchnąć z ulgą - stwierdziła Chauncey niezbyt miłym tonem, spoglądając na przesadną ornamentykę budynku z amerykańską flagą.

- Tak naprawdę to chciałabym pójść do El Dorado. To prawdziwa szulernia - mówiła dalej Mary, wskazując na olbrzymi malowany szyld, zdobiący budynek tuż obok ratusza. Swoją drogą trudno sobie wyobrazić, że szulernia może stać tuż obok gmachu rządowego - dodała, chichocząc.

- No dobrze, Mary - westchnęła Chauncey.

- Spróbuję przestać być taką nudziarą. Porozmawiajmy o pogodzie.

- Jak ciepło! - mruknęła Mary. - Pomyśleć, że jest luty, a mamy na sobie tylko lekkie płaszczyki.

- Cudownie - zgodziła się z nią Chauncey.

- A teraz wysłuchamy zachwyków na temat zatoki.

- Jej wody błyszczą niczym morze szafirów - stwierdziła ochoczo Mary. - Niechże się panienska rozchmurzy. Jeszcze nie wszystko stracone. Idzie pani dzisiaj na przyjęcie do Newtonów. Pan Saxton z pewnością tam będzie.

- Owszem - powiedziała szorstko Chauncey - podobnie jak panna Penelopa Stevenson.

- Ach - westchnęła tylko Mary. Wieczorem, kiedy układała włosy swej pani, ta wysilała umysł, by opracować odpowiednią strategię.

- Być może pan Saxton naprawdę kocha pannę Stevenson - stwierdziła po raz kolejny Mary.

- Też coś - oburzyła się Chauncey. - Ona w ogóle nie myśli.

- Lecz jest wystarczająco ładna, z pewnością śmieje się ze wszystkich dowcipów pana Saxtona i potrafi poprowadzić dom. Tak jakby mężczyznom zależało, aby kobiety miały rozum!

- Mówisz to na podstawie doświadczenia? - spytała ironicznie Chauncey, unosząc brwi. - Jesteś o rok młodsza niż ja. A poza tym panna Penelopa nawet nie wie, kiedy powinna się roześmiać. I tylko czasami udaje jej się z tym utrafić. Tak, jedyne, czego mi trzeba, to bezbłędnie ułożony plan.

- Ma panienka zamiar uprowadzić pana Saxtona?

- Kto wie, jeśli i dziś nie poświęci mi wystarczająco dużo uwagi... Choć nie, nie całkiem, ale...

- Ponieważ będzie tam panna Stevenson, nie może pani zachowywać się zbyt śmiało. No i chyba nie oczekuje pani, że mężczyzna porzuci swą narzeczoną, gdy tylko panienkę zobaczy.

- Ona nie jest jego narzeczoną!

- Jeszcze.

- Zobaczymy - stwierdziła Chauncey z uporem w głosie.

- Czy wspominałam pani, że spotkałam po południu kamerdynera pana Saxtona?

- Mary! - Chauncey odwróciła się gwałtownie na krześle, posyłając służącej pełne wyrzutu spojrzenie.

- Ma na imię Lucas i jest dość miły. Przedstawił mi się, co oczywiście było dość śmiało z jego strony, a potem zaproponował, że poniesie jedyny leciutki pakunek, jaki miałam ze sobą. Z tą drewnianą nogą i opaską na oku wygląda zupełnie jak pirat.

- I co, dowiedziałaś się czegoś? - spytała Chauncey z podziwu godną cierpliwością.

Mary uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, panienko. Powiedział mi, że w tym miesiącu na placu Portsmouth będą miały miejsce uroczyste obchody dnia urodzin pana Waszyngtona.

- Mary!

- Zupełnie straciła panienka poczucie humoru. No dobrze, już dobrze. Pan Saxton co dzień rano jeździ konno. Najczęściej po Rincon Hill.

- Ach - powiedziała Chauncey. Jej mglisty plan wreszcie zaczynał nabierać kształtu.

Podczas przyjęcia u Newtonów Delaney Saxton przechodził samego siebie, jeśli chodzi o uprzejmość. Zaproszono tylko sześcioro gości i Delaney domyślił się, że panna Jameson została zaproszona z uwagi na Tony'ego. Chociaż Delaney całą uwagę poświęcał, jak należy, Penelopie, to słuchając jej rozkosznej paplaniny, przez cały czas myślał o panie Jameson. Roześmiał się miękko, przypomniawszy sobie słowa Lucasa.

- Ona jest tobą zainteresowana, Del. Ta jej pokojówka, rezolutna dziewczyna imieniem Mary, wypompowywała ze mnie informacje, aż wreszcie poczułem się niczym wyschła studnia.

Boże, ależ ona wspaniale wygląda, pomyślał, spoglądając na Chauncey, siedzącą pomiędzy Tonym Dawsonem a panią Newton. Jej dźwięczny śmiech rozbrzmiewał ponad stołem, a pełne mlecznobiałe piersi unosiły się przy każdym oddechu. Poczul skurcz pożądania i, zirytowany swoją reakcją, postanowił, że po przyjęciu natychmiast uda się do Marie. Do licha, podobał mu się nawet nos Elizabeth, mały i prosty, o zdecydowanie arystokratycznym kształcie nozdrzy. I te jej pełne wargi.

- Słyszałeś choć słowo z tego, co powiedziałam, Del?

Odwrócił się ku ślicznej dziewczynie u swego boku i obrzucił ją leniwym spojrzeniem.

- Wybacz mi, moja droga - powiedział gładko.

- Prawdę mówiąc - dodał nieco głośniejszym głosem - rozważałem właśnie, jaki wpływ miała filozofia Spinozy na florę i faunę San Francisco.

- Ależ to nie ma nic wspólnego z moją nową suknią! Nie podoba ci się, Del? Tata zapłacił za nią fortunę, możesz mi wierzyć!

- Ale Spinoza, moja droga... - zaprotestował Delaney.

- Jak przypuszczam, to jakiś polityk ze Wschodu - warknęła gniewnie Penelopa.

- Nie - zaprzeczył Delaney - powiedziałbym, że to raczej ktoś w rodzaju członka straży

obywatelskiej.

Uśmiechnął się pod nosem, słysząc, jak panna Jameson gwałtownie wciąga powietrze, a Horacy Newton wybuchła szczerym śmiechem.

- Del, jesteś niemożliwy! - powiedział, ocierając z twarzy plamkę sosu.

- Być może, jednak bez rzeczy niemożliwych życie byłoby okropnie nudne, czyż nie?

Chauncey pomachała w jego stronę widelcem.

- Doprawdy, panie Saxton, nie powinien pan wygłaszać takich niedorzeczności. Przecież wszyscy wiemy, że Joe Spinoza stanowi znaczący przykład pokrętej logiki, głoszonej przez torysów, aby utrzymać te okropne ustawy zbożowe.

- Obawiam się, panno Jameson - powiedział Delaney, pochylając się nad stołem, by lepiej ją widzieć - że pomyliła pani Joego Spinozę z jego bratem Otisem. Otis, jak wszyscy wiemy, pędzi życie w koronach drzew, przyglądając się, jak liście zmieniają kolor.

- Przestańcie na chwilę - zawołał Tony. - Muszę to zapisać!

- Proszę nawet o tym nie myśleć - zaprotestowała uprzejmie Chauncey. - Pan Saxton poczuje się zażenowany, gdy w końcu dowie się, że Otis Spinoza nie tylko nie mieszka w koronach drzew, lecz spędza życie głównie w północnej Afryce, badając wpływ wiatrów pustynnych na kształt wydm.

- Jestem pewna, panno Jameson - wtrąciła ostro Penelopa - że Del się nie myli! Wie pani, on jest bardzo wykształcony i czyta mnóstwo książek.

- Ależ nie! - wykrzyknęła Chauncey, udając zaskoczenie. - Tylko nie książki! Jestem pewna, że panna Stevenson żartuje sobie z pana.

- Moja córka nigdy nie żartuje - stwierdziła dobitnie pani Stevenson.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała Chauncey, uśmiechając się czarująco. - To oczywiste.

- Są rzeczy, których młode damy nigdy nie powinny robić - zauważył Delaney głośno.

- Takie jak udowadnianie mężczyznom, że są głupcami? - zapytał Tony Dawson.

- Zwłaszcza to.

- Proponuję, byś zbyt szybko nie wstawał, Delaney - wtrącił pan Newton. - Mogłoby się bowiem okazać, że jesteś o dobry cal niższy.

Delaney uśmiechnął się do Chauncey i uniósł swój kieliszek.

- Wznoszę toast za młode damy, które zapomniały, że Amerykanie już dwa razy wykopali Anglików za Atlantyk.

- Za Otisa Spinozę, oby wkrótce zbudował sobie chatkę na drzewie! - wykrzyknął Tony.

- Za amerykańskich dżentelmenów, którzy nie potrafią znieść, że zostali okpieni i muszą szukać pociechy w historii!

- Za dżentelmenów - powiedziała pani Agatha Newton, wstając z szumem jedwabnych spódnic - którzy zostaną teraz sami, by raczyć się swoim portem!

Pani Newton wymaszerowała z pokoju, starając się powstrzymać wesołość. Sally Stevenson powiedziała jej, że panna Jameson to straszna snobka. Sally zawsze była głupia, pomyślała teraz, przyznając, że zaprosiła pannę Jameson tylko z uwagi na Tony'ego, który odgrywał zakochanego w tak przekonujący sposób, że nie miała serca mu odmówić.

Napotkała spojrzenie panny Jameson i parsknęła cichym śmiechem.

- Moja droga - powiedziała, dotykając leciutko ramienia dziewczyny - bałam się, że jeśli pozwolę wam kontynuować, bez wątplenia wysokie mniemanie o sobie naszych dżentelmenów znacznie na tym ucierpi.

- Lubię wprowadzać do rozmowy jakiś ożywczy element, madame - powiedziała Chauncey, której spodobała się starsza od niej kobieta. W jakiś nieuchwytny sposób przypominała jej zmarłą sześć lat wcześniej ciotkę Lucy, siostrę jej matki.

- Mnie wcale nie wydało się to zabawne - powiedziała Penelopa.

- Nie - zgodziła się z nią Agatha - oczywiście, że nie. Czy nie zagrałabyś dla nas, Penelopo? Tak ładnie wyglądasz przy fortepianie.

- Zaczeka, aż przyjdą panowie - powiedziała pani Stevenson.

- No cóż, ma pani rację, madame - stwierdziła Chauncey kpiąco. - Szkoda marnować na nas talent.

Delaney nie potrafił zrozumieć pobudek swego postępowania. Panna Jameson wydała mu się fascynująca, a jej dowcip ostry niczym brzytwa. Starli się jak w czasie pojedynku i ta potyczka sprawiła mu wielką przyjemność. Pukając do drzwi Marie, uśmiechał się sardonicznie, zdawał sobie bowiem sprawę, iż zamierza posłużyć się ciałem kochanki, by złagodzić požądanie, jakie odczuwał wobec Elizabeth Jameson.

Nawet gdy w kilka minut później pieścił ciało Marie, oczami wyobraźni nadal widział białe piersi Elizabeth.

- *Mon amour* - szepnęła miękko Marie, kierując jego dłoń w dół - o czym myślisz?

- Myślę o tym, jak bardzo pragnę znaleźć się głęboko w tobie - odparł Delaney, tłumacząc sobie jej łamaną angielszczyznę. Wciągnął Marie na siebie i zanurzył się w niej głęboko. - Ach - powiedział - teraz nie myślę o niczym.

Jego ostatnia myśl, nim doszedł, dotyczyła tego, jak wyglądałaby Elizabeth, gdyby to ona dosiadała go okrakiem, z wygiętymi w łuk plecami i opadającymi na nie splotami włosów.

Nie został u Marie na noc, co wprawiło jego przyjaciółkę w konsternację. Nie obszedłem się z nią zbyt dobrze, pomyślał, wracając ciepłą nocą do domu. A wszystko przez tę małą wiedźmę.

Dwa dni później Delaney spotkał się na lunchu z Tonym Dawsonem, Danem Brewerem i Horacym Newtonem. Umówili się w lokalu, nazywanym „U Kapitana Croppera”.

- Przeklęty Limantour! - mruknął Horacy, nadziejąc na widelec kęs piezzonego żółwiego mięsa. - Wiesz, Tony, ten sukinsyn spotkał się z nami w siedzibie Komisji do Spraw Ziemi i przedstawił całą tonę dokumentów. Twierdzi, iż jest właścicielem sporej części miasta, wyspy Alcatraz i Yerba Buena.

- Nie zapominaj o wyspach Farallon - uzupełnił Delaney.

- To wszystko jeden wielki szwindel - stwierdził Tony. - I nikt się szczególnie nie przejmuje tą sprawą, Horacy.

- Ciekawe, dlaczego - powiedział Dan. - Mam nieprzyjemne przeczucie, że ten człowiek przysporzy nam w przyszłości wielu kłopotów.

Tony zamówił jeszcze jedną kolejkę piwa. A kiedy przyniesiono kufle, podniósł swój.

- Za twoją kopalnię „Gwiazda Północy”, Del. Dan twierdzi, że okazała się bardzo zyskowna.

- Wystarczająco - powiedział Delaney. - Rudy jest tam pod dostatkiem, lecz mam wrażenie, iż żyła kwarcu wkrótce się wyczerpie.

Jego myśl pobiegła ku Paulowi Montgomery'emu. Spochmurniał. Nim uda mu się czegoś dowiedzieć, miną miesiące. Postanowił, że dopóki nie porozumie się z tym człowiekiem, nie wyśle do Anglii ani grosza więcej.

- Słyszałem o jakichś kłopotach - powiedział Horacy, osłaniając usta dłonią, gdyż właśnie mu się

odbiło.

- Tak, rzeczywiście. Przysporzyli mi ich ci zbóje z Sydney. Tym razem ich chciwość zwyciężyła resztki rozsądku.

- Przynajmniej nie ma ich już w San Francisco - zauważył Tony. - Przegapiłeś całe zamieszanie, Del. Kiedy straż obywatelska usuwała ich z miasta, ty akurat włóczyłeś się po Anglii.

- Czego rezultatem było nabycie „Gwiazdy Północy” - stwierdził sucho Delaney. Wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że górnicy poradzą sobie przez jakiś czas sami. Nie zależy mi zbytnio na tym, by odgrywać rolę zarówno sędziego, jak kata.

- A skoro już mowa o kłopotach, Del, to kiedy zamierzasz podjąć decyzję? Widziałem się niedawno z Bunkerem Stevensonem. Stary Bunker zaczyna się już zastanawiać, czy nie masz przypadkiem zamiaru zwinąć żagli.

Horacy mrugnął do niego ponad oprawką okularów.

- Co do mnie - oznajmił Dan szelmowsko - uważam, że Delaney nadal żegluje po otwartym morzu i wcale nie jest przesądzone, komu w końcu uda się go dogonić.

- Ja? - zapytał obojętnie Delaney, mimo iż jego serce natychmiast zaczęło szybciej bić. - Ja miałbym uciekać, i to przed dwunożną żrebicą?

- No cóż, Agatha nie może się nachwalić tej dziewczyny - powiedział Horacy. - Słyszałem, jak mruczy pod nosem, że panna jest zbyt bystra, by mogło jej to wyjść na dobre. Ciekawe, jaki mężczyzna zechce się z tym zmierzyć.

- Sam Brannan powiedział mi, że Córy Miniver już rzucił na ring swój kapelusz, podobnie jak tuzin innych kawalerów - oznajmił Dan. - Jednak dziewczyna nie dała mu szans.

- Dziś wieczór zabieram ją do teatru - powiedział Tony. - Będzie coś z Szekspira, a skoro panna Jameson jest Angielką, pomyślałem, że to powinno jej się spodobać.

- O co chodzi, Tony? - zapytał Delaney. - Sądziłem, że dobrze ci się powodzi. Z pewnością nie musisz uganiać się za dziedziczką.

Tony o mało nie zakrztusił się piwem. Jego przystojna twarz pociemniała z gniewu.

- Ona jest damą, Del! Nie obchodziłoby mnie, gdyby nie miała nawet grosza!

- Nie, oczywiście, że nie - oświadczył Delaney zgodnie. - Teatr, powiadasz?

- Taa...

- Marie aż rwie się, aby zobaczyć coś Szekspira. Więc może spotkamy się tam wieczorem.

- Boże, Del - wykrztusił Dan, przełykając gwałtownie piwo. - Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy zobaczy cię tam Stevenson. W dodatku z kochanką!

Ach, pomyślał Delaney, uśmiechając się szatańsko do swoich przyjaciół, bardziej obchodzi mnie, co o tym pomyśli panna Jameson!

W trakcie dosyć poruszającego przedstawienia „Burzy” Chauncey z rozbawieniem obserwowała istny grad morderczych spojrzeń, jakich rodzina Stevensonów nie szczędziła Delaneyowi. Jego kochanka jest śliczna, oceniła Chauncey. Sama tylko raz napotkała spojrzenie Delaneya Saxtona. Odpowiedziała na nie wyraźnym przymrużeniem oka. Z zadowoleniem stwierdziła, że oczy Delaneya pociemniały. Pozwoliła sobie uwierzyć, że ów gniew spowodowany był faktem, iż nie tylko nie okazała cienia zazdrości, ale nawet dezaprobaty.

Podczas antraktu Tony Dawson nagryzmolił szybką recenzję, która miała znaleźć się w jutrzejszym wydaniu Alta.

- Teatr doprawdy robi wrażenie - powiedziała Chauncey, gdy sztuka dobiegła końca i Tony odprowadzał ją do wyjścia.

- Zauważyłem jednak - wtrącił Tony, bacznie przyglądając się swej towarzyszce - że publiczność interesowała panią znacznie bardziej niż aktorzy.

- Doprawdy? Muszę przyznać, iż zaskoczyło mnie, że tutaj panowie otwarcie afiszują się ze swymi kochankami. W Londynie tak się nie postępuje, a przynajmniej nie sędzę, aby tak było.

- Naprawdę nie powinna pani nic o tym wiedzieć - mruknął Tony.

- A już zwłaszcza mówić...? - stwierdziła Chauncey swobodnie. - Mówiąc „pani” miał pan na myśli wszystkie niewinne, skromne młode damy, prawda? Dobrze urodzone i wychowane tak, by udawały ślepe, głuche i niemądre?

Pomyślała; iż Delaney Saxton z pewnością chętnie pozartowałby na temat relacji pomiędzy mężczyznami a ich kochankami.

- Proszę, niech mi pan wybaczy, Tony - powiedziała, starając się zagłuszyć każdą pozytywną myśl na temat Delaneya. - Od tej chwili będę już grzeczna, obiecuję. Miałabym ochotę na późną kolację w restauracji „Pod Pudlem”. Słyszałam, co tam się znajduje na czwartym piętrze - mówiła Chauncey z niepowstrzymaną ciekawością w głosie. - Czy nie mogłabym choć zerknąć...?

- Panno Jameson!

- Są tam specjalne gabinety, prawda? Oraz wszelkiego rodzaju zbytkowne meble? I skomplikowany system dzwonek, którymi można przywołać bardzo dyskretnego kelnera? Ojej, znowu to robię.

- Panno Jameson, Elizabeth... - zaczął.

Jego głos brzmi tak miękko, że chyba mógłby nim kroić masło, pomyślała Chauncey z niechęcią. A przecież Tony ze swoimi gęstymi, ciemnymi włosami i bokobrodami był bardzo przystojny. Szybko odwróciła wzrok. Najwidoczniej Tony miał zamiar się oświadczyć, a ona nie chciała go zranić. Usłyszała, jak wzdycha ciężko i zaczyna coś mówić na temat artykułu dotyczącego Russ Gardens, nowego parku rozrywki, który wkrótce miał zostać otwarty w pobliżu misji Dolores.

- Russ to emigrant z Niemiec, prawda, Tony?

- Tak - potwierdził Tony, wzdychając. - Jego pełne nazwisko brzmi Christian Russ. To będzie rodzinny park rozrywki, z występami zespołów muzycznych i ustawionymi pod drzewami stołami.

- Nie byłam jeszcze na torze do konnej jazdy - powiedziała Chauncey.

- Lubi pani konie, panno Jameson?

- Uwielbiam jazdę konną, Tony. Kupiłam właśnie prześliczną arabską klacz. Nazywa się Yvette.

A jutro skoro świt Yvette i ja pogalopujemy sobie po Rincon Hill.

ROZDZIAŁ 10

Chauncey odetchnęła rześkim powietrzem poranka i skierowała Yvette ku Rincon Hill. Widok zapierał dech i nigdzie nie widać było ani skrawka mgły.

- Spokojnie, maleńka - powiedziała, głaszcząc piękną szyję klaczy. - Tam oto znajduje się Russian Hill. Spójrz tylko na te domy! Powinnam była wziąć z sobą Mary. Ona z pewnością wiedziałaby, kto w nich mieszka.

Nagle spochmurniała. Zdawała sobie sprawę, że samotna wyprawa to niezbyt mądry pomysł, lecz przecież miała rewolwer, który tkwił bezpiecznie wciśnięty w kieszeń zielonego żakietu. Obróciła się w siodle, by spojrzeć w kierunku domu Saxtona na południowym stoku wzgórza. Widziała już dziś Delaneya. Rozmawiał z Lucasem, a przynajmniej sądziła, że musiał to być Lucas, ponieważ mężczyzna miał na oku czarną przepaskę, która nadawała mu wygląd człowieka zdecydowanie niebezpiecznego.

Gdzie pan jest, panie Saxton? Zresztą, do licha z tobą!

Choć od wizyty w teatrze minęły już dwa dni, Delaney nie zrobił absolutnie nic, by ją odszukać.

- Teraz, drogi panie - szepnęła do chłodnej bryzy, która rozwiewała jej włosy - sprawy wymknęły ci się z rąk. Postępuję słusznie, realizując mój plan. I nie okażę się tchórzem.

Zobaczyła go. Jechał na czystej krwi ogierze jasnej maści, którego złota grzywa połyskiwała w słońcu. Jeździ bardzo dobrze, stwierdziła Chauncey obiektywnie, oddając cesarzowi co cesarskie. Wkrótce mnie spostrzeże, a wtedy przekonamy się, jak dalece potrafi być rycerski wobec damy w potrzebie.

Popędziła Yvette, która zaczęła galopować. Zmusiła się, by wydać okrzyk przestraszenia, po czym puściła wodze. Klacz natychmiast wydłużyła krok i Chauncey przesunęła się na siodle. Zobaczył ją! On także pośpieszył konia i teraz galopował, przytulony do jego szyi.

Chyba już pora, by z wdziękiem osunąć się na murawę, pomyślała.

Na wschodnim stoku rosło kilka drzew. Chauncey nie zauważyła sosny o szerokich, nisko rosnących gałęziach, a gdy ją spostrzegła, było za późno. Jej krzyk zabrzmiał bardzo realnie. Uderzyła głową o gałąź i stoczyła się z siodła, padając na ziemię niczym worek kartofli.

Delaney zdawał sobie sprawę, że panna Elizabeth pojawiła się tutaj, aby go spotkać, lecz teraz to nie miało znaczenia. Na widok leżącego bezwładnie na skalistym stoku ciała ogarnął go strach. Zeskoczył z konia, ukląkł przy kobiecie i dotknął jej szyi, aby sprawdzić puls. Ledwie go wyczuwał. Poklepał ją po policzku.

- Panno Jameson! Proszę się obudzić!

Powieki Chauncey zatrzepotały. Otworzyła oczy i spojrzała na Delaneya.

- Do licha - zaklęła cichutko, próbując się podnieść. Jęknęła, uniosła dłoń do skroni i znów osunęła się na trawę. - To nie tak miało być - szepnęła.

- Wiem - powiedział chłodno. - Uderzyłaś się w głowę i musisz leżeć spokojnie. Czy coś cię boli?

Chauncey poczuła, że znów ogarnia ją ciemność. Zwilżyła wargi językiem, lecz nie zdołała się odezwać.

- Elizabeth - powiedział Delaney, czując, że strach skręca mu wnętrzności.

Nagle uświadomił sobie, że klęczy pomiędzy jej rozrzuconymi szeroko nogami. Uniosła kolana, próbując wstać, i teraz wyglądali, jakby zaraz mieli zacząć się kochać. Starł pot z czoła i zmusił się, by wyprostować jej nogi i okryć je suknią.

- Jezu - mruknął pod nosem - to nie do wiary! Leż spokojnie, Elizabeth. Nawet nie próbuj się ruszać. Zaraz sprowadzę pomoc.

Zauważył Joego Thatchera, zgarbionego na koźle swego wozu z piwem i zaczął go przywoływać, wymachując rozpaczliwie rękami.

- Wypadek, co? - zapytał Joe lakonicznie, zeskakując z kozła. - Do licha, panie Saxton, to ta bogata angielska dama.

- Tak - stwierdził krótko Delaney. - Zamierzam przenieść ją na twój wóz, Joe. Spróbuję zbytnio jej przy tym nie poruszyć. Mój dom znajduje się najbliżej, więc zawieź nas tam.

Joe splunął tytoniem i odryglował zawiasy, mocujące z tyłu wozu klapę, którą następnie opuścił.

- Proszę, panie Saxton. Nie jest tu może zbyt czysto, ale...

- W porządku.

Zorientował się, że dziewczyna jest przytomna, choć oczy ma zamknięte.

- Trzymaj się, Elizabeth. Muszę cię podnieść. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Wsunął dłonie pod jej ramiona i pośladki, a potem powoli uniósł ją w ramionach. Jęknęła cicho, a on zamrugał, poruszony tym dźwiękiem. Ostrożnie ułożył ją na stercie dość mocno woniejących koców i ulokował się tuż obok niej.

- Jedź powoli, Joe. Nie wiem, na ile poważne są jej obrażenia.

Joe splunął ponownie i zaciął konie. Delaney przez cały czas trzymał Elizabeth za ramiona, starając się, by jej głowa nie podskakiwała na niemożliwych do ominięcia wybojach.

Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim Joe zajechał pod dom.

Na miejscu błyskawicznie wepchnął Joemu w dłoń dolara i krzyknął ile sił w płucach:

- Lucas!

Drzwi wejściowe otwarły się i stanął w nich kamerdyner. Wystarczył mu jeden rzut oka, by prawidłowo ocenić sytuację.

- Cholera! - zaklął krótko, ale treściwie.

- Tak - zgodził się z nim Delaney. - Uderzyła w gałąź i spadła z konia. Mam zamiar zanieść ją na górę. Poślij po doktora Morrisa. A potem - krzyknął w ślad za oddalającym się Lucasem - zajmij się Brutusem i kłaczą pani. Oba konie włóczę się gdzieś po Rincon Hill!

W holu Delaney natknął się na Lin, spoglądającą na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

Mruknęła coś po chińsku, lecz mężczyzna nie zatrzymał się. Zaniósł Elizabeth na piętro, kopnięciem otworzył sobie drzwi sypialni i położył dziewczynę na swoim łóżku.

- Elizabeth - powiedział miękko, a potem delikatnie przesunął dłonią po jej policzku. Paskudna opuchlizna na prawej skroni pokryta była warstwą kurzu. Powtórzył jej imię i w końcu Chauncey, do której każdy dźwięk dobiegał jakby z odległości wielu mil, zmusiła się, aby otworzyć oczy.

- Boli - szepnęła, zagryzając wargi.

- Gdzie, poza głową?

- Chyba żebra.

Delikatnie zdjął jej kapelusz do konnej jazdy i odgarnął z twarzy włosy.

- Wkrótce będzie tu lekarz. Nie, nie próbuj się poruszać.

- To nie fair - mruknęła, powstrzymując jęk bólu.

- Wiem. Każę natychmiast ściąć to podłe drzewo.

- Nie waż się mnie rozśmieszać!

- Przepraszam.

- To nie miało tak wyglądać. Delaney uśmiechnął się mimo woli.

- A zatem, maleńka, chciałaś, by zdarzył się wypadek, ale niezupełnie prawdziwy.

Zamknij się, Chauncey! Czyżbyś do reszty postradała rozum?

Odwróciła głowę, po czym zakwilila cicho i osunęła się w błogosławioną ciemność.

Delaney usiadł obok i ujął w dłoń jej bezwładną rękę.

To ręka damy, pomyślał, przyglądając się smukłym palcom, zakończonym nieskazitelnie wypolerowanymi paznokciami. Rozpiął mosiężne guziki zakietu, choć to i tak niewiele pomogło. Elizabeth nadal oddychała z trudem.

- Cholera! - zaklął cicho, spoglądając na szybko ciemniejący siniak na skroni dziewczyny. Nigdy dotąd nie czuł się aż tak bezradny. Niecierpliwie przysłuchiwał się tykaniu zegara. Dlaczego znowu straciła przytomność? - Elizabeth - powiedział miękko, lecz ona nawet się nie poruszyła. Na szczęście, ku jego wielkiej uldze, usłyszał dobiegające od strony schodów sapanie Doca Morrisa.

- I co my tu mamy, Del? - zapytał lekarz, wchodząc do sypialni. - Aaa, to ta angielska dama. Co się, u licha, zdarzyło? Lucas bąkał coś o upadku z konia.

Delaney wstał z łóżka.

- Martwi mnie stan jej głowy, no i mówiła, że bolą ją żebra. Rzeczywiście, to był poważny upadek. A tuż przedtem uderzyła głową o gałąź.

- Przez cały czas jest nieprzytomna?

- Nie, to traci, to odzyskuje przytomność. Saint Morris zdjął surdut i podwinął rękawy.

- A zatem, zobaczmy.

Delaney odsunął się nieco, obserwując uważnie, jak bardzo kompetentny Saint, jeden z niewielu prawdziwych lekarzy w San Francisco, delikatnie naciska powiększającą się opuchliznę na głowie Elizabeth. Delaney zawsze uważał Sainta za najbardziej solidnego człowieka, jakiego znał. Ze swoją baryłkowatą piersią i szerokimi ramionami Doc z wyglądu przypominał co prawda drwala, lecz jego wielkie dłonie potrafiły być niewiarygodnie delikatne.

- Dziewczyna prawdopodobnie znajduje się w stanie szoku - stwierdził rzeczowo. - Niech diabli wezmą te absurdalnie skomplikowane ubrania, które kobiety upierają się nosić! Zawołaj Lin Chou, Del. Nie mogę jej zbadać przez wszystkie te warstwy!

Delaney poczuł ulgę, że wreszcie może zrobić coś pożytecznego. Lin Chou stała na korytarzu obok Lucasa.

- Z panią wszystko dobrze? - spytała.

- Doc musi jakoś ją rozebrać. Pomóż mu. Zaczekam na zewnątrz, dopóki nie skończycie. I, Lin, włóż jej tę moją koszulę nocną, której nigdy nie używałem. Znajdziesz ją w dolnej szufladzie.

- Cholera - powtórzył Lucas, spoglądając na twarz swego pana.

- Taa... - stwierdził Delaney nieobecny tonem, przesuując dłonią po włosach.

- Co ona, u licha, robiła na Rincon Hill?

- Powinieneś wiedzieć. W końcu to ty opowiedziałeś jej pokojówce o wszystkich moich nawykach.

- Więc o to chodzi - zamyślił się Lucas. - Chciała się z panem spotkać.

- Na to wygląda. Cholera, dlaczego to trwa tak długo?

Przełknął ślinę, przypominając sobie bladą twarz Elizabeth i jej białe wargi. To wszystko jego wina. Gdyby nie odgrywał nieuchwytnego, nie musiałyby posuwać się tak daleko.

- Jestem cholernym idiotą - stwierdził.

W odpowiedzi Lucas tylko prychnął, a po chwili zaproponował:

- Lepiej sprowadzę tu jej służącą, Mary. Z pewnością na śmierć się zamartwia.

- Dobry pomysł, Luc. Saint wspominał coś o szoku i wstrząsie. Nie sądzę, żeby panna Jameson mogła od razu wrócić do hotelu. Powiedz pokojówce, by spakowała trochę rzeczy. Przez jakiś czas obie będą naszymi gośćmi.

Z chęcią napiłby się czegoś mocniejszego, lecz nie miał ochoty opuszczać posterunku pod drzwiami sypialni. Z wnętrza dobiegały go głosy Sainta i Lin, choć nie potrafił odróżnić słów. Wydawało mu się, że do chwili, kiedy drzwi wreszcie otwarto i z sypialni wyłonił się Saint, minął tydzień. Lekarz stanął w progu, opuszczając podwinięte rękawy koszuli.

- I co z nią?

- Gałąź zwyciężyła - powiedział Saint. - Dziewczyna wyjdzie z tego, ale przez jakiś czas będziesz miał u siebie nieplanowanego domownika. Nie mogę pozwolić, by ją przenoszono, nie w tym stanie. Co do jej żeber, to, o ile mogłem stwierdzić, chyba kilka z nich zostało złamanych. Przez parę następnych tygodni z pewnością nie będzie miała ochoty na skoczne tańce.

- Czy jest przytomna?

- Nie, i to chyba lepiej. Lin powiedziała, że masz w domu zapas laudanum. Będzie jej potrzebne.

- Żadnych wewnętrznych obrażeń?

- Raczej nie. Te przeklęte ubrania mają przynajmniej jedną zaletę: chronią przed skutkami upadku. A teraz, Del, chętnie napiłbym się whisky.

A widząc, że zatroskane spojrzenie Delaneya powędrowało znowu ku drzwiom sypialni, dodał:

- Nic więcej nie możesz teraz zrobić, Del. Lin zawoła cię, kiedy ranna odzyska przytomność. Wtedy będę mógł zbadać jej brzuch.

- Posłałem Lucasa po pokojówkę i ubrania. Kiedy dotarli do biblioteki, Saint spojrzał na gospodarza z ukosa i powiedział:

- Dan Brewer wspominał mi o tej dziewczynie. Podobno ona bardzo się tobą interesuje...

- A któż to może wiedzieć - odparł Delaney. - Jest taka... niesforna.

- Śliczne stworzenie. Nigdy nie przepadałem za kobietami cichymi jak myszki. To nienaturalne.

- Oto twoja whisky, Saint.

Mężczyźni stuknęli się szklaneczkami i jednym haustem opróżnili ich zawartość.

- Zostaniesz, dopóki nie odzyska przytomności?

- Nie mogę, Del. Pani Cutter rodzi trzecie dziecko. Ponieważ ma już w tym pewną wprawę, przyjechałem najpierw tutaj. Ale nie martw się, wrócę. Kiedy dojdzie do siebie, przypilnuj, by leżała spokojnie i nie denerwowała się. I możesz podać jej nieco laudanum w wodzie. Z pewnością będzie tego potrzebowała.

Lin wyglądała zupełnie jak mały, zaborczy piesek, pilnujący swej pani, pomyślał Delaney, wchodząc do sypialni. Chinka stała przy łóżku, nieruchoma niczym posąg, nie spuszczać wzroku z twarzy panny Jameson.

Chora była przykryta tylko do pasa, prawdopodobnie, by nie podrażnić złamanych żeber, i Delaney uśmiechnął się, poznając swoją koszulę.

- Panienska nawet nie drgnęła - powiedziała Lin.

- Możesz już zejść na dół, Lin. Lucas wkrótce przywiezie tu pokojówkę panienski. Do tego czasu ja z nią posiedzę.

- Jest bardzo ładna - powiedziała Lin. - Jak na białą kobietę.

- Jako biały mężczyzna, muszę się z tobą zgodzić.

Kiedy Lin wyszła, przysunął sobie krzesło bliżej łóżka i usadowił się na nim.

- Dlaczego, Elizabeth? - zapytał miękko, spoglądając na jej twarz. - Dlaczego tak bardzo się mną interesujesz?

Oczywiście, nie otrzymał odpowiedzi. Podobało mu się jej imię. Elizabeth Jameson, jak to szlachetnie brzmi, pomyślał.

Chauncey poczuła na twarzy dotyk słonecznych promieni. Pora wstawać, pomyślała leniwie. I tak spałam zbyt długo. Tyle jest do zrobienia. Otworzyła oczy i wszelkie rozsądne myśli natychmiast uleciały jej z głowy. Co on robi w tej sypialni?

- Witam - powiedział Delaney, pochylając się do przodu. - Cieszę się, że wreszcie się obudziłaś.

- Przecież co dzień budzę się rano - odpowiedziała, a potem zmarszczyła brwi. Nagły skurcz bólu przeszył jej pierś. Zaczerpnęła gwałtownie powietrza. - Coś jest nie tak.

- Uspokój się, Elizabeth. Miałaś wypadek. Nie pamiętasz?

Skinęła głową, jednak natychmiast srodze tego pożałowała. Ból był nie do zniesienia.

- Chcę do domu - szepnęła, czując, jak łzy kłują ją pod powiekami.

- Już wszystko dobrze - powiedział Delaney uspokajającym tonem. - Bolać cię żebra?

- Tak - wykrztusiła. - Ledwie mogę oddychać.

- Chcesz trochę laudanum?

- Och, nie! Mój ojciec umarł... przez laudanum. W jej oczach widać było ból - ból fizyczny, czy też spowodowany wspomnieniem śmierci ojca?

- Ciii - powiedział. - Nie pozwolę, by coś ci się stało, Elizabeth. Tylko trochę laudanum z wodą. Uśmierzy ból i zaraz poczujesz się lepiej.

- Mam na imię Chauncey - szepnęła, dziwiąc się w duchu, dlaczego wyjaśnienie tej kwestii wydało jej się takie ważne.

- Chauncey - powtórzył, a jego spojrzenie rozjaśnił uśmiech. - To zdrobnienie z pewnością bardziej do ciebie pasuje.

- Ja... nie mogę tego wytrzymać - westchnęła, zaciskając palce na kołdrze.

Łzy popłynęły jej po policzkach, a on szybko starł je opuszkami palców.

- Przykro mi. Poczekaj, podniosę cię trochę, byś mogła wypić kilka łyków.

Delaney wsunął dłoń pod plecy Chauncey, czując, jak dziewczyna zmaga się z bólem. Przysunął jej szklankę do ust i chociaż próbowała odwrócić głowę, zmusił ją, aby wypić nieco lekarstwa.

Chauncey poczuła, jak fale bólu rozrywają na strzępy jej wnętrze.

- Nie chcę być słaba - powiedziała gwałtownie.

- Powinnaś była mnie słyszeć, kiedy w zeszłym roku zostałem postrzelony. Wyłem jak ranny

niedźwiedź. - Nie było to prawdą, lecz teraz powiedziałaby wszystko, byle tylko ją uspokoić. - A teraz bądź cicho. Wiem, że mówienie sprawia ci trudność. Za kilka minut laudanum zacznie działać i wtedy poczujesz się lepiej.

- Nie chcę umierać... a przynajmniej nie od laudanum.

- Z pewnością dożyjesz dziewięćdziesiątki. Doktor Morris wkrótce tu wróci. Jemu chyba uwierzysz, prawda?

Poczuła, że ogarnia ją dziwna słabość. Nadal cierpiała, lecz z każdą chwilą ból stawał się lżejszy, jakby jakieś zwierzę wyciągało kły z jej ciała.

- Nie chciałam, by to się stało - szepnęła.

- Nikt nie pragnie bólu.

- Nie chcę być słaba, kiedy ty przebywasz w pobliżu.

- Nie jesteś.

- Nie mogę pozwolić, abyś mnie zranił. Przynajmniej dopóki... nigdy...

Wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc, o czym mówi. Czekał, by powiedziała coś więcej, lecz ona opadła na poduszki i prawie natychmiast zasnęła.

- Eliz... Chauncey... - zaczął, pełen wątpliwości, czy aby nie dał jej zbyt wiele laudanum. Z pewnością nie powinna spać, zwłaszcza jeśli jest w szoku.

Wstał i ruszył do drzwi, po czym zatrzymał się nagle, ponieważ do sypialni wpadła Mary, a zaraz za nią Lucas.

- Idź, sprowadź Santa - powiedział do kamerdynera. - Powiedz mu, że odzyskała świadomość i dałem jej trochę laudanum.

- Co z nią, proszę pana?

Delaney przyjrzał się stojącej przed nim dziewczynie. Jej twarz nie była pospolita - szare oczy promieniowały humorem i zdrowym rozsądkiem. Usta miała nieco zbyt szerokie, a nos zadarty. Już teraz była pulchna, w późniejszym wieku zapewne stanie się otyła.

- Co? Och, Chauncey. - Wyraz twarzy służącej zmienił się, gdy usłyszała z jego ust zdrobnienie imienia swej pani. - Posłuchaj, Mary. To nie jest na niby. Ona naprawdę uderzyła głową o gałąź i spadła z konia.

- Nie na niby - powtórzyła, starając się odzyskać kontenans.

- Wiem, że wyjechała, by spotkać się ze mną i zapewnić mi możliwość przyjścia jej z bohaterską, chociaż zupełnie niepotrzebną pomocą. I rzeczywiście, przyszedłem jej z pomocą, tyle że ona naprawdę została ranna.

- O Boże - szepnęła Mary. - Bardzo z nią źle?

- Wstrząs i połamane żebra. Lekarz wkrótce tu wróci. Zapewnił mnie, że twoja pani z tego wyjdzie. Przy odpowiedniej opiece.

Mary przesunęła językiem po wardze.

- Skąd pan wiedział, że to nie miało być... naprawdę?

- Powiedziała mi. Z pewnością nie miała takiego zamiaru, ale wymknęło się jej. Jak brzmi twoje pełne imię i nazwisko, Mary?

- Mary Leona MacTavish, proszę pana.

- Dziękuję. Tak się złożyło, że ulokowałem pannę Jameson w mojej sypialni. Jest duża i przestronna. Ty możesz spać w przyległym pokoju, połączonym z sypialnią wewnętrznymi drzwiami. Przez jakiś czas obie będziecie moimi gośćmi.

- Dziękuję panu.

Delaney odwrócił się, a potem rzucił nagle przez ramię.

- Odnoszę wrażenie, że to właśnie sobie zaplanowałyście, czyż nie, Mary?

- Oczywiście, że nie, proszę pana! Zmarszczył brwi i Mary, niezdolna wytrzymać jego spojrzenie, spuściła głowę.

- Och, kiedy panna Chauncey raz wbije sobie coś do głowy! Lepiej do niej pójde.

- Tak, z pewnością. Podzielimy się obowiązkami. Aha, ubrano ją w jedną z moich koszul. Kiedy poczuje się lepiej, będziesz mogła ją przebrać.

Delaney policzył ciche uderzenia zegara. Dwanaście. Północ. Miał nadzieję, że Mary wreszcie usnęła. Musiał jej rozkazać, by poszła nieco odpocząć. Odnosił przy tym wrażenie, że ona boi się zostawić z nim swoją panią sam na sam.

- Nie jestem gwałcicielem - powiedział ostro. - A ty też na nic się jej nie przydasz, kiedy padniesz na nos z wyczerpania.

Jednak to Lucasowi wreszcie udało się przekonać Mary.

- Chodź, dziewczyno - powiedział miękko, tonem, jakiego Delaney jeszcze nigdy u niego nie słyszał. - Upewnię się, że zostaniesz wezwana, gdyby twojej pani się pogorszyło.

- Ale ja muszę zapleść jej włosy, inaczej strasznie się potargają!

- Już się potargały - stwierdził Delaney. - Będziesz się tym martwić jutro.

Nie, nie jestem gwałcicielem, pomyślał, kiedy ucichło bicie zegara. Ale z pewnością bardzo chciałbym trzymać cię teraz w ramionach i słyszeć, jak jęczysz z rozkoszy.

- Głupiec - mruknął pod swoim adresem. - Osioł. - Chauncey westchnęła. Drgnął, przestraszony. Natychmiast wstał i pochylił się nad nią. - Ciii, wszystko będzie dobrze - powiedział, delikatnie odsuwając jej włosy z czoła.

Chauncey otworzyła oczy, niemal czarne w słabym świetle lamp.

- Ojczy - szepnęła - spoglądając na Delaneya nieprzytomnym wzrokiem. Uniosła dłoń i leciutko przesunęła palcami po policzku mężczyzny. - Ojczy.

- Jestem tutaj - powiedział. - I już cię nie opuszczę.

- Byłam taka głupia. Sądziłam, że pragnę go poślubić. To pedant i ograniczony zarozumialec. Lecz ty tego nie dostrzegales, ty nigdy...

Umilkła i na chwilę przymknęła powieki.

- Nie, nie wyjdiesz za niego, Chauncey. Pedant nie jest odpowiednim kandydatem na męża dla ciebie.

- Ciotka Augusta była taka okrutna - wymruczała Chauncey. - Zostawiłeś mnie, ojczy. Zostawiłeś mnie na jej łasce.

Zaczęła się trząść.

- Już nie jesteś na jej łasce - powiedział Delaney stanowczo, starannie wymawiając słowa. - Słyszysz mnie, Chauncey? Ciotka Gussie nic ci już nie może zrobić.

- Dopiero kiedy stałam się bogata, nagle zapragnęli, bym z nimi mieszkała. I Owen. Ta ropucha. Nie należę do nikogo.

Umilkła. Po policzkach dziewczyny potoczyły się łzy. Starł je, przysłuchując się bezładnie wypowiadanym słowom.

Zetknął się już kiedyś z mężczyzną, który majaczył. Dowiedział się wówczas o nim paru nieprzyjemnych rzeczy. Lecz cóż mogło wydarzyć się w życiu Elizabeth, co skłaniałoby ją do tak

rozpaczliwego płaczu?

- Sprzedali Imbir. Powiedzieli, że jestem w żałobie i nie powinnam jeździć. Boże, te miesiące...! Wujku Paulu... dlaczego to robisz? Oni mnie nienawidzą... nienawidzą mnie.

Nie mogąc poradzić sobie z utrzymaniem Chauncey w bezruchu, położył się na łóżku i delikatnie przytulił, zważając na jej bolące żebra. Szepcząc uspokajające słowa bez sensu i znaczenia, gładził ją po włosach, szyi i ramionach. W końcu uspokoiła się na tyle, by zapaść w sen, a on odetchnął z ulgą. Chauncey uniosła dłoń i położyła ją, zaciśniętą w pięść, na jego piersi, jak uczyniłoby to dziecko.

- Myślę, że twój plan powiódł się aż nadto - mruknął do siebie ponuro i leciutko pocałował ją w usta.

ROZDZIAŁ 11

- Nie mogę oddychać! - Ból sprawił, że słowa, które z trudem dobiły się z jej ust, brzmiały niczym skrzeczenie. - Bandaże, Mary. Nie mogę oddychać!

- Proszę, niech się panienka uspokoi. Zaraz coś z tym zrobimy!

Mary odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Te jednak otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Delaney.

- Proszę pana, bandaże są zbyt ciasne! Ona strasznie cierpi!

- Zobaczmy - powiedział spokojnie.

Usiadł obok niej, przyglądając się, jak wykrzywia twarz przy każdym oddechu.

- Chauncey - powiedział stanowczo, ściągając na siebie jej spojrzenie. - Oddychaj płytko. Ooo, tak. Powoli...

Już miał przystąpić do rozluźniania bandażu, gdy uświadomił sobie, że Chauncey nadal ma na sobie jego koszulę. By móc wykonać to, co należało, musiałby niemal zupełnie ją rozebrać.

- Mary, powiedz Lucasowi, żeby sprowadził tu Morrisa - rzucił więc tylko przez ramię.

Położył delikatnie dłoń do jej boku, starając się rozeznaczyć, czy bandaże rzeczywiście zostały zaciśnięte zbyt mocno. Czuł każdy jej oddech.

- Nie, jeszcze wolniej, Chauncey. Lekkie, płytkie oddechy. Dobra dziewczynka.

- Nie mam już ośmiu lat - syknęła przez zaciśnięte żęby.

- To z pewnością prawda. Gdybyś miała, nie musiałbym się przejmować, że urażę twoją dziewczęcą wstydliwość. A teraz zrób, co ci powiem.

Nie obchodziło jej, jak ją nazywał. Każdy oddech przynosił cierpienie. Ból był tak silny, że miała ochotę się rozplakać. On zaś powtarzał wciąż od nowa:

- Oddychaj płytko. Właśnie tak. Płytko. W końcu go posłuchała.

- No, no - zawołał Saint, wkraczając do pokoju. - Panna Mary poinformowała mnie, że nasza pacjentka chce, aby poluzowano jej bandaże.

Delaney odwrócił się na dźwięk dudniącego głosu lekarza.

- Jak dobrze, że mogłeś przyjść tak szybko, Saint. Chauncey, na wypadek, gdybyś nie pamiętała, to jest twój lekarz, Saint Morris.

- Odsuń się, Del i pozwól mi na to spojrzeć - powiedział doktor i bez dalszych wstępów zaczął podwijać koszulę Chauncey. Mary zaczerpnęła głośno powietrza i ustawiła się przed Delaneyem, aby zasłonić mu widok.

Delaney odmaszerował w róg pokoju i spojrzał w dół na ogród, starannie pielęgnowany przez Lin. Kiedy powiedział dziewczynie, że niepotrzebnie obarcza się dodatkową pracą, tylko się uśmiechnęła i z oburzeniem wspominała coś o cenach warzyw na rynku.

Na dźwięk donośnego głosu Sainta odwrócił lekko głowę.

- No, młoda damo, przestań ze mną walczyć. Oddychaj płytko i nie wierć się. Za chwilę będzie ci wygodniej.

Chauncey poczuła, iż ucisk bandażu nieco zelżał.

- Doskonale - stwierdził rzeczowo Saint. - Panno Mary, proszę o szklankę wody z trzema kroplami laudanum.

- O nie, nie chcę więcej laudanum. Ja... proszę, nie.

- To uśmierzy ból, dziewczyno. I niech pani zechce łaskawie zrobić to, o co proszę.

Chauncey niechętnie wypić wodę z rozpuszczonym w niej lekarstwem.

- Trudno mi sobie wyobrazić, jak ktokolwiek może nazywać pana Saint - Święty - powiedziała, spoglądając na krzaczaste bokobrody lekarza.

Saint zachichotał.

- Wkrótce będziesz jak nowa, panienko. Delaney, możesz się odwrócić.

- Co za dziwne imię - powiedziała wyraźnie Chauncey, starając się przewyciężyć działanie laudanum. - Jak to się stało, że pan je nosi?

- Jest doprawdy zabawne, czyż nie? Opowiem pani pewną historię.

Usadowił się na krześle obok łóżka.

- W latach trzydziestych żył sobie pewien młody zawadiaka, Jim Savage. Mieszkał w Illinois. Poślubił swoją ukochaną, a potem, jako jedni z pierwszych, wyruszyli wozem na szlak wiodący do Kalifornii. Niestety, dziewczyna zmarła, rodząc martwe dziecko. Jej śmierć załamała Jima. I to na dobre. Dotarł do Kalifornii, a jakże, i stał się bohaterem licznych opowieści i plotek o tym, jak walczył w powstaniu przeciwko zwierzchności Meksyku nad Kalifornią. Czy też jak sprzymierzył się z Fremontem i Kitem Carsonem. Kiedy odkryto złoto, zniknął, a potem, jak głosi legenda, przyłączył się do plemienia Mariposa i został ich królem! W jakiś czas później część Indian zbuntowała się przeciwko niemu i sprawy przybrały zły obrót. Reszta Indian przyłączyła się do buntu i wówczas John McDougal uczynił Jima Savage'a dowódcą specjalnego batalionu, który miał uśmierzyć powstanie. Jim zebrał swoich ludzi i ruszył z nimi za rzekę Merced, tam gdzie nigdy dotąd nie postąpiła stopa białego człowieka. Pewnego dnia Savage wspiął się na szczyt grani kanionu, którym płynęła Merced, i patrząc z góry na wysokie na milę klify oraz spływające z nich dwa niewielkie wodospady, wykrzyknął z podziwem: „Co za inspirujący widok!”. Odtąd miejsce to zaczęto nazywać Cyplem Inspiracji. Legenda Jima Savage'a wciąż rosła, aż w zeszłym roku jej bohater, który musiał być kimś w rodzaju szlachetnego prostaczka, nagle się zastrzelił.

Zapadło milczenie.

Saint Morris spojrział na twarz dziewczyny. Spostrzegłszy, iż lek zaczął wreszcie działać, uśmiechnął się do swej pacjentki.

- A co to ma wspólnego z tym, że nazywają pana Świętym?

- Jak widzę, twój rozum zbyt nie ucierpiał od laudanum, prawda, panienko? - Poklepał ją po dłoni i wstał. - Spij teraz, dziewczyno. A co do tego, dlaczego nazywają mnie Świętym, to już zupełnie inna historia. Del, panno Mary, proszę dobrze opiekować się pacjentką.

- Powinni nazywać pana nudziarzem, nie świętym - zawołała za nim Chauncey.

Lekarz roześmiał się i pomachał jej swą wielką dłonią.

- To było pyszne - powiedziała Chauncey.

- Nic dziwnego, dostałaś jedno ze specjalnych dań Lin, przeznaczone dla rekonwalescentów. Ma jakąś obco brzmiącą nazwę - zupa z ryżu i kurczaka, czy coś takiego. - Delaney uśmiechnął się

szeroko. - I jest w niej mnóstwo składników, których nazwy nie sposób wymówić. Powiem Lin, że ci smakowało.

Dzięki Bogu, czuje się już lepiej, pomyślał. Jej spojrzenie znów było czyste, a na policzki wróciły rumieńce.

Była już prawie dziesiąta wieczór. Saint nie przyszedł tego dnia zbadać chorej, ponieważ musiał zająć się mężczyzną postrzelonym w nogę podczas pojedynku. Delaney zabrał tacę i usiadł na bujanym fotelu, ustawionym obok łóżka.

- Odwiedziło cię dziś kilka osób - powiedział po chwili. - Głównie dżentelmeni wszelkiej maści, ściskający w dłoni kapelusze i spoglądający na mnie spod oka.

- Mam nadzieję, iż powiedziałaś im, że nie przyjmuję.

- O, nie, wprowadziłem wszystkich na górę. Wiedziałem, że śpiesz, więc nie będą ci przeszkadzać.

Dłoń Chauncey powędrowała natychmiast ku włosom, wyszczotkowanym i zaplecionym w warkocz. Delaney zachichotał i dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Jesteś łgarzem.

- Zdrowiejesz, Bogu niech będą dzięki.

- Bogu i jego Świętemu. Pochylił się i zapytał poważnie:

- Czy coś cię jeszcze boli?

Zesztywniała, przypomniawszy sobie, jak jęczała z bólu.

- Nie - odparła stanowczo.

Teraz ból przeszywał jej skroń tylko od czasu do czasu, a żebra, choć nadal obolałe, nie dokuczały już tak bardzo.

- Nie wierzę ci, ale i tak nie dostaniesz laudanum, chyba że będziesz chciała iść spać. Powiedz mi, Chauncey - zapytał, jak gdyby nigdy nic - kiedy zmarł twój ojciec?

Spojrzała na niego z obawą.

- Skąd... skąd o tym wiesz?

- Tej nocy, kiedy wydarzył się wypadek, majaczyłaś i nawet wzięłaś mnie za swego ojca.

- Umarł w kwietniu - odparła. *O Boże, po co to powiedziałam?*

- Przykro mi.

Zorientował się, że dziewczyna spogląda na niego podejrzliwie i z niepokojem. Ciekawe, jaka może być przyczyna tego lęku, pomyślał. A może po prostu ból nadal jej dokucza, lecz nie chce się do tego przyznać. Wstał, podszedł do kominka, wziął do rąk pogrzebacz i poruszył nim rozżarzone głownie. Niemal czuł na plecach jej spojrzenie.

- Nazywasz mnie Chauncey.

- Nalegałaś na to - powiedział, odwracając się.

- To zdrobnienie bardzo do ciebie pasuje, wiesz o tym? Kto ci je nadał?

- Moja irlandzka niania, Hannah, kiedy miałam sześć lat. Powiedziała, że jak na taką kruszynę stanowczo za często ryzykuję, zbyt wysoko oceniając swe szanse. A ponieważ mówiła z akcentem, w jej ustach słowo „szanse” brzmiało raczej jak „szaunse”, stąd Chauncey.

- Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz oceniać swoje „szaunse” bardziej realistycznie.

A co miałam robić, skoro postanowiłaś mnie unikać?

Delaney spostrzegł, że twarz dziewczyny spłonęła rumieńcem. Uśmiechnął się.

- Jesteś niezwykłą osobą - powiedział. - Aż do tego wypadku uważałem cię za doświadczoną,

światową damę.

- Jestem nią.

- O, nie - zaprotestował spokojnie. - Masz silny charakter i prawdopodobnie jesteś uparta jak diabli, ale nie jesteś zblazowaną damulką z wielkiego świata.

Przymknęła oczy. Tak starannie to zaplanowała. Przebywanie w jego domu sam na sam, pograżenie się w intymnej rozmowie... A jednak nadal jej się wymykał, zupełnie jakby uczynił sobie z tego punkt honoru. Musi jakoś go sobą zainteresować, musi!

- Dlatego tak mnie zaszokowało - dobiegł ją jego głos - kiedy nagle w swoim łóżku znalazłem delikatną, wrażliwą dziewczynę.

- Nie zamierzałam być wrażliwa ani delikatna - odparła chłodno.

- Wyobrażam sobie, jak byś się zachowywała, gdyby twój wypadek był tylko sfingowany. Co za przerażająca wizja...

- To nieładnie z twojej strony teraz kpić sobie.

Uśmiechnął się do niej kątem ust.

- Domyślam się, że gdybym w pełni nie wykorzystał okazji, nigdy nie dałabyś mi drugiej... szaunsy.

Odwzajemniła uśmiech. Nie chciała tego robić, ale po prostu nie potrafiła się powstrzymać.

- Jestem zmęczona.

- Co zapewne oznacza, że nie potrafisz na poczekaniu wymyślić żadnej repliki, by zepchnąć mnie na przynależne mężczyźnie, podrzędne miejsce. No i nie przypuszczam, byś zechciała mi wyjaśnić, co miała oznaczać ta szarada?

Spojrzała mu prosto w oczy i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Lubię cię, a ty uparłeś się mnie ignorować.

- Niepotrzebnie pytałem, prawda?

- Uzyskałeś odpowiedź.

- Dlaczego ja, Chauncey?

- A dlaczego nie ty? Potarł z namysłem szczękę.

- Dan Brewer zastanawiał się głośno, co, u licha, robi w San Francisco młoda, bogata dama. W końcu, będąc w żartobliwym nastroju, zdecydowaliśmy, że przyjechałaś tu, by upolować bogatego męża.

- Nie potrzebuję bogatego męża.

- I to właśnie czyni całą sprawę tak interesującą, moja droga.

Moja droga!

- Nienawidzę cię! - odburknęła.

- Miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety, czyż nie?

- Tak - powiedziała, a jej utkwione w twarzy mężczyzny oczy zwięzły się w szpareczki. -

Owszem.

- Opowiedz mi o twoim dzieciństwie w Anglii - poprosił nagle, poważniejąc.

Oparła się wygodnie o poduszki. To był bezpieczny temat.

- Jestem jedynaczką. Moja mama umarła w połogu, gdy miałam dziesięć lat. Opiekowałam się ojcem, dopóki nie... umarł.

- A co z ciotką Gussie?

Przestraszyła się. Boże, co jeszcze mu powiedziała?

- Jest okropna.

- A Owen?

- To syn ciotki. Wygląda jak ropucha.

- Kto zatem jest pedantem?

- Pedantem? Sir... sir Guy Danforth. Wydawało mi się, że chcę go poślubić. On i jego matka mieszkają blisko nas, w Surrey. Po śmierci ojca zerwałam zaręczyny.

- Ponieważ zostawił cię bez grosza?

Przez chwilę gapiła się na niego, zaciskając pod kołdrą dłonie w pięści, aby zachować spokój.

- Wygląda na to, że już wszystko o mnie wiesz.

- Skąd, to tylko oderwane fragmenty. Odnoszę jednak wrażenie, że ostatni rok był dla ciebie ciężką próbą.

- Tak.

- Czy w pięćdziesiątym pierwszym przebywałaś może w Londynie?

- Nie, byłam w domu, w Surrey.

- Szkoda. Odwiedzałem wtedy krewnych w Anglii, ale niestety nie miałem czasu zwiedzić twego pięknego kraju. W Londynie poznałem jednak wielu interesujących ludzi.

Założę się, że poznałeś!

- Wspomniałeś kiedyś, że twoja szwagierka jest Angielką.

- Tak. Gościłem u jej matki i ojczyma, Aurory i Damiena Arlingtonów. Księżnej i księcia Graffton.

Chauncey poczuła gniew. A zatem to oni pomogli naciągnąć jej ojca, a potem odmówili mu wsparcia, kiedy próbował odzyskać pieniądze! A przecież byli bogaci, diabelnie bogaci!

- Nie znam ich - powiedziała głucho.

- Więc dlaczego tak się zdenerwowałaś, kiedy wymieniłem ich nazwiska?

- To nie ich nazwiska mnie zdenerwowały - odparła szczerze.

- Powiedziałem to już, a teraz powtarzam: panno Jameson, jesteś dla mnie zagadką!

Wstał i podszedł do stolika. Przyglądała się, jak nalewa do szklanki wody i dodaje kilka kropli laudanum.

- Nie chcę tego.

- Nie zamierzam się tym przejmować. Wypijesz to, i już.

- Nie przyjmuję rozkazów od nikogo. Uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Nie zmuszaj mnie, bym siłą wlał ci to do gardła. Znajdujesz się w moim domu, w moim łóżku i pod moją opieką. A teraz otwórz usta.

Niechętnie opróżniła szklankę.

- Doskonale. Zastanawiałem się już, czy w ogóle potrafisz być posłuszna. Nie, nie rzucaj się na mnie. Rozerwiesz mnie na strzępy, a mam jeszcze dzisiaj coś do zrobienia.

- Ja... przepraszam.

Pochylił się i delikatnie dotknął czubkami palców jej policzka.

- Nie sprawiaj, bym czuł się jak brutal, Chauncey. Cieszę się, że tu jesteś, choć wolałbym, by okoliczności twego pobytu były inne. Jednak co się stało, to się nie odstanie. A teraz już śpij.

Uniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Nieświadomie zwilżyła wargi końcem języka. Usłyszała, jak Delaney wciąga gwałtownie powietrze.

- Ty nie jesteś pedantem - powiedziała. Nie, pomyślał, zdecydowanie nie jestem.

- Leż spokojnie, Chauncey.

Przez chwilę wydawało się jej, że opuściła swoje ciało i unosząc się obserwuje, jak mężczyzna pochyla się nad kobietą i delikatnie muska wargami jej usta. Wzdrygnęła się i odsunęła głowę.

- A taka niby doświadczona... - mruknął Delaney.

- Czy nikt cię jeszcze nie całował?

- Tak. Owen. To było straszne.

- Wolę nie myśleć, w jaki sposób mu za to odpłaciłaś.

- Za pierwszym razem kopnęłam go, a za drugim ugryzłam w język.

- A pedant nie próbował cię całować?

- Oczywiście, że nie! To dżentelmen!

- Dlaczego Owen pocałował cię po raz drugi? Niczego się nie nauczył?

Czekając, aż odpowie, obserwował, jak jej twarz nieustannie zmienia wyraz. I nie był zbytnio zdziwiony, kiedy uchyliła się od odpowiedzi, pytając: - A dlaczego ty mnie pocałowałeś?

- To nie był prawdziwy pocałunek, moja droga - odparł, uśmiechając się szatańsko. - To był dopiero... wstęp.

- Nie mogę cię uderzyć. Moje żebra by tego nie wytrzymały.

- Jesteś w moich rękach. Czy to cię nie przeraża? Zachichotała i niemal natychmiast tego pożałowała.

- Proszę - westchnęła - nie rozśmieszaj mnie. A poza tym, nie zapominaj, że opiekuje się mną pewien święty.

Delaney wstał i spojrzał na nią z namysłem. Mimo iż laudanum zaczęło już działać, w jej oczach nadal błyszczał ogień.

- Czy mam zaryzykować i pocałować cię raz jeszcze? Zważywszy, że nie próbowałaś uszkodzić mojej męskości...?

Zaczerwieniła się, choć nie miała takiego zamiaru. Jednak laudanum najwidoczniej osłabiało jej zdolność samokontroli.

- Czyżbym to ja miał ostatnie słowo?

- Jestem śpiąca - powiedziała, zamykając oczy.

- Dobranoc, Chauncey.

Odczekała, aż drzwi zamkną się za nim, a potem otworzyła oczy i uniosła palce do ust. Wargi wydały jej się miękkie i jakieś inne. Jutro, powiedziała do siebie, opuszczając gwałtownie dłoń, jutro zacznę wypytywać o jego stan posiadania. A wtedy wyjdzie sztych z worka. Musi! Kiedy mój umysł nie będzie otumaniony laudanum, z pewnością uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o tych interesujących ludziach, których poznał w Londynie.

Chauncey, wykąpana, z wy szczotkowany mi, opadającymi w lokach włosami siedziała na łóżku, czekając, aż Delaney się pokaże. I kiedy wreszcie usłyszała odgłos kroków w korytarzu, przywołała na twarz olśniewający uśmiech.

To był Saint Morris.

- No, no - powiedział. - Czuję się tak, jakby słońce przedarło się przez mgłę i zaświeciło wprost nad moją niegodną głową. Z pewnością nie potrzebujesz już mojej opieki, dziewczyno.

Chauncey pragnęła go zapytać, gdzie też podziewa się Delaney. Toteż kiedy tylko skończył ją badać, spytała jak gdyby nigdy nic:

- Nie widział pan przypadkiem mojego gospodarza?

- Dela? Nie pokazał się tu rano? Nie przyniósł ci tych wszystkich pięknych kwiatów, przysłanych przez wielbicieli? - Machnął dłonią w kierunku bukietów zdobiących sypialnię.

- Nie. To Mary wczoraj mi je przyniosła.

- No cóż, na dole widziałem kolejną ich partię. Niewątpliwie Del wkrótce ci je dostarczy. To bardzo zajęty człowiek. Odpoczywaj, dziewczyno. I bierz laudanum tylko wtedy, gdy naprawdę będziesz tego potrzebowała. Nie chcemy, byś się od niego uzależniła.

- Dlaczego nazywają pana Świętym? Uśmiechnął się i pokiwał grubym palcem.

- Innym razem, dziewczyno. To bardzo podnosząca na duchu historia i nie można jej opowiadać ot, tak.

Pozostawiona sama sobie, Chauncey wbiła gniewny wzrok w drzwi. A więc łajdak był w domu i nawet nie raczył do niej zajrzeć! Uch! Zarozumiała, pełna rezerwy świnia! Nagle wyobraziła sobie, jak prowokuje serię śmiałych, „nieszczęśliwych” wypadków, a Delaney potrząsa głową, dziwiąc się jej determinacji. Wybuchnęła śmiechem.

Kiedy Delaney otworzył w końcu drzwi, zobaczył, że jego gość trzyma się za boki, chichocząc. Uniósł brwi i zapytał:

- Przecież ja tylko myślałem o dowcipie, Chauncey. Potrafisz czytać w moich myślach?

Przetarła oczy.

- Próbowałam, ale tam nic nie było. Nic.

- I ani śladu przemykającej przez tę pustkę bezczelności? Ach, wybac mi, Penelopo. Wejdz, proszę. Jestem pewien, że panna Jameson usycha z tęsknoty za damskim towarzystwem.

Chauncey zaczerpnęła gwałtownie powietrza i powiedziała:

- Rzeczywiście, panie Saxton. To będzie miła odmiana po tych... nieustających przejawach pańskiej troskliwości.

- Panno Jameson - oznajmiła Penelopa wysokim, drżącym głosem - wygląda pani na bardzo znużoną.

Delaney, przygotowując się na dobrą zabawę, podszedł do okna.

- Doprawdy? - spytała Chauncey uprzejmie. - To z powodu zarwanych nocy, panno Stevenson.

Pani Stevenson popłynęła w stronę łóżka niczym „Wschodnia Zorza” pod pełnymi żaglami. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Wręcz przeciwnie, kochanie - powiedziała do córki. - Uważam, że panna Jameson wygląda już na tyle dobrze, by mogła wrócić do hotelu. Jak się pani czuje, panno Jameson?

- Znużona, madame, lecz tylko od wewnątrz.

- Czy nie zechciałyby panie usiąść? - zapytał Delaney.

Byle niezbyt blisko łóżka, pomyślał, ustawiając krzesła. Wcale nie pragnął, by płomień złościwości Chauncey zbytnio je opalił.

- Wszyscy mówią tylko o tym wypadku - powiedziała Penelopa, rozkładając wokół siebie fałdy ślicznej sukni z żółtej tafty. - Jak wspomniał Del, ten głuptas, Tony Dawson, podobno prawie stąd nie wychodzi.

Chauncey spojrzała znacząco na Delaneya, lecz on jedynie się uśmiechnął.

- Jak miło mieć przyjaciół - syknęła.

- Agatha Newton też chciała z nami przyjść - dodała pani Stevenson - ale wytłumaczyłam jej, że zbyt wielki natłok gości pewnie by panią zmęczył.

- Dziękuję za troskę, madame.

- Słyszałam, że opiekuje się panią ten okropny Saint Morris - odezwała się Penelopa.

- Moja droga - wtrącił Delaney głosem, który w uszach Chauncey zdawał się brzmieć jak pieszczota - doktor Morris to jeden z niewielu prawdziwych lekarzy w San Francisco. Nie mogę pojąć, dlaczego tak go nie lubisz.

- On nie jest... dystyngowany - zachnęła się Penelopa.

- Ach, to z pewnością wystarczający powód, by trzymać go na dystans.

Jedyną winą Morrisa było zapewne to, że nie zwracał należytej uwagi na wdzięki Penelopy.

Dziewczyna zamrugła, niepewna, jak powinna zrozumieć słowa Delaneya, a on, w pełni świadom, że Chauncey nie spuszcza z niego wzroku, pogładził pieszczotliwie dłonie dziewczyny, a potem wyprostował się powoli, zastanawiając się, dlaczego to zrobił. Nie kochał Penelopy i teraz już z pewnością nie zamierzał się z nią żenić, co oznaczało, że zachował się jak ostatni drań, pozwalając jej wierzyć, że jest dla niego kimś ważnym.

W tej ciągnącej się w nieskończoność chwili uświadomił sobie, że dziś Penelopa liczy się dla niego jeszcze mniej niż wczoraj. Jego oczy napotkały spojrzenie wyrazistych oczu Chauncey. Gdyby tylko znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, co kryje się za tym spojrzeniem! Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby jej wyznał, że pragnie jej bardziej niż ona jego?

- Lin - zawołał z prawdziwą ulgą w głosie - przyniosłaś herbatę! Myślę, drogie panie, że panna Jameson już się nieco zmęczyła. Może wypilibyśmy herbatę na dole i pozwolili jej odpocząć?

Triumfalne spojrzenie, jakie rzuciła jej na pożegnanie Penelopa, sprawiło, że Chauncey miała ochotę zazgrzytać zębami. Wymieniono pożegnalne uprzejmości i Chauncey została sama ze swymi niespokojnymi myślami.

Po chwili Lin wróciła, niosąc herbatę i kruche migdałowe ciasteczka.

- Pija pani czystą herbatę bez mleka i cukru, prawda, panienko?

- Tak, Lin. Dziękuję. - Chauncey zaczęła saczyć ciepły napój i sięgnęła po ciasteczka. - Są wspaniałe - powiedziała szczerze. - Jak wszystko, co dla mnie przyrządzasz. Doceniam to.

Lin zatrzymała się na chwilę, a potem uśmiechnęła się szeroko. Jej zęby wyglądają jak wypolerowane perły, pomyślała Chauncey.

- Panie już odjechały - oznajmiła Chinka.

- Tak?

- Po południu pan Saxton zabiera pannę Stevenson na przejażdżkę.

Chauncey zakrztusiła się herbatą. Lin natychmiast zakrzętnęła się wokół niej, wycierając rękę miękkim ręcznikiem i z zadowoleniem rozmyślając o tym, że ta dama naprawdę pragnie jej pana. Wprost nie mogła się doczekać, aby poinformować o wszystkim Lucasa.

ROZDZIAŁ 12

Delaney włożył do ust porcję duszonej piersi kurczaka. Słyszał, jak pracują jego szczęki, ponieważ był to jedyny dźwięk rozbrzmiewający w pokoju. Od kiedy wszedł do sypialni przynosząc obiad, Chauncey nie powiedziała więcej jak dwa słowa. Zdawało mu się, że zna przyczynę jej ponurego nastroju, a owa przyczyna sprawiała, że czuł się dowartościowany i rozbawiony zarazem.

- Nie smakuje ci groszek? - zapytał. - Jest świeżutki, prosto z ogrodu Lin.

Chauncey nie podniosła wzroku sponad wciąż pełnego talerza, na którym uformowała trzy małe górki groszku. - Jest bardzo... zielony - powiedziała.

- Zielony? Może z zazdrości?

Chauncey odłożyła widelec, żałując, że nie może nim rzucić w tę przeklętą twarz. Była zawiedziona i wściekła na niego. Nie wiedziała, co robić, a on wziął jej frustrację za zazdrość. Nie miała doświadczenia w radzeniu sobie z zawłościami męskiego umysłu i najwidoczniej od początku postępowała nie tak, jak należało. Czy on naprawdę sądził, że jest zazdrosna? Ten przejaw męskiej próżności sprawił, że odzyskała równowagę. Znowu stąpała po pewnym gruncie.

- Jesteś arogancką świnią, wiesz o tym? - powiedziała, jak gdyby nigdy nic.

- Tak już lepiej. Stajesz się bardzo milcząca, kiedy się złościś.

- Przynajmniej okazuję jakieś emocje! Zastanawiam się, czy ty masz w ogóle jakiegokolwiek uczucia.

- Ach, Chauncey, nie wyzywaj się na biednym, zwyczajnym facecie, który po prostu chciał zjeść z tobą obiad. Jedzenie to jedna z przyjemności życia, moja droga.

Przyjrzała mu się bacznie.

- Masz bliznę na górnej wardze.

- To przez tę siekierę, którą ojciec podarował mi na Boże Narodzenie, kiedy skończyłem osiem lat.

Mam także inne blizny, w bardziej interesujących miejscach..

- I z pewnością chętnie pochwaliłbyś się, jaką to wykazałeś się odwagą, by je zdobyć.

- Jeśli w ten sposób mógłbym zasłużyć na twój podziw i złagodzić gniew...

Nie mogę i nie chcę przestać się na ciebie gniewać!, krzyknęła w myśli. Na głos zaś powiedziała, ziewając demonstracyjnie:

- I jak, przejażdżka z panną Stevenson sprawiła ci przyjemność?

Lewa brew Delaneya powędrowała ku górze.

- Penelopa jest raczej... ostrożnym jeźdźcem. Nie takim diabłem wcielonym, jak ty. Oczywiście, dzięki temu dociera do domu w nienaruszonym stanie.

Bawił się z nią, niczym wielki kot igrający z myszą o zabandażowanych żebrach. Wyobrazenie było tak żywe, że ugasiło gniew i Chauncey zachichotała.

- Tak już lepiej. Powiesz mi, co cię tak rozbawiło?

Dlaczego nie? pomyślała. Skoro nic innego nie skutkuje...

- Wyobraziłam sobie ciebie jako wielkiego kota, igrającego z małą, bezbronną myszką o zabandażowanych żebrach.

Uśmiechnął się.

- Tak się zastanawiam: gdyby nie te bandaże, to które z nas byłoby kotem?

Uwaga okazała się tak celna, że Chauncey tylko zagryzła wargi.

- Ja z tobą nie igram - powiedziała stanowczo.

- Może i nie, ale z pewnością na mnie polowałaś. Zastanawiam się, czyby nie paść jak długi u twoich nóg. Ciekawe, co zrobiłabyś z moim bezwładnym ciałem.

- Z pewnością byłaby to jakaś odmiana.

- Czy to takie trudne, być przywiązaną do łóżka, mojego łóżka i nie móc dalej uganiać się za zwierzyną?

- Twoje ziemniaki już prawie wystygły. Chyba nie chcesz, by Lin była rozczarowana?

- Co byś powiedziała, moja droga, gdybym nagle padł obok ciebie na łóżko?

Czy powinna zareagować z niewieścią skromnością? Lub przekomarzać się z nim?

- O, do licha - powiedziała. - Nie wiem! Delaney wybuchnął śmiechem, o mało nie przewracając przy tym tacy.

- Jesteś doprawdy niemożliwa, wiesz o tym? Jego słowa wibrowały w jej ciele, wymieszane z uczuciem triumfu i czymś nieokreślonym, co właśnie rodziło się w głębi jej umysłu.

- Ta niemożliwa osoba pragnie wiedzieć, co dziś robiłeś - odcięła się. - Saint powiedział, że jesteś zajęтым człowiekiem. Czy zanim przyszła panna Stevenson, zajmowałeś się interesami?

Rozmowa z nią to istna szermierka słowna, pomyślał.

- Rzeczywiście, tak właśnie było - powiedział, odsuwając stolik i sadowiąc się wygodniej na krześle. - Jeden z moich statków ma wkrótce przybyć ze Wschodu. Oczekujemy go w każdej chwili.

Statki! Jak bardzo jest bogaty?

- Ile masz statków?

- Trzy. Mój ojciec był właścicielem stoczni w Bostonie, a teraz jest nim mój brat, Alex. Tyle że mieszka w Nowym Jorku.

- Rozumiem - powiedziała. - To bardzo... interesujące.

Delaney skrzyżował ramiona.

- To pytanie wynika z chęci podtrzymania towarzyskiej rozmowy, czy może pragniesz się dowiedzieć, jak jestem bogaty? I czy ci dorównuję w tym względzie?

- Ja jestem bardzo bogata - powiedziała głośno i wyraźnie.

Czyżby ten człowiek czytał w jej myślach? Rozpraszał ją, sprawiając, że łopotała niczym żagiel na wietrze.

- A zatem, podobnie jak ja, jesteś nababem. Jedną z tych żalosnych istot z pretensjami do dobrego urodzenia i posiadania gustu.

- Nim umarł ojciec, z pewnością należałam do ludzi, o których majątku mówi się, że to „stare pieniądze”. Potem... wszystko się zmieniło.

- Powiedz mi, jak zdobyłaś majątek.

To mi z pewnością w niczym nie zaszkodzi, pomyślała. A może zyskam jego sympatię i zaufanie.

- Mój ojciec chrestny zmarł w Indiach, a ponieważ kilka lat wcześniej jego żona i syn zostali

zabici podczas powstania, uczynił swoim spadkobiercą mego ojca. Kiedy i ojciec zmarł, zarządził, bym otrzymała spadek, kiedy ukończę dwadzieścia jeden lat. Ocalił mnie, i to dosłownie. Rozumiesz, nie miałabym innego wyjścia, jak tylko zostać panną sklepową i przybierać kapelusze, albo pozostać na łaskawym chlebie u ciotki w Londynie, oganiając się przed jej synem, Owenem. Odzyskałam swobodę i muszę przyznać, że bardzo mi się to podoba.

- Skoro tak, moja droga, to z pewnością ostatnią rzeczą, jakiej byś sobie życzyła, byłoby małżeństwo z mężczyzną, który wałkoniłby się, roztrwaniając twój majątek.

On znowu to robi, pomyślała, w najwyższym stopniu zirytowana.

- Ameryka to nie Anglia - odparła zdecydowanie. - Wszyscy są tu wolni, kobiety także.

- Chyba masz rację. Jesteś skomplikowaną niewiastą, Chauncey. Być może pewnego dnia zdecydujesz się opowiedzieć, dlaczego bardzo bogata, młoda Angielka postanowiła przyjechać na koniec świata.

- A ty, nigdy nie popłynęłaś na Wschód na jednym ze swoich statków?

- Owszem, ale to nie to samo.

- Masz rację. To nie to samo.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie. Gęste włosy dziewczyny zapleciono w warkocz i zebrano na czubku głowy. Tylko nieliczne, skręcone pasma opadały luźno wokół twarzy. Koszula nocna z bladożółtej koronki okalała białą szyję pianistą falą. Nawet jej dłonie były pełne wdzięku, a palce smukłe, ze starannie wypolerowanymi paznokciami. Spojrzał na swoje ręce i skrzywił się. Pomimo iż od ostatniego pobytu w obozie kopaczy minęły miesiące, jego ręce nadal przypominały dłonie robotnika.

Pragnął jej. Nie dziwiło go to szczególnie, ponieważ była śliczna. Co prawda, znał kobiety piękniejsze od niej, lecz żadna dotąd tak go nie pociągała. Nieuchwytność Chauncey intrygowała go. Ona będzie bezwstydnie go bałamucić, by potem nagle się wycofać.

- Czy jeszcze cię boli? - zapytał.

- Trochę - przyznała.

- Mimo to nie chcesz przyjmować laudanum, prawda?

- Nie życzę sobie uzależnić się od niego.

- Chauncey, czy twój ojciec zmarł na skutek przedawkowania laudanum?

Zbladła, a jej spojrzenie zamgliło się, jakby ją uderzył. Tak, miała ochotę krzyknąć, ile sił w płucach. I to twoja dłoń mu je podała! Zamknęła oczy, obawiając się, że wyzierające z nich gniew i nienawiść nie dadzą się ukryć.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Nie chciałem, cię zdenerwować. Lepiej już pójdę.

Wstał i umieścił talerze na tacy.

- Śpij dobrze, moja droga. Zobaczymy się rano. Zostawił ją samą w ciemnościach, aby zmagać się z bólem. To dziwne, lecz jej ostatnia myśl przed zaśnięciem dotyczyła tego, jakim skomplikowanym mężczyzną jest w rzeczywistości Delaney. Stanowił łamigłówkę, której części zupełnie do siebie nie pasowały, a obraz, jaki się z nich wyłaniał, nie przedstawiał człowieka, którego należałoby nienawidzić. Za jego kpiącym uśmiechem jakoś nie potrafiła doszukać się znamion zepsucia czy okrucieństwa.

Delaney porozmawiał chwilę z Lin i Lucasem, a potem udał się do biblioteki, by popracować. Lecz nie potrafił się skupić. Uśmiechnął się, wspominając, jak Lin stwierdziła bez ogródek:

- Panienska pana lubi. Poza tym to prawdziwa dama. Próbował napisać list do swego brata

Aleksa, lecz po piętnastu minutach próżnych wysiłków zorientował się, że sklecił zaledwie jedno zdanie. Pogasił lampy i ruszył schodami w górę. Zatrzymał się na chwilę pod drzwiami sypialni Chauncey, przeklinając swe pożądanie. Wtem przeraźliwy krzyk odegnał precz niestosowne myśli.

Otworzył gwałtownie drzwi i ruszył przez ciemny pokój, niemal pewny, że jakiś łajdak wdarł się do domu i właśnie gwałci Chauncey. Jednak dziewczyna była sama - miotła się po łóżku, a jej cichy, gardłowy szloch rozbrzmiewał w ciszy sypialni.

- Chauncey - powtórzył tym razem ciszej, uświadamiając sobie, że męczy ją koszmar. Usiadł na łóżku i chwycił dziewczynę za ramiona. - Obudź się, Chauncey - szepnął miękko. - No, dalej, zbudź się!

- Nie! - jęknęła, próbując go odepchnąć. Siła jej strachu wstrząsnęła Delaneyem.

- Do licha, obudź się!

Przytulił ją do siebie i objął mocno ramionami.

- No, dobrze już, dobrze, kochanie. Już wszystko w porządku.

Drzwi sąsiadującego z sypialnią pokoju otworzyły się gwałtownie. Stała w nich Mary, odziana w nocną koszulę.

- Już wszystko dobrze, Mary - uspokoił ją Delaney. - To tylko senny koszmar.

Mary westchnęła głęboko.

- Od ostatniego razu minęło sporo czasu - powiedziała. - Miałam nadzieję, że to się wreszcie skończyło.

- To ten sam sen?

Czuł, jak Chauncey wierci się niespokojnie w jego ramionach. Jej szloch przeszedł w gwałtowną czkawkę. Zamiast się odsunąć, przyłgnęła do niego mocniej, jakby pragnęła się przed czymś ukryć.

- Tak. Zanim opuściliśmy Anglię, o mało nie została przejechana przez jakiegoś szaleńca. Pewien marynarz uratował ją dosłownie w ostatniej chwili.

- Rozumiem. Wracaj do łóżka, Mary. Zostanę z nią, dopóki się nie uspokoi.

Mary skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi. Delaney nawet się nie zdziwił, że tak chętnie zostawiła swą panią w ramionach obcego mężczyzny, choć było to zastanawiające zachowanie jak na pokojówkę.

- Chauncey - szepnął, zbliżając usta do jej skroni. Jego wargi mimo woli złożyły się jak do pocałunku. Chauncey przyłgnęła do niego jeszcze mocniej; dotyk jej piersi wywołał u Delaneyego gwałtowny przypływ pożądania. Zaczął masować napięte mięśnie jej karku.

- Kochanie, powiedział - pieszcząc ustami jej policzek.

Chauncey poczuła, że jej strach ustępuje. Uświadomiła sobie też, że czuje się całkiem bezpieczna, wtulona w mężczyznę, którego silne dłonie masowały jej kark, przeganiając lęk. Odsunęła się, rozgniewana nie tym, że trzymał ją w ramionach, lecz swoją reakcją.

- Nie jestem słabym głuptasem - mruknęła. Delaney poluzował nieco uścisk, lecz nie wypuścił jej z objęć.

- Oczywiście, że nie. Każdemu może przytrafić się zły sen.

- To nie był tylko sen - powiedziała ostro. - On próbował mnie zabić. Nie jestem szalona.

- Mężczyzna, który prowadził powóz?

Przycisnęła twarz do jego ramienia i skinęła głową. Delaney aż westchnął z pożądania. Tak bardzo pragnął dotknąć jej piersi!

Przeklęty, pożądliwy kozioł! Oto, kim był. Szybko wyplątał się z uścisku ramion dziewczyny i

pomógł się jej położyć. Przebywała w jego domu, w jego łóżku. Nie wolno mu było wykorzystać tej przewagi.

Wyglądało na to, że Chauncey zupełnie nie zdaje sobie sprawy z jego zmieszania.

- Już wszystko dobrze - powiedziała. - Przykro mi, że ci przeszkodziłam. Ostatnio ten sen nie nawiedza mnie zbyt często.

- Mijałem właśnie twój pokój, gdy usłyszałem, że krzyczysz. - Jego dłoń drżała lekko, kiedy odgarniał z czoła dziewczyny nieposłuszny kosmyk. - Śmiertelnie mnie przestraszyłaś.

Nagle Chauncey przestała się bać. Uświadomiła sobie, że jest z nim sama, ubrana jedynie w nocną koszulę. Czy powinna przytulić się do niego? Poprosić, by został? Został... i co? Nagle przypomniała sobie Owena, jego determinację, by ją zniewolić. Zaczerpnęła głęboko powietrza, a jej ciało zeszywniało ze strachu i odrazy.

- Nie musisz się mnie bać, Chauncey - powiedział Delaney, mylnie odczytując jej reakcję. - Nigdy bym cię nie skrzywdził. Chciałabyś napić się wody lub mleka?

- Nie - powiedziała, zdając sobie sprawę, że jej głos brzmi niczym głos dziecka, które zaraz się rozpłacze.

Delaney wstał i starannie wygładził przykrycie. Powiedz coś, głupcze!

- Czy, jeśli Saint wyrazi na to zgodę, nie wybrałabyś się ze mną jutro na przejażdżkę?

- Tak - odparła po chwili. - Z przyjemnością.

Leżała w ciemności. Słyszała, jak Delaney idzie korytarzem, a potem zatrzymuje się i zawraca w stronę frontowych drzwi. Ciekawe, dokąd też się wybiera, pomyślała.

Delaney spędził następne trzy godziny z Marie, zaspokajając potrzeby ciała, choć nie serca. Nic zatem dziwnego, że kiedy przemierzał na grzbiecie Brutusa ciemne ulice San Francisco, minę miał raczej ponurą.

- Tak, oczywiście - powiedział Saint, uśmiechając się do przepelnionej entuzjazmem pacjentki - tylko nie poganiaj zbyt tych swoich rumaków, Del! Dzień jest piękny, bez śladu mgły. Zabierz ją nad ocean, ale uważaj, by zbyt nie zmęczyła.

Cóż to za miłe uczucie nie mieć pod suknią gorsetu, pomyślała Chauncey, zwracając twarz ku ciepłym słonecznym promieniom. I pomyśleć, że mężczyźni zawsze czują się tak swobodnie! Odwróciła głowę, by spojrzeć na siedzącego obok Delaneya. Lucas podprowadzał właśnie gniadego wałacha, nazywanego, jak na ironię, Ogierem.

- Dziękuję - powiedziała. - Lando jest bardzo wygodne. Rozpieszczasz mnie.

- Lando zostało pożyczone od Stevensonów - powiedział mężczyzna, uśmiechając się kpiąco.

Zaczerpnęła gwałtownie tchu, a potem odwzajemniła uśmiech:

- Nie pozwolę ci się ze mną droczyć, nie dziś!

- Nie jest ci za zimno, Chauncey?

- Jeżeli okryjesz mnie jeszcze jednym pledem, żywcem się usmażę!

Delaney pomyślał, że chętnie by ją okrył, lecz nie pledem, lecz swoim ciałem. I niechby się nawet usmażyła.

Lucas poprowadził konia przez labirynt wozów, pieszych i sprzedawców, tłoczących się na Market Street.

- Tyle tu nowych budynków - powiedziała Chauncey, wzdychając lekko, kiedy przechodzący drogą Chińczyk, obarczony kilkoma ciężkimi deskami, omal nie wpadł pod koła.

- To się nigdy nie skończy, Lucasie. Jedźmy lepiej obok misji Dolores. Kiedy zupełnie

wyzdrowiejesz, Chauncey, pokażę ci ogrody Russ Gardens. Słyszałaś już o nich, prawda?

- O, tak. Drogi Tony opowiedział mi o nich.

- To zaś, moja droga Chauncey, jest kryta deskami droga, wybudowana w roku 1851, aby połączyć centrum San Francisco z misją Dolores. Teraz mamy tu nawet tor wyścigowy. Jednym słowem, wszelkie rozkosze cywilizacji.

- Nigdy dotąd nie byłam na torze wyścigowym - powiedziała Chauncey.

- Co takiego? Nie byłaś w Ascot? Potrząsnęła głową, zaciskając usta.

- Tatuś nie uważał tego za właściwe.

- A czy teraz, kiedy jesteś niezależną kobietą, uznałabyś, że możesz tam się pojawić?

- Być może - powiedziała, uśmiechając się do niego skromnie. - Z odpowiednią eskortą.

- Zapytam Tony'ego, czy będzie mógł ci towarzyszyć - rzekł Delaney uprzejmie.

- Ty...

- Czy wiesz, że San Francisco nazywa się tak dopiero od sześciu lat? Wtedy alka-dem, czyli burmistrzem, był tu Washington Bartlett. To on zarządził, by miasto zmieniło nazwę z Yerba Buena na San Francisco. Zarządzenie ukazało się w naszej pierwszej gazecie, „California Star”.

- Yerba... i co dalej?

- Yerba Buena, to znaczy „dobre ziele”. Prawdopodobnie chodziło o te mocno pachnące krzewy, porastające nabrzeże. Wszyscy rościli sobie prawa do posiadania tego kawałka ziemi - Rosjanie, Francuzi, nawet Brytyjczycy. Jednak w końcu to my, Amerykanie, zdobyliśmy go dla siebie. Hiszpanie przekazali nam Kalifornię zaledwie pięć lat temu, w 1848, po tym, jak wygraliśmy wojnę.

- A kiedy odkryto tu złoto?

- Co za ironia losu! Traktat podpisano na początku 1848, a tylko dziewięć dni wcześniej Marshall wykopał w pobliżu tartaku Suttera pierwsze samorodki.

- Czy byłeś jednym z pierwszych... jak to was nazywają? Argonauci?

Delaney spochmurniał.

- Zgadza się - potwierdził. - Przybyłem tu z Bostonu. W tamtych czasach była to ryzykowna podróż. I, prawdę mówiąc, nadal taka jest.

- Przyjechałeś do Kalifornii z powodu złota?

- Jak opowiada na prawo i lewo mój brat, Alex, byłem urodzonym buntownikiem, który nie potrafił zadowolić się tym, co mu pozostawili dziadek i ojciec. Uległem pokusie złota i podjąłem wyzwanie. Pragnąłem wytyczyć dla siebie własną drogę.

- To musiało być dość trudne.

- Z pewnością nie było w tym nic romantycznego, zapewniam cię. Ot, zwykła harówka. Mnie przynajmniej dopisało szczęście, nie tak jak wielu innym, którzy tu przybyli.

- Myślę, że powodzenie zawdzięczasz raczej ciężkiej pracy - zauważyła Chauncey. - Czy mężczyźni zawsze muszą tak lekko wyrażać się o trudnych doświadczeniach? Chcą w ten sposób dowieść, że są niepokonani, i takie tam...?

Delaney roześmiał się.

- Czy zaimponowałbym ci bardziej, gdybym opowiedział o rojach moskitów, atakujących moje biedne ciało? Lub o tym, jak niewygodnie jest stać zanurzonym po pas w wodzie, przesiewając piasek?

- Och, spójrz! - krzyknęła nagle Chauncey. - Nikogo tu nie ma! Wszędzie tylko wydmy!

- Nie mogę podjechać bliżej, panie Saxton - rzucił Lucas przez ramię. - Bo koła zapadną się w

piasek.

- Zatrzymaj się na wierzchołku następnego wzniesienia, Luc. Panna Jameson i ja udamy się piechotą na brzeg.

Wyboista dróżka pokryta była wirującym piaskiem, zaś jej boki znaczyły dwa rzędy mizernych krzaczków, posadzonych tu, aby wytyczyć ścieżkę. Ochłodziło się i nagle Chauncey poczuła zapach oceanu.

- Jak tu pięknie! - zawołała, wskazując na krążące im nad głowami mewy. - I ani żywej duszy! Tylko my!

- Tak - powiedział Delaney - to prawda. Zatrzymaj się, Luc, tu będzie dobrze.

Lucas ściągnął gwałtownie wodze i Ogier zatrzymał się na wierzchołku wzniesienia. Poniżej migotał w południowym słońcu Pacyfik, błyszczący niczym pole szafirów. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był szum uderzających o brzeg fal oraz dobiegający od czasu do czasu krzyk ptaków.

- O Boże! - wykrzyknęła Chauncey, rozglądając się wokół siebie w niemym podziwieniu. - Czuję się tak, jakbym była pierwszym człowiekiem, który to ogląda. Ciekawe, czy tak właśnie czują się odkrywcy.

- Cieszę się, że widzisz to teraz. Za dziesięć lat, a może nawet za pięć, kto wie, ludzie zaczną tu budować jak szaleni. Rzeczywiście dopisało nam szczęście. Zwykle ta część wybrzeża okryta jest mgłą.

Chauncey odwróciła się, by spojrzeć na porośnięty drzewami stok.

- Tu właśnie zbudowałabym dla siebie dom - powiedziała.

- Tu jest okropnie wilgotno, madame. Poza tym mgła i tak przesłania widok. Zejdziemy na plażę?

Choć żebra nadal dokuczały Chauncey, nic nie mogło jej powstrzymać.

- Proszę, niech pan prowadzi.

Delaney zarzucił sobie na plecy jeden z pledów i podszedł do Chauncey.

- Panno Jameson - powiedział oficjalnie, a potem mrugnął do niej i delikatnie wziął ją na rękę.

- Doprawdy, nic mi nie jest, Delaney - zaprotestowała.

- Ciii, moja droga. To dla mnie przyjemność, zapewniam cię.

Bezwiednie otoczyła ramionami szyję mężczyzny, czując, jak napięte mięśnie drżą lekko pod dotykiem jej palców. Nieoczekiwanie fala dziwnego ciepła dotarła do jej żołądka.

Muszę być głodna, pomyślała, zmieszana.

Poczuła, że w piersi Delaney'a wzbiera śmiech.

Delaney niechętnie postawił ją na piasku, zaledwie o kilka stóp od linii wody. Rozwinął pled.

- Pani sofa, madame.

Spojrzała na niego spod rzęs, zastanawiając się, dlaczego owo dziwne uczucie, skoncentrowane także znacznie poniżej pasa, nagle ustąpiło.

- Nie rozumiem - mruknęła do siebie, opadając na pled i układając skromnie wokół nóg fałdy spódnicy.

Delaney ułożył się obok niej, wspierając ciało na łokciu.

- Czego nie rozumiesz?

- Nie jestem już głodna - powiedziała, nadal zdumiona.

- A dlaczego sądzisz, że byłaś? O ile pamiętam, nie żałowałaś sobie podczas lunchu.

Zapatrzyła się na wodę, nieświadoma, że Delaney nie odrywa wzroku od jej twarzy. Wzruszyła ramionami, a potem skrzywiła się, czując przeciągły ból w żebrach.

- To nie ma sensu, lecz kiedy mnie niosłeś, czułam pustkę w żołądku. I jakby burczało mi w brzuchu.

Jego oczy zabłysły.

- Taka niby doświadczona - powiedział.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - spytała, odwracając się do niego i marszcząc brwi.

- Nic takiego, Chauncey. - Usiadł i zaczął przesypywać piasek pomiędzy placami. - Przychodzę tu, kiedy chcę coś przemyśleć - dodał, bardzo zajęty usypywaniem kopczyka.

- Czy teraz też myślisz o czymś ważnym?

- Chyba tak.

Przeklęty piasek zdawał się pochłaniać całą jego uwagę.

- Tu wszystko wydaje się prostsze.

Poruszył się lekko, a Chauncey przyłapała się na tym, że przypatruje się jego długim nogom, odzianym w obcisłe spodnie z ciemnobrązowej flaneli. Uda miał dobrze umięśnione.

Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że patrzy prosto na krocze mężczyzny. Dziwne uczucie w żołądku powróciło.

Spojrzała na jego twarz i mocno się zaczerwieniła.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Ja... nie wiem, co się ze mną dzieje! Chyba muszę wydawać ci się okropna.

Nagle Delaney opadł na plecy i rozłożył szeroko ramiona.

- Postanowiłem - oznajmił uroczyście - uznać się za pokonanego. Jestem uziemiony. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz, Chauncey.

Chauncey przesunęła nerwowo językiem po dolnej wardze, a Delaney zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy aby za chwilę sytuacja nie stanie się krępująca, ponieważ pulsująca boleśnie w jego spodniach erekcja powoli stawała się widoczna.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - spytała w końcu.

- Żądasz całkowitej kapitulacji?

On wygląda, jakby chciał mnie zjeść, pomyślała, po czym, przestraszona, szybko odwróciła twarz.

Gdzie podziła się jej pałaca nienawiści? Gdzie ta niepoddająca się nigdy część osobowości, która tak długo była jej opoką?

- Jeszcze trochę słownej szermierki? - zapytał uprzejmie, acz z ironią.

- Ja się po prostu boję - powiedziała z rozbrajającą szczerością.

- Pamiętasz, jak wczoraj w nocy powiedziałem ci, że nigdy bym cię nie skrzywdził? Może i jestem zuchwałym Amerykaninem, moja droga, lecz nie do końca wyzutym z honoru.

Chauncey zapało dech w piersi. Chciała krzyknąć mu prosto w twarz, że to nie jego się boi, lecz siebie. Powiedział, że nie jest wyzuty z honoru. Lecz przecież, na Boga, to nieprawda! Tak bardzo chciała go nienawidzić, wbić mu sztylet w pierś!

Nagle uświadomiła sobie, że przecież ma, czego chciała. Ileż tygodni poświęciła, by doprowadzić do tej chwili? Musi wykorzystać sytuację.

Odwróciła się i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem, rozpaczliwie starając się, by jej spojrzeń wyrażało obietnicę. Lecz Delaney tylko się roześmiał.

- Och, Chauncey, nie masz wprawy w uwodzeniu. Zesztywniała, przestraszona łatwością, z jaką potrafił przejrzeć każdy jej zamiar.

- I nie ma po temu potrzeby - dodał.

Usiadł, odwrócił się ku niej i delikatnie ujął ją pod brodę.

- Nie wiedziałem dotąd, jak to jest, pozwolić komuś, by stał się tak ważny i tak niezbędny do życia.

- A zatem, dlaczego bawiłeś się ze mną?...

- Wierz mi, sam nie raz zadawałem sobie to pytanie. Wszystko zaczęło się podczas balu. Tak miło było przekomarzać się z tobą, byłaś taka bystra i błyskotliwa. Chyba chciałem się przekonać, jak daleko zechcesz się posunąć.

Rozpaczliwie pragnął ją pocałować, pociągnąć za sobą na pled. Czym prędzej opuścił dłoń.

- Mam dwadzieścia osiem lat, Chauncey, niewiele więcej niż ty. No i jestem bogaty, nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- A Penelopa? - szepnęła.

- Jeśli idzie o tę młodą damę, ucierpi wyłącznie jej próżność.

Chauncey zwilżyła wargi i zapytała, choć wcale nie miała na to ochoty:

- A twoja kochanka?... Delaney spochmurniał.

- Skąd o niej wiesz?

- Od Penelopy. Powiedziała, że ją odeślesz, kiedy weźmiesz ślub.

Delaney wspomniał miękkie, chętne ciało Marie, jej francuską praktyczność, jej wrodzoną uprzejmość. Pomyślał o tym, jak bardzo był na siebie zły, kiedy zagłębiał się w jej ciało, przez cały czas mając przed oczami Chauncey.

- Penelopa nie powinna była ci o niej wspominać - powiedział.

- To coś, czego zupełnie nie rozumiem. Czy wszyscy mężczyźni odczuwają potrzebę, by mieć... kochankę?

- Owszem - stwierdził poważnie, z trudem powstrzymując śmiech. - Jednak to nie to samo, co posiadanie żony.

- Więc chyba wszystko w porządku? Czy Penelopa była samolubna, domagając się, byś odesłał swoją?

Delaney nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem. Śmiał się i śmiał, i nie mógł przestać.

- Nie rozumiem, co cię tak rozbawiło!

- Ty, Chauncey - wyjaśnił, ocierając rękawem twarz. A potem, zorientowawszy się, że dziewczyna nadal spogląda na niego zdezorientowana, powiedział bardzo poważnie: - Pragnę, byś została moją żoną. Nie chcę kochanki. Chcę, abyś dostawała szału na myśl, że mógłbym dotknąć innej kobiety. Chcę, żebyś była absolutnie samolubna. A teraz, moja doświadczona panno, czy zechcesz powiedzieć „tak”, skracając tym samym moje cierpienia?

- Powiedzieć „tak”, proszę pana? Ale o co chodzi? - spytała zuchwale, rozkoszując się swoją przewagą.

- A zatem bezwarunkowa kapitulacja - westchnął. - Czy zechcesz za mnie wyjść?

- Wiesz co? - spytała z namysłem, przyglądając mu się uważnie. - Uważam, że to niezły pomysł.

- Co najmniej niezły - zawołał wesoło.

Kiedy wracali do domu, uświadomił sobie, iż żadne z nich nie wspomniało o miłości. Spochmurniał, wpatrując się w plecy Lucasa. Z pewnością Chauncey go kocha, skoro zdecydowała się na taki krok. Ale dlaczego nic nie powiedziała? Moja światowa dama jest nieśmiała, pomyślał. Wszystko w swoim czasie. Co zaś się tyczy jego samego, nie sądził, by kochał Chauncey. Pragnął jej

i dobrze czuł się w jej towarzystwie. Miłość przyjdzie potem.

ROZDZIAŁ 13

- W porządku, Del - oznajmił Dan Brewer, odstawiając z hukiem swój pokryty resztkami piany kufel. - Wyciągnąłeś mnie z banku, niemal wykręciłeś mi ramię, prowadząc mnie do El Dorado, a potem zmusiłeś, bym wypił piwo. Powiesz mi, o co chodzi?

- Zmusiłem? Masz jeszcze pianę na górnej wardze, Dan.

Dan przesunął po wargach wierzchem dłoni i spojrzał na towarzysza.

- To nie ma nic wspólnego z panną Jameson, prawda? Ona czuje się już lepiej?

- A jakże, zuchwała i bezczelna jak zawsze. Mam zamiar się z nią ożenić, Dan.

- Co takiego?

- Ufam, że nie złamie ci to serca i nie będziesz cierpieł razem z tuzinem innych mężczyzn.

- Dobry Boże! Moje gratulacje, Del! - Potrząsnął głową, rozbawiony. - A bodaj cię! Choć tak właściwie nie jestem zdziwiony.

Pochylił się w przód i uniósł porozumiewawczo jedną brew.

- To dlatego, że miałeś ją w domu, co?

- Jestem pewny - powiedział Delaney uprzejmie, choć z lekkim odcieniem groźby w głosie - że nie sugerowałeś niczego... niestosownego.

- Nie - zapewnił go Dan. - A nawet jeśli, to już nie sugeruję!

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Dan. Delaney rozsiadł się wygodnie i zerknął na grupę mężczyzn, zgromadzonych w najbardziej luksusowej szulerni San Francisco. Było późne popołudnie i stali bywalcy pochylali się już nad okrągłymi stolikami, dzierżąc w dłoniach ułożone w wachlarzyk karty. Gdzieś w tle słyhać było metaliczne pobrzękiwanie pianina, mieszające się z szelestem rzuconych na stół kart do pokera oraz głosami podochoconych mężczyzn, zasiadających za wielkim mahoniowym barem. O tej porze dnia w szulerni znajdowało się zaledwie kilka krzykliwie ubranych kobiet. Reszta swawolnych pań oszczędzała siły na wieczór.

- Wiesz co? - powiedział w końcu Del, jakby zwracając się do siebie samego. Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: - W ciągu ostatnich dwóch godzin - bo tyle trwa nasze narzeczeństwo, - doszedłem do wniosku, że wszystko, co się wydarzyło, było w pewien sposób nieuniknione. Nie uważasz, że to brzmi głupio?

- Czy ja też zacznę filozofować, kiedy będę miał się ożenić? - zapytał Dan z uśmiechem, przyglądając się, jak Del przełyka wielki haust piwa. - Nieuniknione? No cóż, panna Jameson zaczęła rozpytywać o ciebie, gdy tylko jej noga postąpiła w San Francisco.

- Sądzisz, że moja sława doskonałego kochanka zwabiła ją tutaj aż z Anglii?

- Chętnie posłuchałbym, jak zadajesz jej to pytanie!

- Och, pewnie tak zrobię. I jestem pewien, że się nie zarumieni. Już raczej powie mi, że słyszała, iż potrzebuję korepetycji.

Lecz to nie była prawda i on dobrze o tym wiedział. Chauncey była niespotykane naiwna. Tak naiwna, że nie potrafiła rozpoznać ani uświadomić sobie reakcji własnego ciała.

- A co z Penelopą Stevenson i Tonym Dawsonem?

- Dwie łyżki dziegciu w beczce miodu? No cóż, nią możesz już nie zawracać sobie głowy.

Wczoraj podczas przejażdżki powiedziałem, że zamierzam poślubić Chauncey.

- Chauncey?

- To zdrobnienie od Elizabeth. Uważam, że jest dość... pieszczotliwe.

- Raczej nie miałaś wątpliwości co do uczuć tej damy, prawda?

- Rzeczywiście, lecz jeśli chodzi o Penelopę, i tak nie miało to znaczenia. Nie poślubiłbym jej, tak jak nie przepisałbym na ciebie aktu własności banku.

- I jak Penelopą zareagowała na twoje oświadczenie?

- Ujmijmy to w ten sposób: nigdy bym nie przypuszczał, że osiemnastoletnia dziewczyna, na pozór starannie wychowana, potrafi posługiwać się tak barwnym językiem. Kiedy już skończyła wyzywać się na Chauncey, zajęła się mną. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Idź do diabła”. Rozmawiałem także z Bunkerem. To dziwne, ale on jakoś nie miał do mnie pretensji. Westchnął tylko i życzył mi wszystkiego najlepszego. A potem stwierdził z tęsknotą w głosie, że jestem szczęściarzem.

- Na miłość boską, przecież ty nawet nie byłeś z nią zaręczony!

- To prawda, lecz Penelopą ma bardzo wygórowaną opinię o sobie i swoich wdziękach. Słyszałem, że rozpowszechnia wieści, jakoby to ona mnie rzuciła. Zadziwiające, doprawdy zadziwiające.

- Wiesz, Del, ty jednak prawie wcale nie znasz panny Jameson. Od jej przyjazdu do San Francisco nie minął nawet miesiąc.

- Tak, to prawda. Lecz teraz będę miał mnóstwo czasu, aby ją poznać - dodał, uśmiechając się szelmowsko. - Ona stanowi zagadkę, którą z rozkoszą będę rozwiązywał. Ale powoli, bardzo powoli.

Do ich stolika podszedł James Córa, właściciel El Dorado. Był to przystojny, wysoki mężczyzna o białych zębach, którego szeroki uśmiech zawsze wydawał się Delaneyowi lekko nieszczerzy. Z kącika ust zwieszało mu się nieodłączne cygaro.

- I jak wam się, chłopcy, powodzi? - zapytał.

- No cóż, tłuczemy forszę, ale chyba nie twoim kosztem, Jim - powiedział Delaney, potrząsając dłonią starszego mężczyzny. - Chyba nie muszę pytać, jak tam interesy? - dodał, rozglądając się wymownie dookoła.

- Rzeczywiście - przytaknął James Córa, obrzucając swoje zasobne królestwo dumnym spojrzeniem posiadacza. - Postawić wam jeszcze po piwie? Na koszt firmy?

- Pewnie - powiedział Dan. - Ale nie myśl sobie, że tu zostanę i zacznę tracić forszę, przegrywając - z tobą w pokera.

- Jakoś przeżyję to rozczarowanie, synu, a to więcej, niż można powiedzieć o tym kretyńcu Jacku Darcym. Głupi osioł.

- Słyszałem, że oskarżył Barona Jonesa, iż oszukuje podczas gry - powiedział Dan.

- Niezbyt rozsądne posunięcie - wtrącił Del, potrząsając głową i wspominając swój pojedynek z Baronem sprzed dwóch lat. - Ten facet znakomicie strzela i ma w sobie coś z sadysty. Czy to prawda, że wprowadził się do kochanki Darcy'ego, nim tego ostatniego pogrzebano?

- Taa... - potwierdził James Cora. - Dobrana z nich para - dodał, kończąc temat. - Trzymajcie się z dala od kłopotów, chłopcy.

Co powiedziawszy, skinął im głową i odszedł, by powitać Sama Brannana.

- Ten człowiek źle skończy - stwierdził Dan.

- Masz rację, jeśli wziąć pod uwagę Bellę i jej napady szału. Podobno w zeszłym tygodniu rzuciła w niego wazonem pełnym zwiędłych kwiatów.

- Miejmy nadzieję, iż żony nie bywają równie gwałtowne jak kochanki. A tak nawiasem mówiąc, co będzie z Marie?

Delaney uśmiechnął się krzywo, wspomniawszy niewinne pytanie Chauncey, dotyczące mężczyzny i ich potrzeby posiadania kochanki. Uderzyło go, że nie zażądała, by oddalił Marie. I nawet nie wywarło na niej szczególnego wrażenia, gdy dobrowolnie zaoferował, że tak uczyni.

- Wkrótce z nią porozmawiam. Nie sądzę, by miała kłopoty ze znalezieniem sobie szczodrego protektora.

Przez chwilę rozmawiali o interesach, a potem Delaney wyjął z kieszonki zegarek i powiedział:

- Jem dzisiaj obiad z moją przyszłą żoną. Proszę, nie rozpowiadaj na razie o moich zamiarach, choć wątpię, czy Bunker Stevenson okaże się równie powściągliwy. Lub jego żona, jeśli już zdążył jej o tym powiedzieć.

- Ustaliliście już datę? Delaney potrząsnął głową.

- Nie, Chauncey była zbyt zmęczona po przejażdżce. Gdy wychodziłem, spała jak zabita. Porozmawiamy o tym wieczorem.

Delaney zaniósł narzeczoną do jadalni, gdzie mieli zjeść razem kolację. A kiedy sadzał ją na krześle, szepnął jej do ucha:

- Powiedz mi, czy znowu doświadczyłaś tego dziwnego uczucia?

Uśmiechnęła, się do niego, zaintrygowana:

- Tym razem naprawdę jestem głodna.

Nie mógł się już doczekać, by wskazać jej źródło tego głodu, a myśl o tym, że mógłby ją pieścić, sprawiła, że aż zeszywniał z pożądania. Miał ochotę jej szepnąć, że podczas nocy poślubnej dowie się wszystkiego na temat dziwnych sensacji, jakim podlegało ostatnio jej ciało. Lecz nie powiedział nic. Była tak diabelnie niewinna, jeśli chodzi o seks, a on nie chciał wprawiać jej w zakłopotanie, przynajmniej do chwili, aż się pobiorą.

Kiedy już Lin podała na stół swoje specjały, podniósł kieliszek i powiedział:

- Za nas, Chauncey.

Chauncey zawahała się niedostrzegalnie, a potem przyłączyła się do toastu.

- Za nas.

- Kiedy ty spałaś sobie smacznie po południu, ja rozmawiałem z Danem. Przesyła ci gratulacje.

- To miło z jego strony. Mniem... Lin przyrządza najsmaczniejszą wieprzowinę na świecie. I jeszcze te kruche, świeże warzywa...

- Używa chińskiej przyprawy, zwanej sosem sojowym. A także imbiru. Czy już ci mówiłem, że ty sama wyglądasz dziś wyjątkowo apetycznie?

- Owszem - powiedziała, uśmiechając się do niego - mówiłeś. A i pan, proszę pana, nie przypomina dziś zbytnio szczotki do czyszczenia komina. Ten czarny surdut sprawia, że wyglądasz olśniewająco, a twoje oczy nabierają barwy miodu. Są pełne wyrazu, Delaney, lecz pewnie niejedna kobieta już ci to mówiła.

- Oczywiście.

Zażartował, mimo to było mu przyjemnie, że usłyszał komplement od kobiety, która wkrótce zostanie jego żoną.

- Zarozumialec - powiedziała, drocząc się z nim.

- Przynajmniej mam po temu powód. Najpiękniejsza kobieta w San Francisco zamierza za mnie wyjść.

Na chwilę ogarnął ją dławiący smutek. I poczucie winy.

- Nie chciałabym być tylko... ozdobą, Del - powiedziała, a lekki ton jej głosu nie zmylił go ani na sekundę. - Żoną, która istnieje wyłącznie poprzez swego męża.

- A czy prosiłem o coś takiego?

- Nie. Ale wiem, jacy są Anglicy. Kiedy zerwałam zaręczyny z sir Guyem, uświadomiłam sobie, że on uważał mnie za bezmyślne, głupiutkie kobieciątko, zdolne jedynie poprowadzić dom w cieniu jego zawsze obecnej matki.

- Nie jestem Anglikiem, a w tym domu nie ma żadnych cieni.

Chauncey przez chwilę bawiła się widelcem, rysując wzory na kopczyku warzyw, które pozostały na jej talerzu.

- Ja... nie chcę stracić kontroli nad swoimi pieniędzmi.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Delaney przygląda się jej uważnie.

- Musisz wiedzieć, że po tym, jak objęłam w posiadanie spadek, przez dwa miesiące uczyłam się, no cóż... gospodarować pieniędzmi. Mężczyzna, który był moim nauczycielem, powiedział mi, że w Ameryce, tak samo jak w Anglii, kobieta, która wychodzi za mąż, traci kontrolę nad swoim majątkiem i staje się jedynie dodatkiem, całkowicie zależnym od swego małżonka. Nie chcę tego.

- Twoje pieniądze należą wyłącznie do ciebie - powiedział po chwili zastanowienia Delaney. - Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Czy sądziłaś, że mogę zażądać, byś mi je przekazała? W posagu?

- Nie wiem - odparła, spoglądając mu prosto w oczy. - Nie wiem, czego się spodziewać.

- Uważam, że nie w tym problem. Po prostu mężczyźni, z którymi dotąd miałaś do czynienia, nie byli zbyt wartościowymi przedstawicielami swego gatunku. Pomyśl tylko: twój wuj, sztywniak Guy i Owen ropucha. Być może, jeśli będziesz sobie tego życzyła, mógłbym kiedyś wskazać ci kilka intratnych możliwości zainwestowania pieniędzy.

Wzruszył ramionami. Jakże były muskularne i silne! Przełknęła konwulsyjnie i sięgnęła, zmieszana, po kieliszek.

- Mówiłem ci już, Chauncey - kontynuował Delaney, nie rozumiejąc powodów tego nagłego roztargnienia - że nigdy bym cię nie skrzywdził. Ani nie próbowałbym zmienić w kogoś, kim nie jesteś. Wszystko, o co proszę - mówił dalej, wykrzywając wargi w łobuzerskim uśmiechu - to byś była szczęśliwa.

- Tak - powiedziała stanowczo - ja też tego pragnę.

Lecz ja cię skrzywdzę! Muszę!

- Powiedz mi, moja droga, czy rzeczywistość jest równie słodka jak marzenia?

- Ja... nie wiem, o czym mówisz.

- Rzeczywistość, kochanie, to ja jako twój mąż. A polowanie na mnie było marzeniem.

- Być może powinieneś zapytać, kiedy już będziesz moim mężem - powiedziała nieco nerwowo.

- Masz to jak w banku. Ale jeszcze o czymś chciałem z tobą porozmawiać. Jesteś Angielką.

Jeszcze pięć miesięcy temu Anglia była wszystkim, co znałaś. Chciałbym cię zapewnić, że jeśli będziesz chciała spędzić jakiś czas w swojej ojczyźnie, udamy się tam razem. Żona powinna zawsze być tam, gdzie mąż, lecz nie zamierzam domagać się od ciebie, byś zapomniała, kim byłaś, nim pojawiłaś się w moim życiu.

Chauncey zacisnęła mocniej palce wokół kieliszka i nie zastanawiając się, dała wyraz swemu zmieszaniu.

- Dlaczego jesteś taki... miły? Taki uważający i wrażliwy?

Uniósł pytająco brwi.

- Spodziewałaś się, że będzie inaczej? *Tak, do licha!*

Uśmiechnęła się do niego nieszczerze.

- Nie, oczywiście, że nie, po prostu mnie zaskoczyłeś. Ale ja nie mam do czego wracać. Jednak ty, Del, masz tam tych swoich znakomitych krewnych, prawda?

- Tak.

- Kiedy byłeś ostatnio w Anglii? W pięćdziesiątym pierwszym?

- Tak, w 1851. Jak już mówiłem, księżę i księżna poznali mnie z wieloma ludźmi. Podejrzewam, iż księżna mniej lub bardziej otwarcie starała się znaleźć dla mnie miłą angielską żonę. Bez wątpienia bardzo ucieszy ją wiadomość, że to się powiodło. I nie musiała nawet kiwnąć palcem.

Boże, czy ona rozpozna nazwisko Jameson? A jeśli nie, czy nie zechce dowiedzieć się o mnie czegoś więcej? Czy Delaney wkrótce zacznie zadawać mi pytania, na które nie będę potrafiła odpowiedzieć?

- Listy pomiędzy Anglią a Ameryką wędrują bardzo powoli, prawda? Trzeba będzie dobrych trzech miesięcy, by twoi znakomici krewni dowiedzieli się, że masz żonę.

- To prawda. Napisałem do nich i do mojego brata tego dnia, kiedy wróciłem po spotkaniu z Danem. Brat dawno już mnie namawiał, bym uczynił ten fatalny krok.

- Chyba nie podoba mi się to określenie. Fatalny krok, też coś!

- To tylko takie męskie gadanie, Chauncey. Mężczyźni zazwyczaj przechwalają się publicznie swoją wolnością, podczas gdy tak naprawdę tęsknią do stałości. A stałość to żona, dom i rodzina.

Stalość. Czy będę tu jeszcze za sześć miesięcy?

- Rodzina - powtórzyła nagle, spoglądając na niego pustym wzrokiem.

Delaney znieruchomiał z kieliszkiem uniesionym do ust.

- To naturalna konsekwencja małżeństwa. Wiesz o tym, kochanie. Nie chcesz mieć dzieci?

Przełknęła, niezdolna spojrzeć mu w oczy.

- Nie wiem. To znaczy jestem jeszcze młoda.

- Wiele kobiet rodzi pierwsze dziecko w wieku szesnastu, siedemnastu lat.

Chauncey zwilżyła językiem spierzchnięte usta.

- Czy posiadanie dzieci jest konsekwencją małżeństwa? To znaczy bezpośrednio?

O co tu, u licha, chodzi, zastanawiał się, z trudem zachowując obojętny wyraz twarzy.

- Nie, chyba nie. Większość małżonków po prostu chce mieć dzieci.

Miał ochotę się z nią podroczyć, powiedzieć jej, że prawdopodobnie szybko zajdzie w ciążę, gdyż po ślubie nie zamierza wypuścić jej z łóżka co najmniej przez pół roku. Ciekawe, czy ona w ogóle wie, skąd się biorą dzieci, pomyślał. Zdecydował, że nie będzie drażył tego tematu, dopóki nie zostaną małżeństwem.

- Jeżeli będziesz woląла zaczekać, chyba da się coś zrobić.

Wyobraził sobie, że wypytuje Marie, jakich sposobów używa, aby uniknąć poczęcia, i niemal zakrztusił się winem.

- Tak - powiedziała po namyśle. - Chyba wolałabym zaczekać.

Wiedziała, że mężowie i żony pozostają ze sobą w intymnych stosunkach, że rozbierają się w swojej obecności i śpią razem. A także całują się i robią inne rzeczy. Potrząsnęła głową, odganiając precz niechciane myśli. Cokolwiek będzie musiała robić jako jego żona, uczyni to.

Jak dobrze, że siedzę, myślał tymczasem Delaney z ulgą. Bowiem niezależnie od tego, co wiedziała, a czego mogła się tylko domyślać, powiększające się wybrzuszenie w jego spodniach z pewnością nie uszłoby jej uwagi.

- Kiedy za mnie wyjdiesz? - zapytał, próbując zająć czymś umysł.

- Kiedy tylko zechcesz.

- Za tydzień? W kościele St. Mary's?

- Jak na mężczyznę, który chronił swą ceną wolność przez dwadzieścia osiem lat, wykazujesz aż nadto chęci, by dać się zniewolić!

Uśmiechnął się do niej.

- Co prawda, to prawda - powiedział. - A poza tym, moja droga, nie chcę, byś wracała do Orientu.

Spuścił wzrok i mruknął cicho:

- Saint powiedział mi, że w przyszłym tygodniu będziesz w wystarczająco dobrej formie.

- Ten okropny człowiek! Wiesz może, dlaczego nazywają go Świętym?

- Oczywiście, że wiem, ale to on powinien ci o tym powiedzieć, nie ja.

Miał ochotę podroczyć się z nią, mówiąc, że Saint z ochotą opowie jej tę historię, gdy będzie leżała w połogu z ich pierwszym dzieckiem. A potem przypomniał sobie straszliwy lęk, jaki ogarnął go dwa lata temu, gdy jego bratowa, Giana, zaczęła nagle rodzić, kiedy była z nim na spacerze. Być może, pomyślał, powinni jednak trochę poczekać.

- Wiesz co? - zapytał po chwili. - Właściwie to wcale nie poprosiłem cię o rękę, kiedy tarzaliśmy się w piasku na plaży. Czy wyjdiesz za mnie, Chauncey?

- Mam sobie wyobrazić, że leżysz plackiem u mych stóp?

- Martwym bykiem, madame. A przynajmniej powalonym.

Chauncey zmarszczyła brwi.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś uważał mnie za jakąś siłaczkę. Wiesz, że taka nie jestem.

- A jaka jesteś, Chauncey?

- Jaka? - Wbiła wzrok w lnianą serwetkę na swoich kolanach. - Jestem po prostu kobietą, która chce cię za męża... bardziej niż innych mężczyzn.

- Chce mnie za męża? Co za przyziemne określenie. Ja zaś, droga Chauncey, jestem romantykiem. Mogłabyś o tym pamiętać.

A ja realistką!

Czując w sobie dziwną pustkę, spojrzała na niego spod opuszczonych powiek. Jego oczy błyszczały humorem i czułością. Chyba nie oczekuje miłosnych wyznań?

- Tak, Del, postaram się o tym pamiętać - powiedziała miękko.

- Doskonale. A teraz, moja przyszła żono, chciałabyś może, abym nauczył cię grać w pokera?

Delaney opadł w końcu na swoje tymczasowe posłanie. Życie bywa czasami cholernie dziwne, pomyślał. Jeszcze miesiąc temu zastanawiał się nad poślubieniem Penelopy Stevenson. Boże, ależ z

niego głupiec, że w ogóle brał pod uwagę taką możliwość. Elizabeth Jameson. Chauncey. Była wszystkim, czego oczekiwał od żony. To, co powiedział Danowi, było prawdą. Chauncey stanowiła ucztę dla wyobraźni. I pragnęła go. Słowa, które szeptał Marie, kiedy się kochali. Słowa o podstawowym znaczeniu. Wszystko w swoim czasie, powtórzył sobie raz jeszcze, zapadając w sen.

ROZDZIAŁ 14

- Jest blada i chuda!

Niedorzeczny komentarz Penelopy sprawił, że Tony Dawson uniósł brwi. Z pewnością wkrótce zabraknie jej obraźliwych określeń, którymi mogłaby obrzucić pannę Jameson. Nie, teraz już panią Delaneyową Saxton. Tony westchnął, życząc sobie w duchu, by Penelopa po prostu zniknęła i pozostawiła go jego rozpaczy. Ale oczywiście nic takiego się nie wydarzyło.

- Nie mogę uwierzyć, że Del dał się jej usidlić!

- Usidlić? Co przez to rozumiesz?

Trzymaj gębę na kłódkę, zganił sam siebie. Narażasz się na wysłuchiwanie kolejnych zjadliwych uwag.

- Nikt tak naprawdę nie wie, kim ona jest ani skąd się wzięła. Wiadomo tylko, że ma pieniądze.

Tony przez chwilę wpatrywał się melancholijnie w dno swego kieliszka po szampanie. - Naprawdę je ma - powiedział w końcu z rezerwą, a potem dodał: - A jeśli ktoś przysłucha się uważnie jej wymowie, będzie musiał przyznać, że dziewczyna mogła urodzić się tylko w Anglii.

- Nie o to mi chodziło - wtrąciła Penelopa - i dobrze o tym wiesz.

Tony zignorował oskarżenie i rozejrzał się wokół rozpaczliwie, poszukując możliwości ucieczki, lecz nikt nie pośpieszył mu z pomocą. Państwo młodzi zatrzymali się właśnie przy szerokich, wychodzących na zatokę oknach, by odpowiedzieć na toast wzniesiony przez Sama Brennana i wielbnego Barkeleya. Chauncey nadal jest blada, pomyślał, a jego serce zadrżało lekko na widok dziewczyny, teraz już zamężnej. Westchnął, słysząc przenikliwy szept Penelopy.

- Wiesz, że ona spała tutaj, w łóżku Delaneya, przez ostatnie dwa i pół tygodnia? Po czymś takim z pewnością musiał się z nią ożenić!

- Uważam, że Delaney odegrał tu rolę dobrego Samarytanina, Penelopo. W końcu ona naprawdę była chora.

- Ha! - parsknęła Penelopa w odpowiedzi. - Wkrótce się przekonasz, że Delaney nie różni się od innych mężczyzn w San Francisco. To kocur, który w dodatku ma kochankę!

Agatha Newton potrząsnęła współczująco głową. Biedny Tony, skazany na towarzystwo tej żalostnej, małej wiedźmy! Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że się ośmiesza?

Wszyscy pozostali goście serdecznie odnosili się do młodej pary, życząc jej wszystkiego najlepszego. Skromny ślub w kościele St. Mary's, podczas którego ona, Horacy i Dan Brewer pełnili rolę świadków, okazał się bardzo wytworny i nawet wielbny David Barkeley zdołał dotąd powstrzymać się od wspomniania o ogniu piekielnym i siarce.

Przez dom Saxtona przewinęła się w ciągu popołudnia co najmniej setka gości, przybyłych, by powinszować państwu młodym. W jadalni ustawiono olbrzymi, bogato zaopatrzone bufet. Przygotowaniem smakołyków zajęła się Lin do spółki z Armondem Arnaultem. Agatha napotkała

wzrok męża i lekko skinęła głową. Zrobiło się późno i Chauncey wyglądała tak, jakby zaraz miała zemdleć ze zmęczenia. Spojrzenie Agathy zmiękło, kiedy jej wzrok padł na śliczną suknię z białej satyny, zaprojektowaną i osobiście uszytą przez samego monsieur Daneau w ciągu zaledwie tygodnia. Obcisły stanik przybrany został obficie wspaniałą brukselską koronką, a niekończące się metry ciężkiej, satynowej spódnicy podtrzymywało pół tuzina halek. Długi biały welon, obsyty delikatnymi perełkami, opadał wdzięcznie na plecy Chauncey; na głowie zwieńczał go wianek z kwiatu pomarańczy. Smukłą szyję panny młodej otaczał pojedynczy sznur pięknych pereł, podobny do tego, jaki dwadzieścia lat wcześniej ozdobił szyję Agathy.

- Gotowa, kochanie? - zapytał spokojnie Horacy, podchodząc do swej małżonki.

Agatha westchnęła.

- Czyż ona nie wygląda wspaniale? Ach, jak bardzo to wszystko przypomina mi dzień naszego ślubu!

Horacy Newton podrapał się po siwej głowie.

- Boże, Aggie, naprawdę sięgasz pamięcią aż tak daleko? I pomyśleć, że ja starałem się jak najszybciej o wszystkim zapomnieć!

Przyzwyczajona do żartobliwego przekomarzania się z mężem, Agatha zignorowała jego zaczepkę i zapytała:

- Jak myślisz, Horacy, czy nie powinnam porozmawiać z Chauncey?

- Po co? Sądziłem, że już wygłosiłaś wszystkie stosowne formułki.

- Jej matka zmarła, gdy Chauncey była małą dziewczynką - tłumaczyła Agatha cierpliwie, jakby miała do czynienia z niezbyt pojętym dzieckiem. - Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby ona dotąd nic nie wiedziała o intymnej stronie małżeństwa. Być może jako starsza, zamężna kobieta...

- Na Boga, Aggie, daj sobie spokój! Del na pewno podoła zadaniu. W końcu nie jest już napalonym szczeniakiem. A poza tym jakoś mi się nie wydaje, by dziewczyna mogła być aż tak nieświadomiona.

- Ona jest Angielką - stwierdziła Agatha nieco szorstko. - A wiesz, jak się tam wychowuje dziewczęta z dobrych domów.

- Nie, nie wiem, ale to i tak nie ma znaczenia. Ostatnie, czego ona teraz potrzebuje, to porady takiej znawczyni życia jak ty!

- Nieokrzesany nudziarz!

- No cóż, przypuszczam, że możesz jej powiedzieć, iż czeka ją świetna zabawa.

Agatha wymierzyła mu delikatnego kuksańca w zębra.

- Tak czy inaczej, nie wyjdę stąd, dopóki ta mała idiotka Penelopa nie znajdzie się za drzwiami. No i Sally Stevenson! Można by pomyśleć, że świat się kończy!

- Dobrze. Przyholuję Bunkera. Wygląda, jakby miał już dość. Taki dobry szampan, a on przez cały czas żłopie brandy.

- A ja pośpieszę na pomoc temu biedakowi, Tony'emu.

Agatha uśmiechnęła się grzecznie do pozostałych gości, po czym ruszyła ku stojącemu z cierpienniczym wyrazem twarzy Tony'emu.

- Jak się macie? - spytała radośnie. - Co za prześliczny ślub, prawda? I to wspaniałe przyjęcie. Ależ się najadłam, chyba przez trzy dni nie wezmę niczego do ust!

- Tort weselny był zbyt suchy - powiedziała Penelopa. - Założę się, że upiekła go ta chińska kucharka Lin.

- Wiesz, Penelopo - powiedziała Agatha, spoglądając na dziewczynę z góry - nie ma nic wstrętniejszego niż demonstracja złych manier, zwłaszcza jeżeli wynika ona z zazdrości. Zgodzisz się ze mną, prawda?

- Zobaczycie - odparowała Penelopa - Del szybko się nią znudzi. I wtedy pożałuje.

Wymierzywszy pożegnalny strzał, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do matki.

- Dziękuję, że mnie uratowałaś, Agatho - powiedział Tony, przełykając resztę szampana.

- Cała przyjemność po mojej stronie, drogi chłopcze - zapewniła go Agatha, poklepując młodzieńca po dłoni. - My już wychodzimy. Może zechciałbyś nam towarzyszyć?

Tony uśmiechnął się do niej krzywo.

- Po co? Obawiasz się, że jeśli zostanę, mogę powiedzieć coś niestosownego?

- Och nie - zaprzeczyła Agatha radośnie. - Po prostu czasami lepiej jest mieć obok siebie życzliwą duszę, niż być samemu.

- Rzeczywiście, ale nie dziś wieczorem. Mimo to dziękuję.

- Dostał ci się niezły kasek - powiedział Sam Brannan, kiedy Delaney odprowadzał go do wyjścia.

- Dziękuję, Sam. Uważam tak samo, możesz być tego pewny.

- Biedna dziewczyna wygląda na zmęczoną - mówił dalej Sam, niezdolny powstrzymać cisnącego mu się na wargi pożądliwego uśmiechu. - A co będzie jutro? Mam nadzieję, że w nocy nie straci do reszty sił!

Delaney zeszytywniał.

- Cieszę się, że mogłeś przyjść - powiedział, uśmiechając się z przymusem.

Sam szturchnął go porozumiewawczo w bok, po czym wyszedł, a za nim Stevensonowie i Newtonowie.

Chauncey, która wreszcie uwolniła się od usiłującego ją natrętnie nawrócić wielebnego - Kościół anglikański, też mi coś! - opadła na wyściełane aksamitem, wygodne krzesło i zamknęła oczy. Nadal kręciło jej się w głowie, a twarze nowo poznanych osób wirowały pod zamkniętymi powiekami.

Z oddali dobiegał ją uprzejmy głos Delaneya, zręcznie obracającego w żart co bardziej sugestywne komentarze kawalerów i komplementującego wychodzące panie.

- Jestem panią Delaneyową Saxton - mruknęła, oszołomiona. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Będziesz musiała, i to wkrótce.

Uniosła powieki. Tony Dawson uśmiechał się do niej, lecz jego lewa dłoń była zaciśnięta w pięść.

- Ach, Tony - powiedziała, odzyskując nad sobą kontrolę. - Myślałam, że już wyszedłeś.

- Właśnie miałem zamiar. Chciałem jeszcze raz życzyć ci wszystkiego najlepszego, Elizabeth.

- Proszę, mów do mnie Chauncey.

- A Del nie będzie miał nic przeciwko temu?

- A co on ma wspólnego z tym, jak się mnie nazywa?

- Jest teraz twoim mężem. Sądzę, że będzie miał wiele do powiedzenia, i to w różnych sprawach.

- No cóż - wstała i wygładziła fałdy sukni - ja także! I chyba potrafię go przegadać!

- Rzuciła ci rękawicę, Tony? - zapytał Delaney, uśmiechając się do żony.

Tony dostrzegł w jego spojrzeniu czułość i aż się skrzywił.

- Już sobie idę - powiedział sztywno, pomijając milczeniem żartobliwe pytanie Dela. -

Zamierzacie wyjechać w podróż poślubną?

- Jeszcze się nie zdecydowaliśmy - odparł Delaney. - Bez wątpienia moja wielce wymowna żona wkrótce poinformuje mnie, czego sobie życzy.

- Wszystko, czego sobie teraz życzę - powiedziała Chauncey, ziewając niepowstrzymanie - to iść do łóżka.

Obaj mężczyźni drgnęli i zatrzymali na niej znaczące spojrzenie.

- Ach, moja droga - odezwał się w końcu Delaney, odsłaniając w uśmiechu białe zęby - musisz nauczyć się zachowywać w tajemnicy swoje nadzwyczaj interesujące życzenia. W ostateczności możesz wyszeptać mi je do ucha.

- Och! - Chauncey zarumieniła się gwałtownie.

- Nie miałam na myśli... to znaczy... jesteś okropny, Delaney Saxtonie! Chodź, Tony, odprowadzę cię do wyjścia. Zostawmy tego paskudnego dowcipnisa, niech sobie siedzi sam!

Przy drzwiach Tony wziął z rąk Lucasa swój kapelusz, a potem zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Naprawdę życzę ci wszystkiego najlepszego, Chauncey - powtórzył, uśmiechając się do niej.

- Del to porządny facet. Jestem pewny, że będziesz z nim szczęśliwa.

Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale na szczęście nie zrobił tego.

- Dziękuję, Tony. Musisz wkrótce przyjść do nas na kolację. Lin przyrządza najsmaczniejsze potrawy na świecie. Nauczyłam się już, by nigdy nie pytać o składniki.

- Tak, z przyjemnością was odwiedzę - powiedział Tony, po czym odwrócił się i szybko wyszedł.

- Przeżyje, madame. Proszę się nie martwić.

- Tak, wiem - powiedziała Chauncey, odwracając się do Lucasa. Uśmiechnęła się smutno. -

Gdyby Tony mieszkał w mieście, w którym jest tyle samo kobiet co mężczyzn, pewnie w ogóle by się nie zaangażował.

- Nie byłbym tego taki pewny. A oto i pan Saxton. Poczula na barkach jego dłonie, delikatnie ugniatające zeszywniałe z napięcia mięśnie.

- Lepiej? - mruknął, pochylając się, by ucałować jej skroń. Powoli odwrócił ją do siebie. - Jak tam twoje żebra?

- Jeszcze trochę bolą - odparła lekko załamującym się głosem. Wyhamuj trochę, głupcze! Chauncey roześmiała się tak sztucznie, że nie zmyliło to Delaneya ani na chwilę. - Monsieur Daneau miał wiele do powiedzenia na temat tego, że nie noszę gorsetu.

- Tak - przytaknął Delaney miękko. - Już mi o tym mówiłaś. Ty nie masz czego ścisnąć gorsetem. Ten facet to głupiec.

- Cóż, moda. Ośmielę się stwierdzić, że gdyby nie wy, mężczyźni, kobiety nie maltretowałyby tak swoich ciał krępującą ruchy odzieżą.

Uśmiechnął się do niej. Zdażył się już przekonać, że Chauncey prowokowała sprzeczkę, gdy czuła, że stąpa po niepewnym gruncie.

- W pełni się z tobą zgadzam - powiedział. - Czy mam podpalić wykwinny magazyn monsieur Daneau?

Zwilżyła językiem wargi i nagle uświadomiła sobie, że Delaney zamilkł i bardzo uważnie się jej przygląda.

- Wyszły mi wargi - powiedziała półgłosem. *Czyż nie to właśnie robią kokietki, aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzn?* Wysoko uniosł brwi.

- To przez szampana - powiedział. - Ściemniło się - dodał, jakby do siebie.

- Gdzie Mary? - zapytała Chauncey i po raz pierwszy w całym swoim życiu odwróciła się tyłem do usianego gwiazdami nieba.

- Świątuje w kuchni, razem z Lucasem i Lin. Dzisiaj ja będę twoją pokojówką. Chodź, żono.

Żono!

Nie poruszyła się, lecz stała sztywna niczym posąg. Delaney podszedł i wziął ją na ręce. Zupełnie jakbym trzymał w ramionach miękką deskę, pomyślał, kierując się ku schodom. A kiedy wszedł do swojej sypialni - teraz ich sypialni - ostrożnie postawił Chauncey na podłodze, po czym odwrócił się i starannie zamknął za nimi drzwi.

Przez chwilę przyglądał się jej, stojącej sztywno pośrodku sypialni i obejmującej się ramionami, jakby dla ochrony.

Nie podszedł do niej, lecz oparł się plecami o drzwi i skrzyżował ramiona na piersi.

- Wiesz, moja droga - zaczął po chwili - powiedziałem ci, że nigdy bym cię nie skrzywdził. Pamiętasz?

Skinęła głową, nie odrywając wzroku od barwnych deseni dywanu.

- Nie lubię, gdy zachowujesz się jak przestraszone szczenię. Pozwól, że pomogę ci zdjąć tę suknię - powiedział łagodnym głosem Delaney.

Czuła jego place, sprawnie rozpinające długi rząd obciągniętych satyną guziczków, biegnący w dół jej pleców. Zmusiła się, by stać spokojnie. Jestem jego żoną, powtarzała sobie w kółko. Muszę zachowywać się jak szczęśliwa panna młoda. Nie mogę dopuścić, by zaczął podejrzewać...

Suknia zsunęła się jej z ramion.

- Odwróć się, kochanie i przytrzymaj się mnie. To jedyny sposób, aby wydostać cię z tej sukni, nie niszcząc jej.

Wkrótce, odrzuciwszy niedbale na krzesło pół tuzina halek, stała przed nim ubrana jedynie w batystową koszulkę, haftowaną w pączki żółtych róż, oblamowane koronką desusy i jedwabne pończochy.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedział Delaney, ujmując delikatnie jej podbródek pomiędzy kciuk i palec wskazujący. - Bielizna i welon. Tak, doprawdy prześlicznie. Usiądź przed toaletką, Chauncey, a ja rozplotę ci włosy.

Odpinając długi welon i wyciągając liczne spinki, przemawiał do Chauncey, starając się odwrócić jej uwagę i tym samym sprawić, aby choć trochę się odprężyła.

- Dotarło do mnie kilka złośliwych uwag Penelopy. Czy ty też miałaś wątpliwe szczęście je usłyszeć?

- Musiałabym być głucha! Założę się, że miała wielką ochotę wpakować mi pod żebra nóż do krajania tortu!

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - stwierdził sentencjonalnie Delaney, przeciągając szczołkę po gęstych włosach żony. - Muszę podziękować ci za to, że uratowałaś mnie przed tą złośliwą dzierlatką. Choć teraz wątpię, czy kiedykolwiek bym się z nią ożenił. Już przed twoim przybyciem mocno działała mi na nerwy.

Spojrzenie Chauncey pobiegło ku odbiciu twarzy Delaney a w lustrze. Nie poślubiłby Penelopy! Czyżby jej ofiara nie była w ogóle potrzebna? Potrząsnęła głową, oszołomiona. Nie, tak jest lepiej. Pomimo wszystkich obowiązków małżeńskich, którym musi sprostać żona - także w sypialni - będzie odtąd mieszkała w tym domu, przeglądała jego dokumenty i przysłuchiwała się planom. A także

stopniowo doprowadzała go do ruiny.

- Masz piękne włosy, Chauncey. Być może powinienem zainicjować obchody Dnia lady Godivy i obsadzić cię w głównej roli.

Dlaczego musi być tak cholernie miły!

- Nie są wystarczająco długie - powiedziała.

- A zatem, może za rok lub coś koło tego. A teraz, moja droga - kontynuował, odwracając się w stronę szafy - mam dla ciebie niespodziankę. I to nie ze sklepu monsieur Daneau.

Przyglądała się czujnie, jak Delaney wyjmuje z szafy owinięte wesołymi czerwonymi wstążeczkami pudło.

- Mam nadzieję, że tobie też się spodoba - powiedział, całując delikatnie jej mocno zaciśnięte wargi i odsuwając się niemal natychmiast.

Chauncey rozwiązała wstążki i podniosła przykrywkę. W środku, ulokowana bezpiecznie w gniazdku z bibułki, leżały: jedwabna nocna koszulka oraz peniuar, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek widziała. Były to bowiem dwa skrawki przejrzystego, jasnożółtego jedwabiu, obszyte łabędzim puchem.

- Jakie to piękne - wykrztusiła. - Tylko okropnie skąpe.

- Owszem - przytaknął - choć dla mnie to i tak zbyt wiele. - Pocałował ją w policzek i ruszył ku drzwiom sypialni. - Włóż to na siebie, Chauncey. Zaraz wracam.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za mężem, Chauncey wstała, ściskając w dłoniach frywolną koszulkę. Bezwiednie wygładziła materiał i jej spojrzenie padło na obrączkę. Stanowiła wspaniały okaz biżuterii: pojedynczy wielki diament otaczały trzy rubiny, a wszystko to było umieszczone w delikatnej złotej oprawie.

Stała nieporuszenie, wpatrując się w gasnący na kominku żar. On zaraz wróci. Nie chciała, by zastał ją pośrodku pokoju w samej tylko bieliźnie. Błyskawicznie zrzuciła z siebie resztę odzienia i wsunęła przez głowę koszulkę, która dotknęła jej ciała pieszczotliwą miękkością jedwabiu. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Wyglądam niczym puszysty deser.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i odwróciła się szybko, nieświadoma, że światło z kominka obrysowuje jej postać, podkreślając każdą krzywiznę smukłego ciała.

Delaney zaczerpnął gwałtownie powietrza.

- Mój Boże - powiedział miękko - Wyglądasz wspaniale!

Miał na sobie ciemnoniebieski aksamitny szlafrok, w którym jego szerokie ramiona wydawały się jeszcze szersze.

- Teraz, skoro oboje jesteśmy boszi, przekonajmy się, czy dobrze do mnie pasujesz.

W jednej chwili przytulił dziewczynę do siebie. Czowała na karku jego dłonie, napierające delikatnie na tył jej głowy. Przytuliła twarz do jego ramienia.

- Pasujesz doskonale - wyszeptał prosto w jej'; skroń. Poczowała, że Delaney drży. Zdziwiło ją to.

- Zamierzam uczynić cię dzisiaj bardzo głodną, Chauncey, bardzo, bardzo głodną. A teraz chciałbym, byś objęła mnie ramionami i stanęła na palcach.

Zrobiła, o co ją poprosił, nagle świadoma jego siły. Przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców, więc zeszywniała i pisnęła cicho, niepewna i przestraszona.

- Ciii, kochanie. Odpręż się. Tak już lepiej. Czy ty mnie czujesz, Chauncey?

Jakie to dziwne, pomyślała.

- Czuję co?

- Moje pragnienie, by kochać się z tobą. Ujął ją za pośladki i podniósł.

- Och! - Mimo woli objęła go mocniej ramionami, starając się nie stracić równowagi. Wtuliła twarz w jego szyję.

Zwolnij, zganił się w duchu Delaney, oddychając głęboko. Masz na to całą cholerną noc.

Delikatnie wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Stał nad nią i przesuwał w zamyśleniu dłonią po szczęce, powiedział:

- Wiesz, jestem już zmęczony tym skrawkiem jedwabiu, który cię okrywa.

- Ależ ja nie mam nic innego! - krzyknęła, odruchowo podciągając wyżej kolana.

- Owszem, masz, kochanie, i to więcej niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Odsunął się nieco i rozwiązał pasek szlafroka. Usłyszał, jak Chauncey zaczerpnęła gwałtownie powietrza i znieruchomiała. Czy męskie ciało wyda jej się odrażające i wstrętne? Jego sztywna męskość sterczała pomiędzy fałd szlafroka. Czy widok ten może ją zaszokować? Przestraszyć?

Działam zbyt szybko, pomyślał i opuścił dłonie. Uśmiechnął się do niej szelmowsko i znów wziął ją w objęcia.

Co on ma zamiar mi zrobić? - zastanawiała się Chauncey gorączkowo. A kiedy opadł na stojący przy kominku fotel i ułożył ją sobie wygodnie na kolanach, odetchnęła z widoczną ulgą.

- Chciałbyś porozmawiać? - spytała z nadzieją.

- Oczywiście. Uznałem, że jednak nie jestem zmęczony. Powiedz mi, żono, o czym myślałaś podczas dzisiejszej ceremonii.

Skupiła się na pytaniu, zapominając o lekkim dotyku jego dłoni.

- O tym, że Agatha chyba zaraz się rozplacze. Zachowywała się, jakby była moją matką.

Jego prawa dłoń znieruchomiała na moment, a potem podjęła wędrówkę wzdłuż jej ramienia.

- Ach, Chauncey, czyż nie mówiłem ci, że jestem romantykiem? Spodziewałem się, że powiesz, iż była to najszcześniejsza chwila w twoim życiu.

Choć jego usta się uśmiechały, ani na chwilę nie przestał wpatrywać się w jej biust. Delikatny zarys piersi przyciągał jego wzrok niczym magnes. Uświadomił sobie, że pragnie pieścić je poprzez śliski jedwab, czuć, jak sztywniej pod dotykiem jego dłoni. Bezwiednie objął palcami miękką wypukłość.

Znieruchomiała, wstrzymując oddech. Miała ochotę zawołać, by przestał, ale byli przecież małżeństwem, jej ciało należało do niego. Lecz kiedy poczuła, że delikatnie zacisnął dłoń na jej piersi, nie wytrzymała.

- Zapobieganie! - wykrzyknęła.

Dłoń Delaney znieruchomiała. Przechylił głowę na bok, by lepiej widzieć jej twarz.

- Nie sądzę, by moja dłoń stanowiła zagrożenie - powiedział z nutką kpiny w głosie.

Ach, słodka niewinności, pomyślał. Prawdę mówiąc, zapomniał spytać Marie o to, jak zapobiegać poczęciu, gdyż całe popołudnie tłumaczył jej, dlaczego muszą przestać się spotykać, kiedy już będzie miał żonę. Z rozbawieniem przysłuchiwał się, jak jego francuska kochanka wyraża niezachwiane przypuszczenie, iż nie będzie czekała zbyt długo, by do niej wrócił.

- Moja droga, zaufaj mi chociaż tym razem. Trzeba trochę czasu, by począć dziecko, przynajmniej tak mi mówiono. Dziś nie musimy uciekać się do żadnych sztuczek.

Zaufać mu? Ależ to niemożliwe. Potrząsnęła głową, zmartwiona faktem, że kiedy choć na chwilę przestawała myśleć o tym, dlaczego za niego wyszła, zaczynała mu ufać. Poczuła, że znów głaszcze

jej pierś, zataczając palcami koła i coraz bardziej zbliżając się do sutka. Westchnęła zaskoczona, gdyż spostrzegła, że ta zdradziecka część jej ciała unosi się, jakby wychodząc mu naprzeciw.

- Uwodzisz mnie - powiedziała oskarżycielskim tonem, żalując, że jej ciało tak entuzjastycznie odpowiada na jego zaloty.

Dotknął palcami jej sterczącego teraz bezwstydnie sutka i uśmiechnął się leciutko.

- Być może się myliłem. Jesteś wrażliwa na pieszczoty, moja droga.

- Wcale tego nie chcę! Naprawdę, ja... To podłe, tak się ze mną droczyć. A poza tym nie jesteś dziewczicą!

Jego dłoń powędrowała w dół, ku jej zębrom.

- Prawdę mówiąc - powiedział miękko - ostatnią rzeczą, jaką chciałbym teraz robić, byłoby droczenie się z tobą. Pocałuj mnie, Chauncey.

Uniosła twarz i poczuła, że jego ciepłe usta dotknęły jej warg. Smakował szampanem, homarem i, nader słodko, sobą.

- Odpręż się, kochanie - szepnął cichutko. Przesunął po jej wargach ciepłym językiem i Chauncey poczuła, że zalewa ją fala ciepła.

- Och! - powiedziała miękko, zdumiona. Język Delaneya wśliznął się w jej usta, a uczucie, które nią zawładnęło, było tak dziwne, że mimo woli zareagowała, unosząc się i sprawiając, że jego delikatnie ugniatające jej brzuch palce osunęły się niżej.

Delaney zorientował się w jej reakcji i poczuł przypływ dumy. Oderwał wargi od ust Chauncey i zaczął obsypywać pocałunkami jej nos, brodę i wysokie kości policzkowe. Przycisnął dłoń do ciała dziewczyny i poczuł promieniujące z niego ciepło.

- Chodźmy do łóżka - zaproponował.

- Nie jestem pewna, czy tego chcę - powiedziała z obawą, pragnąc, by zabrał tę swoją przeklętą dłoń. Ze wstydem uświadomiła sobie, że wilgotnieje pod dotykiem jego badających palców. To z pewnością nie było normalne!

- Obiecuję, że nie będziemy się spieszyli. Wziął ją na ręce i ruszył w kierunku łóżka.

- Jesteś bardzo silny - pisnęła Chauncey nerwowo, zdając sobie sprawę, że chwila próby zbliżenia się nieuchronnie.

To nie może przecież być takie znowu okropne, pomyślała. Ludzie ciągle się pobierają!

- Ty zaś, moja kochana, jesteś cudownie miękka - powiedział, kładąc ją na łóżku i zajmując miejsce obok niej.

- To łóżko jest bardzo małe - powiedziała, chwytając gwałtownie powietrze. Choć Delaney jej nie dotykał, czuła bijący od niego żar.

Delaney uśmiechnął się ponuro. Nie był napalonym młodzieniaszkiem, mimo to z trudem nad sobą panował. A jego nowo poślubiona żona niemal umierała ze strachu. Nie, ignorancja to nic dobrego, pomyślał, zwłaszcza w małżeńskim łóżku.

- Chauncey, wielkość łóżka nie ma tu nic do rzeczy. Zamierzam kochać się z tobą. Po prostu odpręż się i mi zaufaj. Zgoda?

Skinęła głową, nerwowo przełykając ślinę. Kochać się! Co za dziwaczne określenie na coś takiego. Opuszczona głowa Delaneya zasłaniała światło padające z lampy. Nie przestawał jej całować, a jego dłoń sunęła niepowstrzymanie w dół jej ciała, ucząc się go na pamięć.

- Przeklęta koszula - powiedział, siadając. - Precz z nią!

Miała ochotę zaprotestować, lecz powstrzymała się. Poczowała na ciele chłodny powiew, a

koszulka powędrowała na podłogę, dzieląc los sukni i bielizny. Instynktownie uniosła dłonie, aby osłonić piersi.

Delaney nie odezwał się, lecz, odwrócony do niej tyłem, zdjął szlafrok. Kiedy znów na nią spojrzął, mocno zaciskała powieki. Przytulił się do jej boku i uniósł się lekko na łokciu.

- Boże! - szepnął z podziwem.

- Boże? - Otworzyła oczy. - Modlisz się?

- Nie, podziwiam cię. Jesteś taka śliczna... Nie, nie próbuj zasłaniać się przed moim wzrokiem.

Jestem twoim mężem, pamiętasz?

Położył dłoń na neutralnym terytorium w okolicy jej talii.

- Czy mam ci powiedzieć, co widzę? - Nie czekał na odpowiedź. - Twe niewiarygodne oczy mają barwę mahoni, a w tym przyćmionym świetle twoje włosy wyglądają jak falująca kaskada czerwonego, brązowego, jasnego...

Zachichotała.

- Zaraz zabraknie ci tych „...ego”.

Jej wesołość rozwiała się jak dym, gdy tylko Delaney opuścił wzrok. Wzdrygnęła się i zacisnęła dłonie w pięści.

- Ciekawe, czy sutki także smakują różowo? Opuścił głowę i delikatnie obwiodł placem brodawkę, a potem otoczył wargami.

Chauncey uniosła się gwałtownie.

- Och, nie! Proszę, Delaney, nie wolno ci. Nie możesz...

- Ciii... - szepnął, a jego ciepły oddech sprawił, że zadrżała. - Nie przerywaj moich badań.

Przesunął językiem po brodawce i Chauncey poczuła dziwne pulsowanie. Uniósł głowę i spojrzął prosto w jej zamglone, wyrażające najwyższe zakłopotanie oczy.

- Chyba ci się to podoba. A jeszcze daleko do końca. Nie, nie odsuwaj się. Zapomnij, co mówiły ci na temat kochania się afektowane stare ciotki i pozwól, by twoje ciało reagowało naturalnie.

Znów zaczął się jej badawczo przyglądać.

- Co do twoich żeber, to nadal są sine. Lecz nawet ich głęboko fioletowa barwa wydaje mi się czarująca.

Dotknął leciutko boku Chauncey czubkami palców.

- Jesteś trochę zbyt szczupła, ale to mi nie przeszkadza. Przynajmniej nie nadwreżam sobie grzbietu, kiedy cię niosę.

Uświadomił sobie, iż jego głos drży coraz bardziej i przymknął na chwilę oczy, aby odzyskać nad sobą kontrolę.

Położył dłoń na jej brzuchu.

- Jest biały niczym śnieg w górach Sierra, nim człowiek postawi na nim stopę.

Ty głupcze, to, co powiedziałeś, było równie uwodzicielskie, jak lekarstwo prowokujące wymioty!

- Czy wiesz, co znajduje się pod tą miękką czuprynką?

- Proszę - szepnęła zażenowana, próbując się odsunąć. A potem zamarła, ponieważ palce Delaneya już zanurzyły się w miękkie loczki i teraz przesuwały się leciutko po wilgotnym ciele. Wzdrygnęła się i zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- To jest okropne - powiedziała, bardziej do siebie, niż do niego.

On zaś nie przestawał głaskać nabrzmiałego ciała, rozkoszując się jego miękkością.

- Ach, kochanie - szepnął. - Może i okropne, ale jakie cudowne, dla nas obojga.

Pocałował ją namiętnie, zmuszając, by rozchyliła oporne wargi. Nagle poczuł, że Chauncey bezwiednie wypycha ku niemu biodra, a potem nieruchomieje, przerażona. Niech diabli wezmą ten represyjny sposób wychowania, jakiemu poddawane są u nas dziewczęta, pomyślał. Wiedział, że nie wytrzyma zbyt długo. Z pewnością Chauncey czuła, jak jego wzwiedziona, pulsująca pożądaniem męskość napiera na bok jej uda.

Powoli zataczał palcem koła wokół jej dziewiczej szparki. Ciało Chauncey odpowiadało na dotyk, ciepłe i zapraszające. Powoli wsunął w nią palec, sprawdzając stopień jej gotowości i torując sobie drogę.

- Delaney! - wykrzyknęła, podnosząc się i próbując odepchnąć jego dłoń. - Nie mogę uwierzyć, że ty... Nie, to po prostu niemożliwe!

Wiedział, że powinien zacząć od początku i sprawić, aby ponownie go zapragnęła, ale obawiał się, że wytryśnie, nim będzie mógł w nią wejść.

- Ciii... - wykrztusił, przycisnął jej ramiona do poduszki i wtoczył się na nią. Wsparty na łokciach, spojrzał w jej przerażone oczy. - Poczuj mnie, Chauncey. Pragnę cię. Po prostu wyłącz ten swój nadmiernie aktywny mózg i pozwól, by twoje ciało reagowało w sposób naturalny.

- Och, nie - szepnęła, czując, jak jego twardy członek napiera na jej zaciśnięte uda.

Zaczął się powoli poruszać. Dotyk jej miękkich piersi sprawił, że niemal stracił nad sobą panowanie.

- Nie mogę już dłużej czekać, Chauncey - powiedział, a jego głos przeszedł w jęk.

Poczuła, że wbija kolano pomiędzy jej uda, zmuszając ją, aby je rozsunęła. Spojrzała na niego bezradnie, nie na żarty już teraz przestraszona, Wszelkie miłe, intrygujące odczucia zniknęły. Leżała sztywno, on zaś przyglądał się jej, badając każdy intymny szczegół jej ciała. Uniosła dłonie i nacisnęła nimi na ramiona mężczyzny, próbując go odepchnąć.

Delaney wpatrywał się w delikatne, różowe piękno, które miał pod sobą. Lepiej z tym skończę, zanim zupełnie utracę nad sobą kontrolę, pomyślał. Powoli wsunął w nią swoją męskość, czując, jak dziewczyna zaciska obronnym ruchem mięśnie i cała sztywnieje. Nie sprawię jej bólu, zarzekał się w myśli. Nie sprawię. Lecz już w następnej chwili szturmował jej dziewictwo. Zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że intensywna jazda konna sprawiła, iż i Chauncey pozbyła się tego niepotrzebnego balastu. Teraz jednak, zanurzony w niej głęboko, znieruchomiał, czekając, aby choć trochę się odprężyła.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - powiedział, niezdolny nad sobą zapanować. - Otwórz oczy, kochanie. A teraz pocałuj mnie.

Jego wargi zamknęły się na jej ustach, a język delikatnie dotknął jej języka. W tej samej chwili Delaney pchnął mocno, przedzierając się przez wątlą barierę i zanurzając głęboko. Jeszcze raz nakrył jej usta swoimi, chwytając w nie cichy okrzyk bólu. Nawet kiedy Chauncey wbiła mu w barki paznokcie, nie potrafił się powstrzymać, by nie wejść w nią jeszcze głębiej, nie osiąść jej zupełnie, nie stać się częścią niej.

Łzy trysnęły jej z oczu, a ból sprawił, że zakwiliła. Czuła się taka bezradna. Bezradna i zdradzona, gdyż on obiecał, że nie sprawi jej bólu. Powoli, ku zdziwieniu Chauncey, ból ustąpił i znowu poczuła w środku to dziwne ciepło. Jej ramiona, jakby działając niezależnie od woli właścicielki, uniosły się i przyciągnęły mężczyznę bliżej, a ciało wygięło się w łuk.

Ten mimowolny ruch sprawił, że Delaney do reszty stracił nad sobą kontrolę.

- Przepraszam, kochanie - wyszeptał chrapliwie, po czym zanurzył się w nią do końca. Chauncey

czuła, jak jego ciało sztywnieje i napina się, a powieki opadają, skrywając emocje, których nie rozumiała, a tym bardziej nie podzielała. Poczuła w sobie wilgoć, która nie pochodziła od niej, lecz od niego.

Czekała, napięta i przerażona, aż Delaney przestanie się poruszać. W końcu opadł na nią, wyczerpany. Zmarszczyła brwi, spoglądając ponad jego ramieniem. Miękkie światło lampy zdawało się sprawiać, że końcówki jego jasnobrązowych włosów połyskiwały złotem.

On jest moim mężem, powiedziała do siebie. Nie miałam wyboru. Spełniłam swój obowiązek.

Delaney, odzyskawszy zdolność myślenia, powoli uniósł się na łokciu i spojrzał na twarz żony.

- Czy mi wybaczysz?

- Masz na myśli ten ból? Już mnie tak nie boli, tylko trochę szczypie.

Delaney nie miał zbyt wesołej miny.

- Ból i to, że cię tak zostawiłem.

- Zostawiłeś mnie... gdzie? - spytała, zaintrygowana.

Potrząsnął głową, nadal oszołomiony.

- Kiedy już znajdziesz się u celu, będziesz to wiedziała, obiecuję.

- Nie jesteś taki, jak przed chwilą. Coś się zmieniło.

- Tak, chyba tak. - Powoli wysunął się z niej, a widząc, że lekko się skrzywiła, zapytał: - Lepiej?

Skinęła głową, rumieniąc się z zażenowania. Jak często będzie wchodził w jej ciało? Czy mężczyźni potrzebują tego raz w miesiącu? Raz w roku? I nagle spojrzała na niego, przerażona, bowiem Delaney mówił właśnie:

- No dobrze, prześpijmy się trochę, a potem znów spróbujemy.

- Znów? Z pewnością nie miałeś na myśli, że my...

- Tradycja mówi, że nowożeńcy powinni w noc poślubną kochać się z sobą sześć razy.

- Nie mówisz poważnie! - Była tak przerażona, że Delaney nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Och, Chauncey, jesteś taka rozkosznie niewinna!

Pocałował ją znowu, tym razem nie tyle namiętnie, co czule.

- Trochę cię boli, prawda? To z powodu tego twojego dziewictwa. Teraz już go nie ma, i Bogu dzięki.

- Myślę, że powinieneś raczej podziękować za to sobie. - Przyjrzała mu się uważnie, a potem zmarszczyła brwi. - Jestem lepka i... wilgotna.

- Chauncey - powiedział gorąco, delikatnie gładząc jej policzek. - Tak bardzo się cieszę, że za mnie wyszłaś!

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaproponować jej pomocy przy myciu, lecz wyobraził sobie jej reakcję i zrezygnował.

- Prawdę mówiąc, nie miałam w tej sprawie zbyt wiele do powiedzenia - szepnęła z goryczą. A ponieważ jej umysł oszołomiony tym, co się wydarzyło, domagał się odpoczynku, pozwoliła mężowi, by ją przytulił. Zbliżyła policzek do jego ramienia i zasnęła głęboko, nie zważając na to, że jego włosy łaskoczą ją w nos.

ROZDZIAŁ 15

- No dalej, Chauncey! Obudź się, kochanie, pora coś zjeść.

Jęknęła, a potem przykryła głowę poduszką, aby odgrodzić się od tego natrętnego głosu. Z powrotem pograżyła się we śnie i oto znowu zwisała głową w dół z gałęzi jabłoni, rosnącej na tyłach Jameson Hall, śmiejąc się z min, jakie stroił do niej chłopak stajenny, Jem. Z oddali niósł się skrzekliwy głos Hannah, która łajała ją, krzycząc:

- Twoje majtki, panienko!

- Kochanie - usłyszała znowu, a potem ktoś lekko ścisnął ją za ramię.

- Proszę, nie - mruknęła, lecz sen już uleciał. Poczwała, że ktoś zabiera poduszkę i nagle słońce zaświeciło jej prosto w twarz. Otworzyła oczy i głośno westchnęła. - Co ty tu robisz, Delaney? W dodatku niekompletnie ubrany? Z pewnością...

Umilkła gwałtownie, po czym zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. O Boże, przecież on jest jej mężem!

- Och - powiedziała, owijając się kołdrą. Była zupełnie naga.

- Dzień dobry, żono - powiedział miękko Delaney, żałując, że wstał i obudził Chauncey, zamiast kochać się z nią, gdy była jeszcze na wpół uspiona. A teraz zdążyła już wznieść wokół siebie obronne mury. W pierwszej chwili po obudzeniu wydawała się oszołomiona, potem zaskoczona, a teraz w najwyższym stopniu zażenowana.

- Dzień dobry, Del - odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy; obawiała się, że dostrzeże w nich porozumiewawczy, pełen samozadowolenia błysk.

Zlitował się nad nią i podał jej jeden z tych skromnych szlafroków.

- Powietrze jest dzisiaj dość rześkie, kochanie. Włóż to.

Chauncey wzięła od niego szlafrok, ale nie poruszyła się. Delaney westchnął i odwrócił się do niej tyłem. Ustawił naczynia na tacy ze śniadaniem; skrzywienie łóżka zdradziło mu, że Chauncey w końcu wstała.

Starając się zachować możliwie obojętny wyraz twarzy, odwrócił się, by spojrzeć na swą nowo poślubioną żonę. Gdyby niepotargane włosy, opadające spletaną falą na plecy, wyglądałyby jak skromna uczennica. Oto moja doświadczona, światowa kobieta, pomyślał cierpko. Nie pozwolę, by stała się wobec mnie oziębła.

Ruszył, by wziąć ją w ramiona. Chauncey jęknęła cicho na znak protestu. Stała sztywno w jego objęciach, a on przesuwiał palcami po jej włosach, wygładzając co bardziej spletane kosmyki. Pocałował ją delikatnie w czoło.

- Mam strasznie spletane włosy - powiedziała. - Zwykle na noc zaplatam warkocz lub proszę o to Mary.

- Nigdy więcej tego nie rób. - Uśmiechnął się, ignorując drżenie w jej głosie. - Wyglądasz teraz

jak kobieta, która nieźle się... wyspała.

- Jestem głodna!

Odsunął się nieco, a potem, nie wypuszczając jej z ramion, powiedział smutno:

- To prawda. Nie zatroszczyłem się o ciebie jak należy zeszłej nocy.

- Opowiadasz bzdury, Del - zachnęła się, próbując go odepchnąć.

- Jak sobie życzysz - powiedział. - Zrobię wszystko, byś czuła się przy mnie bardziej swobodnie.

Poczuła na udach zaschniętą już teraz wilgoć i zaczerwieniła się.

- Muszę... to znaczy, powinnam...

- Ależ oczywiście.

Puścił ją, przyglądając się, jak Chauncey podbiega do parawanu stojącego w odległym kącie pokoju.

- Lin przyniosła świeżą wodę, gdy spałaś - zawołał.

Z chęcią sam zmyłby z niej swoje nasienie i jej dziewiczą krew, ale rozsądnie powstrzymał się od zasugerowania tego. Usiadł przy stoliku i nalał sobie gorącej kawy.

Chauncey zaczerpnęła powietrza, a potem ponownie zerknęła w dół, przerażona. Wnętrze jej ud pokryte było zaschniętą krwią. Jej krwią! Zrobił jej krzywdę, chciał ją zabić! Krzyknęła głośno.

- Chauncey! Na miłość Boską, co się stało? - Delaney przebiegł przez pokój i zatrzymał się przy parawanie. Chauncey stała, przyciskając kurczowo do piersi szlafrok. - Co się stało, kochanie? Zraniłaś się?

- Nie - wypaliła. - Ty to zrobiłeś! Nie rozumiem. Nic mnie nie boli, więc skąd ta krew?

Delaney miał ochotę się roześmiać, lecz jej lęk zgasił jego wesołość.

- Już wszystko w porządku - powiedział spokojnie, zbliżając się do niej powoli. - To twoja dziewicza krew, nic więcej. Za pierwszym razem zawsze tak jest. Obiecuję, że to się już nie powtórzy.

Zadrżała z ulgi, a potem o mało nie zemdląła z upokorzenia.

- Ja... nic o tym nie wiedziałam - wykrztusiła.

- Nikt mnie nie uprzedził, że coś takiego się wydarzy.

- Oczywiście, skąd mogłaś wiedzieć - powie-; dział, starając się, by jego głos brzmiał uspokajająco. Do licha, to on powinien był ją uprzedzić, ale nie przyszło mu do głowy, że może być aż taką ignorantką. - Czy mam ci pomóc, Chauncey?

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy. Czy naprawdę spodziewał się, że poprosi go o pomoc? Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

- Proszę, zostaw mnie samą - wyszeptała. Delaney wrócił do stołu i usiadł. Przesunął dłonią po czole. Do licha, ależ z niego głupiec. Nie powinien był dopuścić, by sama odkryła krew. Zerknął na łóżko i zobaczył tam więcej dowodów jej dziewictwa - ciemne plamy zakrzepłej krwi mocno odbijały od bieli prześcieradła.

- Wszystko w porządku, Chauncey? - zawołał.

- Tak, oczywiście.

A zatem przestała się bać, pomyślał, rozbawiony. Jej głos brzmiał zdecydowanie i agresywnie, jakby spodziewała się kolejnej utarczki słownej i była na nią przygotowana. Z niechęcią zrezygnował z pomysłu, by kochać się z nią jeszcze tego ranka... tego popołudnia... No cóż, może wieczorem...

- Ach, te niekończące się obowiązki młodego żonkosia - zadumał się na głos.

- Co chciałeś przez to powiedzieć?

Delaney uśmiechnął się, słysząc zadane wojowniczym tonem pytanie.

- Usiądź, Chauncey, i spróbuj jednego z tych smakowitych rogalików. Lin przyniosła je specjalnie dla ciebie z francuskiej piekarni na Kearny.

Patrzył, jak jego żona sadowi się na krześle przy stoliku, a potem sięgnął po rogalik i masło.

- W niczym nie zawiniłaś, Chauncey - powiedział, niezdolny usunąć ze swego spojrzenia owego zdradzieckiego, żartobliwego błysku. - Więc nie musisz się bronić ani też atakować mojej biednej osoby.

Chauncey odgryzła spory kęs chrupiącego rogalika i zakrztusiła się, próbując zbyt szybko go przełknąć.

- Proszę, kochanie - powiedział wesoło, wręczając jej szklankę soku z pomarańczy.

Chauncey spojrzała na niego ponad krawędzią szklanki.

- A teraz wyjaśnij mi, co miała znaczyć ta wstrętna rzecz, o której wspomniałeś - poprosiła lodowatym tonem.

- Jaka znów wstrętna rzecz?

- O twoich obowiązkach jako młodego żonkosia.

- Widzisz, moja droga, miałem zamiar kochać się z tobą przez cały dzień, ale ty najwidoczniej nie jesteś jeszcze gotowa. To dosyć zniechęcające, ale zapewniam cię, że rozumiem.

Chauncey uświadomiła sobie, że szczypie ją między nogami i poruszyła się niespokojnie. Czemu nie może po prostu zniknąć. Nie, byłoby lepiej, gdyby to Delaney zniknął. I żeby mogła nim pogardzać. Dlaczego on nie zachowuje się jak łotr, którym przecież jest? I czemu ona nie czuje się upodlona, skoro ją posiadł?

- Nie lubię cię - stwierdziła wojowniczo.

- Ach, Chauncey - powiedział, rozbawiony - nigdy mi się nie znudzisz.

- Ale pan mnie nudzi, proszę pana!

- Skoro tak, to chyba zapomnę o obrażeniach i od razu zacznę się z tobą kochać.

Już prawie podniósł się z krzesła, gdy Chauncey zerwała się na równe nogi, potrącając stół.

Delaney chwycił mebel, nim ten zdążył się przewrócić, po czym usiadł z powrotem na krześle. W pokoju zapadło krępujące milczenie.

- Czy teraz powiesz mi, po co przyjechałaś do San Francisco? - zapytał Delaney nieoczekiwanie.

Zupełnie ją zaskoczył. *Przyjechałam, by cię zrujnować!* Zwilżyła wargi.

Lecz ty nie zachowujesz się tak, jak oczekiwałam. Nie rozumiem dlaczego!

- Zamiłowanie do podróży - odparła krótko. - Londyn mnie znudził. Łaknęłam przygody, pragnęłam zobaczyć nowe miejsca, poznać nowych ludzi.

- Rozumiem - powiedział. - To bardzo interesujący powód.

Jej wymowne spojrzenie upewniło go, że Chauncey przygotowuje w myślach następne, równie dziwaczne wytłumaczenie, powiedział więc szybko:

- Myślę, że wycieczka statkiem po rzece do Sacramento z pewnością sprawiłaby ci przyjemność, moja droga. Miasto bardzo się rozrosło. Teraz to całkiem interesujące, cywilizowane miejsce i ośrodek kultury. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższej przyszłości zostanie stolicą Kalifornii. I co ty na to? Zważywszy na twoje zainteresowania, z pewnością chętnie zobaczyłabyś coś więcej, niż tylko San Francisco.

- Indian - powiedziała, chwytając się pierwszego pretekstu, jaki przyszedł jej na myśl. Do licha, ona musi tu zostać i poczynić plany!

- Nie udamy się w głąb lądu. Jeżeli w ogóle zobaczysz jakichś Indian, będą na brzegu, daleko od nas.

- Czy całą drogę do Sacramento pokonamy wodą?

- Tak, caluteńką. Naprawdę uważam, że to ci się spodoba. Statek rzeczny w niczym nie przypomina tego, na którym przyплыnęłaś z Nowego Jorku. Jest luksusowo wyposażony, a gdybyśmy nie byli nowożeńcami, z pewnością podczas tej podróży nieźle przybralibyśmy na wadze. Bo karmią tam doskonale.

Chauncey doskonale potrafiła sobie wyobrazić, jakie to ćwiczenia miały zapewnić im szczupłą sylwetkę. Tu czy na statku, i tak ją to czeka, nic nie może na to poradzić. Tylko dlaczego wcale nie czuje się skrzywdzona?

- Tak - powiedziała, uświadamiając sobie, że szczęśliwa mężatka z pewnością chciałaby przeżyć podróż poślubną. - Z ochotą wybiorę się do Sacramento.

- Doskonale. W zeszłym roku był tam co prawda wielki pożar, ale mieszkańcy, podobnie jak my tutaj, odbudowali miasto. Jest teraz większe i jeszcze piękniejsze. Wyruszymy dziś po południu, jeśli ci to odpowiada.

- O wszystkim pomyślałeś, prawda? - zauważyła lekko ironicznym tonem.

- Owszem. Nie chcę, byś czuła się w jakikolwiek sposób rozczarowana czy zawiedziona.

- Ach, rozumiem - powiedziała, wycierając dłonie lnianą serwetką. - Rozumiem.

„Szkarłatna Królowa” w niczym nie przypominała statków czy łodzi, jakie Chauncey widywała do tej pory.

- Amerykańskie parowce są najwspanialsze na świecie - powiedział Delaney, idąc obok niej szerokim, drewnianym nabrzeżem Clay. - Wielu nazywa je nawet wodnymi pałacami.

Chauncey oglądała parowiec szczerze zachwycona. Wysoki na kilka pięter, z wielkimi drzwiami, oknami i czymś, co do złudzenia przypominało galeryjki, wyglądał jak dom.

- Nocą, na wodzie, kiedy we wszystkich oknach płoną światła, a kominy wyrzucają z siebie ogień niczym miniaturowe wulkany, „Szkarłatna Królowa” sprawia wrażenie zaczarowanego zamku.

- Mówi pan jak poeta - powiedziała Chauncey, choć słowa Delaneya wywarły na niej wrażenie.

Odwróciła się, słysząc głośnie pokrzykiwania. Szeroki drewniany dok zapelniali robotnicy, załadowujący i rozładowujący klatki do przewozu towarów. Konie rżały donośnie, a woźnice strzelali z batów, manewrując wozami pomiędzy krążącymi we wszystkich kierunkach ludźmi.

Wzdrygnęła się, gdyż popołudnie było chłodne i pochmurne, a wzdłuż długiego nabrzeża kłębiła się mgła.

- Zimno ci? Wejdźmy na pokład. Lucas zaniósł już nasze bagaże. Z pewnością polubisz kapitana. Nazywa się Rufus O'Mally i choć doskonale potrafi czarować damy swoim irlandzkim wdziękiem, straszny z niego służbista.

- Mówisz, jakbyś go znał - zauważyła Chauncey mimochodem, ponieważ jej wzrok przykuły ruch i rozgardiasz, panujące na pokładzie „Szkarłatnej Królowej”.

Chyba powinnam już przywyknąć do tego, że tutaj damy w jedwabiach oraz wykwintnie odziani dżentelmeni w cylindrach niemal ocierają się o groźnie wyglądających mężczyzn w obszarpanych spodniach i kapeluszach z flaneli, pomyślała. Wyobraziła sobie podobną scenę w Londynie i omal nie wybuchnęła śmiechem. To było po prostu niemożliwe.

- Pracuje dla mnie - powiedział Delaney jak gdyby nigdy nic.

Kiedy znaczenie jego słów dotarło do Chauncey, odwróciła się i spojrzała na męża z

konsternacją.

- Jesteś właścicielem tego statku? - spytała powoli.

- Tak, do spółki z Samem Brannanem. Sam macza palce w tyłu interesach, że wręcz nie sposób tego policzyć. To on namówił mnie do uczestnictwa w tym przedsięwzięciu. Jest bardzo dochodowe.

- Spostrzegł, że spochmurniała i dodał, zdziwiony:

- Nie jesteś zadowolona, że twój mąż potrafi zapewnić ci dostatnie życie?

- Przede wszystkim nie jestem małpką, by trzymać mnie w złotej klatce!

- Nie, nie jesteś.

- Nie musisz się o mnie troszczyć. Mam własne fundusze.

Choć nadal nie wiedział, co ją zdenerwowało, postanowił na razie dać sobie z tym spokój.

- „Szkarłatna Królowa” przewozi głównie pasażerów, udających się do Sacramento, jednak po drodze zatrzymuje się w wielu miejscach. Być może następnym razem udamy się do Grass Valley i Marysville, gdzie odwiedzimy generała Suttera. Z pewnością spodoba ci się Hock Farm. Moglibyśmy też wybrać się nad rzekę Yuba. Mam tam kopalnię złota.

Założę się, że masz, pomyślała, kopiąc leżący jej na drodze zwój konopnej liny.

- Kalifornia to w dużej części dzika, niecywilizowana kraina - kontynuował Delaney, pozdrawiając skinieniem głowy pułkownika Dakwortha i jego żonę. - Mieszkają tu przedstawiciele wielu narodów: Niemcy, Szwedzi, Chińczycy, a nawet paru Anglików.

Nagle zamilkł, zaciskając usta.

- Patrzcie, patrzcie, czyż to nie pan Delaney Saxton i jego żoneczka? Jak leci, paniusiu?

Chauncey spojrzała na stojącego przed nią ciemnowłosego, potężnie zbudowanego mężczyznę. Zamrugwała, gdy Delaney odezwał się szorstko:

- Baronie! Jestem pewien, że nam wybaczysz - dodał, chwytając łokieć Chauncey w żelazny uścisk i szybko się oddalając.

- Kim jest ten Baron? - dopytywała się, zaintrygowana. - Dlaczego tak go nie lubisz?

- To nie jest miły facet. Prawdę mówiąc, chyba nie zaufałbym mu nawet, gdyby otaczali go aniołowie grający na harfach. A oto i kapitan O'Mally.

Kapitan był bardzo niskim mężczyzną, ubranym w przeładowany ozdobami, szkarłatny mundur. Jego łysa głowa wydawała się równie krągła jak brzuch. Oczy kapitana połyskiwały błękitem. Wyglądał jak dobroduszny, absolutnie nieszkodliwy miś.

- Poznaj moją żonę, Rufusie. Przedstawiam ci kapitana O'Mally, Elizabeth.

Kapitan strzelił obcasami, a jego szeroki uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Jest pani czarująca, madame, a ja właśnie zostałem oczarowany, zapewniam panią! - Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie. - A zatem, to pani jest tą angielską damą, która upolowała naszego Dela.

- Dokładnie tak to wyglądało - zgodził się ochotczo Delaney.

- Miło mi pana poznać, kapitanie - powiedziała Chauncey, wyciągając do niego dłoń w rękawicze.

Choć ręce kapitana były równie małe i delikatne jak jej własne, to uścisk miał żelazny.

- A oto i pan Hoolihan, madame - powiedział kapitan, prostując się na całą wysokość. Chauncey skinęła głową wysokiemu mężczyźnie o wielce ponurym obliczu, który wyrósł obok nich jak spod ziemi. On też miał na sobie szkarłatny mundur, pozbawiony jednak złotych łańcuchów i mosiężnych guzików.

- Pan Hoolihan dołączył do nas w zeszłym tygodniu - powiedział kapitan. - To jego druga podróż. Oczywiście, przedstawił znakomite referencje.

Mężczyźni wymienili kilka fachowych uwag na temat statku. Nagle Chauncey zorientowała się, iż pan Hoolihan przygląda się jej kątem oka. W jego spojrzeniu nie było jednak uznania ani ciepła. Obserwował ją, jakby była motylem, którego zamierza umieścić w swojej kolekcji.

Nagle gdzieś z tyłu rozległ się głośny gwizd. Zadrżała, przestraszona.

- Możemy odpływać - powiedział kapitan.

- Zjesz ze mną obiad, Del?

- Być może - odparł Delaney, uśmiechając się do żony.

Kapitan skinął łysą głową i zwrócił się do pana Hoolihana:

- W porządku, chłopcze, zapracujmy na nasze wynagrodzenie. Madame... - dodał i odsunął się na bok, by Delaney mógł sprowadzić Chauncey z mostka.

- Nasza kabina znajduje się na górnym pokładzie - poinformował Del swoją żonę, wskazując szerokie drewniane schody, wiodące na górę. - Na tym pokładzie, poza kabinami pierwszej klasy, są także jadalnia oraz salon gier hazardowych.

Chauncey podeszła do relingu.

- Wszystko tu jest takie luksusowe - powiedziała, przesuwając palcem po wypolerowanym mosiądzu.

- Tak - zgodził się z nią - lecz tylko na górnym pokładzie. Niżej sprawy mają się znacznie gorzej, choć nie jest tam nawet w przybliżeniu tak okropnie, jak w trzeciej czy czwartej klasie statków oceanicznych.

Gwar narastał. Kolejni pasażerowie podchodzili do relingu, by pomachać na pożegnanie krewnym i przyjaciółom. Marynarze rzucili cumy i donośny gwizd rozległ się ponownie. Powoli statek zaczął oddalać się od nabrzeża.

Delaney czekał cierpliwie, by Chauncey znudziło się wreszcie obserwowanie wszystkiego dookoła. Współtowarzysze podróży z wolna rozchodzili się do kabin albo znikali w sali gier czy też w jednym z dwóch salonów. W końcu dotknął lekko ramienia żony:

- Chodź, kochanie - powiedział.

- Tu jest tyle ciekawych rzeczy! Spójrz na te wzgórza, Delaney. Są o wiele bardziej zielone niż te w mieście. No i wysepki... Czy są zamieszkałe? Przez Indian?

- Niektóre być może tak. Ależ ty cała drżysz! Nie chcę, żebyś się przeziębila.

Chauncey niechętnie odsunęła się od relingu, unikając wzroku męża. Miała wrażenie, iż znajduje się całkowicie w jego mocy, i ten stan rzeczy ją przerażał. Przypomniała sobie owe delikatne i całkiem przyjemne odczucia, jakich doznała w nocy. Westchnęła, a potem uniosła do góry brodę i pomaszerowała w kierunku schodów.

Kabina przepychem przekraczała wszystko, co Chauncey potrafiła sobie wyobrazić. Ściany i meble wykonano z ciemnego mahoni w świetnym gatunku. Podłogę pokrywał karmazynowy dywan, harmonizujący kolorystycznie z zasłonami. Kobieta pobiegła spojrzeniem ku stojącemu przy ścianie wielkiemu łożu, pokrytemu krwistoczerwoną narzutą.

Przesunęła językiem po dolnej wardze.

- To Sam zajmował się wystrojem wnętrza. Poczula dłonie delikatnie masujące jej łopatki, a potem przesuwające się ku szyi.

- Del, ja...

- Wszystko w porządku, kochanie.

- Chodzi o to, że czuję się o wiele bardziej zażenowana niż wczoraj. A to z pewnością musi wydawać ci się szczególnie głupie.

- Nie, właściwie nie. - Odwrócił ją delikatnie twarzą ku sobie i ujął jej podbródek pomiędzy kciuk i palec wskazujący. - Teraz już wiesz, jak wygląda moje ciało i o co w tym chodzi. - Uśmiechnął się, niezdolny powstrzymać chęci podroczenia się z nią. - A przynajmniej wydaje mi się, że wiesz, jak wygląda moje ciało. Czy przez cały czas miałaś zamknięte oczy?

Potrząsnęła głową.

- A zatem wiesz już, jakie to uczucie, gdy jestem w tobie. Prawdę mówiąc, Chauncey, przez cały dzień nie myślałem o niczym innym. Jesteś cudowna, wiesz o tym?

Nie chcę, byś stał mi się bliski! I nie chcę być na tym przeklętym statku!

- A teraz, kochanie, mam zamiar cię rozebrać, by kochać się z tobą bardzo powoli i dokładnie. A jeśli później będziesz jeszcze głodna, możemy zamówić coś do kabiny.

Bała się, a on nie potrafił domyślić się powodu tego lęku. Bała się, że jej ciało zacznie odpowiadać na jego pieszczoty. Zeszłej nocy, nim sprawił jej ból, to już się prawie zdarzyło. A dzisiaj nie będzie żadnego bólu. Jego dłonie delikatnie pieściły jej żebra, przesuając się w górę, dopóki palce nie zaczęły głaskać jej piersi. Powoli opuścił głowę i delikatnie przycisnął usta do jej ust. Jego wargi były ciepłe, miękkie i smakowały słodko, tak słodko!

Walcz z nim, kretynko! Nie możesz go powstrzymać, ale nie musi ci to sprawiać przyjemności!

Poczuła, że jego język przesuwa się delikatnie, jakby nieśmiało, po jej wargach. Delaney podtrzymał jej głowę i nie przestawał całować, dopóki nie poczuł, że się rozluźnia. Dotknął leciutko językiem jej języka i Chauncey zadrżała. Wreszcie jakiś postęp, pomyślał. A teraz zajmijmy się tymi przeklętymi ubraniami.

- Podoba ci się całowanie? - zapytał z ustami tuż przy jej ustach.

Chauncey zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Skinęła głową, choć wcale tego nie chciała.

Delaney odsunął się nieco, a jego palce zaczęły manipulować przy haftkach błękitnej, aksamitnej narzutki, którą Chauncey miała na sobie. Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na niego bezradnie.

Zanim stanęła pośrodku luksusowej kabiny ubrana tylko w koronkowe majtki i koszulę, była już blada ze strachu. Odwróciła się, kiedy Delaney zaczął pośpiesznie zrzucać z siebie ubranie. Stanęła przy oknie i zaczęła przesuwać w dłoniach skraj aksamitnej kotary, wpatrując się bezmyślnie w wodę. Po chwili dłonie Delaneya zamknęły się na jej nagich ramionach.

Znów przymknęła powieki.

On sądzi, że jestem w nim zakochana. Nie mogę dopuścić, by się domyślił!

Znalazła się w jego objęciach. Ciało miał gładkie i ciepłe. Położył ją na plecach na łóżku, a kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich czułość. I coś jeszcze. Pożądanie. Spojrzała w dół na jasnozłote włosy na jego piersi, pięknie sklepiony, umięśniony brzuch i sterczący poniżej dowód tego pożądania. Westchnęła głośno.

- Del - powiedziała tonem, który nawet w jej własnych uszach brzmiał żałością.

Opadł na łóżko tuż obok niej.

- Nie bój się, kochanie. Po prostu leż spokojnie i ciesz się tym, co nastąpi. Dobrze?

Nie odpowiedziała, a on wcale nie oczekiwał, że to zrobi. Oto mężowskie obowiązki, pomyślał. Uwodzenie własnej żony. Zapraagnął zobaczyć ją nagą. Natychmiast. Nie protestowała, kiedy zdejmował jej koszulę i zsuwał z bioder majtki.

Lecz kiedy wyciągnął się obok niej, poczuł, że zeszytywniała, a potem zwiotczała nagle niczym szmaciana lalka.

- Nic z tego, nie pozwolę, byś czuła się jak ofiara. W każdym jego pocałunku, w każdym dotknięciu kryła się determinacja. Przesunął palcami po pośladkach, a potem wsunął je między jej uda. Chauncey wstrzymała oddech, czując eksplozję gorąca w brzuchu.

- Del, proszę, nie! Proszę...

Przesunął palce nieco wyżej; buszowały teraz w miękkiej kępcie włosów. Nie przestawał jej dotykać, dopóki ciało Chauncey nie zaczęło żyć własnym życiem, niezależnym od woli właścicielki. Pochylił głowę i smakował jej piersi.

- Proszę nie... co? - spytał żartobliwie, wsuwając w nią palec. Była tam taka ciepła, wilgotna i zapraszająca.

- Nie podoba mi się to! - krzyknęła półgłosem, spoglądając mu w oczy.

- Kłamczucha.

Wsunął palec głębiej. Poczuł, jak jej mięśnie zaciskają się na nim.

- Tym razem nie będzie bolało, kochanie - szepnął. - Zaczął pieścić ją kciukiem i wtedy, ku jego zaskoczeniu i zadowoleniu, Chauncey zadrżała, odpowiadając na pieszczotę, a napięte dotąd mięśnie jej ud zwiotczały. Wtuliła twarz w ramię Delaneya, wciągając głęboko w płuca zapach męskości.

To okropne! Nie chcę nic czuć! Proszę, nie!

Jęknęła, i zaczęła okładać pięściami jego ramiona. Chciała odepchnąć dręczyciela.

- O, tak, kochanie - wyjęczał. - No, chodź, chodź. Chcę zobaczyć twoje oczy, posmakować cię. - Czuł jej opór, domyślał się walki, jaką staczała, aby nie poddać się wzbierającej rozkoszy. - No, dalej, kochanie - powiedział i poczuł, że jej ciało stężało, a potem zadrżało w paroksyzmie spełnienia.

Pocałował ją namiętnie, a potem odsunął się nieco, by spojrzeć na jej twarz. Wygięła się w łuk, włosy opadły jej na twarz, a oczy, zamglone i pełne niedowierzania, napotkały jego spojrzenie. O mało nie zapłakał, tak wielką sprawiło mu to przyjemność. Ani na chwilę nie przestawał jej pieścić i głaskać.

- To było słodkie, ach, jakie słodkie - powiedział. Szybko, zanim fala rozkoszy opadła, ukląkł pomiędzy nogami Chauncey. Rozsunął jej uda i przekonał się, jak była chętna. Wszedł w nią, czując, że jej gorące ciało zamyka się wokół jego członka. Mimowolnie wypchnęła do przodu biodra, wciągając go głębiej w siebie.

- Obejmij mnie nogami - wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

Zrobiła to. Był zgubiony. Pchnął mocno i jego ciało eksplodowało falą niewiarygodnej przyjemności. Wykrzyknął jej imię i opadł na nią bezwładnie. Jęknął mimo woli, kiedy ścisnęła mocniej jego biodra, aby przytrzymać go w sobie.

Z trudem dźwignął się na łokciach.

- Nie byle jaka z ciebie kobieta, żono - powiedział miękko, pchając mocniej.

Chauncey zamrugła, starając się zrozumieć, co właściwie się wydarzyło.

- Nie rozumiem - szepnęła, niezdolna zaakceptować tego, co wymusiło na niej jej ciało. - Nie chcę czuć się tak... tak...

Pochylił głowę i pocałował ją delikatnie w usta.

- Czy masz pojęcie, jak delikatne są twoje piersi? - zapytał, uśmiechając się na widok malującego się na jej twarzy zaskoczenia. Objął ją mocno i przetoczył się na bok, nie wypuszczając

jej z ramion. Wybiegł myślami ku przyszłości, przyszłości wypełnionej pasją i namiętnością. To były przyjemne myśli.

Chauncey czuła się odrętwiała i oszołomiona. Próbowwała przypomnieć sobie, dlaczego nienawidziła tego mężczyzny, dlaczego uśmiechała się z satysfakcją na myśl o tym, że go zrujnuje i upokorzy. To była Chauncey, która panowała nad sobą i nad wszystkim wokół.

ROZDZIAŁ 16

Siedzenie przy kapitańskim stole podczas obiadu zapewniało towarzystwo wielu interesujących osób i bogaty wybór potraw. Długi pokój jadalny oświetlały kryształowe żyrandole. Jedna ze ścian była oszklona, na trzech pozostałych, pokrytych dębową boazerią, zawieszono liczne, oprawne w złote ramy obrazy. Stoły, przykryte nieskazitelnie białymi obrusami, ugiwały się pod ciężarem srebrnej zastawy i delikatnej porcelany.

- Jestem pod wrażeniem, kapitanie - powiedziała Chauncey, zajmując miejsce za stołem.

- Del nalegał, by wszystko było w najlepszym gatunku - powiedział Rufus, posyłając jej uśmiech czarującego karła.

Nazwy wielu dań w podanym menu nic Chauncey nie mówiły. Pieczona siewka, kotlety z zająca w sosie z dzikiego ptactwa, stek z sarniny... Lista zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

Delaney zauważył jej zmieszanie i czym prędzej zapytał:

- Móżdżek, kochanie? Możesz go pominąć, jeśli chcesz. Polecałbym duszonego kurczaka w sosie z ostryg.

- Dziękuję - powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Wciąż pamiętała, jak spojrzał na nią, skonsternowany, kiedy dwie godziny wcześniej nagle zalała się łzami. Przytulił ją, nie domagając się wyjaśnień. I po co miałby to robić, skoro wszystko już wziął, pomyślała.

Delaney złożył zamówienie odzianemu w biały surdut kelnerowi, po czym odchylił się ku oparciu krzesła, trzymając w dłoni kieliszek białego, wytrawnego wina. Odpowiadał spokojnie na pytania pułkownika Dackwortha, biorąc jednocześnie aktywny udział w dyskusji na temat tego, które miasto powinno zostać stolicą Kalifornii. Lecz żaden z poruszanych tematów nie obchodził go ani trochę.

Ta moja żona to istna zagadka, pomyślał, przysłuchując się miękkiemu głosowi Chauncey, zamawiającej kurczaka w sosie ostrygowym. Piękna, wrażliwa na pieszczoty zagadka. Zorientował się, że jeden z jego przyjaciół, Brent Hammond, kobieciarz i hazardzista, z uwagą przygląda się Chauncey. Delaney wykrzywił usta w sardonicznym uśmiechu. Brent nie mógł przybyć na ich ślub, więc widział dziś Chauncey po raz pierwszy. I jeszcze ten oficer kapitana, pan Hoolihan. On nie przyglądał się Chauncey z pełną podziwu uwagą, jak Hammond. Jego spojrzenie było zdecydowanie chłodne.

Dackworth, pyszałkowaty stary głupiec, opowiadał właśnie pastorowi Divine'owi niezwykle barwnym językiem, jak dwa lata temu straż obywatelska wyrzuciła z miasta większość łobuzów i złodziei. Delaneya nie obchodziło, że zawiany staruszek mocno koloryzuje. Pragnął jedynie, by ten przeklęty posiłek dobiegł wreszcie końca, a on mógł znowu znaleźć się z żoną w ich kabinie.

Przy stole toczyła się ożywiona rozmowa, podczas której wielebny Divine raczył wszystkich opowieściami o swoich ciężkich przejściach pośród plugawych, dzikich Indian.

- Paskudni brutale - powtarzał w kółko.

Jak zauważył Delaney, Chauncey prawie nic nie zjadła. O czym ona myśli? - zastanawiał się. Czyżby wyrzucała sobie, że zaznała tyle przyjemności? Czy to dlatego płakała? Chyba nie wpajano jej w domu, że żony powinny w pokorze znosić męskie zachcianki, nie odczuwając przy tym niczego przyjemnego. Nie, nie, jej oczywista ignorancja wskazywała, że nikt dotąd nie rozmawiał z nią na temat seksu.

Radosny, śpiewny głos kapitana oderwał w końcu Chauncey od kłębiących się w jej głowie myśli.

- Proszę wszystkich o uwagę! - zawołał kapitan. - Proponuję toast. Za Delaneya i Elizabeth Saxtonów, naszych nowożeńców!

Brent Hammond uniósł w górę czarne brwi, a na jego ustach pojawił się uśmiech, który zdecydowanie miał w sobie coś wilczego.

- Za piękną pannę młodą!

- Niechaj wasz związek zostanie pobłogosławiony w niebiesiech - dodał pompatycznie wielebny.

Chauncey spojrzała na Delaneya. Pobłogosławiony! To oznacza dzieci! Poczula, że jej skronie ściska tępy ból. Delaney jej obiecał, zapewnił ją...

Niemal czuła, jak jego nasienie eksploduje głęboko w jej ciele.

- O, nie - szepnęła.

- O co chodzi, pani Saxton? Jeszcze jeden toast? Ten przymilny i lekko kpiący głos należał do pana Hammonda. Do licha z nim! Uniosła podbródek, spojrzała prosto w ciemną, przystojną twarz mężczyzny i powiedziała spokojnie:

- Rzeczywiście, panie Hammond. Wznoszę toast za „Szkarłatną Królową”. I za doskonały gust mojego męża w kwestii doboru kieliszków.

Chauncey nie czuła się na siłach, by stawić czoło bogatemu wyborowi słodkich deserów, zadowolona się więc kiścią winogron, które od niechcenia skubała. Niemal czuła zaintrygowanie Delaneya, jego troskę. Boże, tak bardzo chciałyby być teraz sama!

Kiedy posiłek wreszcie dobiegł końca, kapitan poprosił swego pracodawcę o chwilę rozmowy na temat interesów. Odwróciła się więc szybko, przybrała - a przynajmniej tak się jej zdawało - wyraz twarzy wyrozumiałej żony i oznajmiła:

- Dam sobie radę, Del. Chyba przejdę się po pokładzie. Wieczór jest dziś taki piękny.

Delaney nie dał się oszukać. Doskonale, mówiło jego spojrzenie, ostatecznie mogę zostawić cię na chwilę.

- Do zobaczenia wkrótce, moja droga - powiedział, poklepując jej dłoń.

Oddychając z ulgą, udała się do kabiny, by zabrać stamtąd swój aksamitny płaszczyk. Po chwili mijała już salę gier, skąd dobiegł ją śmiech i wesołe rozmowy.

Wreszcie została sam na sam ze swoimi myślami. Wieczór jest rzeczywiście piękny, uznała, zadzierając głowę, by spojrzeć na sierp księżycy i usiane gwiazdami niebo. Oparła się łokciami o mosiężny reling i spojrzała w dół na ciemne wody rzeki Sacramento.

Zmieniam się, pomyślała. Tracę z oczu cel, bo nie potrafię oprzeć się mężczyźnie, który jest odpowiedzialny za śmierć mego ojca. Chwyciła poręcz tak mocno, że pobielaly jej palce. Popatrzyła na obrączkę. Zamknęła na chwilę oczy, próbując przywołać ów straszny ból i rozpacz, które tak długo w sobie pielęgnowała.

- Nie wolno mi się poddać - powiedziała cicho, ledwie formułując słowa. - Muszę być silna.

Muszę...

Postanowienie zamarło jej na wargach, bo oto czyjeś silne ramię objęło ją mocno w pasie, a twarda dłoń zamknęła usta. Przez chwilę była zbyt przerażona, by walczyć.

- Przykro mi, madame - szepnął jej do ucha zdławiony wysiłkiem głos.

Poczuła, że unosi się nad pokład. O, Boże, nie! - krzyknęła bezgłośnie.

Odwróciła się gwałtownie i wbiła mężczyźnie łokieć w żołądek. Jęknął z bólu, ale nie wypuścił jej z rąk. Wbiła zęby w zaciśniętą na ustach dłoń, a potem krzyknęła. Mężczyzna uderzył ją mocno w szczękę twardą pięścią. Przed oczami Chauncey zatańczyły światelka. Poczuła silny ból. Mimo to nadal walczyła ze wszystkimi siłami.

Napastnik nie przestawał kłaść, unosząc ją ponad reling.

Nie jestem dość silna. Umrę, utonę!

Poczuła, że dłoń mężczyzny zaciska się wokół jej piersi, lecz była zbyt zamroczone strachem, aby odczuwać ból.

Usłyszała krzyk i tupot stóp. Boże, dopomóż mi, zawołała bezgłośnie. Mężczyzna zdwoił wysiłki. Zaklął ponownie. Widać usłyszał, że ktoś się zbliża. Cisnął Chauncey na balustradę i zaczął okładać po plecach pięściami.

- Co tu się dzieje? Hej, dosyć tego!

Nagle Chauncey opadła na gładki pokład, spazmatycznie chwytając powietrze. Napastnik uciekł.

- Pani Saxton! Dobry Boże, madame! Kim był ten człowiek?

Przybyszem okazał się Brent Hammond, który natychmiast kucnął obok Chauncey i chwycił ją mocno za ramiona.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła, drżąc. Uniosła ku niemu pobladłą twarz. - On próbował mnie zabić.

- Proszę wstać, madame. Już go tu nie ma - pomógł jej się podnieść.

- Del - szepnęła. - Proszę, mój mąż...

- Co, u licha!

Delaney zatrzymał się w pół kroku, zdumiony widokiem Chauncey w ramionach Brenta Hammonda.

- Twoja żona, Saxton - powiedział Hammond spokojnie. - Na szczęście nic się jej nie stało.

Chauncey zwróciła oszalałe z przerażenia oczy na twarz męża. Oswobodziła się z uścisku ramion Brenta, który postawił ją na deski pokładu.

- Del! - krzyknęła i podbiegła ku niemu.

Delaney przytulił ją do piersi, a jego dłonie bezwiednie zaczęły gładzić jej plecy, uspokajając ją. Podniósł wzrok i napotkał mroczne spojrzenie Brenta.

- Co się stało? - zapytał spokojnie.

- Wygląda na to, że ktoś - jakiś mężczyzna - próbował wyrzucić twoją żonę za burtę. Być może była to nieudana próba gwałtu - dodał Brent półgłosem.

Chauncey poczuła, że Delaney zacieśnił uścisk. Trzymał ją teraz tak mocno, że niemal sprawiał jej ból.

- Już wszystko dobrze, kochanie - powiedział. - Jestem przy tobie. Już dobrze.

Te wypowiedziane spokojnym tonem słowa sprowadziły koszmar do właściwego wymiaru i przywróciły Chauncey rzeczywistości.

- Czy to był ten sam człowiek, który usiłował zamordować mnie w Anglii?

- Nie wiem, Chauncey. Widziałeś jego twarz, Brent?

Brent zapalił cygaro. Wydmuchnął dym i dopiero wtedy odpowiedział, marszcząc brwi:

- Był kiepsko ubrany i miał nasuniętą na oczy wełnianą czapkę. Kiedy usłyszał, że nadchodzę, uciekł w kierunku schodów, prowadzących do kabin.

Chauncey chwyciła mocno klapy surduta Delaney.

- Nie widziałam go, Del. Był za mną. Nie rozpoznałam też jego głosu.

- Co on takiego powiedział, kochanie?

- Coś w rodzaju: „bardzo mi przykro”.

- Przestępca, bolejący nad swoim czynem - mruknął pod nosem Brent.

- Uważam, że powinniśmy zawiadomić o wszystkim kapitana. Dasz radę, Chauncey?

Skinęła głową. Była przerażona. Strach skręcał jej żołądek, powodując mdłości.

- Kto, Del? Kto chce, żebym...?

- Dowiemy się - przerwał jej szybko. - Brent, czy mógłbyś poprosić kapitana, by zajrzał do naszej kabiny?

Brent skinął głową, po czym przez chwilę spoglądał w ślad za niosącym żonę na rękach Delaneyem.

Stał tak minutę czy dwie, a potem wyrzucił cygaro za burtę i ruszył na poszukiwanie kapitana.

Delaney czuł, że Chauncey mocno przywiera do jego szyi. Trzymała się go kurczowo, jakby była liną ratunkową. Jezu, pomyślał, a gdyby Brent nie zdążył na czas? Na samą myśl o tym czoło pokryło mu się warstewką potu. Próbował przypomnieć sobie każdy szczegół jej nocnego koszmaru. Wówczas nie wierzył jeszcze, że ktoś dybie na życie Chauncey. Teraz uświadomił sobie, jak niewiele wie o swej żonie i jej życiu w Anglii. Ktokolwiek pragnął jej śmierci, pochodził z przeszłości.

W kabinie posadził Chauncey na krześle. Steward zdążył już zapalić świece, więc Delaney zobaczył wreszcie twarz żony. Była śmiertelnie blada, oczy miała zamglone, a źrenice rozszerzone. Na szczęście widać było zarys brzydkiego siniaka. Zauważył, że Chauncey przełyka z trudem, więc szybko podprowadził ją do stojącej na komodzie miednicy. Zdjął z niej płaszcz, a potem trzymał ją za ramiona, gdy wymiotowała skromnymi resztkami obiadu. Nalał jej whisky i zmusił, by ją wypić. Kiedy już było po wszystkim, opadła bezsilnie na dywan.

Ukląkł tuż obok.

- Wypij jeszcze trochę, Chauncey.

Upiła niewielki łyk trunku i rozkaszała się gwałtownie. Whisky paliła ją w żołądku niczym ogień.

Położył ją na łóżku i przyniósł wilgotny ręcznik, by mogła przyłożyć go sobie do czoła. - Leż przez chwilę spokojnie, skarbie. - Ostrożnie przesunął palcami po twarzy żony. Chwała Bogu, szczęka nie była złamana. Spostrzegł, że jej oczy nie wyglądają już jak oczy zaszczutego zwierzątka. - Lepiej? - zapytał miękko.

- Tak - wyszeptała w odpowiedzi. - Przykro mi, że zrobiłam z siebie taką idiotkę.

- Ciiii, kochanie. - Podniósł jej bezwładną dłoń i ucałował palce. - Wystraszyłaś mnie na śmierć.

Posłuchaj, obiecuję ci, że go znajdziemy.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Delaney uniósł głowę.

- Proszę wejść - zawołał.

Do kabiny wkroczył kapitan. Sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

- Co się dzieje, Del? Hammond wspomniał coś o gwałcie i morderstwie, a także...

Delaney uściśnął dłoń Chauncey i przerwał kapitanowi w pół słowa:

- Usiądź, Rufusie. Mamy problem.

Weź się w garść, napominała się Chauncey, kiedy tymczasem jej mąż spokojnie zdawał kapitanowi dokładną relację z ostatnich wypadków.

- Czy mogłabyś sama opowiedzieć kapitanowi, co się wydarzyło, Chauncey? - zapytał Delaney, podchodząc do żony.

Położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał ją podtrzymać.

Zrobiła, o co ją poprosił.

- Nie widziałam twarzy tego mężczyzny - zakończyła, zdając sobie sprawę, że jej relacja nie przyczyni się do schwytania napastnika. - Jednak - dodała po chwili - jego akcent wydał mi się dziwny. Mówił jakoś tak... niewyraźnie.

Delaney spojrzał na nią zaskoczony:

- Co przez to rozumiesz?

Próbowała znaleźć właściwe słowa, lecz bezskutecznie. Wzruszyła ramionami, wzdrygnąwszy się lekko na wspomnienie tego, co zaszło.

Rufus O'Mally ścisnął w dłoniach kapitański kapelusz. Miał ochotę zakląć, lecz nie mógł tego zrobić. Nie przy damie.

- Nie rozumiem - powiedział w końcu. - Kto, u licha, mógłby chcieć panią skrzywdzić, madame? No cóż, tak czy inaczej, szkoda czasu na zastanawianie się. Zbiorę ludzi i przeszkujemy statek, jednak... - Wzruszył wymownie ramionami i spojrzał na Delaneya. - Chciałbyś się przyłączyć, Del?

Delaney poczuł, że Chauncey zaciska palce wokół jego nadgarstka.

- Nie, i tak nie widziałem tego typu. Myślę, że Brent Hammond będzie miał większe szanse, aby coś zdziałać.

- Doskonale. Wrócę najszybciej, jak to tylko możliwe. Naprawdę, bardzo mi przykro - powiedział, zwracając się do Chauncey. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że... Ale dość tego gładzenia. Lepiej już sobie pójdę.

Delaney nie odezwał się słowem, dopóki za kapitanem nie zamknęły się drzwi. Ostrożnie przytulił Chauncey do piersi.

- Wydostaniemy cię z tych ubrań i położymy do łóżka - powiedział, a jego głos, nie wiedząc czemu, lekko drżał.

Chauncey była jak odrętwiała. Czowała, że Delaney rozpina guziczki jej sukni i odwróciła się posłusznie, kiedy ją o to poprosił. Nie miała na sobie gorsetu, toteż wkrótce stała już przed nim ubrana jedynie w koronkową koszulkę.

- A teraz marsz do łóżka - powiedział, popychając ją leciutko.

Spojrzała na jego twarz niewyrażającą żadnych uczuć.

- Ale moja koszula nocna... - zaprotestowała.

- Tak, tak...

Podszedł do wbudowanej w ścianę szafy. Kiedy się odwrócił, stała nadal nieruchoma niczym posąg i wpatrywała się w niego.

Chauncey chwyciła skraj podanej sobie koszuli. Szepnęła cicho:

- Proszę, pomóż mi, Del. Proszę, nie zostawiaj mnie.

Wziął ją gwałtownie w ramiona.

- Chauncey, kochanie - powiedział, pośpiesznie wyciągając z jej włosów szpilki.

Gęsta mahoniowa fala opadła mu na dłonie i zsunęła się po jej plecach. Chauncey przycisnęła się do niego i ujęła w dłonie jego głowę.

- Proszę - szepnęła, z ustami tuż przy jego ustach.

Wiedział, że ona nie myśli jasno, że stara się po prostu usunąć z pamięci to, co się wydarzyło. To tylko reakcja na szok.

Nagle wsunęła mu język do ust i Delaney jęknął.

- Jesteś moją żoną - powiedział i ta prosta prawda sprawiła, że niemal oszalał z pożądania. - Moją żoną.

Poczuł, że Chauncey rozpina guziki jego koszuli. Bez dalszych słów wziął ją na ręce i położył na aksamitnej narzucie. Odsunął się, nie spuszczając wzroku z jej twarzy i zerwał z siebie ubranie. Stał przez chwilę nagi obok łóżka, rozkoszując się tym, że ona na niego patrzy. Oczy Chauncey rozszerzyły się na widok jego naprężonej męskości.

- Proszę - szepnęła i wyciągnęła do niego ramiona.

Nakrył jej ciało swoim, całując ją namiętnie, a ona odpowiedziała na pocałunki, zaciskając kurczowo palce na jego ramionach i gładząc plecy aż po pośladki.

- Proszę, proszę... - szeptała przy tym nieustannie. Dłoń Delaneya powędrowała w dół pomiędzy jej uda. Była tam gorąca i wilgotna. Kiedy tylko poczuła go w sobie, jej ciało zadygotało w paroksyzmie rozkoszy tak gwałtownie, że omal nie zrzuciła go z siebie. Szczytowała bez końca, wydając z siebie krótkie, urywane okrzyki. A kiedy i on osiągnął rozkosz, przytuliła się do niego i wykrzyknęła głośno jego imię.

Delaney czuł się tak, jakby ktoś wyrwał mu duszę z ciała. Po prostu nie mógł przestać jej całować i pieścić, powtarzając, jak bardzo ją kocha i potrzebuje. Powoli odprężyła się pod nim i rozluźniła uchwyt ściskających jego biodra ud. Spojrzał w dół na jej twarz i spostrzegł, że oczy Chauncey straciły ów nieprzytomny, pusty wyraz.

- Nie rozumiem - szepnęła.

On rozumiał, ale w tej chwili nie zamierzał jej niczego tłumaczyć. To nie był odpowiedni moment na słowa. Ani na racjonalne myślenie. Pocałował ją znowu. Ku jego zdumieniu namiętnie odpowiedziała na pocałunek.

Przewrócił się na plecy i posadził ją na sobie, zanurzając się w nią głęboko. Widoczne na twarzy Chauncey szok i zaskoczenie zostały wkrótce zastąpione przez nieokiełznane pożądanie. Chwycił w obie dłonie jej wąską talię i zaczął podnosić dziewczynę w górę i w dół, ucząc ją właściwego rytmu. Kiedy jego palce powędrowały w dół, by dotknąć jej w tym najwrażliwszym miejscu, krzyknęła chrapliwie i uwolniona wreszcie od lęku po raz kolejny odnalazła spełnienie.

Jej gwałtowna reakcja sprawiła, że on też eksplodował.

Kiedy już było po wszystkim, pomógł jej zmienić pozycję tak, by spoczęła płasko na jego piersi. Jej wspaniałe włosy okrywały ich niczym kołdra. Leżała bez czucia, wolna od lęku. W milczeniu gładził jej plecy i wkrótce oddech Chauncey uspokoił się. Zapadła w mocny sen. Dobry Boże, pomyślał, odzyskując zdolność rozumowania. Nigdy dotąd nie kochał się z takim zaangażowaniem, takim oddaniem. Nie oczekiwał aż takiej pasji, takiego zatracenia.

Otoczył ramieniem plecy żony i sięgnął w dół, by nakryć ich kołdrą. Chauncey przyłgnęła do męża i Delaney uśmiechnął się do siebie, ponieważ jego reakcja była natychmiastowa i nieunikniona. Przez jakiś czas leżał bezsennie, próbując rozwikłać zagadkę, aż w końcu ktoś delikatnie zapukał do

drzwi kabiny. Delaney odsunął się od śpiącej Chauncey, wstał i włożył szlafrok.

Otworzył drzwi i spojrzął w zmartwioną twarz kapitana O'Mally'ego.

- I cóż? - zapytał spokojnie.

- Nic, Del, zupełnie nic. Jezu, on mógł być nawet członkiem załogi. Czy pani Saxton nie powiedziała nic więcej?

- Nie, a teraz śpi. Porozmawiam z nią rano. Rufus potrząsnął głową.

- Muszę zgodzić się z Hammondem. To jakaś przeklęta zagadka. Posłuchaj, Delaney, wszyscy mamy wrogów. Nie sądzisz, że ktoś mógł zaatakować twoją żonę, aby odegrać się na tobie?

- Możliwe - powiedział Delaney, choć w to nie wierzył.

- A co z Baronem Jonesem? Wiem, że miałeś już z nim kłopoty... kiedy to? W zeszłym roku? Słyszałem o pojedynku. Widziałem Barona dziś na nabrzeżu. Może dostał się na pokład...

Delaney poruszył bezwiednie ramieniem, gdyż jego ciało przypomniało sobie ból, jaki zadała mu kula wystrzelona przez Barona. Co do Jonesa zaś, to będzie kulał przez resztę swego parszywego życia.

- Nie - powiedział zdecydowanie. - On nie wszedł na pokład. - Uśmiechnął się krzywo. - A poza tym jakoś trudno mi sobie wyobrazić Barona uciekającego. To głupiec i brutal, ale nie tchórz.; Porozmawiamy jutro, Rufusie. Dzięki, że zajrzałeś.

Kapitan O'Mally skinął głową i odszedł.

Delaney odwrócił się i zobaczył, że Chauncey, z włosami opadającymi na bladą twarz, podnosi się z łóżka.

- Co się dzieje? - spytała głosem zachrypłym od snu.

- Nic takiego, kochanie - powiedział, zmuszając się, by nie patrzeć na jej nagi biust. - Prześpijmy się trochę.

- Dobrze - powiedziała, opadając z powrotem na poduszkę.

ROZDZIAŁ 17

- Proszę, kochanie, wypij to.

Chauncey spojrzała na filiżankę, którą trzymał w dłoni, i uniosła się do pozycji siedzącej. Delaney ścisnęło w gardle. Na wpół tylko obudzona Chauncey nie zdawała sobie sprawy ze swej nagości.

- Która godzina? - spytała, ziewając. Nagle jej oczy rozszerzyły się, a twarz oblała rumieńcem. Chwyciła kołdrę i podciągnęła ją aż do ramion. - O, Boże - wykrztusiła, spoglądając na niego spod rzęs.

- Angielska herbata - powiedział szybko. Wzięła od niego filiżankę i spróbowała rozkosznie gorącej herbaty z cytryną - dokładnie takiej, jaką lubiła.

- Która godzina? - powtórzyła, zmuszając się, by spojrzeć na męża. Siedział na krześle tuż obok łóżka, ubrany jedynie w szlafrok o barwie burgunda. Długie nogi wyciągnął przed siebie, krzyżując nagie kostki.

- Około dziewiątej. Domyślam się, że dobrze spałaś?

- Nie musisz się domyślać, przecież wiesz to na pewno!

Fala wspomnień rozbudziła jej umysł i Chauncey czym prędzej upiła kolejny łyk herbaty. Jak mogła zachowywać się w tak bezwstydnym sposób! Poszukiwała w myśli wystarczająco obraźliwego słowa, jakim mogłaby określić swój brak umiarkowania, lecz nie znalazła.

- Wiesz, mogę dokładnie powiedzieć, o czym teraz myślisz - oznajmił Delaney, a jego błyszczące oczy w słabym świetle poranka wydawały się o wiele bardziej złote. - To znaczy, że trochę cię już poznałem - dodał. Wiedział, że Chauncey ma ochotę sprzeczać się z nim, szybko podniósł więc w uspokajającym geście dłoń i powiedział ze śpiewnym akcentem dżentelmena z Południa: - Nieee, kochaaana. Po prostu zaamknij tę śliczną buuzię i poozbądź się tych paskudnych myśli.

- Ledwie rozumiem, co do mnie mówisz! - krzyknęła, zdając sobie sprawę, że Del się z nią droczy. Odstawiła filiżankę na spodek. - Boję się - powiedziała, spoglądając mu w oczy.

- Wiem - przytaknął równie poważnie. - Ja także. Chyba już pora, abyśmy ucięli sobie szczerą pogawędkę. Czy jesteś na nią gotowa?

Spojrzała na jego silne dłonie z długimi palcami. Przypomniała sobie dotyk tych palców na skórze i poczuła, że budzi się w niej pożądanie.

Przestań, Chauncey! To żalosne!

Zmusiła się, by skinąć głową.

- Dobrze. Po pierwsze, opowiedz mi jeszcze raz o tym facecie, który próbował przejechać cię w Anglii.

Uczyliła to, zachowując spokój, ponieważ wydarzenie miało miejsce dawno temu i straszne wspomnienia zdążyły już nieco zblaknąć.

- Nie masz pojęcia, kim on był? - wtrącił Del.

- Nie, twarz miał zakrytą czarną chustką.

- Dobrze, a teraz ostatni wieczór. Chauncey przesunęła językiem po wargach.

- Czy mogę prosić jeszcze herbaty? Podał jej filiżankę.

- Kochanie - powiedział spokojnie, unosząc delikatnie jej brodę. - To, co zaszło pomiędzy nami

tej nocy było czymś zupełnie normalnym...

Niezupełnie, ty głupcze!

- Jesteś moją żoną i musisz zrozumieć, że twoim obowiązkiem jest odczuwać przyjemność, kiedy się kochamy.

- Ale ja... zachowywałam się jak szalona - wykrzyknęła.

- Bardzo podobała mi się każda sekunda tego szaleństwa.

Delaney odetchnął głęboko i usiadł z powrotem na krześle.

- Ale nie mówmy o tym w tej chwili. Opowiedz mi jeszcze raz, co się wydarzyło.

Tym razem nie poszło jej tak gładko, lecz wreszcie, z pomocą Delaneya i zadawanych przez niego pytań, dojrzała do końca, po czym westchnęła z ulgą i oparła się wygodnie o poduszki.

- Wygląda na to, że komuś bardzo zależy na tym, by cię usunąć - stwierdził na pozór bez emocji. - Komuś z Anglii, nie stąd. Czy gdybyś umarła, ciotka i wuj odziedziczyliby twoją fortunę?

- Tak, ale to nie mogą być oni, Del! Ciotka Augusta jest chciwa i okropna, ale nie mogę uwierzyć, że byłaby zdolna mnie zamordować!

- Opowiedz mi o ojcu.

Nie mogła wspomnieć o ojcu, Paulu Montgomerym, ani o niedawno zmarłym doradcy prawnym Delaneya, panu Boyntonie.

- Mój ojciec był zamieszany w kilka dość podejrzanych interesów - powiedziała w końcu, ujawniając tyle prawdy, ile śmiała. - Lecz to był dobry człowiek, bardzo dobry.

Załamaj jej się głos. Oto broniła ojca przed mężczyzną odpowiedzialnym za jego śmierć! Tego było już za wiele. Odwróciła twarz i zaszlochała cicho.

Nim Delaney zdążył podejść i utulić ją w ramionach, zeszywniała i odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- A co z tobą? - zapytała. - Jesteś teraz moim mężem. To przecież ty odziedziczysz moje pieniądze, jeśli umrę! Nie wujostwo!

Delaney natychmiast zdusił w sobie gniew, spowodowany tym nedorzecznym oskarżeniem. Chauncey raz jeszcze okazała się zagadką. Wrócił na krzesło i usiadł, krzyżując ramiona na piersi.

- Nie znałem cię, kiedy mieszkałaś w Anglii - powiedział niebezpiecznie spokojnym tonem.

- Naprawdę wierzysz, że dwie osoby chcą cię usunąć? Ja i jakiś inny nieszczęsny głupiec?

A co z moim ojcem? Skinęła głową.

- Ja... przepraszam - mruknęła.

- Chcę, żebyś mnie posłuchała, Chauncey, i to posłuchała uważnie. Zależy mi na tobie, wiesz o tym. Inaczej nie ożeniłbym się z tobą. Ale ty... ukrywasz coś przede mną. Coś, co dotyczy twojej przeszłości. Możesz być pewna, że uczynię, co w mojej mocy, by cię ochronić, ale, na litość boską, musisz być ze mną szczerą! Nie chcę, żebyśmy spędzili resztę życia, oglądając się za siebie i bez ustanku zastanawiając, kto próbuje cię zabić!

Nigdy przedtem nie przemawiał do niej tak chłodno. W jego zwężonych oczach nie widać było śladu ciepła.

- Czekam - powiedział.

- Proszę, Del, nie mogę wyjawiać nic więcej.

- Zaczniemy się pakować - zdecydował. - Wczesnym popołudniem zawijamy do Marysville.

Wsiądziemy tam i wrócimy do San Francisco.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Człowiek, który próbował cię zabić, najprawdopodobniej znajduje się jeszcze na pokładzie.

Nie będziemy kusić losu. Wracamy do domu.

Marysville, jak jej powiedział Delaney, było młodsze niż Sacramento, mimo to liczyło sobie już ponad sześć tysięcy mieszkańców. Chauncey pomyślała, że miejscowość wygląda na dosyć ponurą, jednak otoczenie miasteczka, położonego w widłach rzek Feather i Yuba, wydało jej się piękne.

Podróż powrotną odbyli na parowcu „Błyskawica”, dość przestarzałej jednostce, przystosowanej do przewożenia pasażerów podróżujących pomiędzy San Francisco a terenami złotonośnymi.

Ich kabina była mała i skąpo umeblowana. Delaney nie opuszczał żony ani na chwilę. Chauncey zdawała sobie sprawę, że obserwuje ją uważnie. Miała ochotę wykrzyknąć mu w twarz, że nawet gdyby powiedziała mu o sobie całą prawdę, i tak nie pomogłoby to rozwiązać zagadki.

Kolację zjedli w kabinie. Chauncey, która spodziewała się, że jedzenie będzie tu równie okropne, jak cała reszta, była przyjemnie zaskoczona smakiem pieczonego pstrąga.

Stała się równie milcząca, jak jej mąż, i powróciła myślami do swego życia w Anglii. Wspomniała wujka Paula, Franka Gilette'a i Thomasa Gregory'ego, jedynych ludzi, poza jej krewnymi, którzy wiedzieli, że odziedziczyła spadek. Ale oni nic by nie zyskali, zabijając ją! To wszystko nie miało sensu. Z frustracji i poczucia bezsilności aż chciało jej się krzyknąć.

- Chauncey...

Głos Delaneya przywołał ją z powrotem do rzeczywistości. Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Pora do łóżka, moja droga.

W kabinie nie było parawanu i Chauncey musiała rozbierać się przy Delaneyu. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że mąż uważnie obserwuje, jak jego żona wciąga koszulę na bieliznę, a potem niezdarnie próbuje się rozebrać pod jej osłoną.

Przesunęła się w najdalszy kąt łóżka i naciągnęła na siebie przykrycie. Zacisnęła mocno powieki. Nie uniosła ich, czując, że materac ugina się pod ciężarem Delaneya.

- Chodź do mnie. Drgnęła na dźwięk jego głosu.

- Jestem okropnie zmęczona.

- A ja nie i gwarantuję ci, że za chwilę ty też nie będziesz. Chodź do mnie.

Nie poruszyła się. Poczowała na twarzy dotyk jego palców. Powoli przesunął nimi po ustach, linii nosa, brodzie. Kiedy jego usta przywarły do jej warg, zmusiła się, by leżeć spokojnie. Westchnęła, gdy jego dłoń zawędrowała na piersi. Usztywniła mięśnie, zwalczając chęć zareagowania na pieśczętę. Zacisnęła mocno uda.

- Nie - szepnęła prosto w jego usta. Delikatnie dotknął językiem jej języka, a potem powiedział miękko:

- Nie pozwolę, byś ze mną walczyła, Chauncey. Nie teraz, kiedy znam siłę twojej namiętności.

Poczowała, że wsunął dłoń pod koszulę i powoli przesunął ją ku górze.

- Jakie delikatne - powiedział, głaszcząc wewnątrz jej ud.

A kiedy jego dłoń dotarła do ich zwińczenia, rozpaczliwie próbowała zwalczyć uczucie

przyjemności. Uniosła nieco ciało, starając się umknąć jego dłoni, ale on czym prędzej wsunął w nią palec, a kiedy poczuł, że zwilgotniała od pieszczot, w jego oczach pojawił się triumfalny błysk.

- Widzisz - szepnął, pieszcząc jej ucho - twoje ciało wie, co dla niego dobre. Przestań ze mną walczyć. I, co ważniejsze, przestań walczyć sama ze sobą.

- Nie chcę...

Jęknęła, bezwstydnie unosząc biodra.

- Ależ przeciwnie, chcesz. Dotknij mnie, kochanie. Dotknij mnie tak, jak ja dotykam ciebie.

Jej palce usłuchały polecenia. Niepewnie zsunęły się w dół jego piersi, ku płaskiemu brzuchowi, a potem zanurzyły się w gęstwinie porastającej krocze mężczyzny. Westchnęła głęboko, kiedy dotknęła jego męskości. Była gorąca, nabrzmiała i pulsowała pod dotykiem jej dłoni. Delaney jęknął cicho.

Zachwiał się leciutko. Drżał teraz cały i Chauncey zdziwiła się, że jej dotyk może wywierać aż taki wpływ. A potem jego palce zanurzyły się w niej głęboko i zapomniała o wszystkim.

- No chodź, kochanie. Właśnie tak. Otwórz się dla mnie.

Czuł jej opór. Umysł Chauncey walczył z narastającą przyjemnością. A gdy napięła mięśnie, niezdolna oprzeć się rozkoszy, w jej oczach dostrzegł obłędny strach. Lecz kiedy zacisnęła dłonie na jego barkach, on także zapomniał o dręczących go pytaniach i zanurzył się w niej głęboko.

Trzymał ją w ramionach, dopóki nie zaczęła znów równo oddychać, a potem wstał, by zgasić lampy. Wrócił do łóżka i poczuł, że Chauncey odsuwa się od niego. Przytulił ją do siebie, a potem powiedział na wpół z niepokojem, na wpół z gniewem:

- Jeżeli znów się rozplaczesz, nie pozwolę ci zasnąć, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

- Nie będę płakać - zapewniła z twarzą wtuloną w jego ramię.

Uniósł rękę, by odgarnąć jej włosy z czoła.

- Powiesz mi, dlaczego tak z sobą walczysz? Leżała nieporuszona. Usłyszała, że Delaney wzdycha ciężko.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak dziwnie się zachowujesz, Chauncey?

Przełknęła głośno ślinę, lecz ani jedno słowo wyjaśnienia czy zaprzeczenia nie padło z jej ust. Jak dobrze, że w tej ciemności nie może dostrzec wyrazu moich oczu, pomyślała z ulgą. I tak dostrzega zbyt wiele.

- Byłoby to usprawiedliwione, gdybym to ja się za tobą uganiał. Lecz prawda wygląda tak, że ty mnie pragnęłaś i od pierwszego spotkania dałaś mi to jasno do zrozumienia. Dostałaś to, na czym ci zależało, moja droga, a teraz walczysz ze mną i ze sobą. Chciałbym cię zrozumieć. Jestem twoim mężem. Jeżeli nie potrafisz się zmusić, by mi zaufać, to nie wiadomo, co stanie się z nami w przyszłości.

- Ty... nie jesteś taki, jak tego oczekiwałam! - wykrzyknęła.

Delaney zamrugał. Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią.

- A czego oczekiwałaś?

Jego głos brzmiał łagodnie i wręcz kojąco, lecz umysł Chauncey cofnął się przed ujawnieniem, co mimo woli już częściowo mu zdradziła.

- Jesteś Amerykaninem - powiedziała tylko.

- Tak, zgadza się, lecz przecież o tym wiedziałaś. Myśl, myśl!

- Del, ja nie zajdę w ciążę, prawda? Poczula, że cały zeszywniał, a jego dłoń, gładząca dotąd jej plecy, znieruchomiała.

- Czy tu leży przyczyna twego oporu? - zapytał. - To dlatego tak ze mną walczysz?

- Owszem. Nie chcę jeszcze zachodzić w ciążę. To mnie przeraża.

Dosłyszał w jej głosie ton prawdy. Pomyślał o gąbkach oraz roztworze octu, które miał w walizce, i o instrukcjach, jakich udzieliła mu Marie. Jezu, pomyślał, nie dotrzymałem słowa. Zupełnie o tym zapomniałem.

- Rozumiem, kochanie - powiedział, delikatnie całując jej skroń. - Następnym razem powiem ci, co masz zrobić.

Usłyszał, że odetchnęła z ulgą i jeszcze raz zastanowił się, czy naprawdę tylko o to jej chodziło.

A kiedy Chauncey usnęła, leżał, wpatrując się w ciemność i z rozbawieniem wspominając swoją ostatnią rozmowę z Marie.

- Co powiedziałeś, *mon cher*?

Spojrzała na niego i zdziwienie zastąpiło na moment urazę.

- Powiedziałem, że potrzebuję twojej rady na temat zapobiegania ciąży. Moja żona nie chce jeszcze mieć dziecka.

Marie ujęła się pod boki i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- A to ci dopiero zabawa! - wykrztusiła po chwili. - Prosisz kochankę, aby pomogła ci uchronić żonę przed ciążą! *Dieu!* Mężczyźni!

On także się roześmiał, doceniając humorystyczną stronę sytuacji. Teraz przypominał sobie, co Marie mówiła mu na temat kobiecego cyklu i zaczął się zastanawiać, czy Chauncey wkrótce będzie miała okres. Policzył w myśli, ile razy się kochali.

- Do licha! - mruknął w ciemności.

Jak łatwo zapomniał o danej obietnicy! Uśmiechnął się nagle, wyobraziwszy sobie, jak będzie instruował Chauncey.

Resztę podróży spędzili na pokładzie. Delaney pokazywał żonie okolice.

- To jest cieśnina Carquinez - powiedział w pewnej chwili. - Wkrótce będziemy w zatoce San Pablo, a potem znajdziemy się dokładnie na południe od zatoki San Francisco.

- Tutaj przynajmniej na brzegu widać jakieś drzewa - zauważyła Chauncey, przyglądając się dębom, jesionom i wierzbom. - Kapitan O'Mally powiedział mi, jak piękna i bogata była tu niegdyś przyroda, a teraz, spójrz, proszę, za siebie, Delaney! Nic tylko piaszczyste, zakurzone równiny. Z pewnością kapitan mimo woli porównywał je z okolicami San Francisco.

Delaney uśmiechnął się do niej.

- Przypuszczam, że komuś, kto przywykł do cywilizowanej, ujarzmionej i obłaskawionej angielskiej przyrody, okolice San Francisco muszą wydawać się dosyć niegościnnie i zdewastowane.

- Owszem - powiedziała Chauncey, zawiązując ciaśniej wstążki kapelusika, aby nie porwał go wiatr.

- Jest tu tyle wysp - zauważyła po chwili. - Czy wszystkie są niezamieszkane?

- Większość. Od czasu do czasu biwakują na nich traperzy albo Indianie, lecz nie ma tam dosyć roślin i zwierząt, aby umożliwić osiedlenie się na stałe.

- Przeciwnie niż w Anglii.

- To prawda. Kiedy pierwszy raz podróżowałem łodzią w głąb lądu, uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd nie czułem się tak wolny. I nic dziwnego, otaczała mnie kompletna głusza. Tysiące kopaczy, poszukujących złota, spowodowało wiele zmian. Czasami zastanawiam się, jak długo ta ziemia pozostałaby dziewicza, gdyby nie odkryto w niej złota. Teraz w San Francisco mieszka

pięćdziesiąt tysięcy dusz. Kiedy przybyłem tu w 1849, było nas zaledwie tysiąc. Wiesz o tym, że Meksyk odstąpił Kalifornię Stanom Zjednoczonym zaledwie kilka lat temu? Narzucony tej krainie postęp i ludzka chciwość wkrótce doprowadzą do zagłady dawnych Kalifornijczyków. Już dzisiaj przekupni sędziowie wyrzucają ich z nadanych niegdyś ziem, bydlę jest kradzione lub szlachtowane, a grunty przejmowane przez osadników, uzurpujących sobie do nich prawa.

- Kim są ci Kalifornijczycy?

- To w większości Hiszpanie i Meksykanie, którzy do niedawna odgrywali na tych ziemiach wielce znaczącą rolę. To oni stanowią arystokrację Kalifornii, coś w rodzaju tutejszych feudalów. Ich ranchos, pochodzące z nadania, często liczyły sobie i po dwieście tysięcy akrów. A potem zaczęli tu napływać Jankesi.

Delaney umilkł na chwilę. Rysy jego twarzy stężały, a źrenice zwęziły się w wyrazie gniewu.

- Zastanawia mnie, że akurat my traktujemy z taką pogardą ludzi odmiennych kultur, posługujących się innymi niż nasz językami. Większość znanych mi osób nazywa ich Meksykańcami, a Chińczyków kopaczami, żółtkami. Milutkie, prawda?

Chauncey zmarszczyła brwi, spoglądając na jego wyrazisty profil.

- Nie, szczególnie, jednak, uczciwie mówiąc, nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałam. Wiem, że ocaliłeś Lin przed strasznym losem, ale ci Kalifornijczycy... Chyba zbyt bierzesz sobie do serca ich problemy.

- Pewnie masz rację. To dumni i sympatyczni ludzie, dla których raz dane słowo pozostaje święte. Żyją dla honoru i umierają dla niego, co oznacza, że nie mają szansy przetrwać. Znam jedną taką rodzinę dosyć dobrze. Don Luis Varga ocalił mi kiedyś życie. Na nieszczęście, kiedy w pięćdziesiątym pierwszym roku nie było mnie w Kalifornii, jego rodzina straciła część ziem na rzecz poszukiwaczy złota, bydlę ukradli im złodzieje, a resztę majątku zagarnęły banki. W końcu musieli osiedlić się w Monterey. Don Luis został brutalnie zamordowany, kiedy próbował bronić reszty bydła. Jak już ci mówiłem, to ludzie, którzy honor cenią ponad wszystko. Pewnie uważasz, że koloryzuję, opisując ci ideały bez wad. - Uśmiechnął się smutno. - Niestety, uwielbiają hazard, a z reguły nie miewają szczęścia w grze. Ci spośród nich, którym udało się znaleźć złoto, szybko stracili zdobyty majątek. Pod wieloma względami to duże dzieci, które nie mają pojęcia o prowadzeniu interesów, galopującej inflacji i tak dalej. Jednak to, co się z nimi dzieje, doprowadza mnie do szału. A tak niewiele mogę zrobić...

- Chyba chciałabym poznać rodzinę Varga. Nigdy dotąd nie zajmowałam się hazardem, lecz prawdopodobnie byłabym w tym równie beznadziejna jak oni.

- Być może powinnaś spróbować.

Jakże szlachetnie brzmią jego słowa, pomyślała, zaciskając wargi.

- Wydaje mi się, że jednak mógłbyś coś zrobić Czyż nie jesteś bardzo bogaty?

- Tak... - powiedział po namyśle. - Jestem bogaty, lecz nie dość bogaty. Poza tym tu chodzi o władzę. Jeden człowiek nie może zmienić tego, co nieuchronne, zwłaszcza wobec panoszącej się w mieście i władzach stanowych korupcji. Uśmiechnął się krzywo.

- Czy już ci mówiłem, że grupa najbardziej troszczących się o sprawy publiczne członków Klubu Pacyfik chce, abym startował w wyborach do Senatu?

- Uważają cię za aż tak uczciwego?

- Czyż to nie dziwne pytanie w ustach kochającej małżonki?

- Daj spokój, Del... czyżbyś nigdy nie... oszukał nikogo w interesach?

Wpatrywała się bacznie w jego twarz. Wściekłość, widoczna w spojrzeniu Delaney'a sprawiła, że się cofnęła o krok.

- Nie - powiedział krótko i odwrócił głowę.

- Nawet w Anglii? W końcu to kawał drogi stąd. Wydaje mi się, że mógłbyś bezkarnie obiecać jakiemuś Anglikowi, co tylko byś zechciał, a po powrocie do Ameryki nie dotrzymać obietnicy.

Przyglądał się jej w milczeniu. Mówiła swobodnie, jakby pytała tylko z ciekawości, lecz wyczuwał w niej dziwne napięcie.

- Czy mogłabyś wytłumaczyć mi, o co ci chodzi, Chauncey? - zapytał spokojnie.

Wzruszyła demonstracyjnie ramionami.

- To były teoretyczne pytania, nic więcej. Kłamała, był tego pewny. Lecz skąd te pytania o jego uczciwość? Kobieta nie wyszłaby chyba za mężczyznę, gdyby nie wierzyła w jego uczciwość i nie ufała mu...?

- Być może twoje teoretyczne pytania dotyczyły wuja i ciotki. Mówiłaś, że jak oni się nazywają?

- Penworthy - powiedziała bez namysłu. Zaczepnęła gwałtownie powietrza, uświadomiwszy sobie, jak cennej informacji mu udzieliła.

Jednak Delaney jakby stracił zainteresowanie całą sprawą. Odetchnęła z ulgą. Mimo to spróbowała odwrócić jego uwagę.

- Zauważyłam, że masz na ramieniu bliznę. Skąd ona się wzięła?

Tak łatwo ją rozszyfrować, pomyślał.

- Pojedykowałem się z pewnym dosyć okropnym typem, który nazywa się Baron Jones. Po wyrazie twojej twarzy poznaję, że go pamiętasz.

- Pojedynek - powtórzyła. - To takie... barbarzyńskie!

- Doprawdy? - zapytał sucho. - Niestety, tutaj bywa to nieuniknione.

- Czy starałeś się go zabić?

- Nie, chociaż powinienem był. Ten łobuz znów sprawia mi kłopoty.

- Dlaczego akurat pojedynek?

Ku zdumieniu Chauncey twarz Delaney'a spłonęła rumieńcem.

- Nie spodobał ci się krój jego płaszcza? - spytała.

- Prawdę mówiąc, próbował siłą pojąć moją kochankę, Marie.

- Co za okropna sytuacja dla was obojga i - stwierdziła na pozór obojętnie, zdumiona i wściekła z powodu zazdrości, która nagle ścisnęła ją za serce.

Delaney uśmiechnął się szeroko i Chauncey uświadomiła sobie, iż sama dała mu do ręki broń, zapewniając przewagę.

- Mężczyzna nie lubi, kiedy inni sięgają po jego własność.

- Własność! Co za prymitywne, aroganckie... Pochylił głowę i pocałował jej zaciśnięte wargi.

- Ja nie jestem twoją własnością! Pocałował ją znowu.

- I co, jak myślisz, kochanie, kto z nas ma ostatnie słowo? - spytał, odrywając wargi od jej ust.

- Jak przypuszczam, w tych wodach nie ma rekinów? - odparowała.

Roześmiał się z całego serca.

- Kiepski żart - powiedział, grożąc jej palcem.

- Tak kiepski, że chyba powinienem dać ci fory. W końcu jesteś tylko kobietą.

ROZDZIAŁ 18

Chauncey uniosła ostrożnie powieki i skrzywiła się, słysząc jak Mary fałszywie wyśpiewuje irlandzką piosenkę, radosna niczym ptaszek.

- Jest zdecydowanie za wcześnie na taki dobry nastrój - powiedziała, ziewając szeroko. Opuściła nogi na podłogę i uświadomiwszy sobie, że nie ma na sobie nawet strzępka odzienia, spłonęła rumieńcem. Mary znowu zaczęła nucić.

- Czy miałaś już dzisiaj randkę z butelką, Mary? Wydajesz się podejrzenie wesola.

- Przeciwnie niż pani, ośmielę się zauważyć - powiedziała radośnie Mary, odwracając się, by spojrzeć na Chauncey. - Podać szlafrok?

- Oczywiście!

- Mamy dziś chłodny poranek. Proszę spojrzeć na ten deszcz! Leje jak z cebra! Powinna pani poprosić tego swojego męża, by podał pani koszulę.

- Mary - wycodziła Chauncey przez zaciśnięte żęby - chcesz żebym zaczęła krzyczeć?

- Lucas opowiedział mi o panu Delu - paplała dalej Mary, pomagając swej pani włożyć żółty aksamitny szlafrok. - To nie jest zły człowiek, panienko.

Chauncey, w pełni już teraz obudzona, spojrzała z niedowierzaniem na swoją służącą.

- Nie mogę w to uwierzyć! Jesteś gotowa zapomnieć o tym, co zrobił memu ojcu? Dlatego że od trzech tygodni mieszkasz pod jego dachem? O, tak, wiem, jest taki diabelnie czarujący, prawda? A może chodzi raczej o Lucasa?

Mary poczuła, że płoną jej policzki. Jednak, gotowa odplącić pięknym za nadobne, powiedziała śmiało:

- Wydaje mi się, że pani także uważa go za czarującego. Zwłaszcza w łóżku.

Chauncey zagryzła dolną wargę.

- To słabość, Mary - powiedziała z goryczą. - I nie ma tu nic do rzeczy.

- Mnie się wydaje, że ta słabość może szybko zaowocować dzieckiem.

- O, nie! To znaczy, zamierzam przedsięwziąć odpowiednie środki, by tak się nie stało.

Przymknęła na chwilę oczy, wspominając wczorajszy wieczór i to, jak czarujący był wobec wszystkich jej mąż. Nigdy dotąd nie widziała na twarzy Lucasa tak szerokiego uśmiechu, a Lin kręciła się wokół, paplając niczym oszalała papuga i opowiadając bezładnie o tym, co wydarzyło się podczas ich trzydniowej nieobecności. I jeszcze ta naiwna Mary, uśmiechająca się, z błyskiem uwielbienia w oczach. Ku zdumieniu Chauncey Del tego wieczoru nie próbował się z nią kochać. Kiedy już zdjął z niej nocną koszulę, po prostu przytulił ją do siebie, pocałował i życzył dobrej nocy. Czowała, że jest czymś zaabsorbowany, lecz powstrzymała się od zadawania pytań.

- A tak przy okazji, pan Del powiedział nam rano, dlaczego wróciliście tak wcześnie. Przykazał też Lucasowi, by podczas jego nieobecności nie odstępował pani nawet na krok. Nie będzie pani

starala się mu wymknąć, prawda?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Chauncey, a potem zapadła w ponure milczenie.

- Pan Del wypytywał mnie też o wuja i ciotkę pani. On się naprawdę martwi, panienko. Boże, a ja niemal przekonałam samą siebie, że za tym wypadkiem w Plymouth nic się nie kryło.

- Ale nie powiedziałaś mu o Paulu Montgomerym, prawda?

- Nie, chociaż miałam wielką ochotę to zrobić. Ja także się martwię, panienko. Sytuacja zbytnio się już skomplikowała. Oto pani próbuje dopaść pana Dela, a ktoś inny próbuje dopaść panią. Pan Del może zginąć w pani obronie.

- Mary, posłuchaj mnie, proszę. Długo nad tym myślałam, ale nie przychodzi mi na myśl nikt, kto mógłby posunąć się do próby zabójstwa. Wiem, że Paul Montgomery był nieco rozgoryczony, ponieważ nie pozwoliłam mu zarządzać moimi pieniędzmi, ale to nie powód, by mnie zabijać. Boże, on był jednym z najlepszych przyjaciół mego ojca.

- Chyba, że wujostwo panienki obiecali mu znaczną część spadku - zasugerowała Mary.

- Też o tym pomyślałam - westchnęła ciężko Chauncey. - Zastanawiam się - dodała, wykrzywając wargi w złośliwym uśmiechu - czy nie napisać do nich z zapytaniem o możliwość powrotu pod ich dach, ponieważ straciłam cały spadek.

- Pan Del też wspomniał rano o czymś takim. Jest gotów chwycić się każdego sposobu, panienko - powiedziała Mary, obracając w dłoniach szczotkę do włosów. - Domyśla się, że pani coś przed nim ukrywa. Kiedy skończyłam opowiadać mu o Penworthych, tylko westchnął. Nie naciskał mnie, ale on wie, że nie mówi mu pani wszystkiego.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Kimkolwiek by był, z pewnością nie jest głupcem.

- A czy zdaje pani sobie sprawę i z tego, że ten ktoś na pewno spróbuje jeszcze raz?

- Tak, wiem o tym. Nie ruszę się z domu na krok bez mego rewolweru.

Mary zamilkła i zaczęła rozpakowywać rzeczy Chauncey.

- Pani Newton była tu wczoraj po południu - powiedziała po chwili. - To bardzo miła dama, ale wypytywała mnie o panią. A kiedy okazałam zdziwienie, powiedziała, że ta smarkula, Penelopa Stevenson, nadal ma do pani żal i opowiada niestworzone rzeczy na pani temat. Pani Newton przysłała zasięgnąć informacji, by, jak się wyraziła, mieć czym zagwoździć ich działa.

Rewelacje Mary wyrwały Chauncey z ponurej zadumy.

- Niech idą do diabła - powiedziała. - Wszyscy.

- Lecz chyba nie chce pani, by honor pana Dela ucierpiał z powodu plotek.

- Ty znowu swoje! Do licha, oczywiście, że chcę” by ucierpiał! Ha! Czy wiesz, że ten twój pan Del stoczył pojedynek o swoją przeklętą kochankę?

- No cóż, nie był wtedy żonaty.

Chauncey przymknęła oczy na długą, przepelnioną bólem chwilę. Mary przeszła do obozu wroga.

- Chciałabym się wykapać.

Po niespełna półgodzinie siedziała już przed toaletką, wpatrując się nieobecny wzrokiem w swoje odbicie, podczas gdy Mary szczotkowała jej włosy.

- I co zamierza pani teraz zrobić?

- Nie rozstawać się z rewolwerem, jak już ci mówiłam.

- Nie o to mi chodziło, panienko, i pani dobrze o tym wie.

- Być może nie powinnam ci mówić. W końcu ty przecież uwielbiasz pana Dela, a może raczej tego pirata, Lucasa?

- Powiem pani, co ja bym zrobiła - oznajmiła Mary, nieporuszona. - Porozmawiałabym szczerze z mężem. I powiedziałabym mu całą prawdę.

- Wspaniały pomysł! Już sobie to wyobrażam. Odesłałby mnie do Anglii najbliższym statkiem, a sam pozostałby wolny jak ptak!

- O co chodzi z tym statkiem do Anglii?

Obie kobiety zamarły na dźwięk głosu Delaney'a.

- Dzień dobry, Mary, Chauncey. A może powinienem powiedzieć: „Dobre popołudnie”? - Podszedł do żony i pocałował ją czule w policzek. - Chyba nie planujesz mnie opuścić?

- Myślałam, że już wyszedłeś. Do swoich zajęć. Uniósł brwi.

- Miałbym cię opuścić? Przecież to nasz miesiąc miodowy. A poza tym leje jak z cebra. Nie upinaj jej włosów, Mary. Lin podgrzała dla ciebie śniadanie, Chauncey. Jesteś już chyba gotowa?

Nad jajkami na bekonie i chrupkami grzankami Del wspomniął o mającym nastąpić tego dnia spotkaniu w Klubie Pacyfik.

- Obawiam się, że Horacy nie pozwoli mi się od tego wykręcić - powiedział. - Chcą na senatora kogoś, kto byłby nieskalany niczym dziewica. Być może jednak - dodał z błyskiem w oku - dogrzebią się w mojej szafie jakiegoś głęboko ukrytego szkieletu, kto wie? I wtedy urwę się z haczyka. Może sam powinienem coś wymyślić?

- Ale ty tego pragniesz, prawda? - zapytała Chauncey powoli. - Chcesz zostać politykiem.

Obserwowała, jak jego silne palce zaciskają się na filiżance.

- Tak, chyba tak. Zaczynasz poznawać mnie zbyt dobrze, kochanie. Jednak nie chciałbym skończyć w Waszyngtonie. Chcę robić coś tutaj, w Kalifornii. Uczestniczyłem w wielu różnych komitetach i uznałem to za nader zabawne. Chciałbym być jednym z tych, którzy zakładają komitety, dobierają członków i pilnują, aby wykonywali zadania, których się podjęli. Parę miesięcy temu zmarł Paul Donner. Chciałbym zaproponować Horacemu i innym, aby poparli mnie podczas ubiegania się o wejście do władz stanowych.

- Jak to funkcjonuje? Uśmiechnął się do niej.

- Zapomniałem, że jesteś Angielką, przyzwyczajoną do zupełnie innego systemu. A może i nie tak znowu innego. Będę musiał uzyskać nominację mojej partii, a potem wyruszę w objazd miast w Kalifornii, przekonywać ludzi, by na mnie głosowali.

- Do tego potrzeba sporo pieniędzy, prawda?

- Z pewnością. Będę musiał wydać sporo pieniędzy i poświęcić wiele czasu. I co Chauncey, chciałabyś być żoną polityka?

Choć zapytał ją od niechcienia, beztroska w jego głosie ledwie skrywała powagę. I nagle Chauncey uświadomiła sobie bez cienia wątpliwości, że on pragnie tego ponad wszystko inne. Czyżby nareszcie znalazła sposób, aby go zniszczyć? Uśmiechnęła się olśniewająco i powiedziała:

- Oczywiście. Z pewnością bardzo by mi się to podobało.

Jego rozradowane oczy pociemniały.

- Lecz najpierw musimy zająć się czymś innym. Tym draniem, który pragnie cię zabić.

- Tak - powiedziała Chauncey podejrzenie spokojnym tonem. - Mary opowiedziała mi, jak ją wymaglowałeś dziś rano. Chyba nie podobają mi się twoje metody.

Delaney odstawił ostrożnie filiżankę na spodek, wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się jak zahipnotyzowany w ściekające po szybach strugi wody, a potem rzucił przez ramię.

- Nie spodziewałem się, by mogły ci się spodobać, lecz mąż musi czuć się nieco dziwnie, gdy żona mu nie ufa.

- Wymyślasz niestworzone historie, Del. Dlaczego, u licha, miałabym ci nie ufać?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, mógłbym przedsięwziąć bardziej zdecydowane kroki, czyż nie? - Odwrócił się plecami do okna i spojrział na nią. - Jestem zmęczony, Chauncey. Znużony do szpiku kości twoimi wykrętami, tym, że jesteś taka nieuchwytna. Nawet teraz widać po tobie napięcie. Twoja twarz zdradza zbyt wiele, by mogło ci to wyjść na dobre, kochanie.

Udowodnij mi, że się myli!

Chauncey przywołała na usta uśmiech i podeszła do męża. Wspięła się na palce i pocałowała go. Zdziwiony, cofnął się nieco, lecz ona chwyciła go za klapy surduta.

- Jesteś moim mężem. Przebyłam pół świata, by cię znaleźć.

Delaney nie poruszył się, ani nie odezwał.

- Moja... nieuchwytność, o ile w ogóle istnieje, jest prawdopodobnie skutkiem tego, że znalazłam się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji. No i Ameryka zdecydowanie różni się od Anglii.

Chciał jej uwierzyć, widziała to w jego oczach. Poczucie winy ścisnęło ją za gardło. Czym prędzej przymknęła powieki. Jej mąż dostrzegał zbyt wiele. I to od samego początku.

Chauncey minęła jadalnię, hol i weszła do salonu. Jak mogłabym go zniszczyć? W ciągu ostatnich kilku godzin zdążyła już odrzucić parę szalonych pomysłów. Zerknęła na stojący na kominku zegar. Dziesiąta. Delaney zapewne wkrótce wróci ze spotkania w Klubie Pacyfik, a ona nadal nie wymyśliła żadnego sensownego planu. Nie jestem w tym dobra, przyznała niechętnie. Uderzyła pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki i zaczęła ponownie rozważać jeden z nieco mniej szalonych pomysłów. Nawet gdyby udało jej się puścić w obieg jakieś skandaliczne plotki na jego temat, nie uczyniłoby go to biedniejszym, a jedynie pozbawiło możliwości zrealizowania politycznych ambicji.

Usiadła na sofie i odchyliła do tyłu głowę. Wszystko tak się skomplikowało, stało się takie trudne, że prawie niemożliwe do zrealizowania. Nawet gdyby udało jej się wymyślić jakiś plan, nie posiadała dostatecznej swobody ruchów, by móc wprowadzić go w czyn.

Wzdrygnęła się nagle na wspomnienie mężczyzny, który usiłował przerzucić ją przez barierkę, prosto w ciemne wody rzeki Sacramento.

Delaney stawał się dla niej zbyt rzeczywisty jako małżonek, zbyt ważny. Dlaczego nie zachowywał się tak, jak powinien zachowywać się człowiek zły? Dlaczego nie był wstrętny, podły i w ogóle okropny? Rozpaczliwie pragnęła go znienawidzić.

- Powoli staję się rozhisteryzowanym kobieciątkiem - powiedziała na głos. - Wszystko, co mam, to setki pytań i rozchwiany umysł.

Wstała i rozpoczęła gorączkowy spacer po pokoju.

- Gdybym tylko miała kogoś, komu mogłabym zaufać - mruknęła.

Pomyślała o Agacie Newton, lecz zaraz potrząsnęła głową, zniechęcona. Nie, ludzie stąd będą lojalni wobec Delaneya, nie wobec niej.

- Wydaje mi się, że wydeptałaś już dziurę w dywanie - usłyszała głos Delaneya. - Chodź tutaj i daj mi się pocałować. To utrzyma cię przez chwilę na miejscu i ocali nasz dobytek.

Na jego gęstych, pociemniałych od wilgoci włosach błyszczały krople deszczu. Jego oczy, które, podobnie jak włosy, miały barwę miodu, pełne były radości i dziwnej czułości, zarezerwowanej tylko dla niej. Coś ścisnęło ją w gardle.

- Witaj - powiedziała chłodno. - I co, jesteś nową siłą w stanie Kalifornia?

- W tej chwili zupełnie mnie to nie obchodzi. Chodź tutaj.

Podeszła i wtuliła policzek w zagłębienie jego ramienia. Otoczył ją ramionami i mocno przytulił.

- Tęskniłem za tobą. Jestem łajdakiem, że zostawiam cię na tak długo podczas miodowego miesiąca.

Poczuła, że jego palce pieszczą jej policzek, a potem obejmują delikatnie brodę. Uniosła głowę, pragnąc, aby ją pocałował.

- Czy wiesz, jaka jesteś piękna? - Jego głos brzmiał miękko, uwodzicielsko, mimo to nie pocałował jej, a tylko przesunął palcem po jej wargach.

- Mówisz po prostu to, co wypada powiedzieć - mruknęła cicho.

- Co prawda, to prawda. Jednak twoje ciało...

Dała mu go lekkiego kuksańca w żołądek. Delaney jęknął posłusznie, a potem przyciągnął ją do siebie.

- Chcę się z tobą kochać, najdroższa. Prawdę mówiąc, przez cały wieczór nie myślałem o niczym innym. Musiałem wydać im się straszonym nudziarzem. A teraz pozwól, że opowiem ci, co mam zamiar z tobą zrobić.

Przez chwilę szeptał jej do ucha, wyjaśniając swoje zamiary. Chauncey poczuła, że jej ciało ogarnia dziwna niemoc.

- Nie chcę tak się czuć - mruknęła zmartwiona tak szczerze, iż Delaney miał ochotę się roześmiać.

- Wiem, ale tak właśnie się czujesz. Chodź, kochanie, chcę cię zobaczyć naga.

Nim doszli do sypialni, Chauncey udało się nieco zapanować nad uczuciami. Wzdrygnęła się lekko, a potem uklękła obok paleniska i poprawiła płonące na kominku szczapy. W końcu wstała. Delaney stał na środku pokoju, ubrany tylko w czarne spodnie, i obserwował ją. Blask ognia odbijał się na płaskiej powierzchni jego brzucha. Nie potrafiła oderwać od męża spojrzenia. Była niczym ćma, lecąca w stronę płomienia.

Nie spuszczać wzroku z jej twarzy, zdjął spodnie. Czuł rosnące podniecenie.

- Chodź, kochanie, teraz moja kolej, aby nasycić się twoim widokiem.

Po chwili jej suknia, halki i bielizna leżały na podłodze.

- Ach - powiedział, przytulając ją do siebie. - Nie ma na świecie nic wspanialszego, niż delikatne, miękkie kobiece ciało.

- Czyjekolwiek ciało?

Niemal widziała, jak Delaney się uśmiecha, nie przestając pieścić jej szyi. Poczuła, że się odpręża, poddaje magnetyzującemu działaniu jego rąk, warg. Westchnęła i wspięła się na palce. Nagle Delaney zeszywniał. Odsunął się nieco i spojrzał na ni z żalem.

- Obiecałem, Chauncey. Spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Co takiego?

- Dzieci. Nie chcesz przecież zajść w ciążę już teraz.

- Och - powiedziała. - Czy to znaczy, że ty nie...

- Poczekaj chwilę, kochanie, przyniosę niezbędne przybory.

Kiedy po chwili pokazał jej gąbkę i płyn, zapytała, oszołomiona:

- Mam się tym umyć? Wypić to?

- No cóż, niezupełnie. Prawdę mówiąc, trzeba wylać płyn na gąbkę, a potem umieścić gąbkę głęboko w tobie.

Poczuła się zażenowana.

- Co mam zrobić? - zapytała z niedowierzaniem, cofając się o kilka kroków.

- Po pierwsze, nie wkładaj z powrotem szlafroka, nie potrzebujemy go. Musimy... ułatwić sobie sprawę, że tak powiem. Połóż się, a ja pokażę ci, co masz zrobić.

Wdrapała się na łóżko i natychmiast podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, przyglądając się, jak zwilża gąbkę przejrzystym płynem.

- To głównie ocet - wyjaśnił, słysząc, że Chauncey pociąga nosem. - Kochanie, proszę cię, nie patrz na mnie tak, jakbym chciał zrobić ci krzywdę.

Odłożył gąbkę na nocny stolik i uśmiechnął się łobuzersko.

- Nawet tego nie poczujesz - zapewnił ją. - Ani ja - dodał.

- Nie chcę - pisnęła, nie spuszczać wzroku z gąbki.

- Dobrze, poczekamy chwilę. - Ułożył się obok i przytulił do zeszywniałego z obawy ciała żony.

- Czemu tak bardzo się tym przejmujesz? Nie musisz się wstydzić, jestem twoim mężem.

Zaczął ją pieścić i całować, przez cały czas pamiętając o gąbce. Pieścił ją, dopóki nie chwyciła go mocno za szyję i nie zaczęła całować. Wypchnęła do góry biodra, a kiedy jego palec trafił na ów najczulszy punkt i zaczął się po nim poruszać, stężała, a potem wzdrygnęła się gwałtownie.

Jej miękkie ciało nabrzmiewało pod dotykiem jego dłoni, coraz gorętsze i bardziej wilgotne.

- Ach - szepnął - Jakie to miłe, kochanie! - Chauncey jęknęła cicho. Powoli rozsunał jej uda.

- Jesteś taka śliczna - powiedział. - Taka śliczna i taka gotowa. Nie ruszaj się teraz, kochanie.

Chauncey zadrżała z pożądania, lecz dotyk zimnej gąbki sprawił, że się cofnęła.

- Ciii - szepnął Delaney, i jednym ruchem umieścił gąbkę we właściwym miejscu. - Zrobione. Nie było tak źle, prawda? - zapytał, uśmiechając się do niej. - A teraz do dzieła!

Jego usta zastąpiły dłoń i po chwili Chauncey głośno krzyczała z rozkoszy. Doprowadził ją niemal na skraj spełnienia, a potem szybko uniósł się i wtargnął w nią głęboko.

Kiedy ustało wywołane rozkoszą drżenie, Chauncey spojrzała na Delaneya, szukając na jego twarzy uniesienia, wywołanego przyjemnością. Gdy je dojrzała, poczuła się szczęśliwa. I to ją przeraziło.

- Del! - krzyknęła nagle. - Ja nie mogę... to znaczy, ja nie...

- Co takiego, kochanie?

- Nic - powiedziała, gryząc się w język.

Boże, o mało wszystkiego nie wypaplała! Poczula, jak ogarnia ją dziwny żal i wybuchnęła płaczem.

Już prawie mi powiedziała, pomyślał.

- No dalej, kochanie, powiedz mi, czego nie możesz, i czego nie będziesz...?

Chauncey wtuliła twarz w jego pierś.

- Niczego - załkała. - Niczego.

- Doskonale - oznajmił, opanowując rodzącą się frustrację. - Pora spać.

Odsunął się nieco i balansując na łokciu, delikatnie otarł łzy z jej policzków.

- Wiesz - powiedział, wpatrując się w twarz żony - większość spraw okazuje się znacznie łatwiejsza do zniesienia, jeżeli nie musimy borykać się z nimi sami.

Miał ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsać nią dopóty, dopóki nie powie mu całej prawdy. Jednak nie zrobił tego. Czas, pomyślał. Cokolwiek to jest, będzie wymagało więcej czasu.

Wstał z łóżka i zgasił lampy.

Stał nad nią, przysłuchując się, jak pociąga nosem.

- Gąbka musi pozostać na swoim miejscu do rana - powiedział rzeczowo.

ROZDZIAŁ 19

Agatha Newton uśmiechnęła się do gospodyni.

- Proszę powiedzieć Lin, że obiad był doskonały. Chyba nie zdołam się poruszyć!

- Tak, rzeczywiście - dodał Horacy Newton, ocierając usta serwetką, a potem odkładając ją, porządnie złożoną, obok pustego talerza. - Jeżeli moja staruszka wątpi, czy zdoła się poruszyć, to ja zostanę tu chyba przez następne trzy dni!

- Z pewnością nie takiego jedzenia się spodziewaliście - powiedziała Chauncey z uśmiechem. - Pudding, pieczona wołowina i gotowane ziemniaki.

- Z niewielkim dodatkiem imbiru i sosu sojowego - wtrącił Delaney. - Lin zapewniła nas, że tylko dzięki tym przyprawom cudzoziemskie potrawy w ogóle nadają się do jedzenia.

Chauncey spojrzała na tarczę zegara stojącego w rogu pokoju.

- Ojej, musimy się zbierać. Jestem pewna, iż panowie nie chcą przegapić ani minuty występu Loli Montez!

- Rzeczywiście, niechętnie straciłbym choćby sekundę - zgodził się Delaney. - Ach, ten Taniec Pajaka! Działa na wyobraźnię!

- Zastanawiam się, czy pozwoliłaby mi wejść do swojej sieci - powiedział Horacy, unosząc brwi i spoglądając prowokująco na żonę.

- Ty rozpustny satyrze! - syknęła Agatha, wstając.

Po chwili wsiedli do powozu Newtonów i udali się do Teatru Amerykańskiego. Tego wieczoru Chauncey opuściła dom po raz pierwszy od powrotu z wycieczki po rzece. Wiedziała, że Delaney zabrał ze sobą rewolwer. Co do jej własnej broni, spoczywała ukryta bezpiecznie w torebce.

- Słyszałem, że niektórzy płacili za bilet po sześćdziesiąt dolarów - powiedział Horacy, gdy przedzierali się przez rozentuzjasmowany tłum, zgromadzony na zewnątrz piętrowego budynku, w którym mieścił się teatr.

Jak zauważyła Chauncey, wśród publiczności niewiele było kobiet, a większość obecnych pań ubrana była równie krzykliwie, jak krzykliwy był wystrój wnętrza tego przybytku sztuki. Mężczyźni zaś stanowili niezwykłą mieszanę, właściwą chyba tylko San Francisco: elegancko ubrani dżentelmeni, jakich bez trudu można by było spotkać w parku St. James w Londynie, zajmowali miejsca obok ubranych we flanelowe spodnie i robocze koszule zawadiaków, którzy wyglądali tak, jakby dopiero co oderwali się od pracy przy wypłukiwaniu złota. Wszyscy żartowali beztrudnie i weselili się, chociaż od czasu do czasu dawała się słyszeć i bardziej wulgarna odzywka.

Chauncey z towarzyszeniem zasiadła w łoży Sama Brannana, którego widziano w towarzystwie Loli Montez. Na niewielkiej przestrzeni ustawiono tu cztery pokryte karmazynowym aksamitem krzesła. Miejsca było tak mało, że spódnica Chauncey zakrywała nogi Delaneya.

- Oto przykład prawdziwej demokracji - powiedziała do męża, nadal nie mogąc nadziwić się

publiczności.

- Masz rację - zgodził się Del, ujmując jej dłoń i kładąc ją sobie na kolanie. - Nigdy nie można być pewnym, czy ten biednie wyglądający facet po twojej prawej nie znalazł właśnie małej fortuny w złocie i czy przypadkiem jutro nie będzie próbował cię wykupić.

- Kim jest kobieta w tamtej łoży, Del? Ta w żółtej aksamitnej sukni. Tak miło się do nas uśmiecha. Wygląda jakoś znajomo. O, właśnie ci pomachała.

Delaney napotkał spojrzenie Marie i odwzajemnił pozdrowienie. Poczuł, że się czerwieni, mimo to wzruszył obojętnie ramionami.

- To po prostu... pewna dama, kochanie. *Po prostu dama, też mi coś!*

To jego francuska kochanka, pomyślała Chauncey. Poczwała gniew. Na chwilę zawładnęło nią dojmujące poczucie niższości. Marie była tak absolutnie wspaniała!

- Wiem, kim ona jest - powiedziała głosem pełnym napięcia.

Miała ochotę wytargać go za uszy, wrzeszcząc niczym handlarka ryb, ale dogodny moment minął: karmazynowa kurtyna rozsunęła się, ukazując Lolę Montez. Cokolwiek by Chauncey teraz powiedziała, i tak utonąłoby to w ogłuszających oklaskach, donośnych gwizdach i nawoływaniach męskiej części publiczności.

Lola Montez nie była piękna, emanowała jednak zmysłowością, na którą nawet Delaney nie pozostał obojętny; pochylił się na krzesło i wbił wzrok w tancerkę. Wysoka, pięknie zbudowana, miała na sobie kostium, który składał się głównie z prowokacyjnie rozmieszczonych, na wpół przejrzystych woali. Czarne oczy odzwierciedlały niesamowitą żywotność właścicielki, a gęste ciemne włosy, zwinięte w długie loki, upięte zostały wysoko na głowie na modłę, zdecydowanie hiszpańską.

A niech tam, pomyślała Chauncey, najlepiej zrobię, jeżeli usiądę wygodnie i będę cieszyła się przedstawieniem. Kiedy Lola się odezwała, okazało się, że mówi po angielsku rozkosznie sepleniąc. Mężczyźni wrzeszczeli radośnie za każdym razem, gdy tylko otwierała usta.

- Boże, ona nie musi nic robić, wystarczy, żeby tylko tam stała - szepnął Delaney do żony. - Co do mnie jednak, to uważam, że jej wdzięki są, jak na mój gust, cokolwiek przejrzałe.

Chauncey spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Horacy chyba zaczyna się pocić - powiedziała. W końcu tancerka, zdecydowana wykonać swój popisowy numer, pojawiła się po raz kolejny na scenie. Kiedy zaczęła tańczyć, Chauncey aż westchnęła, zaszokowana. Lola była niemal naga. W trakcie tańca strząsała z ciała fiszbinowe pająki i rozdeptywała je. Tłum oszalał.

- Chyba zbyt ci się to podoba - syknęła Chauncey Delaneyowi do ucha. - Uśmiechasz się tak tępo, że gdybyśmy znajdowali się teraz w Anglii, z pewnością zamknięto by cię w domu dla umysłowo chorych. Za głupawy wygląd.

Delaney wykrzywił usta w łobuzerskim uśmiechu.

Kiedy występ dobiegł końca, Lola Montez została dosłownie zasypana kwiatami, pomiędzy którymi, ku zdziwieniu Chauncey, były też złote samorodki.

- Ciekawe, ile też złota zdeponuje jutro w twoim banku, Del - powiedział Horacy.

- Woreczek z pewnością będzie nieźle wypchany - dodała Agatha.

- Prawdę mówiąc, kochanie - szepnął Delaney, kiedy Lola wyszła na scenę, aby uklonić się po raz dziesiąty - wyobraziłem sobie ciebie, odzianą jedynie w te strzępki woalu i próbującą mnie uwieść za pomocą sprytnie rozmieszczonych sztucznych pajaków.

- Spójrzcie tylko - powiedział Horacy, uniemożliwiając Chauncey wypowiedzenie odpowiednio złośliwego komentarza - jest i Pat Hull. Słyszałem, że zadurzył się w Loli po uszy, a i on nie jest jej ponoć obojętny.

- Pat... i co dalej? - spytała Chauncey, lecz nie dosłyszała odpowiedzi, bowiem jej wzrok padł właśnie na przyglądającego się jej mężczyznę, ukrytego w ciemnym kącie sali. To był Hoolihan, marynarz ze „Szkarłatnej Królowej”. Gdy tylko spostrzegł, że został rozpoznany, natychmiast odwrócił się i zniknął w tłumie bijących brawo, przytupujących mężczyzn. Poczowała chłód, od którego jej ciało pokryło się gęsią skórką.

Podczas drogi powrotnej do domu była tak markotna i zamyślona, że potem nie mogła sobie przypomnieć, o czym rozmawiała z Newtonami.

- No dobrze, Chauncey, o co chodzi? - zapytał Delaney, gdy tylko weszli do salonu.

Zdjęła długie rękawiczki i rzuciła je na krzesło.

- Na pewno tak mi się tylko wydawało i wyobrażam sobie Bóg wie, co...

Delaney zamachał gwałtownie dłonią, przerywając jej.

- Chwyć byka za rogi, Chauncey. Co sprawiło, że stałaś się tak nieobecna duchem?

- No dobrze - powiedziała, wzdychając. - Pamiętasz tego nowego marynarza, którego przedstawił nam kapitan O'Mally? Nazywał się chyba Hoolihan.

- Tak.

- Widziałam go w teatrze. Gapił się na mnie, a kiedy spostrzegł, że to zauważyłam, zniknął. Czy nie powinien być teraz na pokładzie „Szkarłatnej Królowej”?

- Dlaczego, u licha, nie powiedziałaś mi o tym od razu?

Podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i lekko potrząsnął.

- Myślałam, że to czyste szaleństwo... - Głos jej się załamał. - Ale... ja coś poczułam, Del. Coś przerażającego. Nie potrafię tego wyjaśnić. Jeżeli on niczego nie knuł, to czemu zachowywał się tak tajemniczo?

- W porządku - powiedział spokojnie Delaney. - Tu jesteś całkowicie bezpieczna. Czy przypominasz sobie dokładnie, że kapitan O'Mally określił go jako nowego marynarza?

- Nie jestem pewna.

Zadrżała i Delaney przytulił ją do siebie.

- Dość o tym. Jutro szybko się dowiem, kto zacz, ten Hoolihan, i czy nadal go zatrudniam. A jeśli to on jest za wszystko odpowiedzialny, dopilnuję, aby się nim zajęto.

Skinęła lekko głową, wciąż wtulona w jego ramię. Ufam, że on mnie ochroni. Chcę, by mnie chronił.

- Wiesz co? - powiedział Delaney. - Przypomniałem sobie, że ten Hoolihan miał, zdaje się, jakiś dziwny akcent. Może angielski?

- Angielski? - powtórzyła, odchylając się do tyłu i spoglądając na twarz męża. - O, nie! To nie ma sensu, Del. Nikt w Anglii nie żywi wobec mnie aż tak wrogich uczuć...

- Przeciwnie, jedynie to ma sens, i doskonale o tym wiesz. Nie zapominaj, co wydarzyło się w Plymouth. Przypadkiem zobaczyłem list, który dałaś wczoraj Lucasowi do wysłania. Zaadresowany był do twego wuja i ciotki.

- Tak, napisałam do nich, że znów jestem biedna i że błagam ich, aby przyjęli mnie pod swój dach.

Delaney uśmiechnął się z uznaniem.

- Nie miałam wyboru. mogłam albo napisać to, co napisałam, albo zawiadomić ich, że wyszłam za mąż. Pomyślałam, że przyjemniej im będzie usłyszeć to pierwsze.

- Dobra robota, dziewczyno, naprawdę doskonała. Jeżeli tu chodzi o pieniądze, możesz być pewna, że wieści o twoim pechu szybko się rozejdą.

Spuściła wzrok. Nie chodziło o pieniądze, tego była pewna.

- Nie - powiedział Delaney, odczytując myśli Chauncey z szybko zmieniającego się wyrazu jej twarzy. - Ja także nie sądzę, aby przyczyną były pieniądze. Ty naprawdę nie masz pojęcia, kto nastaje na twoje życie, prawda?

- Nie, nie mam. Przecież ci mówiłam.

W jej oczach dostrzegł lęk i coś jeszcze. Coś nieuchwytnego. Poczucie winy? Potrząsnął głową. To nie miało sensu. Lecz z drugiej strony jej brak zaufania także wydawał mu się bezsensowny.

- Może poszlibyśmy teraz na górę, gdzie mogłabyś uwieść mnie za pomocą fiszbinu?

Strach uczynił ją równie niepohamowaną, jak niedawno na pokładzie „Szkarłatnej Królowej”.

W środku nocy Chauncey obudziła się nagle, walcząc z Delaneyem i próbując zrzucić okrywającą ich ciężką kołdrę. Krzyknęła, czując, jak zimne wody zamykają się nad jej głową, wciągając ją coraz głębiej i głębiej.

- O Boże! - szepnęła, wtulona w jego ciepłą pierś. - Proszę, Delaney, połóż temu kres!

I zrobił to. Zareagowała natychmiast, a on wziął ją gwałtownie, niemal brutalnie. Czuł się z tego powodu winny, lecz nagle Chauncey przywarła do niego, a niepowstrzymane okrzyki rozkoszy powiedziały mu, że i tym razem znalazła spełnienie.

- Hoolihan porzucił „Szkarłatną Królową” na drugi dzień po tym, jak opuściliśmy statek - powiedział Delaney rzeczowo, gdy następnego wieczoru siedzieli przy kolacji. - Wynająłem sześciu mężczyzn, by go znaleźli.

Smakowita siekana wieprzowina zmieniła się w ustach Chauncey w popiół. Odłożyła widelec.

- Na szczęście - kontynuował Delaney - natknąłem się na jednego z kumpli Hoolihana, który dokładnie go opisał. Mam nawet odręczny portret. Jeżeli ten typ nadal przebywa w San Francisco, wkrótce go dopadnę.

Chauncey spojrzała na męża, ale nie odezwała się.

- A jeśli przypadkiem zobaczysz kręcącego się w pobliżu domu jasnowłosego olbrzyma, to będzie Olaf, Szwed, którego wynająłem, aby pomagał Lucasowi.

- Zadajesz sobie wiele trudu, a wszystko dla mnie - powiedziała w końcu. - Dziękuję, Del.

- Do licha, jesteś moją żoną, Chauncey! A co, twoim zdaniem, miałbym zrobić? Zignorować sytuację? A może wystosować do tego łotra zaproszenie, by przyszedł i mi cię zabrał?

Wpatrywała się w niego bezradnie. Jej twarz zbieleła jak płótno. Wybuch gniewu Delaneya przestraszył ją, ponieważ to było do niego niepodobne. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Delaney pragnął, aby mu zaufała. Rzucił serwetkę na stół i gwałtownie odsunął krzesło.

- Dprowadzasz mnie do szału, Chauncey. Później się zobaczymy.

Wymaszerował z jadalni, nie oglądając się za siebie.

Nagle przed oczami Chauncey błysnął obraz uśmiechającej się porozumiewawczo Marie.

- Dokąd idziesz? - zawołała drżącym głosem.

- Wychodzę - rzucił przez ramię.

- Nie waż się iść do tej kobiety! - zawołała za nim, zrywając się z krzesła.

Wściekła zazdrość w jej głosie sprawiła, że się zatrzymał.

- A czemu nie miałbym tam pójść? - zapytał, odwracając się, by spojrzeć jej w twarz. - W końcu, moja droga, pozwoliłem, byś ty wykorzystwała mnie zeszłej nocy, i to dwukrotnie. Dlaczego ja nie miałbym wykorzystać Marie?

Chauncey aż skuliła się w sobie na to wspomnienie. Czy naprawdę go wykorzystwała?

- Ty... nie zrobiłbyś... nie mógłbyś... - jękała się, zaskoczona własną reakcją.

- Droga żono. Pomimo twoich nieustających starań nie ożeniłbym się z tobą, gdyby chodziło mi tylko o łóżko. Bóg wie, że nie trzeba zbytnio się starać, by cię zachęcić. Oczywiście, z wyjątkiem chwil, kiedy pragniesz odpędzić od siebie koszmar, bo wtedy w ogóle nie trzeba cię zachęcać. Jesteś okropnie samolubna, Chauncey, w łóżku i poza nim. Jeżeli uznasz, że możesz zaoferować mi coś więcej niż tylko seks, daj mi znać. Dobranoc, madame.

I już go nie było.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła za nim, lecz z jej ust dobył się jedynie nikły szept. - Przynajmniej nie jestem oszustką i złodziejką!

Chauncey nie miała pojęcia, że zdolna jest do tak dzikich, niekontrolowanych uczuć, jakich w całej pełni doświadczyła tej jakże długiej nocy. Przez cały następny dzień czuła się wyczerpana, niespokojna i zdecydowanie osłabiona. Snuła się po domu niczym duch, nie dbając o nic i o niczym nie myśląc. Zignorowała pytające spojrzenia, rzucane jej przez Mary i odesłała z powrotem do kuchni nietknięte śniadanie.

Kiedy Lin pojawiła się po południu na progu salonu i stała tam, przyglądając się z troską swojej pani, Chauncey ledwie ją zauważyła.

- Panienko Chauncey, Lucas chciałby zamienić z panią słowo.

- Więc go tu przyślij, Lin. Lucas przy ku stykał do salonu.

- Proszę mi wybaczyć, madame. Statek pana Dela, „Jadeit”, właśnie przycumował. Chciałem pani powiedzieć, że Olaf zostanie na zewnątrz, gdyby go pani potrzebowała. Ja pójdę pomóc przy rozładunku.

Chauncey spojrzała na kamerdynera.

- Przy którym nabrzeżu? - zapytała spokojnie.

- Wybudowaliśmy właśnie nowy magazyn, tam, gdzie kończy się ulica Sansome. „Jadeit” zacumował tuż przed nim.

- Chciałabym udać się tam z tobą, Lucasie. Wyglądał na zdumionego, lecz tylko przez chwilę.

Panienska Chauncey najwidoczniej ma ochotę się przewietrzyć, pomyślał, a on będzie w pobliżu, gotów jej bronić. Biedaczka nie może przecież ciągle siedzieć w domu, przynajmniej dopóki nie złapią tego Hoolihana. Mimo to nie czuł się zbyt pewnie, ponieważ nie wiedział, jak na widok żony zareaguje jego pan.

- Oczywiście, madame. Czy moglibyśmy wyruszyć od razu?

- Jedną chwilkę, Lucasie. Zaraz będę gotowa.

I rzeczywiście już po dziesięciu minutach pomagał swej pani dosiąść Yvette. Dzień był pochmurny i znad wzgórz nadciągała nad miasto gęsta mgła.

- Jest pani wystarczająco ciepło ubrana?

- Tak, oczywiście - odparła Chauncey, ruszając kłusem.

Nareszcie, pomyślała. Nareszcie. Widziała, jak Lucas dotyka ręką runda kapelusza, pozdrawiając w ten sposób Olafa. Chauncey tylko raz rozmawiała z olbrzymim Szwedem, który na swój sposób wyglądał na równie groźnego jak Lucas i, podobnie jak kamerdyner, przy bliższym poznaniu

wydawał się łagodny niczym szczeniak.

Śródmieście San Francisco pełne było ludzi, wozów i koni. Z saloonu na ulicy Kearny dobiegały ostre dźwięki pianina. Uświadomiła sobie, że przygląda się badawczo twarzom mijanych mężczyzn, przepełniona radosnym oczekiwaniem. No, dalej, Hoolihan, pomyślała, zaciskając palce na kolbie małego rewolweru.

Kiedy dotarli do wielkiego składu Delaneya, o mało nie krzyknęła ze szczęścia. Była to bowiem wolnostojąca, drewniana budowla, która - pomyślała kobieta, zaciskając usta - spali się bardzo szybko i do cna. Oddalona od innych budynków, nie zagrozi pożarem reszcie miasta. Ucierpi jedynie Delaney, nikt inny.

Podczas tych dwóch miesięcy w Londynie, spędzonych na zgłębianiu tajników prowadzenia interesów, sporo nauczyła się na temat transportu morskiego. Zważywszy, że ta jednostka wracała ze Wschodu, ładunek, jaki przywiozła, musiał być wart wiele tysięcy dolarów.

Zsiadła z konia w pobliżu olbrzymich wrót, prowadzących do magazynu. Dziesiątki mężczyzn, wśród nich wielu marynarzy z „Jadeitu”, wносиło do wnętrza wielkie drewniane skrzynie.

- Chauncey! Co, u licha!

Odwróciła się na dźwięk głosu Delaneya.

Zdjął surdut i podwinął rękawy białej koszuli. Jego twarz błyszczała do potu. Podeszedł do niej, wbijając w Lucasa gniewne spojrzenie.

- Nie obwiniaj Lucasa, Del - powiedziała szybko. - Chciałam wyjść na trochę z domu. Proszę, pozwól mi zostać.

Jej wzrok powędrował ku zacumowanemu przy nabrzeżu wielkiemu, smukłemu kliprowi o nowoczesnej linii.

Delaney bacznie przyjrzał się żonie, dostrzegł widoczne w jej wzroku podniecenie i głośno westchnął. To prawda, ona nie może bez przerwy siedzieć w domu jak więzień.

- No dobrze - powiedział, uśmiechając się - ale tylko na kilka minut.

Rzeczywiście potrzebuję zaledwie kilku minut!

Czuła, że krew gwałtownie pulsuje jej w żyłach. Zignorowała uczucie czystej przyjemności, jakiego doznała na widok męża. Zostawił ją i poszedł do swojej cennej kochanki. W końcu pokazał, jaki jest naprawdę. Nie był wcale szlachetny, o nie.

Nie będę czuła się winna. Ani trochę.

- Opowiedz mi o towarach, które przywieziono tym statkiem - powiedziała przymilnie.

Oprowadził ją po magazynie, a nawet kazał otworzyć kilka pak, aby pokazać zwoje nieprawdopodobnie pięknego jedwabiu, stare, przeładowane ozdobami meble i wazy z okresu panowania chińskich dynastii, o których nie słyszała nigdy dotąd. Tyle pięknych rzeczy, które wkrótce przestaną istnieć, pomyślała.

Była czarująca, radosna i niemal spijała słowa z jego ust. Pozwolił jej zostać dłużej, niż planował. A kiedy w końcu odjechała razem z Lucasem, długo spoglądał w ślad za nią, pogrążony w myślach.

ROZDZIAŁ 20

W końcu zostaniesz pomszczony, ojcze! Chauncey zdusiła w sobie rodzące się wątpliwości oraz poczucie winy i skupiła uwagę na posiłku.

- Jesteś dziś bardzo zamyślona - powiedział Delaney, podnosząc do ust kieliszek wina.

- Naprawdę? - zapytała wesoło. Uśmiechnęła się do męża w sposób, który sprawił, że jego ciało natychmiast zareagowało. - Myślałam o twoim pięknym statku. I ten ładunek! Jak długo zatrzymasz go w magazynie, Del?

- Tylko do jutra. Nie dziw się tak, kochanie. Statek się opóźnił i kupcy czekali na towar prawie miesiąc.

To musi być zrobione jeszcze tej nocy!

- Taki ładunek musi być wart mnóstwo pieniędzy. *Ostrożnie, Chauncey, nie wolno ci się zdradzić.*

- Tak, całkiem, sporo.

Wystarczająco dużo, by doprowadzić cię do bankructwa?

- Nowy magazyn robi wrażenie. Dziękuję, że mi go pokazałeś.

- Sam magazyn jest wart bardzo wiele. Ukończyłem go zaledwie pół roku temu. Wkrótce w moje ślady pójda inni. Sam Brannan...

Chauncey jednym uchem przysłuchiwała się, jak Delaney opowiada o planach Sama. Nikogo innego nie skrzywdzę, powtarzała sobie w myśli. Ale nikt nie zdoła uratować Delaneya Saxtona. Ciekawe, czy przyjdzie do mnie po pieniądze, kiedy nic mu już nie zostanie.

- Kochanie, muszę na chwilę wyjść - powiedział, wrywając ją z zamyślenia. - To nie potrwa długo.

Zamilkł i tylko przyglądał się jej spod opuszczonych rzęs. Czyżby wczorajsza noc miała się powtórzyć?

- Dokąd idziesz? - zapytała, bezskutecznie starając się zapanować nad głosem, by nie drżał. - To znaczy, tym razem.

- Naprawdę chciałaś to wiedzieć?

- Nie możesz po prostu odpowiedzieć na pytanie? Oczywiście, że nie, bo ty wolisz mnie dręczyć! Nie pójdziesz do niej znowu dziś w nocy, Delaney! Nie wolno ci! Poza tym z pewnością jesteś zbyt zmęczony.

- Tak, chyba jestem zmęczony - przytaknął obojętnie, przyglądając się jej z umiarkowanym zainteresowaniem.

Chauncey zerwała się z krzesła i tupnęła nogą.

- Spałeś z nią wczoraj?

Delaney usiadł znowu na krześle i przez chwilę z uwagą obserwował zarumienioną twarz

Chauncey. Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

- A czy gdybym z nią spał, sprawiłoby ci to różnicę?

- Jesteś moim mężem!

- Jak miło, że sobie o tym przypomniałaś! Miała ochotę wrzeszczeć na niego, rozbić mu krzesło na głowie.

- Nie odpowiedziałeś mi, Del. Spałeś z nią zeszłej nocy?

- Niewiele - to znaczy, nie spałem zbyt wiele. Była taka oddana, tak pełna ciepła. Jednym słowem była kobietą, Chauncey. Niesamolubną i szczerą w swoich pragnieniach.

Nagle powód, dla którego nie chciała, aby wychodził tej nocy z domu, przestał się liczyć. Nie spodziewała się, że Delaney przyzna, iż spędził noc z kochanką. Szarpnęła się do tyłu, oszołomiona i zdezorientowana. Usłyszała swój cichy głos, przepełniony bólem:

- Nie zrobiłbyś czegoś takiego. Nie jesteś mężczyzną tego pokroju...

- Rzeczywiście, nie jestem. Dlatego to, że w ogóle zadajesz mi tego rodzaju pytania, doprowadza mnie do szału. A teraz, skoro odegraliśmy już tę czarującą scenę małżeńską, wychodzę. Wrócę za mniej więcej dwie godziny, i wtedy, jeśli, oczywiście, zechcesz, będę się z tobą kochał.

Podszedł powoli do żony, ujął ją pod brodę i przez chwilę studiował uniesioną ku górze twarz.

- Zaczekaj na mnie, kochanie. Przekonasz się, że nie będę zbyt zmęczony, aby zadbać o twoją przyjemność.

Pocałował ją w usta, odwrócił się i wyszedł z jadalni.

A zatem nie był u swojej kochanki. Co z tego? To niczego nie zmienia. Niech diabli wezmą tego podstępnego, nieuchwytnego potwora!

Kiedy minęły dwie godziny, była gotowa. Czekwała na niego, ubrana w rozkoszną koszulkę i peniuar, które kupił jej na noc poślubną. Postanowiła, że zrobi wszystko, by Delaney niczego nie podejrzewał.

- Witaj - powiedziała miękko, kiedy otworzył drzwi sypialni.

- Witaj i ty - pozdrowił ją. - Ależ jestem zmęczony - dodał, pocierając dłonią kark.

- Chyba nie zbyt zmęczony - wymruczała, starając się, aby zabrzmiało to niezmiernie uwodzicielsko.

Uśmiechnął się.

- Nigdy nie jestem aż tak zmęczony, bym nie mógł zająć się tobą, kochanie.

Przyglądała się, jak zrzuca z siebie ubranie, a potem wręczyła mu kieliszek wina.

- Dodałaś do tego jakiegoś afrodyzjaku? - zapytał, drocząc się z nią.

- Ależ skąd - odparła.

- Za nas, Chauncey.

- Za... przyszłość - powiedziała i upiła łyk wina. Delaney wychylił kieliszek do dna i odstawił go na stół.

- Chodź do mnie, żono. Chciałbym cię pocałować. On nie może niczego podejrzewać.

I chociaż gnębiły ją wyrzuty sumienia, a strach nie opuszczał jej ani na chwilę, podeszła do męża i pospiesznie wsunęła się w jego objęcia, próbując udawać przed samą sobą, że czyni to wyłącznie dla dobra sprawy.

Del wtulił twarz w jej szyję i zaczął ugniatać pełne biodra. Nagle poczuł, jak ogarnia go znużenie i ziewnął szeroko.

- Jestem bardziej zmęczony, niż sądziłem - powiedział, potrząsając głową.

- Więc chodźmy do łóżka - zaproponowała, ujmując go pod ramię.

- Jestem pewien, że odżyję, gdy tylko położę się na plecach.

Ale tak się nie stało. Znużenie sprawiło, że zamknął oczy, odrętwiały na ciele i umyśle. Czuł obok siebie ciepłe ciało Chauncey, lecz pożądanie gdzieś się ulotniło. Po chwili spał już głęboko.

Chauncey nie poruszyła się przez dobrych pięć minut. Leżała, wpatrując się w jego twarz i przysłuchując równemu oddechowi. Odczekała godzinę, zanim wysliznęła się z łóżka. Zegar wybił dwunastą.

Drżąc ze zdenerwowania, wciągnęła przez głowę starą muślinową sukienkę. Darowała sobie bieliznę i włożyła tylko buty. Delaney zaczął coś mamrotać, zamarła więc w bezruchu. Lecz on nadal głęboko uspiiony, jedynie przewrócił się na bok. Głuptas ze mnie, pomyślała. Laudanum, którego dodała do wina, sprawi, że będzie spał jak zabity przez całą noc.

Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić, i ostrożnie wyszła na ciemny korytarz. Pokój Lucasa mieścił się na dole, lecz o tej porze kamerdyner spał już pewnie równie mocno, jak jego pan. Co zaś się tyczyło Szweda, to odszedł jeszcze wieczorem. Wyśliznęła się przez kuchenne drzwi, zabezpieczając je przed zamknięciem. Musiała zadbać o bezpieczny powrót.

W stajniach było bardzo ciemno, lecz Chauncey obejrzała je dokładnie po południu, i teraz poruszała się po nich dość pewnie. Yvette zarżała cicho. Chauncey szybko pogłaskała klacz po aksamitnych nozdrzach, przemawiając do niej spokojnie:

- Chodź, dziewczyno, wybierzemy się na nocną przejażdżkę. Bądź dzielna i stąpaj cicho.

Założyła klaczy uzdę i wyprowadziła ze stajni. Dziś w nocy obejdzie się bez siodła. Wskoczyła na grzbiet konia i lekko ścisnęła jego boki piętami. Noc była ciemna i tylko kilka gwiazd zdołało przebić się przez chmury. Gęsta mgła otulała nabrzeże, nasączając powietrze chłodem i wilgocią. Owinęła się ciaśniej płaszczem, pamiętając o tym, by kaptur dokładnie zakrywał jej twarz. Skierowała się ku magazynom przy ulicy Sansome, unikając światła padającego z nadal czynnych salonów gry.

Na ulicach było jeszcze sporo mężczyzn i na widok każdego z nich Chauncey kulila się ze strachu.

Czy to Hoolihan czai się w przejściu pomiędzy tymi dwoma domami? Nie, to jakiś Chińczyk. A co z mężczyzną, który nagle wytoczył się na ulicę tuż przed nią?

- Przestań być takim przeklętym tchórzem - powiedziała i dźwięk własnego głosu sprawił, że poczuła się pewniej. - Hoolihan nie ma pojęcia, że tu jesteś. Pewnie wyjechał już z San Francisco. Skup się na swoim zadaniu. No, dalej.

Po dwudziestu minutach kopyta Yvette zadudniły na deskach nabrzeża. Panowała tu absolutna cisza. „Jadeit” wznosił się wysoko, a jego nagie maszty wyglądały dziwacznie w gęstej mgle. Magazyn na wprost stał wielki i ciemny. Chauncey ześliznęła się z grzbietu konia i przywiązała go do palika. Nagle znieruchomiała. Dwaj mężczyźni, opatuleni w koce, spali, wsparci o ścianę magazynu. Oczywiście, Del zostawił wartowników. Jak mogła być tak głupia, że tego nie przewidziała?

Przez dłuższą chwilę stała, obserwując ich i zastanawiając się gorączkowo. Nie chciała przecież, by ucierpieli podczas pożaru.

Wzięła głęboki oddech, i przycisnąwszy plecy do ściany budynku, zaczęła bezszelestnie, krok za krokiem, podkradać się ku wielkim wrotom.

Drzwi zamykała gruba poprzeczna belka. Chauncey uniosła ją wolno do góry, przesuwając jednocześnie w bok. Belka zatrzeszczała. Jeden z mężczyzn głośno zachrapał, a potem zaczął równomiernie pochrapywać.

W końcu jedna połowa wrót została uwolniona. Zawiasy zatrzeszczały głośno i Chauncey mogła wśliznąć się przez wąską szparę między uchylonymi skrzydłami bramy. Wewnątrz olbrzymie paki, okryte jasnym brezentem, wznosiły się niczym widma. Zatrzymała się i rozejrzała. Skład był niemal pełny, a zgromadzone tu towary miały wartość wielu tysięcy dolarów. Wyobraziła sobie żarzące się bele chińskiego jedwabiu, obrazy i pękające w ogniu wspaniałe wazy. Wszystko to należało do Delaney Saxtona, człowieka, który posłał na śmierć jej ojca. I do jej męża, który oddałby życie, by ją ochronić.

- Przestań - syknęła pośród otaczającej ją ciszy.

Gwałtownym ruchem wyszarpnęła z kieszeni zapalniczkę i jedną z nich oświetliła mały krąg wokół miejsca, w którym stała.

Zapalniczka szybko wypaliła się, więc sięgnęła po następną. Wyciągnęła przed siebie drżącą dłoń.

- O Boże - szepnęła. - Nie mogę tego zrobić! Płomyk zamigotał i zgasł, parząc jej place.

- Delaney - szepnęła miękko.

Zabrzmiało to niczym zduszony krzyk rozpacz. Chauncey zapaliła kolejną zapalniczkę, próbując zmusić się do działania.

Ja go kocham.

Ta myśl ogarnęła niczym pożar jej umysł i ciało.

Nie potrafię go skrzywdzić.

A co z moim ojcem? On umarł przez tego człowieka!

Nie! - krzyknęło coś w środku jej głowy - on umarł, ponieważ nie potrafił stawić czoła temu, co się zdarzyło.

Słone łzy popłynęły jej po policzkach, brodzie, szyi. W sercu czuła ból tak wielki, tak oślepiający, że aż jęknęła. Zapalniczka zamigotała, więc odrzuciła ją od siebie. Chce do domu, gdzie będzie mogła wsunąć się z powrotem w objęcia Delaney.

Nagle powietrze wokół niej zatrzęsło się od huku wystrzałów. Chauncey krzyknęła i rzuciła się do drzwi. Biegając, odwróciła się na chwilę i zobaczyła, że część brezentu płonie. Wszystko wokół syczało, iskrzyło się i wybuchowało.

Przeklęta zapalniczka! Niechający zaproszyła ogień! Ale ten hałas - co go powodowało? Usłyszała głosy mężczyzn. Wrota otwarły się szeroko. Czym prędzej wsunęła się za wielką pakę i opadła na kolana.

Nie mogą mnie znaleźć!

- Jezu! - krzyknął jeden z mężczyzn. - Pośpiesz się, Damonie, sami nie damy rady. To te przeklęte chińskie fajerwerki!

Mężczyźni rzucili się w stronę płonącego brezentu. Chauncey szybko wysunęła się z za paki, podbiegła do wyjścia i niezauważona zniknęła w mroku nocy. Serce waliło jej tak mocno, iż była pewna, że wszyscy wokół muszą je usłyszeć.

Oddychając ciężko, dopadła Yvette, i usłyszała huk kolejnej eksplozji. Wdrapała się na grzbiet klaczy i pognęła w dół nabrzeża. Widząc biegnących w jej kierunku mężczyzn, krzyknęła głośno:

- Szybko! Skład się pali! Pośpieszcie się! *Co ja zrobiłam!*

Słowa te rozbrzmiewały w głowie Chauncey niczym refren, nie dając jej spokoju. Kiedy Yvette galopowała z powrotem w kierunku South Park, Chauncey nie myślała już o Hoolihanie. Okropny dźwięk eksplozji rozbrzmiewał w jej uszach wciąż od nowa. Zasłużyła na to, by zostać w tym składzie na zawsze. Jeśli już ktoś musiał zginąć, powinna to być właśnie ona. Nie miała pojęcia, jak

zdoła dalej żyć, jeżeli któryś z mężczyzn ucierpi, próbując ugasić pożar.

Stajnie nadal pogrążone były w ciemności.

Kiedy w końcu wśliznęła się do sypialni, o mało nie zemdląła ze strachu. Zerwała z siebie ubranie i wepchnęła je pod łóżko.

- Panie Del! Niech się pan obudzi! Pali się! Chauncey szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w drzwi, przez które do sypialni wpadł Lucas. Delaney jęknął cicho.

- Panie Del! - Kamerdyner rzucił się do łóżka i, nie zwracając uwagi na Chauncey, zaczął potrząsać śpiącym mężczyzną. - Proszę się obudzić!

Delaney poderwał się, oszołomiony. Czuł się tak, jakby ktoś wypchał mu głowę watą. Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w Lucasa.

- Pali się? - powtórzył, próbując strząsnąć z siebie resztki snu.

- Skład! Damon jest na dole. Szybko! Delaney wyskoczył z łóżka, nie zważając na swoją nagość. Błyskawicznie wciągnął na siebie spodnie, koszulę i buty.

- Co się dzieje, Del?

- Pożar, kochanie - powiedział, spoglądając na pobladłą żonę. - Postaram się szybko wrócić. Nie wychodź z domu, Chauncey. Lucas zostanie tu z tobą.

Nawet w tak nagłej sytuacji nie zapomniał zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo, pomyślała, odrętwiała z poczucia winy. Delaney pochylił się i pocałował ją pośpiesznie. Drzwi wejściowe zatrzęsnęły się za nim z hukiem i zapadła przejmująca cisza.

A jeśli on zginie? A jeśli...?

Ubrała się szybko. Nim zeszła na dół, dom był już oświetlony. Mary rozmawiała z Lucasem, a Lin kręciła się wokół nich, zacierając niespokojnie dłonie. Dochodziła czwarta nad ranem.

- Przygotuj kawę i herbatę, Lin - powiedziała, zaszokowana tym, jak spokojnie brzmi jej głos. - Pan wkrótce wróci i wtedy przyda się coś ciepłego.

A jeśli laudanum spowolni jego ruchy? Jeżeli jeszcze coś wybuchnie? Albo...?

Nie zdawała sobie sprawy, że głośno jęczy, dopóki nie poczuła, że Lin obejmuje ją szczupłymi ramionami.

- Panu Delowi nic się nie stanie, na pewno. Wszystko będzie dobrze, panienko Chauncey, zobaczy pani.

Zatkała. Nagle tama pękła, uwalniając cały strach, gniew oraz poczucie winy. Szlochała niepowstrzymanie, powtarzając:

- Nie! Proszę, nie!

- Przynieś gorącą herbatę - wyszeptał Lucas do Lin ponad głową swej pani.

Zaprowadził ją do salonu i szybko rozpalił ogień na kominku.

- Wiesz coś o tym pożarze, Lucas? - zapytała otępiełym głosem.

- Nie, proszę pani. Damon powiedział tylko, że prawie ugasił ogień, więc przybiegł po pana Dela.

- Rozumiem.

Lin przyniosła herbatę i Chauncey zaczęła sączyć gorący płyn. Nie zauważyła, że dłonie jej się trzęsą, dopóki nie wylała sobie wrzątku na ramię.

Oparzenie. Ogień powoduje oparzenia. Ciało. Ludzie giną w pożarze, umierają okropną śmiercią.

Lucas wyjął jej filiżankę z rąk i odstawił na stół. Dostrzegł obezwładniające przerażenie w jej

oczach. Nie bardzo wiedział, jak ma sobie poradzić w takiej sytuacji.

Minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Chauncey skuliła się na sofie i podciągnawszy kolana ku piersiom, wpatrywała się niewidzącym spojrzeniem w ogień na kominku.

Lucas pierwszy usłyszał zbliżający się tętent kopyt i szybko wybiegł przed dom. Jeżeli pan Del został ranny, chciał wiedzieć o tym pierwszy. Dzięki ci, Boże, pomyślał, widząc, że Delaney zsiada z konia o własnych siłach. Choć pokryty sadzą, wydawał się cały i zdrowy.

- Nie straciliśmy zbyt wiele - powiedział, uśmiechając się do Lucasa.

- Boże, cieszę się, że wrócił pan w jednym kawałku! Pani Chauncey nie czuje się dobrze, proszę pana. Prawdę mówiąc, źle z nią.

Delaney poczuł, że coś ściska go za gardło.

- Co, u licha, chcesz przez to powiedzieć?

- Bardzo przejęła się tym pożarem. Martwiła się też o pana. Nic się panu nie stało?

- Oczywiście, że nie. Zajmij się, proszę, Brutusem, Luc.

Delaney wszedł do domu. Czuł się zarazem wyczerpany i przyjemnie podekscytowany.

Chauncey od razu dostrzegła, że jego biała koszula jest nadpalona na ramieniu. Krzyknęła cicho i rzuciła się ku mężowi.

- Co się stało? - zapytał, drocząc się z nią i głaszcząc splątane włosy. Drżała przemożnie, więc przytulił ją mocniej, nie bacząc na to, że jest brudny. - Uspokój się, kochanie, już wszystko w porządku, zapewniam cię.

- Przepraszam, Del - załkała, chwytając go kurczowo za szyję. - O, Boże, Del, tak mi przykro!

- Z jakiego powodu jest ci tak przykro? - zapytał, całując jej skroń.

- Ja... nie powinnam była pozwolić, byś poszedł tam sam!

- Wiem, to było bardzo samolubne z mojej strony. Posłuchaj, kochanie, przecież żyję. Nikt nie ucierpiał. Nawet większość towarów przetrwała. To była tylko drobna katastrofa.

Delikatnie odsunął żonę od siebie, by spojrzeć na jej twarz. Chauncey była bardzo blada, a jej powiększone strachem oczy wpatrywały się w niego nieprzytomnie. Teraz i ona miała na policzku dwie czarne smugi. I była jakaś inna. Nie chodziło jedynie o to, że martwiła się o jego bezpieczeństwo. Nie, Chauncey się zmieniła.

- Ja nie mogłabym... gdyby coś ci się... - Słowa uwięzły jej w gardle, więc tylko przywarła do niego jeszcze mocniej. - Nie potrafię cię nienawidzić, nie potrafię!

Delaney stał nieporuszenie. Dlaczego, na miłość Boską, coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy? Jaki mogłaby mieć powód, aby go nienawidzić? To ona uganiała się za nim, nie odwrotnie. I czy trzeba było aż pożaru, aby uświadomiła sobie, że go nie nienawidzi? Potrząsnął głową, oszołomiony.

- Wiem o tym, kochanie - powiedział. - Być może ten ktoś powinien był podłożyć ogień znacznie wcześniej - dodał bardziej do siebie niż do niej.

- Ktoś go podłożył? - szepnęła.

- Na to wygląda. Drzwi składu były otwarte. Jeden z moich ludzi znalazł na podłodze wypalone „zapalki. Na szczęście dla mnie, facet musiał przypadkowo rzucić płonąca zapalkę na stos chińskich fajerwerków, a kiedy zaczęły strzelać, wpadł w panikę i uciekł. Niektóre rzeczy trochę się osmały, lecz wszystkie towary są w dobrym stanie. Dotknęła rozdarcia na jego koszuli.

- Jesteś ranny! A powiedziałeś, że wszystko z tobą w porządku!

- To koszula jest ranna, nie ja. - Ujął jej twarz w dłonie. - A teraz już przestań. Nic mi nie jest.

Proponuję, żebyśmy poszli na górę i nieco się umyli.

- Starł czubkiem palca czarną smugę z jej policzka.

- Jesteś śliczna, lecz brudna.

Ku najwyższemu zdumieniu Delaney Chauncey spuściła wzrok i zaczęła wykręcać sobie dłonie.

Co powinna teraz zrobić? Ponośliła klęskę w każdym przedsięwzięciu, którego się podejmowała.

Wyszła za męża za swego wroga i zakochała się w nim. Więc teraz, głęboko w duszy, nie potrafiła przyjmować na wiarę faktu, że mógł oszukać jej ojca. To zupełnie nie było do niego podobne.

- Delaney, muszę ci coś powiedzieć...

- Chauncey, kochanie, o co chodzi? Co się stało?

- Ja... ja cię kocham!

- Ach! - powiedział z głęboką satysfakcją w głosie. - Nareszcie!

- Dlaczego to powiedziałeś?

- Być może... być może pewnego dnia ty mi to wyjaśnisz. A teraz wykąpnijmy się i wracajmy do łóżka. Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale czuję się tak, jakbym zaraz miał się przewrócić.

Nie spostrzegł malującego się na twarzy Chauncey poczucia winy.

ROZDZIAŁ 21

Kiedy obudziła się późnym rankiem, Delaney przy niej nie było.

- Pan Del musi dziś pozatwierać mnóstwo spraw - poinformowała ją Lin, podając śniadanie.

- Tak - stwierdziła Chauncey apatycznie. - Z pewnością.

Chętnie pojechałaby do składu, aby ocenić szkody, powstałe za jej przyczyną, lecz odwiedziła ją Agatha Newton i Chauncey musiała słuchać, jak ta dobra kobieta obwinia o podłożenie ognia bandę z doków.

- Dzięki Bogu - stwierdziła w końcu - Delowi i jego ludziom udało się powstrzymać ogień i nie dopuścić, by się rozprzestrzenił.

Nim w końcu Agatha uściśniła ją na pożegnanie i wyszła, Chauncey miała ochotę głośno wykrzyknąć swoją frustrację i poczucie winy.

Lucas złapał ją w chwili, kiedy już miała poprosić Olafa, by zawiózł ją na nabrzeże.

- Pan Del mnie przysłał - powiedział, zmierzając ku niej chwiejnym krokiem. - Potrzebuje paru dokumentów z biurka. Tych, które dotyczą ubezpieczenia.

Chauncey skinęła głową i wróciła do domu. Była w bibliotece Delaney dotąd tylko raz. Teraz podeszła do biurka i otworzyła górną szufladę.

Znieruchomiała. Na Boga, ależ z niej idiotka! Szybko odszukała potrzebne papiery i odesłała Lucasa.

Potem wróciła do biblioteki i zaczęła otwierać po kolei wszystkie szuflady biurka. Gorączkowo przeglądała papiery i listy, lecz nigdzie nie napotkała nazwiska ojca. W końcu natknęła się na zamkniętą na klucz drewnianą szkatułkę. Wyjęła ją i lekko potrząsnęła. Wewnątrz zaszeleściły papiery. Ostrożnie wyciągnęła podtrzymującą włosy szpilkę i wsunęła w zamek, który po chwili ustąpił.

Przez chwilę wpatrywała się w dokumenty. Uświadomiła sobie, że wcale nie chce się ostatecznie przekonać, iż Delaney jest winien. Na wierzchu znajdował się zwinięty arkusz papieru. Wyjęła go i rozprostowała. Była to kopia listu, napisanego przed czterema miesiącami, adresowanego do Paula Montgomery'ego. Czytała powoli, a w miarę jak docierało do niej znaczenie tego, co znajdowało się w liście, ciemne rzędkie liter zacierły się przed jej oczami coraz bardziej. Przystudiowała wszystkie kopie wyciągów bankowych. Wynikało z nich jasno, iż Delaney przekazywał jej ojcu znaczne sumy.

To znaczy, że był niewinny.

Paul Montgomery kłamał.

Usiadła za biurkiem i przymknęła oczy. To było niewiarygodne. Niewiarygodne, ale prawdziwe. Paul Montgomery zagarnął pieniądze jej ojca. Nic dziwnego, że zachowywał się tak dziwnie, kiedy mu powiedziała, że zamierza popłynąć do San Francisco! Wiedział, że prawda wyjdzie na jaw i ona dowie się, iż Delaney wcale nie jest łajdakiem, o czym tak usilnie starał się ją przekonać.

To Paul Montgomery jest tą osobą, która chce się mnie pozbyć.

Ale żeby próbować ją zabić tylko po to, by ukryć, że jest się kłamcą? Przesunęła dłonią po czole.

Muszą powiedzieć Delaneyowi. Wszystko.

Jęknęła cicho. Boże, przecież ona go kocha! A kiedy powie mu prawdę, Delaney nie namyślając się ani chwili, wsadzi ją na pierwszy statek do Anglii. Znienawidzi ją za wszystkie podstępny i oszustwa, jakich się wobec niego dopuściła. I nawet nie będzie mogła go za to winić.

Siedziała wpatrując się tępo w szeregi grubych tomów na półkach. Usłyszała, że drzwi frontowe otwierają się, a potem od strony holu dobiegł ją odgłos kroków. Delaney.

Szybko wepchnęła dokumenty z powrotem do szkatułki, a szkatułkę do dolnej szuflady.

- Co ty tu robisz, kochanie?

Przyjrzała mu się, jakby widziała go dziś po raz pierwszy. Chętnie by dla niego umarła. Jego twarz pogrążona była w cieniu.

Świadomość, w jak okropnej znalazła się sytuacji, uderzyła ją z całą mocą. Słowa uwięzły jej w gardle, więc tylko wpatrywała się w niego, jakby chciała zapisać w pamięci jego rysy. Nie mogła znieść myśli, że ta czułość zmieni się wkrótce w gniew, wściekłość i nienawiść.

- Chauncey? Nic ci nie jest, kochanie?

Rozkocham go w sobie, postaram się, by nie potrafił się beze mnie obejść, a potem wyznam mu prawdę, pomyślała. Znajdę w ciążę. Wtedy na pewno mnie nie odeśle. O Boże, jeszcze jeden podstęp!

- Wszystko w porządku, Del - powiedziała, a potem podniosła się i ruszyła ku niemu, jakby przyciągana niewidzialną siłą.

Zatrzymała się, spojrzała na twarz męża i delikatnie przesunęła czubkami palców po linii jego szczęki.

- Jesteś taki piękny - wyszeptała.

Delaney zamrugał, a potem uniósł pytająco jedną brew. Przez cały ranek nie myślał o niczym innym, jak tylko o Chauncey i jej dziwnym zachowaniu poprzedniej nocy. Nie rozumiał jej. Zmieniła się.

- Więc teraz jestem piękny, tak? - zapytał, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. - I cóż spowodowało tę zmianę?

A jeśli on odkryje prawdę, nim ja mu ją wyjawię? I co z Paulem Montgomerym? Nie chcę umierać!

- O, nie - jęknęła, nieświadoma, że robi to na głos. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Będzie musiała o wszystkim mu opowiedzieć.

Nie. Pragnęła przeżyć jeszcze jeden dzień z mężczyzną, który był jej mężem, który troszczył się o nią, śmiał się z nią i kochał ją ciałem i duszą.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał, przesuwając dłońmi po jej ramionach.

- Tak - powiedziała. Pochyliła się w przód i oparła czoło na jego ramieniu.

- Czy nadal trwa nasz miesiąc miodowy?

- Oczywiście, i ośmielę się twierdzić, że będzie trwał przez następnych dwadzieścia lat.

- Czy musisz iść dzisiaj do banku? Albo z powrotem do magazynu?

- O co ci chodzi, kochanie?

Wspięła się na palce i przywarła do niego z całej siły.

- Chciałabym, żebyś został dziś ze mną.

- Myślę, że to da się załatwić - powiedział i pocałował ją delikatnie.

- Panie Saxton! Mamy go!

Delaney przerwał rozmowę z Danem Drewerem i odwrócił się na dźwięk podekscytowanego głosu Jeda Randalla.

- O co chodzi? - zapytał Dan. - Kogo macie?

- Nie musisz się tym przejmować, Dan - odparł jego partner. - Wrócę tu później. Pan McIntyre miał spotkać się ze mną w sprawie pożyczki. Czy mógłbyś się nim zająć? Akta są na moim biurku.

- Oczywiście - powiedział Dan, spoglądając w ślad za Delaneyem, który wymaszerował spiesznie z banku, poprzedzany przez Jeda Randalla.

Delaney nie odezwał się, dopóki nie znaleźli się na ulicy.

- Hoolihan? - zapytał.

- Tak, proszę pana. Właściwie to Monk go znalazł. Leżał w łóżku jakiejś dziwki na Washington Street. To znaczy, Hoolihan.

- I dokąd go zabraliście? - zapytał Delaney, nawet nie próbując się dowiedzieć, co też Monk robił w burdelu.

- Do pańskiego magazynu. Monk musiał trochę nad nim popracować, ale nie za bardzo.

Delaney skinął głową i jeszcze przyśpieszył. Dopóki Monk nie złamał przekłębemu Hoolihanowi karku, mógł robić z nim, co chciał. Monk był potężny niczym góra i niewiarygodnie wręcz silny.

Po dziesięciu minutach wkraczali już cło magazynu. Na zewnątrz pracowali robotnicy, zastępując nadpalone płachty nowymi i ładując na wozy uszkodzone towary. We wnętrzu składu nadal unosił się zapach dymu i specyficzny, kwaśny odór chińskich fajerwerków.

Trzej mężczyźni stali przed Hoolihanem, którego ubranie zwisało w strzępach. Monk spostrzegł zbliżającego się Delaneya i uśmiechnął się szeroko, ukazując połamane, żółte zęby.

- Mamy go, proszę pana!

- Świetnie, Monk - zawołał Delaney, nie spuszczać wzroku z twarzy Hoolihana.

Mężczyzna najwidoczniej bał się. Żrenice jego wyblakłych oczu były rozszerzone, a porośnięta szczeciniastym zarostem szczęka poruszała się spazmatycznie. Kiedy zobaczył Delaneya, zbladł jeszcze bardziej i cofnął się instynktownie.

- No, no, kolego, nie bądź taki nieśmiały - odezwał się Monk i nieco mocniej wykręcił więźniowi ramię.

- Dobra robota, Monk - zagrmiał Delaney. - A teraz, panowie, chyba poproszę was, żebyście zostawili nas na chwilę samych. Pan Hoolihan i ja mamy ze sobą do pogadania.

Odczekał, aż mężczyźni oddalą się, a potem powiedział:

- A teraz, Hoolihan, zadam ci jedno pytanie. Odpowiesz na nie, przyjacielu, bo jeśli nie, pozwolę, by Monk i jego kumple roznieśli cię na strzępy. Zrozumiałeś?

- Pan się pomylił! Nie wiem, czego pan chce!

- Zrozumiałeś? - powtórzył Delaney niebezpiecznie spokojnym tonem. Wyraz desperacji w oczach Hoolihana ostrzegł go, że mężczyzna może podjąć próbę uwolnienia się, powiedział więc: - Jeżeli spróbujesz się na mnie rzucić, postrzelę cię. W nogi. Nie chcę, żebyś umarł, Hoolihan, ale jeśli spróbujesz czegoś głupiego, postaram się, byś cierpiał bardziej, niż cierpiała twoja biedna matka, gdy cię rodziła. No, to już robi się nudne. Gadaj, kto ci zapłacił, byś zamordował moją żonę?

Hoolihan oblizwał wargi, lecz milczał. Delaney nie śpiesząc się, wyciągnął rewolwer.

- Najpierw lewa noga, Hoolihan. A dokładniej mówiąc, kolano. Wątpię, czy twoja dziwka zechce się, kiedy będziesz kaleką. Oczywiście, jeśli najpierw nie umrzesz z powodu zakażenia krwi -

dodał, wcelowując rewolwer w jego nogi.

- Nie! - wrzasnął Hoolihan. - Przysięgam, że nie wiem!

- Potem przestrzelę ci prawe kolano. Być może James Cora pozwoli ci siadywać na chodniku przed El Dorado i żebrać, bo na pewno nie będziesz już mógł chodzić.

Odciągnął kurek.

- Proszę posłuchać - powiedział Hoolihan z rozpaczą w głosie. - Nie znam tego faceta. Zapłacił mi tysiąc dolarów, abym zaciągnął się na „Szkarłatną Królową”. Wiedział, że popłyniecie nią do Sacramento. Przysięgam, że nie wiem, kim on jest.

Delaney leciutko pogładził spust.

- To Anglik?

- Mówił jakoś tak inaczej. Nie jak ci goście z Australii. I ubrany był jak prawdziwy dandys.

On mówi prawdę, pomyślał Delaney.

- Powiedz mi, Hoolihan, czy podał ci jakiś powód, dla którego chce, byś zamordował moją żonę?

- Powiedział, że damie trzeba zamknąć usta. Zbyt dużo wie. Ale przysięgam, że nie mam pojęcia, na jaki temat!

- Jak on wyglądał?

- Czy jeśli powiem, pozwoli mi pan odejść?

- Próbujesz się targować, Hoolihan? - zapytał Delaney, niemal rozbawiony. - Pozwól, że coś ci powiem, przyjacielu. Nie oddam cię w ręce tutejszych władz, bo gdybym to zrobił, po dwudziestu czterech godzinach byłbyś już wolny. Nie, jeśli nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz, zabiję cię. A jeżeli będziesz współpracował, nie zostaniesz zabity. Odbędziesz tylko długą podróż na jednym z moich statków. Taki na przykład Hongkong jest bardzo piękny o tej porze roku.

Zostanę przemocą zamustrowany, pomyślał Hoolihan, i prawdopodobnie każą mi wykonywać najgorsze prace. Jednak lepsze to, niż leżeć sześć stóp pod ziemią. Odetchnął głęboko i poruszył się, czując nieprzyjemny ucisk w dołku.

- Był stary i nosił okulary. Dość postawny, ale sflaczały, jak ktoś, kto żyje wygodnie.

- Ile mógł mieć lat?

Wiek stanowił w San Francisco kwestię względną. Większość męskiej populacji liczyła sobie mniej niż trzydzieści pięć lat. Każdy mężczyzna po czterdziestce mógł zostać uznany za starego.

Hoolihan zastanawiał się gorączkowo.

- Powiedziałbym, że musiał mieć więcej niż pięćdziesiąt lat. Miał siwiejące włosy, przerzedzone na czubku głowy.

Delaney poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Chauncey z pewnością rozpozna kogoś na podstawie tego opisu.

- A jak ten facet zamierzał upewnić się, że wykonałeś swoje zadanie? Nie wierzę, że tak po prostu wręczył ci tysiąc dolarów bez żadnej gwarancji.

- Dał mi tylko pięćset - wyjaśnił Hoolihan. - Powiedział, że resztę dostanę dopiero wtedy, gdy się upewni, że pańska żona wypadła za burtę i utonęła.

- A zatem, to miało wyglądać na tragiczny wypadek. Co oznacza, że nasz postawny dżentelmen nadal przebywa w San Francisco.

- Nie wiem. Wróciłem tutaj...

Hoolihan umilkł i przełknął gwałtownie ślinę.

- Tak, wróciłeś, aby zaaranżować kolejny wypadek. No cóż, Hoolihan. Postanowiłem, że twoja

wycieczka na wschód może trochę poczekać. Ty zaś, drogi przyjacielu, zapoznasz się bliżej z Monkiem. Razem znajdziecie dla mnie tego mężczyznę. Zrozumiałeś?

Hoolihan przytaknął z ochotą. Tak mu ulżyło, że przez chwilę nie był w stanie się odezwać.

- Monk! Jed! - zawołał Delaney, odwracając się, by spojrzeć na zbliżających się ku niemu mężczyzn.

Nie wrócił od razu do domu. Wezwał do biura oddanego asystenta, Janasa, i wydał mu kilka poleceń. Miał odwiedzić wszystkie hotele w San Francisco i pytać o zamieszkującego tam od niedawna Anglika. Dał mu pieniądze na łapówki i odprawił. Dzięki ci, Boże, za Janasa, pomyślał, i za to, że nie zadawał żadnych pytań. Po prostu skinął głową.

Wrócił na South Park pogrążony w rozmyślaniach. Próbował skupić się na tym, co powiedział mu Hoolihan, jednak oczami duszy cały czas widział pełne namiętności spojrzenie Chauncey. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, jak go pieściła - z zapalem, lecz bez większej wprawy. Nauczył ją co nieco o sposobach sprawiania przyjemności mężczyźnie, a ona wręcz upajała się świeżo nabytą wiedzą. Teraz nie było w niej już wahania, wyłącznie żądza, miłość i czułość. Tym razem oddała mu się całkowicie.

Nie, pomyślał, niecałkowicie. Nadal coś przed nim ukrywała. Dostrzeże to w jej oczach w chwili, kiedy opowie jej o Angliku, a ona rozpozna go z opisu. Zatrzymał się, niepewny, czy rzeczywiście pragnie dowiedzieć się, co też takiego jego żona ukrywa. Nie bądź idiotą, powiedział do siebie stanowczo. Cokolwiek to jest, nie może być szczególnie okropne.

Przywarła do mnie mocno, jakby chciała zatrzymać mnie w sobie, zatrzymać moje nasienie.

Gdy wrócił do domu, Chauncey piła akurat herbatę z Agathą Newton. Kiedy go zobaczyła, jej twarz pojaśniała z radości. Zerwała się z krzesła i podbiegła do męża.

- Dzień dobry, kochanie - powiedział, całując ją pośpiesznie. - Cześć, Aggie. Jakies interesujące plotki?

- Zawsze są jakieś interesujące plotki, czyż nie? - odparła Agatha, uśmiechając się do niego. - Z rozkoszą rozpowiem wszem i wobec, że państwo Saxton nadal są na etapie miodowego miesiąca.

- To nie będzie plotka, lecz prawda - odpowiedział, uściskawszy Chauncey.

Tylko jak długo jeszcze? - pomyślał. - Co ona powie, jak zareaguje, kiedy skonfrontuję ją z tym, czego dowiedziałem się od Hoolihana?

- No cóż, widzę, że nie jestem wam szczególnie potrzebna. - Agatha wstała. - Zobaczymy się jutro, Chauncey, pod warunkiem, że twój mąż choć na chwilę spuści cię z oczu.

Chauncey spłonęła rumieńcem, uśmiechnęła się i mruknęła pod nosem coś niezrozumiałego.

- Pozdrów ode mnie Horacego, Aggie - zawołał Delaney.

U drzwi Agatha zatrzymała się na chwilę i, poprawiając kapelusz na siwych włosach, powiedziała:

- Jesteś szczęściarzem, Del.

- Tak - przytaknął, odwzajemniając uśmiech.

- Wiem.

- Więc postaraj się o tym pamiętać - dodała, wymierzając mu lekkiego kuksańca w żołądek.

- Sprowadź tu mojego woźnicę, Lucasie - zawołała.

- Z pewnością flirtuje z nową pokojówką Butlerów! Delaney wrócił do salonu. Chauncey stała na środku pokoju z opuszczonymi smutno ramionami i wzrokiem wbitym w dywan.

Zamknął ją w uścisku.

- Wiesz, podoba mi się ta żółta suknia. Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która równie dobrze wygląda w ubraniu, jak i bez niego.

- Ja... Dziękuję, Del. Nie spodziewałam się, że wrócisz tak wcześnie.

- Podobało mi się powitanie.

- No cóż, zaskoczyłeś mnie.

Delikatnie odsunął ją od siebie i przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem powiedział, jak gdyby nigdy nic:

- Moi ludzie znaleźli Hoolihana. Zesztywniała.

- Hoolihana... - powtórzyła bezwiednie.

- Tak. Pogawędziłem sobie z facetem od serca i musisz wiedzieć, kochanie, że choć nie znał nazwiska człowieka, który go wynajął, opisał mi go dość dokładnie. To, oczywiście, Anglik. Jak się domyślam, kiedy nie udało mu się dopaść cię za pierwszym razem w Plymouth, podążył za tobą aż tutaj.

Paul Montgomery. On zaraz opisze mi Paula Montgomery 'ego!

Wyrwała się z objęć męża i stanęła za krzesłem, zaciskając palce na jego oparciu. *Boże, co ja mam teraz zrobić?*

- Opisz mi go - poprosiła lakonicznie.

Uczynił to dokładnie i precyzyjnie, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. Ona wie, kim jest ten człowiek, pomyślał.

- Powiedz, jak się nazywa - poprosił.

Spojrzała na niego, przerażona. Nie mogę mu powiedzieć, nie w ten sposób! - myślała. - Nie, zanim... Zanim co? Zanim nie rozkocham go w sobie, nie zrobię wszystkiego, co tylko możliwe, aby zrozumiał, dlaczego musiałam tak postąpić?

Czuła się taka bezradna, przyciśnięta do muru i pełna obaw.

- Hoolihan pomoże go odnaleźć - powiedział Delaney po chwili. - Lecz gdybyś powiedziała, jak się nazywa, to by bardzo nam pomogło.

Cisza gęstniała z każdą sekundą. Musiał jakoś ją zmusić, by zdradziła, co wie.

- Jeżeli mi nie powiesz, Chauncey, wsadzę cię na pierwszy statek płynący do Anglii.

- Nie! Proszę, Del, nie możesz...! Ten człowiek nazywa się... Paul Mont... Montsorrel. Jest... a raczej, był doradcą prawnym mego ojca. Znam go od dziecka.

- Dlaczego miałby pragnąć twojej śmierci, Chauncey?

Pocierała gwałtownie ramiona, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

- Chciwość - wypaliła. - Był wściekły, kiedy nie pozwoliłam mu zarządzać moimi pieniędzmi. Ciotka i wuj poszli do niego i oczernili mnie, próbując oskarżyć o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa.

- Chauncey - powiedział bardzo spokojnie. - Hoolihan twierdzi, że ten Montsorrel zasugerował mu, że ty zbyt dużo wiesz. Więc chyba chciwość nie ma tu nic do rzeczy.

- Nie, nie ma - powtórzyła głucho. - Ale nie mogę uwierzyć, że on mógłby nastawać na moje życie!

- Opowiedz mi wszystko.

Gdybym opowiedziała ci wszystko przed końcem tygodnia, byłabym już na pokładzie statku płynącego do Anglii!

- Doskonale. Otóż odkryłam, że on oszukiwał mego ojca. Po jego śmierci nie powinnam była

zostać bez grosza, ale ten... Montsorrel ukradł wszystkie pieniądze.

To była prawda. Jednak nie wyjaśniała niczego.

- Ale jaki może być powód, Del? Dlaczego on chce, żebym umarła?

- Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem.

Wiedziała, jak będzie brzmiało następne pytanie.

- A jakim sposobem udało ci się odkryć, co ten człowiek zrobił, Chauncey? I czemu nie kazałaś go aresztować?

- Nie mogłam niczego mu udowodnić! Chciałam tylko znaleźć się z dala od niego, od Anglii i strasznych wspomnień.

Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że miesza prawdę i kłamstwo, ale nie wiedział, co jest czym. Czy już nigdy nie rozezna się w tym bałaganie? Chauncey nie była bezradnym, strachliwym kobieciątkiem. Jeżeli uważała Paula Montsorrela za winnego, nigdy nie pozwoliłaby, aby jego postęпки uszły mu na sucho. Montsorrel. Czy naprawdę tak brzmiało to nazwisko?

Westchnął ciężko i przesunął palcami po włosach. Po prostu musi zasłużyć sobie na to, by Chauncey mu zaufała.

Lecz kiedy następnego ranka Lucas wrócił z poczty z listem od jego brata, uświadomił sobie, że zaufanie nie ma tu nic do rzeczy.

ROZDZIAŁ 22

Wyraźne pismo Aleksa na moment rozmyło się przed oczami Delaneya. Nie więcej niż sto słów. Dość tego, przeklęty głupcze! - pomyślał, poruszony. - Chciałeś znać prawdę!

Lecz pragnął, aby to Chauncey mu ją wyznała. Zmusił się, by spojrzeć na list i raz jeszcze przebiec wzrokiem fragment, który zmienił jego życie.

Tak się złożyło, iż niedługo po tym, jak pisałem do ciebie ostatnio, Giana otrzymała Ust od swojej matki. Wygląda na to, że ten Anglik, sir Alec Fitz-Hugh, rzeczywiście pozostawił córkę. Co więcej, zostawił ją bez grosza! Lecz to nie wszystko! Intryga wikła się dalej i oto nasz Kopciuszek otrzymuje znaczący spadek po sir Jasperze Dunkirku, i, co zabawne, wkrótce potem opuszcza Anglię. Księżna twierdzi, że wujostwo dziewczyny rozpowiadają wszem i wobec o tym, jakoby nie dotrzymała obietnicy małżeństwa, którą złożyła ich synowi. Ciekawie byłoby się dowiedzieć, sugeruje dalej księżna, dlaczego doradca prawny sir Aleca, Paul Montgomery, zmienił pośpiesznie front i także oczernił młodą damę, chociaż znał ją od dziecka i można było oczekiwać, że pozostanie lojalny wobec członka rodziny Jameson Fitz-Hugh. Poza tym, zastanawia się dalej księżna, ciekawe, gdzie też podziały się te wszystkie pieniądze, które tak skrupulatnie wysyłałeś do Anglii.

- Jezu - Paul Montsorrel. Paul Montgomery. - powiedział cicho. - Elizabeth Jameson Fitz-Hugh...

Najpierw uderzyła go myśl, iż jego małżeństwo może okazać się nieważne. W końcu Chauncey nie podała swego nazwiska w pełnym brzmieniu.

Jeszcze raz przeczytał końcowy akapit listu:

Napisałem już do księżnej i zapewnilem ją, że przesyłałeś pieniądze regularnie, kierując je prawdopodobnie do sir Aleca. Nie wątpię, że dopilnuje ona, aby zajęto się tym przeklętym oszustem Montgomerym.

Delaney powoli odłożył list na biurko, a potem poskładał go starannie i wsunął z powrotem do koperty. Tyle przeklętych zwrotów sytuacji! Ale Chauncey wiedziała, że to Paul Montgomery oszukał jej ojca. Po co zatem przyплыnęła do San Francisco? I dlaczego tak uporczywie starała się zainteresować go sobą?

- Ty głupi ośle - powiedział na głos - ona uważała, że to ty jesteś wszystkiemu winien! Montgomery musiał ją o tym przekonać.

Przybyła do San Francisco tylko po to, aby się zemścić.

Montgomery stanowił problem, który należało rozwiązać natychmiast. Z pewnością uświadomił sobie, że Chauncey w końcu odkryje prawdę. Ale dlaczego zdecydował się na morderstwo?

...Mój ojciec umarł od laudanum...

Delaney znieruchomiał. Dobry Boże, czyżby ten człowiek zamordował sir Aleca? Z pewnością sir Alec musiał się zastanawiać, gdzie podziewają się pieniądze. Czy doszło do konfrontacji?

...Dowiedziałam się, że oszukał mego ojca...

Tak więc Chauncey przejrzała dokumenty z jego biurka i przekonała się, że jest niewinny. Pomyślała o tym, jak utraciła nad sobą kontrolę w noc pożaru. Czyżby to ona podłożyła ogień? Czy miała to być zemsta? Ale w końcu odkryła prawdę.

Powoli wysunął dolną szufladę i wyjął z niej szkatułkę, zawierającą kwity przekazów oraz korespondencję. Uważnie przyjrzał się zamkowi. Ślady manipulacji dawały się zauważyć bez trudu. Dokumenty leżały tak, jak je pozostawił. Lecz wiedział, że je czytała.

Jej nienawiść była tak wielka, że zdecydowała się na ślub, by móc dokonać zemsty.

Ta ukryta część jej osobowości, zagadkowa i wymykająca się bliższemu poznaniu, znalazła teraz wytłumaczenie. Przymknął na chwilę oczy, zmagając się z bólem, gniewem i oburzeniem, które walczyły o lepsze w jego sercu. Wstał zza biurka, wsunął szkatułkę pod pachę i ruszył na górę do ich sypialni.

Chauncey siedziała przed toaletką, a Mary zaplatała jej włosy w gruby warkocz, który miał zostać upięty na czubku głowy.

- Zostaw nas, Mary.

- Och, to pan Del! Oczywiście, proszę pana. Nadszedł dzień wyrównania rachunków i Mary to czuła. Posłała swej pani uśmiech, który miał dodać jej otuchy, i wyszła, zamykając za sobą starannie drzwi. Chauncey dojrzała w lustrze, że Delaney trzyma pod pachą szkatułkę. Zamarła.

- Dzień dobry - powiedziała radośnie, odwracając się ku niemu. - Piękny dziś mamy dzień, prawda? Ani skrawka mgły. Lucas powiedział mi, że latem...

- Zamilcz - przerwał jej spokojnie, lecz stanowczo.

Spojrzała na jego twarz, która nie wyrażała żadnych uczuć. Mimo to czuła promieniujący od niego gniew.

- Więc już wiesz.

- Tak, wiem. Być może więcej, niż się spodziewasz, żono.

Wzdrygnęła się, słysząc, jaki nacisk położył na ostatni wyraz.

Sarkastyczny i zimny ton.

Wstała i splotła ręce na piersi. Jego oczy, zawsze pełne ciepła i czułości, były teraz zwężone i chłodno błyszcząły.

- Del, proszę, musisz mnie wysłuchać.

- Sugeruję, abys trzymała język za zębami, Chauncey, i posłuchała, co mam ci do powiedzenia - mówił monotonnym, na pozór obojętnym tonem.

- Wiesz, nigdy do końca nie zrozumiałem, dlaczego tak uparcie się za mną uganiałaś. Kiedy tylko znalazłaś się w San Francisco, zaczęłaś mnie poszukiwać. Powiedz, dlaczego postanowiłaś posunąć się aż tak daleko, by skłonić mnie do ślubu?

Chauncey uświadomiła sobie, że mimowolnie zaciska i rozprostowuje dłonie.

- Sądziłam, że zamierzasz poślubić Penelopę Stevenson. Nie mogłam do tego dopuścić. Gdybyście połączyli wasze majątki, nie byłabym w stanie doprowadzić cię do ruiny. Ale, Del...

- Ach, to zupełnie zrozumiałe - przerwał jej spokojnie. - Zaażonaś ten czarujący incydent z kłaczą, tylko że nie wszystko poszło po twojej myśli. A ja czułem się mile polectany twoim zainteresowaniem i tą determinacją, by dostać się do mego domu i być blisko mnie. Nie miałem pojęcia, co się za tym kryje.

Widząc, że Chauncey próbuje się odezwać, uniósł dłoń, by ją uciszyć.

- Nie, jeszcze nie skończyłem, żono. Pozwól sobie powiedzieć, że nie jestem takim zupełnym głupcem, choć tobie pewnie wydaję się teraz najbardziej naiwnym kretynek na świecie. Gdybyś tylko udawała zranienie, szybko przejrzałbym twoją grę. Tymczasem ty naprawdę ucierpiałas w wypadku z koniem i to mnie zmyliło. Ale w końcu, cóż znaczy trochę bólu, jeśli perspektywą jest sukces? Pamiętasz swój nocny koszmar? Trzymałem cię w ramionach, nie pragnąc niczego innego, jak tylko, bym mógł odegnać od ciebie lęk i uczynić cię szczęśliwą. A nasza noc poślubna? Czy nie cierpła ci skóra, gdy ja, twój przysięgły wróg, dotykałem twego ciała? Odbierałem ci niewinność? Bo przecież byłem twoim przysięgłym wrogiem, prawda?

- Tak.

Muszę sprawić, aby zrozumiał!

- Chciałam wyznać ci prawdę, przysięgam! Proszę, poświęć mi choć minutę. Wszystko zaczęło się w Londynie, kiedy mieszkałam u Penworthych. Podśluchałam, jak ciotka mówiła do wuja, że ojciec nie umarł śmiercią naturalną, ale popełnił samobójstwo. Poszłam zobaczyć się z Paulem Montgomerym, by poznać prawdę. On zaś opowiedział mi o tobie i o tym, co zrobiłeś mojemu ojcu. Oczywiście, uwierzyłam mu! Bo jakże inaczej? Znałam go przez całe swoje życie!

- Przybyłaś do San Francisco, aby mnie zabić, czy tylko doprowadzić do ruiny?

- Nigdy nie chciałam cię zabić, nie mogłabym! Nie jestem... tego rodzaju osobą.

- No cóż, być może, moja droga, być może. Lecz jesteś najbardziej zimnokrwistą suką, jaką kiedykolwiek miałem okazję spotkać. Nie, proszę, nie wystawiaj więcej na szwank mojej cierpliwości dalszymi protestami. To ty podłożyłaś ogień w składzie, prawda? Wystarczy teraz na ciebie spojrzeć, by się o tym przekonać. Jak bardzo musiałaś być zdesperowana, ryzykowałaś przecież własne życie!

- To był wypadek, Del! Kiedy znalazłam się w magazynie, uświadomiłam sobie, że nie możesz być winien, zresztą, winien czy nie, i tak nie mogłam tego zrobić, ponieważ cię kocham! Nie mogłabym wyrządzić ci krzywdy. Myślałam, że zapałka już zgasła, a ona upadła na te przeklęte fajerwerki!

- A potem - położył ostrożnie szkatułkę na blacie stołu - potem przeczytałaś moją korespondencję. Wczoraj, jak sądzę. Zastanawiała mnie twoja słodycz i twój... entuzjizm, moja droga. Byłaś naprawdę jak oszalała z pożądania. Nie, nie przerywaj mi, Chauncey.

- Ale to prawda! - Podeszła bliżej i chwyciła go za klapy surduta. - Del, proszę, wiem, że to, co zrobiłam, przekreśla twoje zaufanie do mnie, lecz ja wierzyłam Paulowi Montgomery'emu! Ja...

Z największym trudem oderwał jej dłonie.

- Wszystko, co powinnaś była zrobić, to zapytać mnie, Chauncey.

- Zapytać! A gdybyś był winien, to co byś zrobił? Przyznał się do wszystkiego i błagał o wybaczenie? Pomaszerował pokornie do więzienia? Już raczej postarałbyś się, bym znikła na zawsze!

- Tak - powiedział. - Prawdopodobnie kazałbym cię zabić, tak, jak Montgomery zabił twego ojca. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- O Boże, nie! - szepnęła.

- Domyśliłem się tego dopiero przed chwilą. Nie mogłem uwierzyć, że Montgomery mógł chcieć cię usunąć tylko dlatego, byś nie odkryła prawdy o nim. Nie, musiało być w tym coś więcej. Nie rozumiem, czemu sama na to nie wpadłaś. Twój umysł, jak właśnie się przekonałem, potrafi być niezwykle twórczy.

- Nie przyszło mi to do głowy - powiedziała, spoglądając na niego. - I, prawdę mówiąc, nadal trudno mi w to uwierzyć. Zabił mego ojca z powodu pieniędzy? Człowieka, którego znał i nazywał swoim przyjacielem? I zrobił to „wujek”, który nigdy nie zapomniał przysłać mi prezentu na Gwiazdkę?

- A teraz ten człowiek próbuje zabić ciebie. Dla mnie to ma sens. Musi być mocno zdesperowany, skoro przyplął tu za tobą aż z Anglii. Kiedy dopnie swego, wróci do domu i będzie żył dostatnio z tego, co zagrabił. Przypuszczam, iż nie uszczęśliwiło go zbytnio, że wysłaś za mnie, bo gdybyś zginęła od razu w Plymouth, to twoja ciotka i wuj odziedziczyliby pieniądze, nie ja. Jemu zaś z pewnością udałoby się położyć łapę na sporej ich części. A poza tym byłby bezpieczny. A przynajmniej tak by mu się wydawało. Mój brat, Alex, napisał już do księżnej i księcia Graffton i powiadomił ich o perfidii Montgomery’ego. Czyż to nie osobliwe, że i tak utraciłby wszystko? Po tym, jak zadał sobie tyle trudu, by cię usunąć?

Jest dokładnie tak, jak się spodziewałam, że będzie, uświadomiła sobie Chauncey, wpatrując się w męża, ale nie słysząc jego słów. On mnie nienawidzi. Pragnie mnie nienawidzić.

- Zrobiłam to, co uważałam za słuszne! - powiedziała gwałtownie, zaciskając dłonie w pięści. - A co ty zrobiłbyś na moim miejscu?

Delaney pogładził się po brodzie.

- Już ci powiedziałem, co ja bym zrobił - stwierdził rzeczowo. - Rzuciłbym ci w twarz fakty - coś, na co ty, moja droga, jakoś nie wpadłaś - a gdybym uznał, że jesteś winna, zabiłbym cię.

- Jestem kobietą, na Boga! Co, twoim zdaniem, miałam uczynić? Wyzwać cię na pojedynek? Postanowiłam, że cię zrujnuję, tak jak ty zrujnowałeś mego ojca. Tyle że nie bardzo wiedziałam, jak się do tego zabrać.

- Jednak nienawidziłaś mnie wystarczająco mocno, aby zaryzykować nocną jazdę do składu, i to wiedząc, że ktoś próbuje cię zabić. Twoje pragnienie zemsty, moja droga, ścina krew w żyłach. Nawet gdybyś spaliła wszystkie towary i sam magazyn na dokładkę, nie stałbym się żebrakiem - z pewnością zdawałaś sobie z tego sprawę. W końcu, będąc moją żoną, miałaś okazję dobrze zaznajomić się z moim stanem posiadania. Jako kochający mąż niczego przed tobą nie ukrywałem.

- Tak, wiem o tym. Lecz czułam się tak bardzo winna. - Głos jej się załamał. - Powoli zakochiwałam się w tobie, a przecież wiedziałam, że muszę pomścić ojca. I tak wygrałeś. Ten przeklęty pożar to był wypadek. Nie możesz w to uwierzyć?

Nagle Delaney wybuchnął głębokim śmiechem, aż zadrżały ściany.

- Jak bardzo musiałaś czuć się rozczarowana - wykrztusił - kiedy powiedziałem ci, że nigdy nie zamierzałem ożenić się z Penelopą! Lecz wówczas byłaś już moją żoną. Biedna Chauncey! Powiedz mi, żono, co sobie wtedy pomyślałaś?

- Nie, nie byłam rozczarowana. Powiedziałeś mi o tym, zanim się pobraliśmy. Próbuję wyznać ci prawdę, Del, całą prawdę. Postanowiłam za ciebie wyjść, ponieważ chciałam być blisko ciebie, mieszkać w twoim domu i poznać stan twoich interesów.

- Nie zdawałaś sobie sprawy, że będę chciał, byś była moją żoną w każdym sensie tego słowa?

- Owszem, zdawałam, ale wtedy jeszcze nie bardzo wiedziałam, na czym to polega - odparła rozbrajająco szczerze. - Postanowiłam, że zniosę wszystko, co będę musiała znieść.

- Jak sobie przypominam - powiedział kpiąco - po zamachu na twoje życie niemal mnie zgwałciłaś. Czy pogardzałaś potem sobą za to, że zachowałaś się jak suka?

- Tak. O tak.

- No cóż, przynajmniej jesteś szczerą. A co zamierzałaś zrobić, kiedy już doprowadzisz mnie do ruiny?

- Planowałam, że cię opuszczę, lecz najpierw powiem ci, kim jestem i dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam.

- Ach, stąd ta obawa przed zajściem w ciążę. Czy wiesz, droga żono, że wypytywałem o sposoby zapobiegania poczęciu moją kochankę? Marie uznała to za bardzo zabawne.

- Być może zdążyłam jednak zajść w ciążę, Del.

- Tak, to możliwe - powiedział jakby ostrożnie.

- No cóż, miejmy nadzieję, że nie okazałem się zbyt płodny, moja droga, bo chyba nie byłoby ci przyjemnie wracać do Anglii z dzieckiem w brzuchu, prawda?

Nie, to niemożliwe, by wszystko tak szybko się skończyło. Spuściła głowę i powiedziała prosząco:

- Ja... ja nie chcę wyjeżdżać. Chcę być twoją żoną. Chcę rodzić ci dzieci.

- Zrobiłem z siebie głupca.

Uniosła głowę, a w jej oczach zabłysła nadzieja.

- A gdybym pozwolił ci zostać, byłbym głupcem w dwójnasób. Przez cały czas pragnąłem, abyś mi zaufała. O, tak, wiedziałem, że coś przede mną ukrywasz. Lecz teraz nie dbam już o to, czy mi ufasz, czy nie, ponieważ, moja droga, ja nie ufam tobie.

Odwrócił się gwałtownie i wymaszerował z pokoju.

- Del! Zaczekaj! Lecz jego już nie było.

Nie wrócił ani wieczorem, ani w nocy. Dopiero następnego ranka wszedł znowu do sypialni.

- Co robisz?

Chauncey odwróciła się na dźwięk jego głosu i machnęła bezradnie dłonią ponad otwartym kufrem podróżnym.

- Pakuję swoje rzeczy.

- Tam, dokąd się udamy, będziesz potrzebowała innych rzeczy.

Spojrzała na niego, czując, jak odradza się w niej nadzieja.

- Co masz na myśli?

- Jak mawia przysłowie, nieszczęścia zawsze chodzą parami. Otrzymałem wczoraj list, z którego się dowiedziałem, że w kopalni „Gwiazda Północy”, położonej w Downieville, znowu wybuchły zamieszki. To ta kopalnia, która, jak pewnie dobrze o tym wiesz, zarobiła tyle pieniędzy dla Paula Montgomery'ego. Nie mogę cię tu zostawić - nie jestem aż takim łajdakiem. Gdybym to zrobił, prawdopodobnie przed upływem tygodnia znaleziono by cię martwą w zatoce. Czy to nie zabawne, że wreszcie zobaczysz miejsce, od którego to wszystko się zaczęło? Będziesz potrzebowała prostych, trwałych ubrań. Przyślę ci Mary.

Na progu odwrócił się jeszcze i dodał:

- Mam nadzieję, że zanim wrócimy, Lucas i moi ludzie znajdą Montgomery'ego i... zajmą się nim.

Zyskała nieco czasu. Z ulgi o mało nie zakreśliła jej się w głowie.

- A wtedy, moja droga - dodał spokojnie, nim wyszedł - będziesz mogła powrócić do pakowania.

I tak się przypadkiem składa, że, być może, Mary nie popłynie z tobą. Wygląda na to, że ona i Lucas odkryli, iż zależy im na sobie. Życie potrafi czasami być takie proste i nieskomplikowane, prawda?

Delaneyowi udało się zachować niewzruszoną minę.

Dzięki Bogu, nigdy jej nie powiedział, że ją kocha. Czuł, że słabnie, powiedział więc z

zamierzonym okrucieństwem w głosie:

- Oczywiście, mogę rozpocząć procedurę rozwodową tutaj. W Anglii byłoby to o wiele bardziej skomplikowane. Ponieważ jestem dżentelmenem, wezmę winę na siebie. Cudzołóstwo będzie chyba najlepsze.

- I prawdopodobnie zgodne z prawdą - powiedziała gorzko.

- Ach tak, zapomniałem, że tak dobrze mnie znasz. Jednego jestem pewny: moja następna żona pozwoli, bym to ja ją adorował. Wyjeżdżamy wcześniej rano, Chauncey. Nie - dodał po namyśle - nie Chauncey. Elizabeth Jameson Fitz-Hugh nie powinna, używać tak miłego zdrobnienia. Tak, Elizabeth. Nawiasem mówiąc, nasze małżeństwo jest legalne, sprawdziłem u swego prawnika. Nawet jeśli nie podałaś nazwiska w pełnym brzmieniu, jesteśmy ze sobą związani - przynajmniej na jakiś czas. I jest jeszcze coś, moja droga. Możliwe, że ugoda, jaką podpisałem przed ślubem, zezwalająca ci na zachowanie kontroli nad twoim majątkiem, nie jest ważna. Mój adwokat nazwał to chyba fałszywym przedstawieniem faktów. Czy to nie zabawne? Ale zaufaj mi, nie odeślę cię do Anglii jako osobę ubogą.

Następnego ranka weszli na pokład pięknego parowca „Senator”, którym mieli udać się w stumilową podróż do Sacramento. Chauncey miała na sobie jedyną ładną suknię, jaką zabrała. Dzięki Bogu aksamitna narzutka w kolorze burgunda dawała sporo ciepła, gdyż ranek wstał chłodny, a miasto otulała mgła. Jak bardzo różni się ta wyprawa od naszej poprzedniej wycieczki, pomyślała, rozglądając się wokoło. Czy Paul Montgomery kryje się w tłumie, wyczekując okazji, by uderzyć? Chyba nie, Delaney był na to zbyt ostrożny.

Jej mąż wnosił teraz bagaże, na które składały się zaledwie dwie walizy. Powiedział, że nie mogą zabrać ze sobą zbyt wiele rzeczy, gdyż nadmiar bagaży zbytnio by ich krępował, kiedy już zejda z pokładu parowca. Poprzedniego dnia Chauncey spędziła kilka milczących i pełnych napięcia godzin, chodząc wraz z Mary po sklepach, strzeżona przez Lucasa i Olafa. Kupiła dwie rozcięte po bokach spódnice z grubej wełny i dwie luźne płócienne bluzki. Nawet bieliznę miała teraz praktyczną i wygodną. Nabyła także parę mocnych butów i zapłaciła za wszystko z własnej kieszeni.

Późnym wieczorem parowiec wpłynął na wody rzeki Sacramento, lecz Chauncey nie była tego świadoma. Jadła samotnie kolację w kabinie, bijąc się z myślami. Delaney po prostu odsunął się od niej, choć nadal traktował ją z oziębłą grzecznością.

- Zostań, moja droga - powiedział. - Mam nadzieję, że okażesz dość rozsądku, by mnie posłuchać.

- Tak - odparła - zostanę w kabinie. - Uniosła nieco brodę i spojrzała na niego. - A ty?

- Pewnie zajmę się tym, czym większość mężczyzn na pokładzie: trochę pogram, zapalę dobre cygaro i napiję się porto.

- Nie zjesz ze mną kolacji?

- Chyba tak będzie lepiej. Zobaczymy się później, moja droga.

O, tak, nie mogła uskarżać się na brak uprzejmości z jego strony.

Nie zjadła wiele, choć zupa żółwiowa była doskonała, a zielony groszek świeży i słodki. Po kilku godzinach zapadła w niespokojny sen, wypełniony majakami na temat podróży. Będą tam sami, z dala od cywilizacji. Proszę, modliła się w duchu, niech on mi wybaczy. Zastanawiała się także, czy jego reakcja byłaby inna, gdyby to ona powiedziała mu o wszystkim, wyznała, kim jest i po co przybyła do San Francisco.

Obudziła się czując, że ktoś gwałtownie potrząsa jej ramieniem.

- Wsiadamy, Chauncey. Obudź się i ciepło ubierz.

- Ale jest ciemno - powiedziała sennym głosem, odgarniając włosy z twarzy.

- Parowiec przybija o piątej. Przeniesiemy się na mniejszy, płynący do Marysville. To około pięćdziesięciu mil stąd, a ja nie chcę tracić czasu.

- Jesteśmy w Sacramento?

- Tak, ale nie będziesz miała okazji zobaczyć zbyt wiele. O siódmej będziemy już na pokładzie „Górnika”.

- Gdzie spędziłeś noc, Del? - zapytała nagle.

- Nie wydaje mi się, żebyś naprawdę chciała to wiedzieć.

- Rzeczywiście - przyznała. - Chyba masz rację. Po półgodzinie stała obok męża na pokładzie „Senatora”, zacumowanego w porcie Sacramento. Miejscowość, dotknięta rok wcześniej strasliwym pożarem, wyglądała na znajdującą się w stanie odbudowy. Wszędzie widać było rzędy drewnianych budynków. Nawet o tak wczesnej porze nabrzeża tętniły życiem. Pełno tu było robotników, handlarzy, budowniczych, a także wszelkiego rodzaju pojazdów i wozów.

Delaney ujął ją mocno pod ramię i sprowadził po trapie na szerokie, drewniane nabrzeże.

- „Górnik” stoi zacumowany w pobliżu - powiedział, wskazując następny pomost z desek.

I znów Chauncey nie mogła nadziwić się różnorodności tłumu na nabrzeżach. Chińczycy o kruczoczarnych, splecionych w warkocz włosach, mijali Hiszpanów, odzianych w barwne sombrera i kamizelki oraz wysokich, muskularnych Murzynów w luźnych białych koszulach. Jednak większość mężczyzn miała na sobie surduty, często znoszone i dziurawe, oraz wysokie buty, zakrywające nogawki spodni.

Pozostali w głównym salonie parowca. Tym razem Delaney nie zostawił jej samej.

- Spójrz tylko - powiedział Delaney.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła chłopca, który nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat. Żuł tytoń, po czym wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wypluł na nią brązową maź.

Podróż do Marysville zajęła więcej czasu, niż oczekiwano, ponieważ niedawne opady sprawiły, że wezbrane wody zakryły część piaszczystych mielizn i trzeba było się strzec, by na nich nie osiąść. Chauncey stała przy relingu, przyglądając się wszystkiemu w milczeniu. Od czasu do czasu na horyzoncie widać było kilka wzgórz albo odległy łańcuch górski. Jednak na ogół krajobraz był dość monotony. Nic, tylko bladozielone pagórki, poznaczone kępami kolczastych zarośli i rosnącymi rzadko dębami.

- Nie zatrzymamy się przy Hock Farm, a szkoda - powiedział Delaney. - Generał Sutter i jego synowie to bardzo interesujący ludzie. Tam, na północy, znajduje się Mount Shasta, najwyższy szczyt gór Sierra Nevada.

Chauncey przysłuchiwała się brzmieniu jego głosu, nie zwracając większej uwagi na to, co mówi.

W jego głosie wyczuwało się zmęczenie. Uświadomiła sobie, że martwi się o niego. Co za ironia, pomyślała.

Drgnęła niespokojnie, gdy jeden z marynarzy krzyknął donośnie:

- Marysville!

ROZDZIAŁ 23

Chauncey spojrzała na „zblizające się” ku nim miasteczko. Stanowiło zlepek namiotów i drewnianych konstrukcji, ustawionych bez ładu i składu. W samym mieście i w promieniu pięćdziesięciu stóp od niego nie przetrwało ani jedno drzewo. Wszystkie zostały prawdopodobnie ścięte na opał podczas mroźnej zimy. Nawet z odległości kilkuset jardów czuło się, że miejscowość tętni życiem. Mężczyźni, stojący na długim nabrzeżu, gorączkowo machali sfatygowanymi kapeluszami. Chauncey przysunęła się bliżej Delaney, ponieważ pasażerowie wylegli na pokład i zrobił się spory ścisk. Pani Dobbs, zadziwiająca kobieta o wściekle rudych włosach, otarła się właśnie o Chauncey.

- Przepraszam, kochana. Straszny tu tłok, prawda?

- Tak, proszę pani, lecz mnie to wszystko wydaje się bardzo interesujące. Czuję się tak, jakbym znalazła się w innym świecie - dodała, zwracając się do Delaney.

Delaney doskonale rozumiał, co chciała przez to powiedzieć. Poszukiwacze złota zryli dziką niegdyś krainę, czyniąc ją jałową i brzydką jak grzech. Z pewnością o to chodziło Chauncey. Nie podobały jej się te zmiany. I choć podzielał opinię żony, nie pozwolił sobie, by jego serce, choć na chwilę zmiękło. Nie uśmiechnął się do niej, ani nie okazał, że podziela jej uczucia. Ostatnie półtora dnia stanowiło ciężką próbę i nie raz zadawał sobie pytanie, po co właściwie zabrał ze sobą żonę. Nie wierzył, by w San Francisco mogło grozić jej poważne niebezpieczeństwo.

Już prędzej coś złego może ją spotkać w tej głuszy.

Zmusił się, by o tym nie myśleć i tylko zapytał chłodno:

- To coś zupełnie innego niż twoja dekadenska, nazbyt cywilizowana Anglia, prawda?

- Tak - przyznała Chauncey, czując, jak opuszcza ją radosne ożywienie, wywołane nowymi przeżyciami. - Rzeczywiście.

On ze mną walczy. Podsycy swój gniew.

Rozumiała to, a jednak jego lekceważące zachowanie bolało, i to bardzo.

Spojrzała w kierunku pani Dobbs, machającej szaleńczo ku mężczyznom na brzegu, roześmianej i pokrzykującej.

- Mam nadzieję, że rodzina już czeka, by ją powitać.

Delaney roześmiał się oziębło.

- Więc nie rozpoznałaś w niej pokrewnej duszy?

- Co masz na myśli?

- Twoja pani Dobbs to dziwka. Jest jak Anglia, nieco zbyt przejrzała i nadmiernie rozkwitła, lecz mężczyźni w Marysville i tak przyjmą ją, że tak powiem, z otwartymi ramionami.

W końcu udało mu się mnie sprowokować, pomyślała. Zaczerpnęła głęboko powietrza i zapytała chłodno:

- Więc kobietę, która reaguje na pieszczoty męża, uważasz za dziwkę?

- Bez wątpienia, jeśli czyni to z powodów innych niż... uczucie. Gdybyś przynajmniej zażądała ode mnie pieniędzy, mógłbym uznać cię za uczciwą dziwkę.

- Świetnie. A zatem ile powinnam zażądać?

- Wzięłaś już dość.

To na nic, pomyślała. On trzyma mnie na dystans. Zmusiła się, by wzruszyć ramionami i znowu zaczęła przyglądać się miastu.

- Nie mogę przestać się zastanawiać, jak będzie wyglądało to miejsce za... powiedzmy, dziesięć lat. Z pewnością do tego czasu po złocie nie będzie już śladu. Jak sądzisz, czy ludzie tu zostaną i wybudują miasto?

- Nie jest tak źle, jak sądzisz. Kiedy byłem tu ostatnim razem, Marysville liczyło sobie ponad sześć tysięcy mieszkańców. Działał tu teatr i ukazywały się dwie gazety. Jednym słowem, ośmielę się twierdzić, że było to bardziej kulturalne miejsce niż wiele miast w Anglii. W tutejszych sklepach wybór towarów jest niemal tak duży i urozmaicony, jak w Sacramento.

- Jak nazywają się te rzeki?

- Teraz znajdujemy się u górnym biegu Feather i Yuby. Spędzimy tu noc, a rano wyruszymy konno w głąb ładu, ku Downieville.

- Czy tu jest dużo kopalń złota?

- Owszem, poza tym w okolicy wydobywa się także kwarc. Jego wartość stanowi w przybliżeniu trzynaście procent wydobywanego w tych stronach złota. Fascynujące, czyż nie, moja droga?

Choć w głosie Delaneya nietrudno było doszukać się kpiny, Chauncey nie zareagowała.

- Chyba powinnam zobaczyć, jak to się robi - powiedziała spokojnie.

- Być może, jeśli zdecydujesz się tu kiedykolwiek wrócić, będziesz mogła zobaczyć wszystkie fascynujące szyby i chodniki, a nawet przyrzyć się płukaniu złota, wydobywanego z rzeki Yuba. Czy mam opowiedzieć ci o drewnianych kanałach?

- Nie, nie potrafię wyobrazić sobie tego, o czym mówisz.

- I pomyśleć, że uważałem cię za tak twórczą i pełną pomysłów, zwłaszcza w łóżku. Przysięgłbym, że przy pewnej praktyce mogłabyś rywalizować nawet z Marie.

Chauncey wzdrygnęła się, ale nie odpowiedziała.

Rzeczywiście, w Marysville nie brakowało sklepów, magazynów i niezliczonych salonów gry. Chauncey szła obok Delaneya główną ulicą, pilnując, by rąbek spódnicy nie nurzał się w szerokich, błotnistych kałużach. Było ciepło i szybko poczuła, że się poci. Świadoma ścigających ją męskich spojrzeń, pełnych podziwu i pożądania, zastanawiała się, czy cały ten pościg za złotem wart jest życia w tak prymitywnych warunkach, z dala od domu i bliskich.

- Zostaniemy tu na noc - powiedział nagle Delaney.

„Złota Gęś” była dwukondygnacyjnym hotelem, zapewne całkiem niedawno wzniesionym. Budynek wyglądał na prymitywny i niewykończony. Za wąską ladą recepcyjną stał bardzo wiekowy mężczyzna. Zbyt stary, by szukać złota, pomyślała Chauncey.

Mały pokoik, który zajęli, znajdował się na pierwszym piętrze, a jego okna wychodziły na główną ulicę. Było tu wąskie łóżko, miednica ustawiona na starej komodzie i szafa bez drzwi.

Delaney będzie musiał spać ze mną w jednym łóżku, pomyślała, zastanawiając się, jak postąpić.

Delaney myślał o tym samym. Potrzebował snu, jednak zdawał sobie sprawę, iż leżenie obok niej okaże się torturą, jeśli nie będzie mógł - czy chciał - wziąć jej w ramiona.

- Przebierz się w coś bardziej odpowiedniego, moja droga - powiedział w końcu. - Pójdziemy zwiedzić miasto i postaramy się o zaopatrzenie.

- Będziesz musiał mi pomóc przy rozpinaniu guzików.

Delaney odłożył cygaro.

- Nie bardzo nadajesz się na żonę pioniera, prawda? Jesteś bezradna, jeśli w pobliżu nie ma służącej, która mogłaby się tobą zająć.

- Kiedy będę miała na sobie ubrania, które ostatnio kupiłam, z pewnością nie będę potrzebowała niczyjej pomocy. Zwłaszcza twojej.

Czuł się jak głupiec, prowokując ją w ten sposób. Zmarszczył brwi, zmagając się z drobnymi guziczkami. Pragnął, by z nim walczyła, a nie odpowiadała w tak rozsądny sposób, jakby na niczym jej nie zależało.

- Widzę, że nadal nie nosisz gorsetu.

- Nie - powiedziała, drżąc pod dotykiem jego palców.

- Być może powinnaś o tym pomyśleć. Gorset doskonale maskuje niedostatki kobiecej sylwetki.

Przeklęty kłamco, mógłbyś teraz objąć jej talię!

- Z pewnością nie chciałbyś, abym zaczęła go nosić? - spytała, zdziwiona, że potrafi mówić tak spokojnie i z taką pewnością siebie. - Będziemy podróżowali konno i obozowali na otwartej przestrzeni, prawda?

- Tak - powiedział, zmuszając się, aby nie patrzeć na jej nagi kark. - To będzie zupełnie nowe doświadczenie dla takiej damulki z Anglii. Powiedz mi, potrafisz przynajmniej rozpalić ognisko?

Zsunęła suknię z ramion i pozwoliła jej opaść. Czyżby usłyszała za sobą westchnienie? - Z pewnością znasz odpowiedź na to pytanie.

Pochyliła się, by podnieść porzuconą część garderoby. Kiedy się wyprostowała, spojrzała na niego, przyciskając suknię do piersi.

- I wiesz, że szybko się uczę. Nie będę opóźniać podróży, Delaney, ani stanowić dla ciebie ciężaru.

Dlaczego ona zakrywa ciało, pomyślał, rozczarowany.

- Doprawdy, co za skromność, droga żono - powiedział, pragnąc wyprowadzić ją z równowagi. - Czy nie za późno na odgrywanie dziewicy?

Przez chwilę tylko wpatrywała się w niego, a potem podjęła decyzję. Powoli opuściła suknię i odrzuciła ją na krzesło. Zsunęła ramiączka koszuli i pozwoliła, by miękki jedwab opadł jej do talii.

Delaney zagapił się na jej piersi. Jego ciało natychmiast odpowiedziało na wyzwanie.

- Do licha, Chauncey - szepnął miękko.

- Czy dziesięć uncji złota to nie za mało? Czy nie powinnam zażądać więcej? - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Odwrócił się i podszedł do drzwi. Na progu rzucił jeszcze przez ramię, nie oglądając się za siebie:

- Zaraz wracam. Kładź się.

Wrócił późnym popołudniem. Wyjaśnił krótko, że poczynał konieczne zakupy.

Zabrał ją na kolację do restauracji Colleen, prowadzonej przez dwóch Irlandczyków. Gdy tylko uporali się ze wspaniałym gulaszem z wołowiny, odprowadził ją z powrotem do hotelu i zostawił pod drzwiami pokoju.

Wśliznęła się pomiędzy zimne prześcieradła. Jej ciało natychmiast zsunęło się w zagłębienie

materaca.

Boże, spraw, aby wszystko znów było dobrze.

Mniej więcej godzinę później Delaney wrócił do pokoju. Choć starał się zachowywać cicho, usłyszała odgłos upuszczanych na podłogę butów. Milczała, udając, że śpi.

Kiedy materac ugiął się pod jego ciężarem, wstrzymała oddech. Delaney potoczył się w jej stronę, zaklął cicho i odsunął się na swoją stronę łóżka.

Następnego ranka Chauncey obudziła się pierwsza. Z trudem uniosła się do pozycji siedzącej i spojrzała na męża. Leżał na brzuchu, z twarzą przyciśniętą do poduszki i odwróconą w jej stronę. Jego miękkie włosy były potargane, a bruzdy gniewu i rozczarowania, które przed kilkoma dniami pojawiły się na jego twarzy, znikły teraz, wygładzone snem. Wyglądał jak mały chłopiec, którego łatwo skrzywdzić. Bezwiednie przesunęła palcami po jego brodzie. Jasnobrązowa szczecina zaszeleściła pod jej palcami. Boże, jak bardzo go kochała! Lecz było już za późno, o wiele za późno. Właściwie było za późno, nim jeszcze go poznała. Ciekawe, kiedy właściwie się w nim zakochała. Nadal pamiętała błysk jego oczu tego wieczoru, kiedy tańczyli na balu u Stevensonów, a ona nie wiedziała jeszcze, kim jest jej partner. Prowokował ją, pokpiwał sobie z niej. Sprawiał, że się śmiała. Pomyślała o jego dłoniach, gładzących jej ciało i dostarczających tylu przyjemności. Zadrżała. Dawno już zapomniała o bólu, związanym z utratą dziewictwa, ale pamiętała, że nawet wtedy, ich pierwszej nocy, Delaney był taki uważny i delikatny, tak bardzo się starał, aby jej nie urazić... Poczowała, jak ogarnia ją rozpacz. Pochyliła głowę.

- Nie waż mi się płakać! Pociągnęła nosem, nie patrząc na niego.

- Nie płaczę.

- To dobrze, ponieważ nie dałem ci po temu żadnego powodu.

Odrzucił kołdrę i wstał. Był nagi.

- Podoba ci się to, co widzisz, żono? Wzdrygnęła się, słysząc szyderczy ton w jego głosie.

- Tak - powiedziała, unosząc twarz. - Owszem. Zawsze mi się podobało. Jesteś piękny.

Delaney odwrócił się do niej plecami, niezdolny wymyślić żadnej riposty. Nie zawracał sobie głowy ubieraniem, dopóki się nie umył i nie ogolił.

- No cóż - powiedział w końcu. - Pora wstawać. Wyjeżdżamy za godzinę. Włóż wygodne ubranie.

Zrobiła, co kazał.

Spojrzeli na siebie, zdumieni przemianą, jaka w ich zaszła. Delaney odziany w skórzane spodnie, czarne wysokie buty, białą koszulę z długim rękawem, kamizelkę i żakiet wydał jej się kimś zupełnie innym. Zwłaszcza kiedy zobaczyła, jak zapina wokół talii pas z rewolwerem.

- Wyglądasz jakoś inaczej - powiedziała.

- A ty, czyż nie przypominasz dzielnej pionierki? - odparł chłodno, choć w głębi duszy uważał, iż Chauncey wygląda ślicznie w wełnianej spódnicy i białej bluzce, z włosami zaplecionymi w gruby warkocz.

- Ten strój chyba będzie odpowiedni - powiedziała.

- Nie chowaj żakietu do bagaży. W górach będzie na pewno chłodniej.

- Oczywiście.

W milczeniu spakowali walizki, a potem zeszli na dół, by zjeść śniadanie w hotelowej restauracji.

- Najedz się - powiedział Delaney. - Od tej chwili będziemy zdani tylko na siebie. A ponieważ ty

nie masz pojęcia o gotowaniu, to ja będę szefem kuchni.

Staruszek, który pełnił obowiązki również recepcjonisty, przyniósł im jajecznicę, bekon, górę tostów i zapytał:

- Wyruszenie w głąb ładu? Delaney skinął głową.

- Do Downieville.

- Słyszałem, że pogoda jest raczej niepewna. A to długa droga.

- Dobre siedemdziesiąt mil. Są tam Indianie?

- Oni zawsze są gdzieś w pobliżu. Przekłęci zebracy, łatwo wyprowadzić ich z równowagi, a wtedy nietrudno o kłopoty. Czy twoja pani jedzie z tobą?

- Tak.

- To cholerne pustkowia, za przeproszeniem szanownej pani. Niewiele dotąd widziałem takich kobiet. Proszę się ciepło ubrać.

Chauncey uśmiechnęła się do niego, gdyż były to pierwsze życzliwe słowa, jakie słyszała od wielu dni.

- Proszę sobie kupić rękawiczki.

Delaney zmarszczył brwi. Zapomniał o rękawiczkach. Spojrzał na białe, delikatne dłonie żony.

- Wszystko w porządku, Del - zapewniła go pośpiesznie. - Wiem, że chciałeś wyruszyć jak najwcześniej. Nie potrzebuję rękawiczek.

- Oczywiście, że potrzebujesz. Obudzę starego Joego Cribbsa. Dokończ posiłek, bo to ostatnie porządne jedzenie, jakie będziesz miała okazję zobaczyć w ciągu następnych trzech dni.

Chauncey opuściła głowę i na powrót zajęła się jedzeniem.

Po jakiego czorta ją tu ściągnąłem, zadawał sobie pytanie Delaney. I czemu upierał się, by podróżować do Downieville łądem?

Bo chciałeś spędzić z nią jeszcze trochę czasu, ty głupcze.

Ruszyli na północny wschód. Delaney narzucił szybkie tempo. Jechali, nie tracąc z oczu rzeki Yuba, mijając zajętych płukaniem złotonośnego piasku poszukiwaczy i ich obozowiska. Delaney nie zatrzymywał się ani nie rozmawiał z nią. A kiedy wreszcie zarządził postój, słońce stało już wysoko na niebie. Chauncey zsunęła się z grzbietu klaczy, czując, jak uginają się pod nią kolana. Nie spędziła tyle czasu w siodle, od kiedy miała szesnaście lat. Przytupnęła parę razy, a potem podeszła ku urwistemu brzegowi i spojrzała na rzekę Yuba. Była piękna. Chauncey rozłożyła szeroko ramiona, jakby chciała objąć nimi wspaniałe, wysokie drzewa, porastające pobliskie wzgórza, które pojawiły się wokół nich mniej więcej przed godziną.

- Czuję się tak, jakbym była pierwszą osobą, jaka się tu kiedykolwiek pojawiła - powiedziała.

Delaney doskonale rozumiał jej podziw. Sam odczuwał podobnie, ilekroć podróżował do Downieville łądem.

- Włóż kapelusz - powiedział. - Słońce mocno przygrzewa i może cię poparzyć.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała i weszła w gęstwinę krzaków.

Kiedy się z nich wyłoniła, Delaney wręczył jej grubą kromkę chleba, posmarowaną jakąś podejrzaną masą. Rozpoznała jedynie smak fasoli.

- Pachnę jak koń - zauważyła.

- Do jutra nie będziesz czuła, jak pachnie którekolwiek z nas.

- Tak tu spokojnie.

- Owszem.

- Czy przez cały czas będziemy podróżowali przez takie dzikie, piękne okolice?

- Nie, dopóki nie oddalimy się bardziej od rzeki. Nawet teraz nie jesteśmy dalej niż dwie, trzy mile od obozu górników.

- Czy zobaczymy Indian?

- Bardzo możliwe.

- Jacy oni są?

- W większości nieszkodliwi i zupełnie bezradni. Wydaje się, że wraz z przybyciem kolejnego osadnika w Kalifornii umiera jeden Indianin. Są także odszczepieńcy, którzy, by przeżyć, zaszyli się głęboko w lasach. Skończyłaś?

Wręczyła mu talerz, ale on tylko spojrział na naczynie.

- Wyszoruj go piaskiem. Wątpię, czy na odległość słuchu znajdują się tu jacyś służący.

- Wystarczyłoby, gdybyś po prostu powiedział mi, co mam zrobić - oznajmiła spokojnie, spoglądając na niego - po co ten sarkazm.

- Wyszoruj go piaskiem - powtórzył.

Razem spakowali zapasy. Chauncey czuła, że jej mięśnie z każdą chwilą coraz bardziej sztywnieją. Spojrzała z ukosa na klacz, Dolores. Delaney dosiadł z wdziękiem swego konia i teraz czekał na Chauncey.

Wdrapała się na siodło.

Zapuscili się mniej więcej na milę w głąb łądu. Nie było tu żadnych szlaków i na ogół konie po prostu szły, unikając gęstych krzaków jeżyn. Chauncey nie słyszała już śpiewu ptaków. Obolałe pośladki i zupełnie zdrętwiałe nogi sprawiały, że wspaniałość wzgórz i lasu nie robiła teraz na niej większego wrażenia.

Nie skarżyła się jednak. Obiecała, że nie spowolni podróży.

Delaney spostrzegł, jak jest wyczerpana, mimo to nie zatrzymał się, nim nie przebyli kolejnej mili. W końcu kiedy znaleźli się na małej polance, którą przecinał połyskujący czystą wodą strumyk, zsiadł z konia i zarządził postój.

- Zostaniemy tu na noc, Chauncey. Wytrzymaj konie i dopilnuj, by były dobrze spętane.

I ani słowa więcej.

Obrzuciła zimnym spojrzeniem jego plecy, zacisnęła zęby i zeskoczyła na ziemię. Nogi ugięły się pod nią i musiała przytrzymać się łęku. Bolały ją mięśnie.

- Dopilnuj wszystkiego, Chauncey! I nazbieraj trochę drewna na opał. Ja idę zapolować.

Odwróciła się błyskawicznie, zapominając o bólu.

- Nie! - krzyknęła. - Nie zostawiaj mnie samej! Delaney odwrócił się i głębiej wcisnął na czoło kapelusz.

- Nawet angielskie damulki muszą płacić za kolację. Niedługo wrócę. Trzymaj się blisko koni, kiedy już wypełnisz swoje obowiązki.

Co powiedziawszy, zniknął pomiędzy drzewami ze strzelbą pod pachą.

- Ty złośliwy, nieczuły bękarcie - burknęła pod nosem, spoglądając w ślad za nim. - No dobrze, Dolores, zaraz zdejmę ci siodło. Ty, Hank - dodała pod adresem ogiera Delaneya - będziesz następny. Przestań na mnie parskać i okaż trochę cierpliwości.

W godzinę później Chauncey, uśmiechając się do siebie, grzała dłonie nad małym ogniskiem, które rozpaliała. Pośladki były już rozłokowane wokół ognia, spętane konie pasły się w pobliżu, a ona wreszcie była czysta.

Usiadła, krzyżując nogi i, podparwszy dłonią podbródek, wlepiała wzrok w ogień. Słońce chyliło się ku zachodowi. Próbowwała skupić się na pięknie otaczającego ją krajobrazu, lecz nadaremnie. Zrobiło się chłodniej i cisza wokół była wręcz niepokojąca.

Krzyknęła, gdy w pobliżu rozległ się strzał.

Mów do siebie. Tak, właśnie. Albo do koni.

- Cześć, Dolores, cześć, Hank. Czy trawa jest dobra? Chyba już nie chce wam się pić?

Dolores zarżała.

Chauncey skoczyła na równe nogi, lecz zachwiała się i omal nie przewróciła. Pozostające zbyt długo w jednej pozycji mięśnie zesztyniały i teraz dokuczały jej skurcze. Pocierała właśnie obolałe pośladki, kiedy z lasu wynurzył się Delaney, niosąc martwego królika.

Chauncey przełknęła gwałtownie i odsunęła się, niemal zatrwożona.

- Nie martw się - powiedział Delaney. - Nie każę ci brudzić tych pięknych rączek. Nie chcę też, żebyś zwymiotowała jedyny obiad, jaki będziemy mieli okazję dziś zjeść.

Chauncey nie zmusiłaby się, by patrzeć, jak Delaney oprawia królika. Zaczęła spacerować wokół obozowiska, unikając widoku męża i okropnych czynności, które wykonywał, a przy okazji starając się rozluźnić mięśnie.

- Jedzenie będzie gotowe za dwadzieścia minut - usłyszała w końcu. - Chodź tutaj, będziesz obracała królika nad ogniem. Ja idę popływać.

Kiedy wrócił, odziany jedynie w koszulę, drżał. Woda była zimna.

- Rozpaliłam ogień - powiedziała Chauncey i odwróciła głowę, by nie patrzeć na jego pięknie rzeźbione mięśnie.

- Tak, widzę. Zapalki to wspaniały wynalazek, nie uważasz? Następnym razem gałęzie ułóż luźniej, aby powietrze mogło przepływać między nimi. O, tak.

Obserwowała w milczeniu, jak Delaney ustawia kilka patyków, łącząc je razem na kształt stożka.

- Królik gotowy - powiedziała.

- Raczej spalony na węgiel.

- Rozłożyłam naczynia i posłania.

- I porozmawiałam sobie z końmi. Słyszał ją!

- To jedyne przyjazne towarzystwo, jakie tu znalazłam!

Delaney ukląkł przed ogniskiem i zaczął odcinać przypalone mięso od kości.

- Nie otworzyłaś puszek z fasolą?

- Nie.

Spojrzała na mięso, spalone z wierzchu i niemal surowe w środku.

Jedli w milczeniu. Chauncey pragnęła jedynie zwinąć się w kłębek na posłaniu i dać odpocząć obolałym mięśniom.

- Następnym razem nie zapomnij obracać mięsa nad ogniem.

- Uważam, że jest doskonałe.

- Skończyłaś?

- Tak.

- Wyczyszczę talerze, a ty nazbieraj więcej drewna. W lesie jest mnóstwo interesujących stworzeń. Nie chciałbym dzielić posłania z żadnym z nich.

Nazbieraj więcej drewna! Z trudem dźwignęła się na kolana. Pod ręką nie było niczego, na czym mogłaby się wesprzeć. Czy on nigdy nie bywa zmęczony? Poruszał się tak, jakby dopiero co wstał z

łóżka po dobrze przespanej nocy.

Kiedy przywlokła w pobliże ogniska kilka uschłych gałęzi, stwierdziła, że nie jest w stanie się więcej poruszać. Opadła bezwładnie na posłanie.

Delaney uniósł brwi. Wiedział, że Chauncey musi być u kresu sił. Jego także bolały mięśnie, a przecież był przyzwyczajony do długiej jazdy. Podeszedł do swego bagażu, wyjął z niego mały słoik i rzucił go żonie na kolana.

- To specjalne mazidło. Pachnie jak nawóz, ale działa. Wetrzyj je w uda i pośladki.

Odszedł, aby nazbierać więcej drewna i zostawił ją samą. Z niemałym trudem zdjęła spódnicę, buty i bieliznę. Otworzyła słoik i aż ją odrzuciło. Nawóz?! Raczej zdechła przed trzema dniami ryba! Mimo to zanurzyła w słoiku palec i zaczęła wcierać chłodną maź w obolałe mięśnie.

Tylko jak, na miłość boską, ma wetrzeć sobie maść w pośladki?

- Odwróć się na brzuch.

Stał nad nią, rozstawiwszy szeroko nogi, z rękami wspartymi na biodrach.

- Znowu ta skromność? Zbadałem już twoje wdzięki całkiem dokładnie. Czyż nie obiecałaś, że nie będziesz opóźniać podróży? Jeśli teraz ci nie pomogę, jutro nie będziesz w stanie wsiąść na grzbiet kłaczy. Odwracaj się.

Podciągnęła koszulę i powoli odwróciła się na brzuch. Od bioder w dół była naga.

- Leż spokojnie.

Ukląkł po obu stronach jej ud i wkrótce poczuła na pośladkach jego dłonie.

Delaney spojrział w dół na piękne biodra żony i spostrzegł, że wkrótce pokażą się tam siniaki. Nie starał się być delikatny, przeciwnie, jeszcze wzmocnił nacisk dłoni, masujących starannie obolałe ciało. Chauncey jęknęła. Boże, ależ jej pragnął! Zaczerpnął gwałtownie powietrza. Jego palce zbłądziły między jej uda. Była tam taka gorąca!

Wystarczyło, by przewrócił ją na plecy i posiadł. Szybko starł z dłoni resztki maści, a potem wsunął w nią palec.

Chauncey miała ochotę płakać i wrzeszczeć jednocześnie. Słyszała jego przyśpieszony oddech.

- Ile zamierzasz mi zapłacić? Wsunął palec głębiej.

- Przestań! - jęknęła.

Próbowała odsunąć się od niego, lecz Delaney ścisnął kolanami jej uda, uniemożliwiając wszelki ruch.

- Jesteś moją żoną i mogę cię brać gdzie i kiedy zechcę.

- Ty wcale mnie nie pragniesz, po prostu chcesz mnie ukarać i sprawić mi ból!

Wysunął z niej palec i położył dłoń na jej łonie.

- Owszem, pragnę cię, żono, a gdybyś dotknęła się tak, jak ja cię dotknąłem, przekonałabyś się, że jesteś chętna i gotowa.

Przesunął palcami po jej brzuchu i Chauncey poczuła, jak były wilgotne. Dlaczego nie, pomyślała, zrezygnowana. Przynajmniej na kilka chwil Delaney zapomni o swoim gniewie i będzie jak dawniej.

- Doskonale - powiedziała.

ROZDZIAŁ 24

Delaney zamarł. Jestem cywilizowanym człowiekiem, pomyślał, nie jakimś żalosnym dzikusem. Lecz ona cię pragnie!

Potrząsnął głową. Nie wiedział, czego ona tak naprawdę chce. Powoli wysunął spod niej dłoń i wstał. Zobaczył, że Chauncey wtuliła twarz w pościel.

- Naprawdę pachniesz jak koń - powiedział, odwracając się, by stanąć przy ogniu. - Ubierz się. Dama nie powinna leżeć z gołym tyłkiem.

Chauncey nie płakała, była zbyt wściekła, by ronić łzy. Jego okrutne słowa sprawiły, że gniew jeszcze się w niej nasilił. Powoli odwróciła się na plecy i uniosła nieco na łokciach. Od pasa w dół była całkiem naga i nie wykonała najmniejszego ruchu, aby się okryć.

- Ty też nie pachniesz zbyt słodko - rzuciła z furją.

- Ubierz się - powtórzył.

- Po co? - przeciągnęła się, wyginając plecy. - Jesteś moim mężem i sam powiedziałeś, że dokładnie przyjrzałeś się moim wdziękom.

- Jeżeli natychmiast się nie zakryjesz, wezmę cię. Bardzo szybko. Ręczę, że to ci się nie spodoba.

Nie poruszyła się, patrzyła na niego, a jej oczy w nikłym blasku gasnącego ognia miały wyraz tajemniczy i nieodgadniony.

Zaczął rozpinać guziki spodni.

- Chcesz zaryzykować powrót do Anglii z dzieckiem w brzuchu?

W tej chwili wydawał się Chauncey kimś zupełnie obcym i próżno było doszukiwać się w nim cech mężczyzny, którego pokochała.

- Czy nigdy mi nie wybaczysz? Nie postarasz się zrozumieć?

Jego pożądanie minęło jak ręką odjął. Pomyślał, że teraz, nawet gdyby chciał ją ukarać, pewnie i tak nie byłby w stanie tego zrobić.

- Idę sobie ulżyć - powiedział i znikł w ciemnościach.

Kiedy wrócił, Chauncey leżała na boku, przykryta kołdrą i wyglądało na to, że śpi.

Jego głos obudził ją następnego ranka. Mrugnęła parę razy i głośno jęknęła. Ziemia to jednak nie to samo co łóżko, pomyślała. Zacisnęła zęby i zwlokła się z pościeli. Ranek wstał chłodny, a słońce z trudem przebijało się przez gęste listowie.

- Nazbieraj drewna.

Nie odezwała się. Zrobiła, co jej kazał. Ruch przywrócił sprawność zeszywniałym mięśniom.

Delaney obserwował, jak Chauncey się porusza - najpierw sztywno, potem coraz swobodniej. Ma silny charakter i jest uparta niczym muł, ocenił. Kiedy wróciła do ogniska z naręczem gałązek i patyków, czym prędzej zajął się przygotowaniem kawy.

- Rozpal ogień tak, jak cię nauczyłem. Idę objuczyć konie.

Kawa była czarna, gorzka i smakowała lepiej niż kiedykolwiek. Wypiła ją pośpiesznie, parząc sobie język. Westchnęła, a potem wytrząsnęła resztki płynu z kubka i wstała.

- Jestem gotowa - powiedziała. Chrząknął, nie patrząc na nią.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, uśmiechając się mimo woli na widok jego coraz bardziej zarosniętych policzków. Włosy miał zmierzwiłone, a jego koszula nie była już tak biała. Jeszcze nigdy nie wydawał jej się taki przystojny.

- Idę do strumienia obmyć twarz - oznajmiła. Skinął głową.

- Za pięć minut wyruszamy.

- Wiesz, Del - powiedziała z namysłem, oparłszy dłonie na biodrach - jeżeli szybko nie zdecydujesz, czego naprawdę chcesz, z pewnością umrzesz, zadreńczony na śmierć własną przewrotnością i uporem.

- Pięć minut - powtórzył, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy. Do licha, miała rację, i on o tym wiedział.

Pięć minut później Chauncey spojrzała z obawą na Dolores.

- No cóż, moja droga - powiedziała, głaszcząc aksamitne chrapy klaczy - nie ma sposobu, by tego uniknąć, a skoro ty możesz dalej iść, to ja też.

Rzeka wiła się w pewnej odległości, to ukazując się, to znikając pomiędzy stromymi, urwistymi brzegami. Drzewa rosły tak gęsto, że słońce przedzierało się w dół jedynie w postaci wąskich promieni. Cisza, panująca wokół, byłaby może błogosławieństwem, gdyby tylko Chauncey miała się do kogo odezwać.

Pragnęła pytać o nazwy mijanych drzew, lecz twarz męża pozostawała niewzruszona i ponura. A ptaki! Było ich wiele, lecz ona nie potrafiła rozpoznać ani jednego gatunku! Widziała jelenie, króliki, wiewiórki, a nawet lisa. Wydawało się, że wszystkie zwierzęta spoglądają na nią z lekceważeniem. Tu, w ich królestwie, była jedynie intruzem.

Dzień ciągnął się w nieskończoność. Chauncey coraz bardziej dokuczały skurcze, żałowała także, iż nie podłożyła sobie pod pośladki pledu.

Kiedy późnym popołudniem wreszcie zatrzymali się na postój, Chauncey ze zdziwieniem spostrzegła, że w pobliżu znajduje się kolejny strumyk.

- Jechałeś już tędy, prawda?

Dźwięk własnego głosu, po tak wielu godzinach ciszy, niemal ją zaskoczył.

- Tak - odparł.

Tego wieczoru ogień, który rozpałała, był bez zarzutu. Chauncey nie czuła już takiej odrazy, spoglądając na martwą przepiórkę, którą upolował Delaney. Ostrożnie obracała ptaka nad ogniskiem; rezultat okazał się doskonały.

- Albo to jest najlepsze jedzenie na świecie, albo ja umieram z głodu - powiedziała.

- Jedzenie przygotowywane na otwartej przestrzeni zawsze smakuje lepiej. Być może sprawia to świeże powietrze, ogień albo zapach dymu.

- Boże! - wykrzyknęła, przyglądając mu się z przesadnym zdumieniem. - Tyle słów! I wszystkie wypowiedziane naraz!

- Jak wiesz, droga żono, mój dobry nastrój pryska w twoim czarującym towarzystwie. Pozwól, że zasugeruję, byś trzymała swój ostry język za zębami.

- Śmierć z powodu przewrotności i uporu - mruknęła pod nosem i odeszła, by się położyć.

Ledwie zapadła w sen, ulokowawszy się jakoś na twardej ziemi, poczuła, że ktoś kładzie jej rękę

na ustach. Zerwała się, przestraszona, próbując walczyć.

- Cicho bądź - szepnął Delaney, wzmacniając uścisk. - Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Poczuła, że strach ściska ją za gardło. Niedźwiedzie, myślała gorączkowo. Czyż w tych lasach nie ma niedźwiedzi? Naciągnęła wyżej pled i wbiła wzrok w ciemniejącą linię drzew. Węże? Czy to możliwe, by Delaney usłyszał węża? Przestań, kretynko, szepnęła przez zaciśnięte zęby. Węże pełzają i nie hałasują.

Suchy grzechot wystrzałów sprawił, że podskoczyła.

- Delaney!

Nic, cisza. Jej rewolwer! Opadła na czworaki i chwyciła w dłonie swój bagaż. Odrzuciła ubrania i zacisnęła palce na broni. W tym samym momencie czyjaś obuta stopa nastąpiła jej na rękę.

Krzyknęła z bólu i strachu i wypuściła rewolwer. Silne ramię zamknęło się wokół jej gardła i pociągnęło ją do tyłu. Napastnik był mężczyzną, i to okropnie cuchnącym. Słyszała jego ciężki oddech, a potem jęk bólu, gdy z całej siły wbiła mu łokieć w żołądek. Wysyczał coś do niej, ale nie rozumiała ani słowa. Dyszała, walcząc rozpaczliwie. Napastnik ścisnął ją za gardło, uniemożliwiając oddychanie. Jej krzyk przeszedł w charkot, jednak nie zaprzestała walki, nawet kiedy zrobiło jej się ciemno przed oczami. Ze wszystkich sił kopnęła mężczyznę w goleń.

Parsknął, odwrócił ją twarzą do siebie i wtedy przez moment, nim jego pięść dosięgła jej twarzy, mogła go widzieć. To Indianin, pomyślała i padła zemdlona.

Kręciło ją w nosie. Cóż to za okropny zapach? Poruszyła się niespokojnie, otworzyła oczy i zamrugowała. Twarz miała przyciśniętą do nogi jakiegoś mężczyzny, a odrażający smród pochodził z jego brudnych, skórzanych spodni. Próbowwała choć trochę się odsunąć. Wtedy ból przeszył jej szczękę, sprawiając, że jęknęła i zamarła.

Poczuła, że mężczyzna naciska mocno dłonią na jej kark, zmuszając, by powróciła do poprzedniej pozycji. Chyba zwymiotuję, pomyślała, przelatykając gwałtownie.

Coś do niej mówił. Lecz gardłowe dźwięki nie niosły ze sobą żadnego znaczenia. Zadarła nieco brodę, rozpaczliwie starając się coś zobaczyć.

- Delaney - szepnęła, nie zważając na kolejną falę bólu, wywołaną mówieniem. - Mój mąż! Gdzie on jest?

Mężczyzna znowu coś wybełkotał, zwrócony nieco w tył ku jadącemu za nim kompanowi.

Mdłości jeszcze się nasiliły. Zacisnęła zęby, wmawiając sobie, że to tylko senny koszmar, który wkrótce się skończy. Wystarczy się obudzić. Delaney tu będzie, cały i zdrowy.

Obudź się!

Szarpnęła się mocno i uniosła przy tym na tyle, że przez krótką chwilę patrzyła napastnikowi prosto w twarz.

Boże! Równie przerażające oblicze nie mogłoby jej się przyśnić nawet w najgorszym koszmarze! Te opadające na twarz, matowe czarne włosy, osadzone zbyt blisko siebie oczy, krogulczy nos i otwarte usta, ukazujące dwa szeregi rzadkich, pożółkłych zębów!

- Nie! - krzyknęła skrzekliwie, przeorując paznokciami jego nagą pierś.

Uderzył ją w bok głowy i znowu zapadła w nieświadomość.

- Nie, proszę, nie! Niech to się skończy. Proszę!

Chauncey poczuła na czole chłodny dotyk wilgotnego materiału. Umarłam i jestem w piekle, pomyślała. Nie otworzę oczu, jeszcze nie.

Jednak zrobiła to. Tuż obok niej klęczała młoda kobieta. Jej twarz, choć niemal równie

odpychająca jak u tamtego mężczyzny, odzwierciedlała jednak do pewnego stopnia emocje, a może nawet współczucie, widoczne zwłaszcza w wyrazie czarnych jak węgiel oczu. Twarz ta była doskonale okrągła; otaczały ją gęste czarne włosy zaplecione w dwa przerzucone przez ramię warkocze. Śmierdziała nie mniej niż mężczyzna, i żołądek Chauncey natychmiast zaprotestował.

- Gdzie jestem? - spytała, przełykając konwulsyjnie.

- Proszę, niech się pani nie rusza - odezwała się kobieta. - Zajmę się panią.

- Mój mąż - zapytała Chauncey łamiącym się głosem. - Gdzie on jest?

- Nie wiem, Chatca nie mówić.

- A kim ty jesteś?

- Ojciec Nesbitt nazwał mnie Cricket, po sławnym białym człowieku. Ojciec Nesbitt pozwolił mi, bym zajmowała się jego domem i nauczył mnie dobrze mówić po angielsku.

Zacny ojczulek musiał mieć swoiste poczucie humoru, pomyślała Chauncey.

- Ojciec Nesbitt nie żyć, bo Chatca chce wziąć mnie ze sobą. Wypij to, pani, a ból odejdzie.

Chauncey otworzyła usta i spróbowała gęstego płynu o wstrętnym smaku. Zakrztusiła się i spróbowała wypluć to, co upiła, lecz Cricket przytrzymała jej głowę, zmuszając, by przełknęła do końca.

- Chatca mówi, ty jesteś demonem - powiedziała kobieta z podziwem.

Chauncey opadła na posłanie, dotykając policzkiem brudnego futra. Też mi demon, pomyślała. Leżę tu bezsilnie, niezdolna walczyć nawet z kobietą.

Spojrzała na dziewczynę:

- Czy ja umrę? Otrułaś mnie?

- Nie, ale teraz zaśniesz, a kiedy się obudzisz, będziesz czuła się znacznie lepiej. Chatca chce, żebyś czuła się lepiej.

Chauncey spała bez żadnych snów, a kiedy się ocknęła, stwierdziła, że jest sama i że czuje się znacznie lepiej. Szczeka nadal jej dokuczała, ostry ból w skroni przerodził się w tępe pulsowanie. Podciągnęła się na łokciach i rozejrzała wokół. Leżała na brudnych futrach, rozpostartych na równie brudnej podłodze. Znajdowała się wewnątrz czegoś w rodzaju małego szałas, w którym panował okropny zaduch. Drzwi nie były właściwie drzwiami, lecz wąskim otworem, przysłoniętym skórą. W szałasie znajdowało się ponadto kilka brudnych koców i parę starych garnków.

- Delaney - szepnęła.

Groza sytuacji uderzyła ją niczym obuchem. Zaszlochła. On nie mógł zginąć, nie mógł! Pomyślała o trzech wystrzałach. Czy jeden z nich pozbawił go życia?

Opanuj się!

Zaczerpnęła głęboko tchu. Indianie. Ciekawe, ilu ich jest. I dlaczego ją porwali. Co chciał z nią zrobić ten Chatca? Przypomniała sobie słowa Delaneya o bezradności Indian. No cóż, Chatca z pewnością radził sobie doskonale! Poczowała spływającą pomiędzy piersiami stróżkę potu. W szałasie było gorąco jak w piecu. Powoli dźwignęła się do pozycji siedzącej, a potem uklękła. Głowa nie bolała już tak dotkliwie. Ostrożnie przesunęła dłonią po szczęce. Bolało, ale nie tak, aby nie dało się tego wytrzymać.

Wstań, Chauncey. Musisz zobaczyć, gdzie jesteś i ilu Indian znajduje się w pobliżu.

Oparła dłonie płasko na podłodze i z trudem dźwignęła się do pozycji pionowej.

- Już pani lepiej. Mówiłam, że tak będzie.

- Cricket - powiedziała Chauncey, chwiejąc się na nogach.

- Założę się, że ty głodna, pani. Przyniosę coś do jedzenia.

- Nie, zaczekaj! Muszę wiedzieć, gdzie jestem! Musisz powiedzieć...

Lecz Cricket już zniknęła. Chauncey podeszła zwolna do wejścia i odchyliła zasłonę. Słońce świeciło wysoko na niebie. O Boże, pomyślała, ile też czasu minęło od chwili napadu? Zmusiła się, by się rozejrzeć. W pobliżu zobaczyła jeszcze dwa szałas, stojące w kręgu, pośrodku którego płonęło sporych rozmiarów ognisko. Nad ogniem zwieszał się zardzewiały żeliwny kociołek. Zapach jedzenia sprawił, że zaburczało jej w brzuchu. Zobaczyła, że Cricket wynurza się z lasu, podchodzi do kociołka i nabiera do drewnianej miseczki nieco gęstego wywaru.

- Wejść do środka, pani! Chatca będzie zły, kiedy znajdzie cię na zewnątrz!

- Gdzie on jest? I gdzie są... inni?

- Brat Chatcy, Ivan, jest w namiocie ze swoją kobietą. To zły człowiek. Lepiej, żeby cię nie widział.

Ivan! Jeszcze jeden przykład spaczzonego poczucia humoru księdza? Chauncey już miała wśliznąć się z powrotem do szałasu, gdy zobaczyła następną kobietę, tym razem starszą i grubszą. Jedyne części garderoby, jaką miała na sobie - coś w rodzaju skórzanej sukni - była niewiarygodnie brudna. Sięgała aż do kostek, utrzymywana pod biustem za pomocą rzemienia. Kobieta spostrzegła Chauncey i wydała z siebie szereg płaczliwych, chrapliwych dźwięków, przerywanych angielskimi przekleństwami.

Cricket odwróciła się i krzyknęła ile sił w płucach. Chauncey cofnęła się, spostrzegłszy w oczach starszej kobiety błysk czystej, nieskrywanej nienawiści.

- Wejść do środka, pani - zawołała Cricket, nie spuszczać wzroku z Indianki.

Chauncey wsunęła się do szałasu i opadła na futra. W chwilę później nadeszła Cricket, niosąc drewnianą miskę z jedzeniem. Wręczyła ją Chauncey, a potem jak gdyby nigdy nic wydobyla skądś groźnie wyglądający sztylet i zaczęła go wycierać w kawałek szmaty.

- Tamba szaleje z zazdrości - stwierdziła Cricket rzeczowo. - Następnym razem potnę jej tę brzydką twarz.

- Szaleje z zazdrości o co?

- Chatca wziął mnie i uczynił swoją żoną. Stara Tamba go chce, ale on zadziera jej spódnice tylko, kiedy jestem niezdrowa. Jedz, pani.

Chauncey zerknęła na zawartość miseczki i zobaczyła gęstą, brązową papkę, w której pływały kawałki mięsa. Muszę podtrzymać siły, pomyślała i zanurzyła palce w misce. Ku jej zdumieniu, potrawa smakowała wyśmienicie.

Jadła w milczeniu, a kiedy skończyła, odstawiła miskę i zapytała:

- Dlaczego tu jestem? Co ze mną będzie? Cricket wzruszyła ramionami.

- Chatca zawarł umowę. I teraz wielka walka. Powiedział, że ty kobieta demon i że cię chce. Na razie nie zabije.

Nie zabije?! Nie, sprawy przedstawiały się znacznie gorzej - on jej pożądał!

- Delaney - szepnęła, ukrywając twarz w dłoniach. Czy, zakładając, że nic mu się nie stało, zada sobie trud, aby spróbować ją odnaleźć? Chyba oszaleję, pomyślała, przetykając łyzy.

- Ty płaczesz - zdziwiła się Cricket. - Nie jesteś kobietą demonem.

- Nie, nie jestem - przyznała Chauncey, wbijając wzrok w twarz Indianki. - Boję się, Cricket, bardzo się boję. Musisz mi pomóc. Mieszkałaś z białymi. Wiesz, jacy są. Wiesz, że nie mogę tu zostać.

- Ojciec Nesbitt porządny człowiek - powiedziała Cricket, a potem dodała obojętnie. - Nawet kiedy bił mnie kijem, mówił, że to dla zbawienia mojej duszy. Chatca zabił go szybko. On też dobry mężczyzna. Nie chcę się nim dzielić.

- Cricket, posłuchaj mnie. Jestem mężatką. Ja już mam mężczyznę, dobrego mężczyznę. Proszę, musisz...

Umilkła nagle, przerażona. W wąskim wejściu do szałasów stał bowiem Chatca. W mroku nocy Indianin wyglądał niczym średniowieczne wyobrażenie czciociela szatana. Światło dnia bynajmniej nie dodało mu urody.

- Kobieta demon jadła - powiedziała Cricket słodkim, uległym tonem.

Chatca nie odrywał czarnych oczu od twarzy Chauncey. Ona także wpatrywała się w niego, próbując doszukać się w tym naznaczonym okrucieństwem obliczu śladu ludzkich uczuć. Indianin ubrany był jedynie w skórzane spodnie i wysokie buty. Jego naga pierś, pozbawiona zarostu, pokryta była tłustą substancją, wydzielającą ohydny zapach. Także włosy błyszcząły od tłuszczu, zwieszając się w strąkach aż na ramiona. Nie miał zarostu, a kiedy się do niej uśmiechnął, niemal poczuła odór bijący od jego pożółkłych zębów.

Chatca spojrział na Cricket i powiedział coś do niej ostrym tonem. Chauncey sądziła, że Cricket ma w sobie choć odrobinę bojowego ducha, zwłaszcza po tym, jak przeciwstawiła się Tambie. Lecz teraz kobieta opuściła ramiona i pokornie skinęła głową.

Jest zbyt silny, bym mogła go pokonać, pomyślała Chauncey. Nie był co prawda szczególnie wysoki, lecz pod błyszczącą skórą wyraźnie rysowały się węzły mięśni. Postąpił krok w jej stronę.

Chauncey odskoczyła i wyciągnęła przed siebie ręce. Chatca warknął coś do Cricket.

- Pani - przetłumaczyła Indianka - Chatca cię pragnie. Mówi, że chce, abyś została jego żoną. Nie zabije cię.

- Ty jesteś jego żoną!

- Weźmie cię i będzie miał trzy żony.

Cricket spochmurniała. Nie czekając na odpowiedź Chauncey, odwróciła się do Chatcy i zadała mu pytanie. W odpowiedzi Chatca uniósł do góry pięść i wydał z siebie szereg burkliwych dźwięków.

- O co chodzi, Cricket?

Cricket zwróciła na Chauncey spojrzenie gniewnych oczu.

- Chatca chce cię uczynić pierwszą żoną, a ja powiedziałam: „nie”.

Chauncey przymknęła na chwilę oczy. To po prostu żalosne! Coś takiego nie może dziać się naprawdę! Ona jest przecież Angielką, damą! I to nie byle jaką! Otworzyła oczy i przez chwilę przyglądała się swoim brudnym dłoniom. Jej suknia była porwana i powalana ziemią.

- Cricket - powiedziała w końcu. - Proszę, powiedz mu, że ja już jestem mężatką. Powiedz mu, że musi zwrócić mnie mężowi. Nie jestem Indianką. Nie znam waszych zwyczajów.

Cricket przez chwilę rozważała jej słowa, a potem zwróciła się do Chatcy. To, co nastąpiło później, przyprawiło Chauncey o drżenie. Indianka krzyknęła i rzuciła się do przodu, a Chatca machnął pięścią i jednym ciosem powalił Cricket na ziemię.

- Przestań, żalosny sukinsynu! Przeklęty dzikusie, nie waz się jej tknąć!

Chatca uśmiechnął się tylko.

- Kobieta demon - mruknął głosem zachrypłym z pożądania.

Chauncey zrozumiała i natychmiast odskoczyła, rozpaczliwie rozglądając się za czymś, co

mogłoby posłużyć jej za broń. Jednak w szalasi niczego takiego nie było.

- Nie! - krzyknęła, przyciskając plecy do wątlej ściany.

- Kobieta demon - powtórzył Chatca i ruszył wprost na nią.

ROZDZIAŁ 25

Chauncey wydała okrzyk gniewu i przerażenia. Chatca chwycił ją za przedramiona i pociągnął ku sobie.

- Ty przeklęty dzikusie! - Uniosła rękę i z całej siły uderzyła go pięścią w szczękę. - I jak ci to smakuje?

Lecz Chatca tylko się roześmiał, a kiedy rzuciła się na niego, rozorując paznokciami jego twarz i barki, chwycił ją mocno za ramiona, unieruchomił i przycisnął twarz do jej szyi. Zapach jego ciała i odór zepsutych zębów sprawił, że wstrzymała oddech. Próbowwała go kopnąć, na próżno wrywając się i szarpiąc, aby odzyskać swobodę ruchów.

Zerwał z niej bluzkę, spódnica także wkrótce poszła w jej ślady. Chauncey łkała, obrzucając go najgorszymi obelgami, jakie kiedykolwiek wpadły jej w uszy. Odsunął się na chwilę i z zadowoleniem przyjrzał swej zdobyczy.

Chauncey nie była w stanie się poruszyć. Stała drżąc i szlochając, okryta jedynie wymiętą koszulą.

Tymczasem Chatca mierzył ją wzrokiem z góry na dół, a w jego spojrzeniu dało się zauważyć dumę posiadacza. Nagle spochmurniał i wydał z siebie szereg chrapliwych dźwięków. Odstąpił o krok, a jego twarz wyraziła frustrację i niechęć. Wrzasnął coś do Cricket, wskazując na Chauncey.

Cricket odpowiedziała mu, a potem wzruszyła ramionami. Chatca wrzasnął głośniejsze i zaczął dziko gestykulować, wykrzywając usta w wyrazie gniewu i odrazy.

Wybiegł z szałasem.

Chauncey stała nieporuszona, zastanawiając się, co tu się, u licha, dzieje. Dlaczego tak nagle dał jej spokój?

- Cricket, ja...

- Krwawisz - wyjaśniła Cricket spokojnie. - Nie jesteś teraz dobra dla mężczyzny. Jesteś nieczysta.

Krwawi? Chauncey spojrzała w dół i spostrzegła plamy krwi na koszuli. Chciało jej się śmiać i płakać jednocześnie. Zostawił ją w spokoju z powodu miesiączki!

- O Boże - szepnęła, padając na kolana. - Nie zniosę tego.

- Nie płacz, kobieto demonie. Mam szarpie, aby zatamować krwawienie. Chatca nie uczyni cię swoją żoną, dopóki znowu nie będziesz czysta.

To dziwne, lecz kiedy klęczała na brudnej ziemi, poczuła ukłucie rozczarowania.

Nie nosiła pod sercem dziecka Delaneya.

- Proszę, Cricket, musisz pozwolić mi się wykąpać! Z pewnością nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Woda jest zimna i niedobra dla ciebie. Nadal krwawisz.

- Jestem brudna! - Chauncey chwyciła swój gruby warkocz i pomachała nim przed nosem Cricket, która pozostała niewzruszona. - Brudna! Dłużej tego nie znoś. Co do tej drugiej sprawy, to nie ma ona znaczenia.

- Zapytam Chatce jutro - powiedziała Cricket, siadając po turecku na brudnej podłodze.

Dwa dni. Dwie noce. Chauncey wydawało się, że od chwili napadu minęła wieczność. Znała na pamięć każdą plamę brudu na podłodze, każdy szew w skórzanym przykryciu. Już niemal przestała czuć się człowiekiem. Przynajmniej Chatca trzymał się z daleka. Jediną towarzyszką Chauncey była Cricket. Parę razy słyszała dobiegający z zewnątrz gniewny głos Tamby, ale Indianka nie odważyła się wejść do środka. Chauncey pozwalano wyjść za potrzebą, a potem z powrotem zaganiano ją do szałas.

- Porozmawiaj ze mną, Cricket - poprosiła Chauncey po chwili - bo chyba zwariuję.

- Chatca powiedział, że mam cię pilnować, nie rozmawiać.

- Proszę. Nie mogę tego znieść. Proszę. Powiedz mi chociaż, ilu was tu jest.

- Tylko ośmioro. Żadnych dzieci. Trzy kobiety.

- A co z innymi? Z jakiego plemienia pochodzisz? Cricket spojrzała na nią w sposób, który jasno sugerował, iż Chauncey nie może być zbyt mądra.

- Pozostali Indianie kopią złoto dla białych. Wielu umiera. Chatca rozgniewał się i przyszedł tutaj, by się ukryć i żyć na wolności.

Uniosła nieco brodę, a w jej spojrzeniu zabłysła duma.

- Jesteśmy Nisenanami, pochodzimy z plemienia, którego przywódcą jest Wema, wódz Maidu. Biali kradną nam ziemię, zabijają dziką zwierzynę, niszczą dno rzek tymi... - zmarszczyła brwi.

- ...urządzeniami do poszukiwania złota - dopowiedziała Chauncey.

- Teraz wokół jest więcej żółtych ludzi niż Indian - mówiła dalej Cricket. - Wema przegrał z wielkim białym ojcem. Chatca nas uratował.

Nie, pomyślała Chauncey. Chatca nie miał szans nikogo uratować.

- A jak Chatca nas znalazł? I po co mnie tu sprowadził?

Cricket wzruszyła ramionami.

- To nieważne. Ivan jest zły, ale Chatca cię pragnie. Tamba sprawia coraz więcej kłopotów - powiedziała i spokojnie zajęła się iskaniem i rozgniataniem wszy.

Chauncey miała ochotę nią potrząsnąć. Objęła dłońmi kolana i oparła na nich twarz. Ciekawe, czy Delaney zabił kiedykolwiek Indianina, pomyślała. Samo wspomnienie męża wystarczyło, by pogrążyła się w rozpacz. Poczwała, że łzy szczypią ją pod powiekami, a potem spływają po brudnych policzkach, powodując swędzenie. Nie byle jaka ze mnie dama, pomyślała. Angielska lady, siedząca na ziemi, brudna i ubrana jedynie w splamioną krwią koszulę. Wyobraziła sobie wyraz twarzy ciotki Augusty, gdyby mogła ją zobaczyć.

Delaney. On żyje. Czwała to. Ale gdzie jest? Czy jest tak zrozpaczona, że nie potrafi stawić czoła prawdzie? A jeśli Chatca go zabił? I jeśli ona będzie musiała tu zostać i żyć, gwałcona przez tego dzikus?

- Mówiłam ci już, kobieto demonie, żebyś nie płakała. Rozzłościł Chatce.

Chauncey uniosła gwałtownie głowę.

- Powiedz mu, żeby poszedł do diabła!

- Tak już lepiej - stwierdziła z zadowoleniem Cricket i powróciła do swego zajęcia.

Czas mijał niepostrzeżenie. Chauncey jadła, spała i marzyła o szczęśliwszych czasach, gdy była

jeszcze dzieckiem. A kiedy nie spała, planowała ucieczkę. Muszę się stąd wydostać, powtarzała sobie raz za razem. Ale jak?

- Cricket - stwierdziła stanowczo półtora dnia później. - Muszę się wykapać. Nie mogę znieść smrodu własnego ciała.

- Kąpiel niedobra - odparła Cricket.

- Rozchoruję się i... umrę. To zwróciło uwagę Indianki.

- Nie umrzesz. Chatcy by się to nie spodobało.

- Umrę, jeżeli nie pozwolicie mi się wykapać i przespacerować w słońcu. Umrę, jeżeli nie zapewnicie mi choć odrobiny swobody.

- Nie umrzesz - powtórzyła Cricket swym monotonicznym brzmącym głosem. Mimo to wstała i wyszła z szałasów.

Widocznie wyglądam, jakbym była o krok od śmierci, pomyślała Chauncey. Dobrze, że nie ma tu lustra, bo pewnie umarłabym ze strachu na sam widok swojej twarzy.

Cricket wróciła po chwili; w jej oczach widać było niezadowolenie. Widocznie Chatca wyraził zgodę na kąpiel i spacer.

- Chodź. Pospaceruję z tobą. Słońce i swoboda.

- A co z kąpielą?

- Chatca powiedział: jutro.

Cricket związała jej z przodu ręce cienkim rzemieniem. Chauncey posłusznie wyszła za Indianką i z rozkoszą wciągnęła do płuc świeże, pachnące lasem powietrze. Pierwszą osobą, którą zobaczyła, była Tamba. Indianka stała tuż przed nią, oparłszy dłonie na tęgich biodrach. Jej szeroką twarz wykrzywiały grymas zazdrości i pogardy.

Trzej Indianie siedzieli wokół niewielkiego ogniska, podając sobie z rąk do rąk strzelbę. Chauncey poczuła zapach gnijącego mięsa i zobaczyła leżącego nieopodal martwego jelenia z rozplatanym brzuchem.

- Oddychaj świeżym powietrzem - przykazała Indianka.

Mężczyźni patrzyli na nią obojętnie, tak jak spoglądali na martwego jelenia. *Rozglądaj się! Musisz stąd uciec!*

Wiedziała, kiedy podejmie próbę - następnego dnia podczas kąpieli. Jej determinacja była tak wielka, iż raczej pozwoli się zabić, niż pozostanie w niewoli. Trzymając głowę nisko opuszczoną, bacznie przyglądała się otoczeniu. Poza szałasem Chatcy były tu jeszcze trzy inne, równie niedbale zbudowane. Z drugiej strony obozu pasły się konie, spętane i przywiązane do pnia sosny. Wyglądały na równie wyczerpane jak sama Chauncey. Nagle oczy dziewczyny rozszerzyły się z niedowierzania. Jej Dolores była przywiązana osobno. Ach, Dolores, moja nadziejo! Zmusiła się, aby odwrócić wzrok. Po obozowisku wałały się naczynia i kilka plecionych koszy. Gdzie mógł być Chatca?

Polana, na której znajdował się obóz, była wąska i dziwnie długa. W oddali, ponad wznoszącymi się wysoko koronami sosen i jodeł, widać było zarysy wzgórz. Skoro pozwolono jej się wykapać, w pobliżu musiał płynąć strumień.

- Cricket - spytała na pozór obojętnie - gdzie jest woda?

- Yuba jest tam - odparła Cricket, machając niedbale ręką gdzieś na lewo od Chauncey.

- Więc Downieville też leży gdzieś tam? Indianka przytaknęła, a potem zmarszczyła brwi.

- Ty nie pytaj.

Tak, pomyślała Chauncey. Koniec z pytaniami.

Poczuła jego zapach i natychmiast się odwróciła.

Chatca spoglądał na nią z tym samym wyrazem samozadowolenia w oczach. Burknął coś do Cricket i rzucił Chauncey stos ubrań. Chwyciła spłowiała bawełnianą spódnicę i białą bluzkę. W tej chwili przedstawiały o wiele większą wartość niż najlepsze z jej aksamitnych sukien.

- Chatca wymienił twoje buty na ubrania - poinformowała ją Cricket.

A zatem w pobliżu musieli znajdować się biali ludzie. Kobiety! Poczuła przyływ nadziei.

- Powiedz Chatcy, że jestem mu wdzięczna. Przez chwilę przysłuchiwała się niezrozumiałej dla niej wymianie zdań, a potem włosy zjeżyły się jej na karku, gdyż usłyszała wściekły ryk Tamby. Kobieta chwyciła Chauncey za warkocz i pociągnęła mocno, wbijając jej paznokcie w ramiona.

Ze związanymi rękami Chauncey była zupełnie bezbronna.

Chatca wrzasnął wściekle i zdzielił Tambę pięścią. Kobieta zatoczyła się i upadła na ziemię. Pozostali mężczyźni parsknęli głośnym śmiechem.

Chatca kopnął tłusty zadek Tamby, która już po chwili pozbierała się i uciekła na czworakach.

- Jest zła, ponieważ dostałaś ubrania - wyjaśniła Cricket.

- O, Boże - szepnęła Chauncey.

- Chatca chce, żebyś założyła nowe ubranie. Ubranie białej kobiety.

Chauncey zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Powiedz mu, że włożę nowe ubranie, gdy tylko zmyję z siebie brud. Powiedz mu, że potrzebuję mydła.

Przez chwilę wydawało się jej, że posunęła się zbyt daleko. Twarz Chatcy poczerwieniała, a jego czarne oczy jeszcze bardziej pociemniały. Zmusiła się, by stać prosto. Cricket odwróciła się do niej.

- Dostaniesz mydło. Jutro włożysz ubranie. I wtedy Chatca uczyni cię swoją żoną.

Boże święty, pomyślała Chauncey, on najwidoczniej liczył dni!

Następnego ranka Cricket związała znowu jej dłonie i wyprowadziła z szałas. Niebo było zachmurzone, a powietrze chłodne. Chauncey rozejrzała się po obozie. Tamba wraz z drugą kobietą gotowały coś nad ogniskiem. Mężczyzn nie było. Dolores nadal przywiązana była tam, gdzie wczoraj.

- Będę pilnowała - powiedziała Cricket, gdy doszły do wąskiego strumyka.

- Dobrze - zgodziła się Chauncey, wyciągając przed siebie związane dłonie.

Cricket spojrzała na nią z wahaniem.

- Nie mogę się kąpać ze związanymi rękami - powiedziała Chauncey.

Cricket uwolniła ją z więzów.

Chauncey rozejrzała się i zrzuciła z siebie brudną koszulę.

Ochoczo weszła do strumyka i zadygotała. Woda była naprawdę zimna. Ściskając kurczowo w dłoni mały kawałek mydła, postąpiła jeszcze krok do przodu. Woda w najgłębszym miejscu sięgała jej zaledwie do kolan, musiała więc usiąść, by się zanurzyć po szyję. Namydliła włosy, nie spuszczając wzroku z Cricket.

Jestem wystarczająco silna, powtarzała niczym słowa litanii. Zdzielię ją w głowę i dopadnę Dolores.

Kiedy wyszła z wody, Cricket podała jej cienki kawałek materiału, by mogła się osuszyć. Wytarła się starannie i włożyła spódnicę oraz bluzkę. Czowała się bosko. Usiadła na skale i zaczęła przeczesywać mokre włosy palcami.

- Idziemy - powiedziała po chwili Cricket.

- Nie, jeszcze nie - odparła Chauncey i zaplotła włosy w gruby warkocz.

- Teraz - oznajmiła stanowczo Indianka, sięgając po rzemień.

Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci się znów związać. - Dziękuję, Cricket - powiedziała Chauncey, wyciągając przed siebie dłonie.

Cricket chrząknęła i pochyliła się, aby zawiązać rzemień.

Chauncey złączyła dłonie i z całej siły uderzyła ją nimi w skroń. Kobieta krzyknęła cicho i osunęła się na kolana.

- Przepraszam - szepnęła Chauncey, podniosła niewielki kamień i uderzyła Indiankę w tył głowy. Cricket padła na ziemię, nieprzytomna.

Chauncey usłyszała za plecami głośny śmiech. To śmiała się Tamba, trzymając w dłoniach strzelbę.

- Ty zabiła - powiedziała. - Dobrze. Teraz odejdz.

Chauncey stała jak przy murowanej.

- Nie zabiłam jej!

- Nieważne. Odejdz.

- Tak, tak, odejdę.

Chauncey pomknęła w stronę obozu, obiegła go i wskoczyła na grzbiet Dolores. Na szczęście klacz nadal miała uzdę. Brakowało tylko siodła. Chauncey uświadomiła sobie, że aby wydostać się z obozu, będzie musiała przejechać przez środek polany. Zaczepnęła głęboko powietrza i wbiła pięty w boki klaczy. Dolores parsknęła i ruszyła z kopyta. Chauncey wbiła wzrok w wąski dukt po drugiej stronie obozowiska. Usłyszała kobiecy krzyk. To Cricket wrzeszczała ile sił w płucach.

Chauncey odwróciła się i zobaczyła, że Tamba mierzy do niej ze strzelby. Położyła się płasko na grzbiecie Dolores, lecz było za późno. Poczowała dojmujący ból w ramieniu. Impet wystrzału rzucił ją na szyję klaczy.

Usłyszała kolejny krzyk i odwróciła głowę. Cricket rzuciła się na Tambę, która właśnie zamierzała wystrzelić po raz drugi. Tym razem Indianka chybiła i kula przeszła ponad głową Chauncey.

Właściwie nie czuła bólu, jedynie chłód i odrętwienie. *I co teraz, panno Mądralińska? Z powrotem do Marysville, z powrotem do rzeki.* Przywarła do szyi klaczy, pozwalając, aby Dolores sama wybierała drogę. Las stawał się coraz rzadszy i Chauncey uświadomiła sobie, że Chatca z pewnością ruszy za nią w pościg.

Wyprostowała się i obejrzała przez ramię. Nikogo. Bluzka nasiąkła krwią, która spływała teraz po lewej piersi. Chauncey zatrzymała Dolores i oderwała pas materiału z dołu spódnicy. Zrobiła z niego prowizoryczny opatrunek i przycisnęła go do rany. *Dlaczego tak mało mnie boli?* Pośpieszyła klacz. Wiedziała, że nie zdoła zatrzeć za sobą śladów. Nie umiała tego robić, poza tym obawiała się, że jeśli raz zejdzie z grzbietu konia, więcej nie zdoła się na niego wdrapać.

Rzeka! Chatca nie zdoła pójść jej śladem, jeżeli będzie trzymała się wody.

Chauncey wprowadziła Dolores na płyciznę. Niebo pociemniało, w powietrzu czuło się chłód. Mijały godziny, a ona zmuszała się, by myśleć jedynie o obozie górników, dokąd zmierzała.

Nagle niebiosa rozwarły się i lunął deszcz, zimny i tak gęsty, że kobieta ledwie widziała drogę. Teraz Chatca nie będzie mógł podążyć po moich śladach, pomyślała, choćby zamienił się w rybę!

Po chwili była już całkiem mokra i drżała z zimna. Lodowate strugi obudziły ból w ramieniu. Zaciśnęła zęby. Dolores zarżała i potrząsnęła łbem.

Chauncey wyprowadziła klacz na brzeg, gdzie zwieszające się gałęzie drzew zapewniały minimalną ochronę przed deszczem. Jeszcze tylko kawałek, powtarzała sobie w kółko, jeszcze tylko kawałek.

Poszukiwacze zwykle pracują na rzece. Gdzie też się oni, u licha, podzieli?

Gdzie była kobieta, która wymieniła ubrania na buty Chauncey?

Nagle zakręciło jej się w głowie. Zamknęła oczy, czując, jak krople deszczu rozpryskują się na powiekach. Przycisnęła policzek do szyi klaczy i pomyślała o ogniu i ciepłym pledzie. Oczami wyobraźni zobaczyła twarz Delaneya, przepelnioną czułością. A potem przestała widzieć cokolwiek.

ROZDZIAŁ 26

Cóż to za dziwne uczucie, pomyślała. Przecież to niemożliwe, by się przemieszczała, nie poruszając nogami! Zmusiła się, by otworzyć oczy. Siedziała na szerokim grzbiecie Dolores, rękami obejmując jej potężną szyję. Spróbowała się wyprostować i aż jęknęła, gdy ostry ból przeszył jej ramię. Dolores zatrzymała się nagle wśród gęstego poszycia i Chauncey zacisnęła zęby.

- Proszę, koniku, musimy być przez cały czas w ruchu. Musimy!

Jej głos brzmiał ochryple, jakby nie posługiwała się nim od bardzo dawna. Uświadomiła sobie, że ledwie widzi - po prostu zapadał zmierzch. Deszcz ustał, ale nadal było parno.

Jęknęła cicho, przekonana, iż nie przeżyje, jeśli będzie musiała spędzić tę noc w lesie. Zebrała resztki sił, usiadła prosto w siodle, odrzuciła w tył głowę i zawołała:

- Delaney!

Usłyszała ptasi szczebiot i łopot skrzydeł, lecz żadnych odgłosów, których źródłem mógłby być człowiek.

- Gdzie jesteś, Delaney!

Na dźwięk wystrzału pochyliła się gwałtownie. Chatca!

- Nie - jęknęła cicho.

Próbowała wbić pięty w boki Dolores, ale i na to brakło jej sił. Tymczasem Chatca w każdej chwili mógł wyłonić się spomiędzy drzew. Przyjdzie i zabierze ją z powrotem. A wtedy będzie musiała umrzeć.

Załkała, ukrywając twarz w gęstej grzywie kłaczy. Powoli ześliznęła się z jej grzbietu i osunęła na porośniętą mchem ziemię. Leżała na plecach, wpatrując się w odległe wierzchołki drzew. Kłacz zarżała. Ktoś przedzierał się przez las. Spróbowała wstać. Nie pozwoli, by Chatca znowu ją porwał, nie pozwoli! Jednak nie miała siły się poruszyć. Ból w ramieniu coraz bardziej dawał się we znaki, był niczym szpony dzikiej bestii, szarpiące bezlitośnie jej ciało.

Jęknęła.

- Chauncey! O mój Boże!

Wyobraziła sobie, że słyszy jego głos. Umieram, pomyślała, drżąc.

- Nie chcę umrzeć - szepnęła. Zobaczyła zarys sylwetki pochylającego się nad nią mężczyzny i usłyszała:

- O, Boże, kochanie.

Zamrugnęła, rozpaczliwie starając się zidentyfikować rysy jego twarzy.

- Del?

- Tak, Chauncey. Jesteś już bezpieczna, kochanie. Jestem przy tobie.

- Jakże to? - spytała zdumiona, że zjawia odpowiada na jej pytania. - Umieram. Chcę, żebyś był przy mnie.

- Jestem tu, skarbie. Trzymaj się.

Delaney czuł się tak, jakby ktoś wyrywał mu wnętrzności. Przełknął konwulsyjnie, wpatrując się w splamioną krwią bluzkę. Ostrożnie rozwiązał troczki i zsunął materiał z ramienia Chauncey. Kula przeszła przez górną jego część, nie uszkadzając kości ani stawu.

- Posłuchaj, skarbie - powiedział, starając się przyciągnąć jej uwagę. - W pobliżu znajduje się opuszczona chata górników. Zaniosę cię tam.

- Co ci się stało w głowę? - spytała, wskazując spowijający jego czoło bandaż.

- Nic takiego, najdroższa. Dasz radę objąć mnie za szyję?

Spróbowała, lecz nie starczyło jej sił.

- Nic nie szkodzi.

Wziął ją na ręce i wstał. Chauncey poczuła rozdzierający ból. Krzyknęła, a potem zwiśla bezwładnie w jego ramionach. Delaney zamarł ze strachu. Przytulił ją do siebie, chwycił wodze klaczy i zaczął przedzierać się w kierunku rzeki. Czuł sączącą się z jej ubrania wilgoć i chłód. Musiała jechać podczas ulewy. Pochylił głowę, nasłuchując, czy nie ma kłopotów z oddychaniem.

Kiedy dotarli do chaty, Del ciężko dyszał. Kopniakiem otworzył drzwi i wniósł żonę do środka. W jedynym pomieszczeniu znajdował się tylko stół, fotel na biegunach i palenisko. Mężczyzna położył Chauncey na podłodze i poszedł po zwinięte posłanie. Najostrożniej, jak tylko umiał, zdjął z niej przesiąknięte wodą ubranie, owinął ją wełnianym pledem i ułożył na posłaniu. Następnie rozłożył spódnicę i bluzkę na podłodze, by wyschły. Ciekawe, gdzie je zdobyła, pomyślał. Poza tymi dwiema częściami garderoby Chauncey nie miała na sobie nic więcej.

- Proszę, nie odzyskuj jeszcze przytomności - szepnął.

Napełnił garnek wodą z rzeki i wrócił do szałas. Rozpalił ogień i zagotował wodę, zastanawiając się rozpaczliwie, jak by tu oczyścić ranę. Whisky, pomyślał. Na szczęście zostało mu jeszcze nieco trunku. Delikatnie zmył krew z ramienia i piersi Chauncey. Rana była czysta i, o ile mógł się zorientować, kula naruszyła jedynie mięśnie. Polał ranę whisky i obandażował pasami płótna, oddartymi z jedynej czystej koszuli, jaka mu została.

Dokonawszy tego, przykucnął i zapatrzył się na jej bladą twarz. Chauncey żyła i należała do niego. Nigdy już nie pozwoli jej odejść. Pomyślał o dłużących się dniach i nocach bez niej, lecz zaraz otrząsnął się z ponurych myśli. Jeśli mają przeżyć, on musi zająć się tym, co konieczne. Ostrożnie przysunął posłanie bliżej ognia, nakrył Chauncey pozostałymi pledami i wstał. A teraz po kolei, powiedział do siebie, wzdychając. Musi zdobyć coś do jedzenia. Nie chciał zostawiać jej samej, ale nie było innego wyjścia. Chwycił więc strzelbę i wyszedł z szałas.

Chauncey ocknęła się, czując apetyczny zapach pieczonego mięsa. Zdezorientowana, przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest. Nagle uniosła głowę.

- Del!

- Jestem przy tobie, Chauncey - powiedział, klękając obok posłania. - Połóż się, kochanie. Musisz odpoczywać.

- Ty naprawdę tu jesteś. Myślałam, że śnię. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę.

- Z trudem powstrzymała się od płaczu.

- Jestem jak ten zły szeląg - odpowiedział. - Prędzej czy później zawsze wracam.

Westchnęła z bólu.

- Wiem, że cię boli, kochanie, lecz nic nie mogę na to poradzić. Przykro mi.

- Jeśli go czuję, to znaczy, że żyję - szepnęła. - Jak mnie znalazłeś?

- To długa historia, skarbie. A królik już prawie gotowy. Najpierw zjedźmy, dobrze?

Skinęła głowę.

- Tyle mam ci do powiedzenia...

- Wiem. Wszystko w swoim czasie.

Pokroił mięso na małe kawałki i nakarmił ją. Zjadła wszystko. Uświadomił sobie, że Chauncey jest szczuplejsza. Kości policzkowe wyraźniej niż dotąd rysowały się pod skórą.

- Nie jestem w ciąży - oznajmiła.

Spojrzał na nią, oniemiały z zaskoczenia. Nagle Chauncey zaczerpnęła gwałtownie powietrza, a jej twarz skurczyła się z bólu.

- Del! - krzyknęła.

Chwycił dłoń żony i poczuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w ciało.

- Oddychaj płytko i powoli - powiedział. - Opowiem ci, co wydarzyło się podczas ostatnich pięciu dni. Skoncentruj się na słuchaniu mnie i nie myśl o bólu, dobrze?

Przełknęła ślinę, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. Był mocno zarośnięty, wydawał się zmęczony i postarzały. Opatrunek na głowie sprawiał, że wyglądał jak bandyta.

- Był już prawie świt, pamiętasz? - usłyszała jego kojący głos. - Zaniepokoił mnie dziwny odgłos w lesie i poszedłem sprawdzić, co to takiego. Było tam paru Indian. Jeden z nich postrzelił mnie w głowę.

Na szczęście kula tylko drasnęła kość, ale i tak przez jakiś czas leżałem nieprzytomny, a kiedy się ocknąłem, ciebie już nie było. - Ścisnął mocniej dłoń żony. - Nigdy w życiu tak się nie bałem. Niestety, rana sprawiła, że przeleżałem bez przytomności niemal cały dzień. Gdy odzyskałem zmysły, uświadomiłem sobie, że nie mam szans cię odnaleźć. Wróciłem więc do Grass Valley i zorganizowałem poszukiwania. Przez ostatnie cztery dni szukało cię co najmniej dziesięciu mężczyzn. Ja zaś wróciłem do miejsca, w którym obozowaliśmy, i prowadziłem poszukiwania stamtąd.

Co dzień wyruszałem z obozu, kierując się to w jedną, to w drugą stronę. Gdy w końcu usłyszałem twoje wołanie, zdawało mi się, że śnię.

Chauncey ścisnęła dłoń męża.

- Spróbuj mnie posłuchać - poprosił. - Rozumiesz, co mówię?

- Tak - szepnęła. - Przepraszam, że okazałam się takim tchórzem.

- Nie jesteś tchórzem, kochanie. Nie, nie próbuj mówić. Oddychaj powoli. O, właśnie tak. A teraz pozwól, że coś ci powiem. Byłem strasznym głupcem. Miałaś rację, kiedy powiedziałaś, że chyba umrę z pomieszenia, jeżeli w końcu nie zdecyduję, czego właściwie chcę. Więc zdecydowałem. Chcę ciebie, Chauncey. Chcę, abyśmy zaczęli od nowa. Bez żadnych sekretów i udawania. W ciągu ostatnich kilku dni miałem aż nadto czasu, by myśleć, zamartwiać się i gardzić sobą z powodu wszystkich tych podłych słów, wypowiedzianych w gniewie.

Umilkł na chwilę i zapatrzył się w trzaskający na kominku ogień.

- Wiesz, że cię kocham.

Spojrzał na nią. Spała. Delikatnie przesunął palcem po jej bladych wargach. Wziął do rąk gruby warkocz i zorientował się, że nadal jest mokry. Rozplótł go i rozrzucił włosy Chauncey, by szybciej wyschły. Położył dłoń na jej czole. Gorączka, której się obawiał, nadeszła. Przytulił żonę mocno do siebie i zaczął gładzić jej plecy, mimo to dygotała niepowstrzymanie. W maleńkim pomieszczeniu było gorąco i jego pierś oraz czoło wkrótce okryły się potem. Chauncey przywarła do niego, jakby pragnęła przeniknąć w głąb jego ciała i ukryć się w nim. Boże, gdybym tylko mógł jakoś przekazać

jej moją siłę, pomyślał. Lecz nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko postarać się, by było jej ciepło. Poczł, że jej wargi, przytulone do jego szyi, poruszyły się. Wymamrotała coś, lecz nie potrafił rozróżnić słów.

- Chatca - szepnęła nagle wyraźnie. - Nie pozwolę mu się dotknąć! Prędzej umrę! Ja krwawię!

Zacęła się śmiać i ten żalorny, chrapliwy dźwięk sprawił, że Delaneyowi ciarki przeszły po skórze.

- Ja krwawię i on mnie nie tknie! Boże, dopomóż mi!

- Już dobrze, Chauncey. On cię nie dotknie, obiecuję.

Czy ten Indianin ją zgwałcił? I o co chodziło z tym krwawieniem? Nagle przypomniał sobie, jak powiedziała, że nie jest w ciąży. Czyżby zaczęła się jej miesiączka? I to ją uratowało?

Chauncey łkała teraz cichutko. Człł na ramieniu wilgoć jej łez. Zaczłł mówić, starając się oderwać jej myśli od koszmaru, którego doświadczyła tak niedawno.

- Wspominałem ci już o panu Olneyu z Coyotteville? Górnicy mianowali go sędzią pokoju. Czy wiesz, że kiedy w zeszłym roku zmarł, zostawił wszystkie swoje pieniądze, około sześciu tysięcy dolarów, chłopcom, by mieli za co dobrze się zabawić? I rzeczywiście, zrobili to. Był także Danny Slengh, który sprzedał swoją działkę za dziesięć tysięcy dolarów, a potem wrócił, wściekły, ponieważ inny górnik sprzedał działkę wielkości jednej ósmej jego ziemi za cztery tysiące. Chłopcy śmiali się z niego i w końcu wyjechał, bogatszy o dziesięć tysięcy, lecz czując się tak, jakby go ktoś obrabował.

Czyżby Chauncey zaczynała lżej oddychać? Nie był tego pewny, więc nadal gładził jej drżące ciało.

- Kiedy wyzdrowiejesz, zabiorę cię do miejscowości, które nazywają się Czerwony Pies, Proste i Niewyszukane oraz Matactwo. Czy opowiadałem ci o Samie Brennanie? Nie dla naszego Sama taplanie się w lodowatej wodzie z sitem w dłoni! Nie, on był zbyt mądry, aby rujnować sobie w ten sposób zdrowie. Zakupił więc specjalne sita do odsiewania złota po dwadzieścia centów za sztukę i odsprzedawał je potem górnikom po szesnaście dolarów!

Chauncey uspokoiła się, więc przestał mówić i tylko przytulił policzek do jej czoła. Z pewnością było teraz chłodniejsze. Znowu zaczęła coś mamrotać, ale zrozumiał tylko jedno słowo: Cricket. Dlaczego ona mówi o krykiecie, pomyślał, lecz doszedł do wniosku, iż widać niedokładnie usłyszał. A kiedy Chauncey znowu zaczęła wiercić się niespokojnie w jego objęciach, kontynuował swoją opowieść.

- Gdy po raz pierwszy przybyłem do San Francisco, było to znajdujące się w oplakanyim stanie zbiorowisko lichych, zbudowanych z byle czego chałup. Wszystkie, duże i małe, były jednakowo brzydkie - i łatwopalne. W ciągu osiemnastu miesięcy nawiedziło nas sześć pożarów. Ja sam straciłem mój pierwszy dom i sklep. Lecz to nie miało znaczenia. Wkrótce wszystko zostało odbudowane. W ciągu zaledwie czterech lat byłem świadkiem tylu zmian... W czterdziestym dziewiątym nie było tu praktycznie nic, a teraz mamy banki, wodociągi, hotele, teatry, kościoły, szkoły... Wiesz, że niektórzy wyciągali złote samorodki wprost z ziemi? Pamiętam opowieść o starym Simonie Lutherze. Spacerował sobie pewnego dnia niedaleko stąd i w pewnej chwili kopnął kamień, który leżał przed nim na ścieżce. Kamień okazał się zadziwiająco ciężki, więc podniósł go i przekonał się, że było to czyste złoto. Rekord wagi dla złotego samorodka wynosi sto czterdzieści jeden funtów. - Zamilkł na chwilę. - Czy wiesz, że fundament domu Stevensonów tworzą skrzynie tytoniu, zaś osiem miesięcy temu używaliśmy funtowych worków kawy z Brazylii i mąki z Chile, aby

naprawiać dziury w jezdni na Kearny Street. Montgomery Street nadawała się do przejścia nawet podczas największej ulewy, ponieważ po obu jej stronach zatopiono w błocie dwa szeregi pieców kuchennych. Oczywiście, w kilka miesięcy później wszyscy gorączkowo poszukiwali pieców do swoich kuchni, lecz było za późno. Kiedy raz zakopiesz coś w błocie, nigdy potem nie będziesz mógł tego używać.

- Chauncey - szepnął miękko z twarzą wtuloną w jej włosy. - Opowiem ci to jeszcze raz, gdy wyzdrowiejesz. Chcę słyszeć, jak się śmiejesz, widzieć, jak błyszczą ci oczy.

A jeśli ona umrze? To będzie twoja wina, wyłącznie twoja.

- Nigdy cię nie lubiłam, Guy. Twoja matka to wiedźma! - powiedziała Chauncey.

Delaney uśmiechnął się.

- Zgadzą się z tobą. Wysuszona stara śliwka.

- Cricket, muszę się wykapać!

Co to za Cricket? Myśl! Opowiedz jej więcej historyjek, spraw, by się uspokoiła.

- Na początku warunki były bardzo trudne i prymitywne. Rzeki i łożyska strumieni obfitowały w złoto. Czy wiesz, że złoto jest siedem razy cięższe niż skały i żwir? Dlatego używamy sit. Do diaska, używaliśmy nawet drewnianych mis, indiańskich koszyków. Ja miałem mnóstwo szczęścia, Chauncey, naprawdę mnóstwo. Nie musiałem spędzić mroźnej zimy w górach. Oczywiście uprawiałem hazard - jak wszyscy pozostali. Boże, byliśmy tacy samotni i żyliśmy w niewyobrażalnie okropnych warunkach. Pisywałem mnóstwo listów do domu. Brat powiedział mi, że dostali tylko nieliczne, i to z dużym opóźnieniem. A potem, nim minęły dwa miesiące, dopisało mi szczęście. Znalazłem kilka wielkich samorodków. Pamiętam, że tego dnia krzyczałem ze szczęścia, ile sił w płucach. Wiedziałem jednak, że prawdziwe pieniądze to handel. Na jesieni pięćdziesiątego spotkałem się w San Francisco z Danem Brewerem, któremu także się powiodło. A potem...

- Muszę się wykapać!

- Tak, kochanie, wiem o tym. Kiedy wyzdrowiejesz, sam cię wykapię.

- Nie pozwól mu mnie tknąć!

- Nawet cię nie dotknie. Przysięgam, że wszystko będzie dobrze.

Mówił i mówił, opowiadając jej, jak budował swój nowy dom, jak znalazł Lin i jak zatrudnił Lucasa. Ochrypl, a w tym, co mówił, było coraz mniej sensu.

Zanim zmęczenie wzięło wreszcie górę, jego ostatnia przed zaśnięciem myśl dotyczyła tego, iż czoło Chauncey, do którego przytulał policzek, wydaje się teraz znacznie chłodniejsze.

ROZDZIAŁ 27

- Jesteś najbardziej czarującym oberwańcem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- A ty, mój panie, wyglądasz jak przysięgły łotr i rozbójnik.

- Leż spokojnie, kochanie, nadal masz smugę brudu na policzku.

Delikatnie przetarł jej twarz wilgotną szmatką, a potem osuszył.

- Lepiej?

- Tak, trochę. - Odwróciła nieco głowę, by ukryć przed nim skurcz bólu, który niespodziewanie wykrzywił jej usta.

Poczuła na szyi i policzku dotyk jego dłoni.

- Wiem, że to boli, Chauncey. Jeszcze kilka dni i będziesz jak nowa. Jesteś młoda i silna, a gorączka na szczęście opadła.

Zacisnęła dłonie w pięści. Czowała się tak, jakby ktoś wbijał jej w ramię rozżarzony do czerwoności pogrzebacz.

- Masz, wypij. To resztki mojej whisky - powiedział, podtrzymując jej głowę.

Trunek spłynął gorącą strugą do żołądka.

- To ci pomoże, przekonasz się. - Położył ją i nakrył po szyję pledem, a potem wstał i spojrzał na dziewczynę. - Muszę znaleźć coś do jedzenia, Chauncey. Czy zdołasz się zdrzemnąć, gdy mnie nie będzie?

Nie miała ochoty spać, już raczej wyc z bólu.

- Tak - odparła. - Zdrzemnę się.

Nie wyszedł z szałas, dopóki nie zamknęła oczu. Gdy tylko trzasnęły za nim drzwi, natychmiast uniosła powieki i głośno zakląła. Ku jej zdumieniu ból rzeczywiście zelżał.

Dlaczego Delaney nie spytał dotąd, co właściwie jej się przytrafiło? Czyżby się bał? Czy sądził, że Indianin ją zgwałcił? Jej umysł wzdrygnął się na samą myśl o tym. Nie, niemożliwe, by miało to dla niego znaczenie. Traktował ją przecież jak najukochańszą, najbardziej kruchą z kobiet. Był równie miły i troskliwy, jak wtedy, gdy zamierzała podstępem dostać się do jego domu, a potem naprawdę uległa wypadkowi.

Usłyszała dwa następujące tuż po sobie wystrzały, a w dziesięć minut później Delaney wmaszerował do szałas.

- Czy to huk wystrzałów cię obudził? - zapytał z troską.

- Nie, tak sobie rozmyślałam. Powiedz mi, czy Sam Brannan naprawdę sprzedawał sita po szesnaście dolarów?

Uśmiechnął się do niej, a jego białe zęby błysnęły pośród krzaczastej brody barwy karmelu.

- A więc słyszałaś, co plotłem?

- Fragmenty.

Przyglądała się, jak odkłada strzelbę na nieheblowany blat stołu. Zrzucił kurtkę i teraz miał na sobie jedynie białą koszulę z długimi rękawami, ciemnobrązowe skórzane spodnie oraz wysokie, czarne buty. Jego twarz była opalona, a we włosach pojawiły się jaśniejsze pasma.

- Jesteś piękny - powiedziała. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nawet w tych brudnych spodniach? Nieogolony i zarośnięty? Chyba znów masz gorączkę.

- Trudno mi uwierzyć, że kobiety nie próbowały cię porwać i wykorzystać.

- A co każe ci sądzić, że nie próbowały? No cóż, pamiętam pewną brunetkę o bujnych kształtach... Miała na imię Brenda. Boże, kiedy sobie przypomnę, co ona wyczyniała z moim bezradnym ciałem...

- Brunetka, która miała na imię Brenda? I, jak przypuszczam, była też rudowłosa Rosalie oraz blondynka o imieniu...

Roześmiał się serdecznie, a Chauncey rozpromieniła się, słysząc ten cudowny dźwięk.

- Del, proszę, posłuchaj mnie. Chatca, Indianin, który mnie porwał - on mnie nie zgwałcił.

Delaney umilkł i znieruchomiał.

- Wiem. Pojawiła się krew miesięczna i dlatego cię nie tknął - stwierdził rzeczowo, jakby rozmawiali o pogodzie.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Powiedziałaś mi, że nie jesteś w ciąży - oznajmił spokojnie.

- Och. Dlaczego więc nie zapytałeś, co mi się przytrafiło?

- Nie chciałem cię ponaglać. Nadal nie jesteś w najlepszej formie, kochanie. Opowiesz mi o tym, kiedy będziesz czuła się wystarczająco dobrze i gdy będziesz na to gotowa.

Chauncey przez chwilę bawiła się brzeżkiem pledu.

- Czy przebaczyłeś mi to, co zrobiłam? I to, że tak źle cię osądziłam?

- Tak.

- Żal ci mnie, prawda? Winisz siebie za to, co mi się przydarzyło.

- Tak.

- A zatem kolejna zmiana frontu, Del?

- Ty znowu swoje! Za chwilę zeskoczysz z posłania i zaczniesz okładać mnie pięściami i kopać po łydkach.

- Masz zamiar odesłać mnie z powrotem do Anglii?

- Nie, mam zamiar zapakować cię do łóżka, gdy tylko wyzdrowiejesz i nie wypuścić, nim się upewnię, że jesteś w ciąży. Ciężarne damy nie podróżują, wiesz o tym.

Wyobraził sobie jej płaski teraz brzuch zaokrąglony od ciąży i szybko odwrócił się, by przygotować kawę.

- Kiedy dokończysz mnie myć?

Ręka Delaney a, trzymająca dzbanek, zadrżała.

- Chauncey - rzucił przez ramię, starając się na nią nie patrzeć - igrasz z ogniem.

- Wyglądam okropnie - westchnęła.

- To prawda, ale zarazem czarująco. Poza tym jesteś zbyt szczupła i pachniesz jak mokry koń.

- Jak długo będę musiała czekać, nim mi się polepszy?

- Co najmniej kilka dni. Potem udamy się do Grass Valley.

- Dlaczego Indianie nas zaatakowali? Czemu mnie porwali?

Ujął w dłonie kubek i usiadł obok niej na podłodze, krzyżując nogi.

- Nie wiem - odparł. - Czy powiedzieli ci, kim są?

- Tak, kobieta, która mnie pilnowała, miała na imię Cricket. Powiedziała, że Chatca, ich przywódca, odłączył się od plemienia wodza Wemy.

- Ach.

- Co miało znaczyć to: „ach”?

- Nic szczególnego. Boże, kiedy pomyślę, jaki los zgotowaliśmy tym biednym sukinsynom! - Zamyślony, upił następny łyk kawy. - Jeżeli jesteś gotowa, aby mi o wszystkim opowiedzieć, to chętnie posłucham.

- Byli brudni, śmierdzieli gorzej, niż możesz sobie wyobrazić i żyli jak zwierzęta. Zapewne nie mieli wyboru - westchnęła. - Lecz nie musieli strzelać do ciebie i uprowadzać twojej żony!

- Gdybym był na ich miejscu, też bym cię uprowadził!

- Nie, nie zrobiłbyś tego. Ty czekałbyś, abym to ja uprowadziła ciebie. - Uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała. - Walczyłam z Chatcą i on mnie uderzył. Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna, ale kiedy doszłam nieco do siebie i znowu zaczęłam stawiać opór, jeszcze raz mnie uderzył. Ocknęłam się w czymś w rodzaju szałasów...

- Nazywają je wigwamami.

- Była tam młoda kobieta. Wyjaśniła, że to ksiądz nazwał ją Cricket. Była jedną z żon Chatcy. Powiedziała, że Chatca mnie pożąda.

Delaney milczał. Po kilkunastu minutach, kiedy skończyła mówić, przytulił ją.

- Byłaś bardzo dzielna. Jestem z ciebie dumny.

- To dlaczego wyglądasz tak ponuro? Tylko wzruszył ramionami.

- O czym myślisz, Del?

- Pytasz, co nie daje mi spokoju?

- Tak, powiedz, proszę.

- Nie wiem, dlaczego Indianie nas zaatakowali. Trudno mi uwierzyć, że Chatca zobaczył twoje piękne oczy i już nie potrafił bez ciebie żyć.

- Pamiętam, że Cricket napomknęła coś o tym, iż obawia się kłopotów.

- I nic dziwnego, skoro ty znajdowałaś się w pobliżu!

- Czy zawsze musisz stroić sobie ze mnie żarty?

- Z pewnością zawsze będę próbował. Położył się obok niej i oparł głowę na zgiętym ramieniu.

- Wiesz, jak było ze mną? Przez cały dzień czułem się bezradny jak dziecko, umysł miałem zaciemiony, a ciało drżące niczym liść. A potem nie mogłem cię odnaleźć. Szukając cię, przypominałem sobie każde podłe słowo, jakie wypowiedziałem.

- Przynajmniej nie miałeś na karku paskudnego Indianina, który chciał uczynić cię swoją żoną!

- Wszystko, co powinnaś była zrobić, to powiedzieć mu, że masz za małżonka najbardziej przewrotnego mężczyznę w całym stanie.

Zachichotała i natychmiast tego pożałowała.

- Spokojnie, kochanie - powiedział, delikatnie gładząc palcami policzek żony. Zobaczył, że opuściła rzęsy, by ukryć, jak bardzo cierpi.

- Proszę, mów do mnie, Del - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

- Kiedy w pięćdziesiątym pierwszym udałem się do Anglii, książę i księżna Graffton koniecznie chcieli znaleźć mi żonę. Przysięgam ci, że musiałem brać udział w każdym wieczorku, balu, maskaradzie czy oficjalnym obiedzie, jakie tylko odbywały się w Londynie. I było tam mnóstwo

debiutantek, ubranych w dziewiczą biel, które aż paliły się, by poznać bogatego Amerykanina. Boże, ileż czasu byśmy zaoszczędzili, gdybyś i ty przebywała wówczas w Londynie! Porwałabyś mnie, uwiodła, a potem uczyniła ze mnie uczciwego mężczyznę.

- Tak, dokładnie tak.

- Zostałem nawet przedstawiony królowej - niskiej, pulchnej damie, odznaczającej się denerwującym nawykiem powtarzania bez końca „my” to, „my” tamto. Jej mąż, Albert, wydał mi się tak sztywny i oficjalny, że pewnie złamałby się, gdyby dosięgnął go mocniejszy podmuch wiatru. Jak przypuszczam, przez dwa miesiące byłem czymś w rodzaju ciekawostki: oto barbarzyńca z kalifornijskiej głuszy, który znalazł złoto i zdobył fortunę. Czy wiesz, że pewien staruszek - chyba nazywał się lord Fanshaw - wręcz zaproponował, że sprzeda mi swoją córkę, tak bardzo był pewny, iż zechcę zmienić nazwisko. O ile sobie przypominam, miała na imię Bernice - ładna, młoda blondyneczka...

- Blondynka imieniem Bernice!

- No cóż, może to była Alice - powiedział, uśmiechając się do niej. - Alice o ślicznych, białych piersiach.

Położył dłoń na piersi Chauncey i zaczął delikatnie ją pieścić.

- Chyba zawsze byłem taki przewrotny - kontynuował. - Im ładniejsza panienka, tym bardziej trzymałem się od niej z daleka. Chyba już wtedy przeczuwałem, że na mnie czekasz.

- Gdy tylko wydobrzeję, natychmiast przekonasz się, jak bardzo poprawił mi się charakter!

Spostrzegł, że jej rysy stężały znów z bólu, powiedział więc szybko:

- Straty, spowodowane pożarem, który wywołałaś, oceniam na jakieś cztery tysiące dolarów.

Liczę, że mi je zrekompensujesz?

- Zrobię co tylko w mojej mocy.

- Podrzesz tę ugodę i przekażesz mi wszystkie swoje pieniądze?

Spojrzała na niego z błyskiem wyzwania w oczach.

- Więc jednak chodziło ci o moje pieniądze?

- Przede wszystkim o twoje ciało, potem o pieniądze.

- Ja... nie byłam dla ciebie dobrą żoną - powiedziała.

- Z drugiej strony, nigdy się przy tobie nie nudziłem. Stanowiłaś wyzwanie. A potem, po tej próbie zabójstwa na „Szkarłatnej Królowej” uświadomiłem sobie, jaką pałasz do mnie namiętnością.

Przełknęła ślinę, przypominając sobie bolesne szczegóły swego braku umiarkowania.

- Podobało mi się to.

- Lecz z niewłaściwych powodów - powiedział spokojnie. - Wiesz co? Na początku starałem się ciebie unikać, ponieważ śmiertelnie mnie przerażałaś. Mężczyźni nie lubią tracić kontroli nad sytuacją, wiesz o tym.

- Chcesz przez to powiedzieć, niecnoto, że nie musiałam rozbijać sobie głowy o drzewo?

- To był prawdziwy majstersztyk, który przypieczętował mój los. Gdy tylko zobaczyłem cię w moim łóżku, byłem gotowy natychmiast się poddać.

- Nie okazałeś tego.

- Najpierw musiałem zapewnić sobie sympatię Mary.

- Udało ci się. Zmarnowałam mnóstwo czasu, złoścąc się na nią za to, że przeszła do obozu wroga. Del, czy to możliwe, by Chatca mnie tu wytropił?

Zesztywniał.

- Nie - powiedział po krótkiej przerwie. - Nie sądzę. Wstał.

- A teraz, moja malutka - powiedział - zamierzam zmienić ci bandażę. Potem urządzimy sobie kolejną ucztę z pieczonego królika.

Chauncey dała sobie spokój z pytaniami, gdyż ramię znów bardzo ją rozbolało. Gdy Delaney przemywał ranę, ledwie powstrzymała się, aby nie krzyczeć.

- O wiele lepiej - powiedział, uporawszy się z robotą - Ani śladu infekcji. Jeszcze jeden dzień, kochanie, i wyślę na polowanie ciebie.

W nocy znowu padało i odgłos deszczu ukołysał Chauncey do snu. Spała głęboko, nieświadoma, iż Delaney mocno trzyma ją w objęciach.

Następnego dnia pozwolił, aby usiadła. Wsparta o zrolowany pled, przyglądała się, jak jej mąż czyści strzelbę i rewolwer, opowiadając przy tym o mieszkającym w Nowym Jorku bracie i jego żonie.

- Giana to kobieta twego pokroju, Chauncey. Niezależna do szpiku kości, doskonale radzi sobie z moim dumnym braciszkiem o władczyim charakterze. Podejrzewam jednak, że w jego łóżku przemienia się w typową uległą kobietkę.

- Jak się poznali?

- Znam historyjkę, którą opowiadają, ale nie wierzę w ani jedno słowo. Alex wspomniał mi swego czasu, iż Giana przeżyła we Włoszech dosyć niezwykłą przygodę i że to wówczas spotkał ją po raz pierwszy. Jeżeli nas odwiedzą, postaram się upić Aleksa i wyciągnąć z niego prawdę. Sądzę, że polubiłabyś ich oboje. Alex potrafi być czarujący, a Giana to wulkan energii.

- Czy kiedy ich odwiedzałeś, przedstawiali cię młodym pannom?

- O, tak, poznałem sporo młodych dam, wśród nich jedną, której towarzystwo naprawdę sprawiało mi przyjemność. To przyjaciółka Giany, kobieta zamężna. Nazywa się Derry Lattimer. Alex napisał mi ostatnio, że wreszcie, po pięciu latach małżeństwa, urodziła syna.

- Mam nadzieję, że nie złamało ci to serca - powiedziała Chauncey podejrzenie chłodnym tonem.

- Nie. Choć może, trochę. - Uniósł głowę i uśmiechnął się. - Była też jej pasierbica, Jennifer.

- I zanim Chauncey zdążyła wziąć go na cel, dodał pośpiesznie. - Nie mogłem w to uwierzyć, lecz w niecałe pół roku po tym, jak opuściłem Nowy Jork, oni wydali ją za mąż! Za plantatora tytoniu z Kentucky. Biedny facet pewnie teraz zapija się na śmierć. W pomieszczeniu dał się słyszeć głośny kobiecy śmiech.

ROZDZIAŁ 28

Następnego ranka Chauncey obudziła się bardzo wcześnie.

Nareszcie, po raz pierwszy od czasu porwania, czuła się znowu jak ludzka istota. Przez chwilę leżała spokojnie, by nie obudzić Delaneya, z twarzą przytuloną do jego ramienia. Poruszyła nosem, gdyż kosmyk jasnobrązowych włosów łaskotał ją w twarz. Ból w ramieniu zamienił się w tępe pulsowanie, które postanowiła zignorować. Przesunęła dłoń po piersi Delaneya, kierując ją w dół. Uwielbiała dotykać jego ciała, wyczuwać zarys mięśni pod skórą. On także zeszcupłał, pomyślała, gładząc delikatnie palcami brzuch męża. Zsunęła dłoń jeszcze niżej i zanurzyła ją w gęstwinie włosów na jego łonie.

Poczuła, że jego męskość sztywnieje.

- Lepiej zastanów się nad tym, co robisz, Chauncey - powiedział nagle.

Uśmiechnęła się z twarzą wtuloną w jego ramię.

- To takie podniecające, że mogę sprawić dotykiem, by twoje ciało się... zmieniło.

- Mówiłem ci już, że mężczyźni to nieskomplikowane stworzenia. Ich opanowanie kończy się w okolicy krocza. Jeżeli dalej będziesz mnie tak pieścić, to...

- To co? - spytała miękko, delikatnie całując go w łopatkę.

- Przestań, kochanie - powiedział przeciągle, choć głos nieco mu się załamywał. - Nie chcę ryzykować, że coś ci się stanie.

Czym prędzej ujął jej dłoń, położył sobie na piersi i przytrzymał.

- Jak mocno bije ci serce...

- Nic dziwnego. A teraz posłuchaj mnie, mała kusicielko. Zważywszy, jak się dziś czujesz, wykąpię cię i pozwolę ci nieco się trochę poruszać. Nie, moja droga. Trzymaj ręce przy sobie, bo będę musiał wstać.

- Uwielbiam twój zapach.

Poczuł na ramieniu jej ciepły oddech i jego ciało natychmiast zareagowało. Przymknął na moment powieki. Uwodzicielskie zabiegi żony działały na niego niczym afrodyzjak.

- Dziękuję - powiedział, starając się nie myśleć o jej ślicznym ciele. Lecz kiedy poczuł, że Chauncey nakrywa udem jego udo, delikatnie odsunął się od niej.

- Nie, Del - powiedziała, przywierając do niego. - Obiecuję, że już się nie poruszę. Nie wstawaj jeszcze.

- Połóż się na plecach, Chauncey.

- Po co?

- Po prostu to zrób. Jesteś moją żoną i twoim obowiązkiem jest mnie słuchać.

Powoli, uważając na zranione ramię, odwróciła się na plecy.

Uśmiechnął się do niej, a potem wsunął dłoń pod pled. Jego dłoń sunęła powoli w dół, aż

odnalazła to najwrażliwsze miejsce.

- Ha, jak myślałem, sytuacja jest poważna.

- Co takiego? - spytała, nie spuszczać wzroku z jego pięknie wykrojonych warg.

Jej delikatna kobiecość była wilgotna i nabrzmiewała pod dotykiem palców. Czuł, że i jego pożądanie rośnie gwałtownie.

- Chodzi o twoje ciało, kochanie. Uniosła bezwiednie biodra.

- Będziesz się ze mną kochał, Del?

- W pewnym sensie. Jako odpowiedzialny mąż muszę wypełniać swe obowiązki. Leż spokojnie, kochanie. Boże, jaka tam jesteś gorąca...

Jęknęła cicho i odwróciła od niego twarz. Cofnął dłoń i Chauncey natychmiast spojrzała na niego pytająco, a jej wzrok wyrażał rozczarowanie.

- Chcę, żebyś na mnie patrzyła, kiedy będę dawał ci rozkosz.

Wzdrygnęła się, jej ciało natychmiast zareagowało na ponowną pieśczość.

- O, tak. Uwierz mi, gdy tylko poczujesz się lepiej, poproszę, byś odwzajemniła tę przysługę. Nie, nie zamykaj oczu. Nie odbieraj mi przyjemności patrzenia, jak reagujesz na moje starania.

Westchnęła, gdy jego palce odnalazły właściwy rytm. Zwilżyła językiem wargi i Delaney spostrzegł, że jej oczy błyszczą nieprzytomnie. Przez chwilę czuła, że cała kurczy się do tych paru centymetrów ciała pod jego palcami.

- Del. Nie wytrzymam tego... O, Boże! Poczul, że mięśnie dziewczyny tężeją. Widząc, jak poddaje się rozkoszy, o mało sam nie zaczął krzyczeć, tak wielką sprawiło mu to przyjemność.

- Del!

Jej ciało eksplodowało rozkoszą, której już nie starała się powstrzymać. Wykrzykiwała coś niewyraźnie, dysząc gwałtownie i wyginając plecy w łuk.

Zmniejszył nacisk palców, pozwalając, by powróciła do rzeczywistości.

Twarz Chauncey płonęła, a rozchylone wargi chwyciły gwałtownie powietrze.

- Taka piękna - powiedział miękko, pochylając się, aby ją pocałować. - I taka wrażliwa.

Poczula na udzie dotyk jego nabrzmiałej, pulsującej męskości i spróbowała się do niego przysunąć.

- Nie, kochanie, nie teraz - uspokoił ją. - Przysięgam, że przeżyję. Pamiętaj, dżentelmen zawsze troszczy się najpierw o przyjemność swojej damy, dopiero potem o swoją. - Umilkł na chwilę i położył dłoń na jej brzuchu. - Między nami tyle się wydarzyło, Chauncey.

- Głównie nie to, co powinno było się wydarzyć.

- Być może. Ale wiesz co? Kiedy leżałaś ranna w moim łóżku, kiedy twój starannie opracowany plan obrócił się przeciwko tobie, po raz pierwszy pomyślałem, że mógłbym mieć dzieci. I od tej chwili bardzo trudno mi było utrzymać ręce z dala od ciebie.

- Musiałeś być na mnie zły, kiedy poprosiłam, byś zatroszczył się o to, jak zapobiec poczęciu.

- Chciałem być wobec ciebie w porządku - powiedział z odcieniem powagi w głosie.

- Czy będziemy mieli dużo dzieci? Zachichotała.

- Tak czy inaczej, będą miały najlepszego ojca w całym... San Francisco.

- Wielka mi rzecz.

- No dobrze, w całym stanie Kalifornia.

- Jest pani bardzo łaskawa, madame. A teraz, kochanie, rozpaczliwie potrzebuję kawy i jedzenia.

Powiedz mi uczciwie, jak tam twoje ramię.

- W ogóle nie boli.
- Uczciwie, Chauncey.
- Trochę mnie rwie, lecz niezbyt mocno, przysięgam.
- Doskonale. Wykąpię cię rano, a po południu posiedzisz sobie chwilę na słońcu.
- Masz nadzieję, że rozkwitnę niczym kwiat?
- Ty już rozkwitłaś. Oto doskonały okaz róży.

Umycie jej wymagało od Delaneya sporego wysiłku i samozaparcia. Rozpaczliwie starał się skupić na swoim zadaniu, lecz kiedy przesunął rękami między udami Chauncey, a ona zadrżała, westchnął gwałtownie.

- Umycie włosów zostawimy sobie na jutro - powiedział wstając. - Nie będę ryzykował, że się przeziębisz.

- Mogę się ubrać?

- Tak, pomogę ci.

- A potem - na słońce?

- Tak, lecz tylko po to, by się zdrzemnąć.

- Umilkł, a potem dodał. - I ogrzać sobie płatki. Zamrugła, zdziwiona, a potem zrozumiała, co miał na myśli i zaczerwieniła się.

- Powiedziałaś, że pomożesz mi się ubrać - stwierdziła cierpko.

- Na słońcu będzie ci ciepło i bez ubrania. Kiedy już miała na sobie bluzkę i spódnicę, które dostała od Chatcy, wyniósł ją na zewnątrz i posadził na rozpadającym się ganku. Rozłożył pled i pomógł jej się wygodnie ulokować, a potem zapytał:

- Nie ruszysz się stąd, prawda?

- Obiecuję, proszę pana.

- Jeżeli będziesz musiała sobie ulżyć, zaczekaj na mnie. Wracam niedługo.

- Czy musimy o tym rozmawiać?

Roześmiał się, pomachał jej na do widzenia i zagłębił się w las.

Chauncey oparła głowę o chropowatą ścianę szałas i przymknęła oczy.

Wspaniale było poczuć na skórze dotyk słonecznych promieni. Płatki, pomyślała, uśmiechając się bezwiednie.

Paul Montgomery. Gdzie on mógł być? Czy ludzie Delaneya już go znaleźli? Zwalczyła skurcz strachu. Lepiej myśl o swoim małżeńskim szczęściu, nakazała sobie, uśmiechając się bezwiednie. Przebywanie w samym środku głuszy i oczekiwanie na odgłos wystrzału, świadczący o tym, że Delaney upolował dla nich obiad, wydawało się zadziwiająco naturalne. Jak Adam i Ewa, pomyślała i zamknęła oczy. Lecz w rajku był także wąż, przemknęło jej jeszcze przez głowę i zapadła w sen.

Spała niespokojnie, prześladowały ją koszmary. Stała pośrodku magazynu Delaneya, a wokół wybuchały fajerwerki, przesłaniając wszystko welonem dymu, z którego nagle wyłonił się Paul Montgomery. Uśmiechał się do niej. Tuż za nim stał Chatca z twarzą pokrytą krwią.

Krzyknęła i poruszyła się gwałtownie.

- Spokojnie, kochanie.

- Del! - Zwróciła oszalałe z przerażenia spojrzenie na męża, który przykucnął obok niej. - To było okropne!

- To tylko zły sen. - Poglądził jej twarz.

- Widziałam Chatcę - powiedziała, chwytając powietrze. - Miał twarz zalaną krwią. Paul

Montgomery też tam był.

Wzdrygnęła się.

- Dlaczego zobaczyłam ich razem?

- Obaj stanowią dla ciebie zagrożenie, chociaż nie tego samego rodzaju. Twój słaby niewieści umysł po prostu połączył ich, aby uprościć sprawę.

- Powinnam się domyślić, że będziesz stroił sobie ze mnie żarty!

- Tak już lepiej - powiedział i pocałował ją w czubek nosa. - Teraz przyprowadzę konie i starannie je wytrę. Możesz to uznać za szczytowy punkt tego jakże ekscytującego dnia.

- Nie - stwierdziła figlarnie - szczytowy moment miał miejsce dużo, dużo wcześniej.

- Masz na myśli kąpiel?

- Tak, oczywiście - zgodziła się natychmiast, spoglądając na niego wzrokiem niewiniątka. - Nic innego nie przychodzi mi na myśl.

Pocałował jej zaciśnięte wargi.

- Nie, nie mów tego. Najwidoczniej taki już twój los: nigdy nie możesz mieć ostatniego słowa.

Popołudnie minęło niespodziewanie szybko. Chauncey wiedziała, że te dni i noce są jakby poza czasem i że pomimo bólu w ramieniu, po raz pierwszy, od kiedy się pobrali, mają szansę spędzić ze sobą coś w rodzaju miodowego miesiąca. Nie chciała, aby ten czas dobiegł końca.

- Jesteś taki miły - powiedziała nagle.

- Wolałabyś, żebym cię bił?

- Chciałam powiedzieć, iż przedtem umysł miałam tak zaprzątnięty planowaniem zemsty, że nie spostrzegłam, jaki naprawdę jesteś. Przynajmniej nie od razu - dodała.

Delaney nie odezwał się, uniósł jedynie pytająco brwi.

- To znaczy, po jakimś czasie zaczęłam mieć wątpliwości. Nawet moja wierna Mary zaczęła wychwalać cię pod niebiosa, za co byłam na nią tak wściekła, że miałam ochotę ją uderzyć! A kiedy uświadomiłam sobie, że cię kocham, myślałam, że umrę z rozpaczy. Widzisz, czułam, że zdradzam w ten sposób ojca, bo ulegam jego wrogowi.

Delaney usadowił się obok żony.

- Lubiłem twego ojca - powiedział, odsuwając z czoła pasmo włosów. - Przeklęta chciwość! Zapewne zdajesz sobie sprawę, że gdybym nie złożył twemu ojcu tej propozycji, prawdopodobnie nadal by żył.

- Nie! Nie waż się tak mówić! Spojrzał na nią, zaintrygowany.

- Skoro tak, to wyobraź sobie mnie jako żonę sir Guya, gdyż to małżeństwo zapewne doszłoby wówczas do skutku.

Wzmianka o jej ewentualnym małżeństwie z innym mężczyzną ani trochę nie spodobała się Delaneyowi. Jego oczy pociemniały.

- Gdyby nie mój ojciec chrzestny, sir Jasper, pewnie byłabym teraz panną sklepową w Londynie, z trudem zarabiającą na utrzymanie.

- W porządku, moja ty logiczna pannico, dajmy sobie z tym spokój.

- Czy nadal pragniesz zostać politykiem? - spytała niespodziewanie.

Jego lewa brew powędrowała ku górze, przypomniał sobie bowiem ich poprzednią rozmowę na ten temat.

- Tak, owszem. Zgodziłaś się wtedy - powiedział ostrożnie - ponieważ miałaś nadzieję, że znajdziesz sposób, by mnie skompromitować.

- Obawiam się, że nie jestem zbyt dobra w snuciu intryg.
- Za to jesteś bardzo dobra w łóżku. Uśmiechnęła się do niego.
- Czy wy, mężczyźni, tylko o tym myślicie?
- No cóż...

- Del, czy ty... czy bardzo trudno będzie ci się rozstać z twoją francuską kochanką?

Spojrzał na nią z udanym przerażeniem w oczach.

- Rozstać się z Marie? Chcesz mnie pozbawić wszystkich przyjemności?

Patrzyła na niego z ogromnym niepokojem.

- Jakaś ty niemądra, Chauncey - powiedział, szczypiąc ją lekko w nos. - Wiesz doskonale, że rozstałem się z Marie, nim ożeniłem się z tobą.

- Tak przypuszczałam, ale tamtej nocy wypadłeś z domu taki wściekły...

- Tak, lecz nie poszedłem do Marie. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, Chauncey, i nigdy o tym nie zapominaj: kocham cię do szaleństwa. W porządku?

- Nie jestem ciebie warta - powiedziała i wymierzyła mu kuksańca, kiedy ochoczo się z nią zgodził.

Noc była jasna i chłodna. Chauncey, syta, siedziała wsparta o kolana Delaney, wpatrując się w ogień. Bazard okazał się doskonały, a ramię prawie nie bolało.

- Nie chcę stąd odchodzić - powiedziała, odchylając głowę do tyłu, by móc spojrzeć mu w twarz.

- To dlatego, że ja wykonuję całą robotę, madame. Nic dziwnego, że podoba ci się bycie obsługiwaną.

Chauncey zaczerwieniła się leciutko.

- A teraz położysz się na tym jakże wygodnym łóżu, a ja, moja droga, wybiorę się nad rzekę, trochę popływać.

- Doskonale - powiedziała, czując, że jej puls zaczyna szybciej bić. Delaney pomógł żonie ulokować się na pościeli i wstał.

- To nie powinno trwać zbyt długo. Czy mogę mieć nadzieję, że na mnie zaczekasz?

Ostentacyjnie ziewnęła.

- Jestem okropnie zmęczona.

Kiedy Delaney wrócił po kilkunastu minutach do szalasu, z rozbawieniem stwierdził, że Chauncey naprawdę usnęła. Jej twarz jaśniała w blasku ognia, a równy oddech unosił piersi. Zrzucił ubranie i już miał wśliznąć się pod przykrycie, kiedy uświadomił sobie, że jest zbyt pobudzony, by spać. Ukrywał przed Chauncey nurtujący go niepokój i obawy, lecz teraz, w ciszy nocy, jego troski powróciły, by dręczyć go ze zdwojoną siłą.

Chauncey się obudziła. Leżała nieruchomo, zła na siebie za to, że usnęła, nie doczekawszy powrotu Delaney. Odwróciła głowę i zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Delaney, nagi, stał pośrodku szalasu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w tańczące na palenisku płomienie.

ROZDZIAŁ 29

Delaney stał pochylony nieco do przodu, wsparłszy ramię o kamienny parapet, służący za zwieńczenie kominka. Wyglądał na tak zamyślonego, iż Chauncey nie poruszyła się ani nie odezwała, napawając się chwilą i urodą swojego mężczyzny.

Przesunęła wzrok po delikatnej krzywiznie jego pleców, po jędrnych pośladkach i długich, mocnych nogach. Zobaczyła muskularną pierś, płaski, twardy brzuch i kępę włosów na łonie. Pragnęła, bardziej niż czegokolwiek innego, dotknąć go, poczuć szorstkość włosów na jego udach, potrzeć policzkiem o jego skórę.

Spostrzegł, że Chauncey mu się przygląda i uśmiechnął się do niej.

Nie uczynił najmniejszego gestu, aby się okryć.

- Żałuję, że nie masz choć kilku wad! - westchnęła Chauncey.

Roześmiał się szczerze i głęboko, a ona obserwowała grę mięśni na jego piersi.

- To prawda - powiedziała, oburzona. - Ja jestem cała ulepiona z wad, a ty... ty jesteś doskonały!

- Och, Chauncey, nie jestem wzorem doskonałości. Zdarzało mi się grzeszyć, i to na całego.

- To ja tylko grzeszę i wszystko psuję.

- Z tym już koniec, zapewniam cię, moja droga.

- Sprawiasz, że to, co mówię, brzmi niepoważnie!

- Ach, wiedziałem, że uda mi się wytrącić cię z tego poważnego nastroju i nieco rozśmieszyć.

- Nie chcę wracać - wyszeptała Chauncey. - Nigdy!

Podszedł do niej i przyklęknął obok pośłania.

- Obiecuję ci, że kiedy wrócimy do domu, nie zapomnę, czego się tu o sobie dowiedzieliśmy - powiedział, wyciągając do niej ramiona.

Przytulił ją do siebie tak, by poczuła na brzuchu dotyk jego nabrzmiałej męskości. Delikatnie przesuwał dłońmi po jej plecach, a potem zamknął je wokół jej bioder i uniósł ją nieco.

Objęła go ramionami za szyję i podniosła głowę.

Zaczął namiętnie ją całować. Chauncey ugryzła go leciutko w ramię, a potem zaczęła całować sutki, przesuując dłońią wśród włosów na jego piersi. Pragnęła go, pragnęła go całego. Wyobraziła sobie, jak kocha się z nim, a jego usta dotykają jej intymnych miejsc sprawiając, że chce jej się krzyknąć z rozkoszy. Czy on tak bardzo różni się od niej? Opuściła niżej głowę, pokrywając jego brzuch gradem szybkich pocałunków. Poczowała, że jego mięśnie tężeją, a ciało sztywnieje pod dotykiem jej warg. Uśmiechnęła się, usatysfakcjonowana. Kiedy dotknęła lekko ustami jego męskości, szarpnął się mocno, chwytając gwałtownie powietrze.

Wsunął palce w jej włosy. Wilgotna miękkość jej ust zamknęła się wokół niego. Ona nie ma pojęcia, co właściwie robi, pomyślał, zdumiony tą nieoczekiwaną, choć jakże cudowną inicjatywą.

Zamknął oczy, odrzucił w tył głowę i pozwolił, by jego ciało zalała fala przyjemności. Lecz zbyt

dużo czasu minęło, od kiedy ostatni raz się z nią kochał i teraz nie mógł być pewny, czy nie zawiedzie go opanowanie.

Delikatnie odsunął ją od siebie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Cudownie smakujesz - powiedziała zadziwiona i dziwnie podniecona.

Opuściła znów głowę, lecz on chwycił ją za ramiona, zmuszając, by się wyprostowała.

- Nie! Dosyć, kochanie. Nie mogę dłużej się powstrzymywać.

- Ale ty nigdy nie chcesz, bym ja się wstrzymywała.

- To nie to samo. Zapewniam cię, że to coś zupełnie innego.

Przywarła do niego, obejmując jego barki.

- Proszę - szepnęła miękko.

Delaney równie mocno jak ona pragnął dać wreszcie upust długo wstrzymywanej namiętności.

Przycisnął dłonie do jej pośladków, zsuwając palce niżej, a kiedy jej tam dotknął, przekonał się, jak bardzo jest gotowa. Pragnęła go równie mocno, jak on pragnął jej.

- Boże - szepnął ochryple. - Obejmij mnie ramionami za szyję - powiedział, przysiadając na piętach.

Uniósł ją wyżej i delikatnie posadził, wsuwając się w nią głęboko.

Krzyknęła z zaskoczenia i rozkoszy.

- Czy sprawiam ci ból?

- O, nie - zawołała, całując go szaleńczo. Wsunął się w nią głębiej, przymykając oczy. Ta bliskość, pomyślał żarliwie, oto czego spodziewał się po kobiecie, tej jedynej, wybranej. Pomyśleć, iż niemal zwątpił, że kiedykolwiek ją spotka. Jej ciepło i oddanie wypełniały jego duszę, tak jak on wypełniał jej ciało.

- Oprzyj się o moje ręce - powiedział miękko. Posłuchała go natychmiast. - Właśnie tak, kochanie. Odpręż się i opuść swobodnie ramiona. Nie chcę urazić rany.

Odrzuciła głowę do tyłu, wypinając w łuk plecy oparte bezpiecznie o jego ręce i wypchnęła do przodu piersi. Powoli ułożył ją na plecach, ani na chwilę jej nie puszczając i zawisł nad nią, wsparty na łokciach. Uniosła biodra, by odpowiedzieć na jego ostrożne ruchy. Jęknął cicho, a potem wsunął dłoń pomiędzy nich i zaczął pieścić palcami jej nabrzmiałe, gorące ciało. Otworzyła oczy i dostrzegł w nich pożądanie. Zadrżał i pchnął mocniej, głębiej, oddychając chrapliwie. Poczul, że jej uda zaciskają się wokół jego bioder, przyciągając go bliżej, i spróbował nieco spowolnić rytm ich ruchów. Jednak Chauncey nie pozwoliła na to.

Wykrzyknęła jego imię i czując, jak jego palce rozpalają ogień gdzieś w najodleglejszych zakamarkach jej ciała, poczuła go tak głęboko w sobie, że stał się częścią niej.

Powtórzyła imię męża, jej ciało stężało. Po chwili spazmatyczne, niemal bolesne skurcze zaczęły targać jej ciałem.

Delaney pchnął mocniej, wszedł w nią jeszcze głębiej, stając się częścią jej ciała, wystrzeliwując w nią swoje nasienie.

Chauncey drżała leciutko, targana kolejnymi skurczami. To uczucie, pomyślała mgliście, to uczucie, że ma go w sobie, że on ją wypełnia, że poznał wszystkie tajemnice jej ciała...

- A to co znowu? Dlaczego płaczesz? Sprawilem ci ból?

Miękki głos Delaneya rozbrzmiewał tuż przy jej uchu. Objęła go mocno i przytuliła twarz do jego ramienia. Wdychając zapach mężczyzny, przycisnęła wargi do jego skóry, by poczuć smak potu,

pokrywającego ciało kochanka.

- Chauncey...

- Wszystko w porządku, naprawdę. Po prostu wygląda na to, że nie potrafię się tobą nasycić.

- Wydajesz się dosyć z siebie zadowolona - zauważył.

Uniosła nieco biodra, wciągając go głębiej w siebie.

- Nie pozwolę, byś mnie zostawił.

- Wiesz co, zaczynam wierzyć, iż posiadanie żony nie jest takie znowu okropne. Zwłaszcza żony, która co noc doprowadza mnie do szaleństwa.

- Ta żona czuje tak samo - powiedziała. Zsunął się z niej i ułożył na boku.

- Daj mi trochę czasu, abym mógł przegrupować siły.

- Tak jest, generale. - Uniosła dłoń i lekko przesunęła czubkami palców po jego nieogolonej szczęce. - Del, gdyby Chatca... - umilkła na moment, szukając właściwych słów - gdyby ten Indianin mnie zgwałcił, to co byś zrobił? Znienawidziłbyś mnie?

Odczuwał pokusę, aby nieco się z nią podroczyć, wytykając jej, jak bardzo jest młoda i niemądra, ale nie zrobił tego. Chauncey pytała poważnie, więc odpowiedział tak samo.

- Nie rozumiem, dlaczego kobieta miałaby czuć się winna, skoro stała się ofiarą.

- Chyba czułabym się taka... niegodna i zbrukana.

- Niektórzy mężczyźni obwiniają kobiety za to, że stały się ofiarami przemocy. Słyszałem nawet, jak dowcipkują, zarzekając się, że nie będą uprawiać pola, które ktoś inny już przeorał. Taki na przykład Sam Brannan nie przestaje się dziwić, jak mogę trzymać u siebie Lin, która była zwykłą dziwką i miała więcej mężczyzn, niż potrafię zliczyć. Jakby to był jej wybór! Całe miesiące trwało, nim jej oczy straciły ten straszny wyraz przerażonego zwierzęcia i zanim przestała się wzdrygać, jeśli podszedłem zbyt blisko.

- A zatem nie sprawiłoby ci to różnicy?

- Oczywiście, że by mi sprawiło. Obwiniłbym siebie, że nie potrafiłem cię ochronić. I pewnie zabiłbym mężczyznę, który by cię skrzywdził.

Westchnęła głęboko, wtulając twarz w jego pierś.

- Czy wiesz, że mając dwadzieścia jeden lat byłam w Anglii uważana za starą pannę? W wieku dwudziestu jeden lat! A spójrz tylko na siebie. Masz dwadzieścia osiem lat, do niedawna byłeś kawalerem i wszystko było w porządku. Gdybyś nawet przekroczył trzydziestkę, nadal mógłbyś się ze mną ożenić i nikt nie widziałby niczego niewłaściwego w dzielącej nas różnicy wieku.

- Wiem, co teraz powiesz - wtrącił, wzdychając ciężko. - Posłuchaj, Chauncey. Mając dwadzieścia lat byłaś o wiele bardziej inteligentna, dojrzała, pociągająca i cudowna niż ja w tym samym wieku. Mężczyzna potrzebuje lat, by zyskać doświadczenie i wydorosłość. I wiesz co? Martwiło mnie, że jesteś taka stara. Całe dwadzieścia jeden lat. Mężczyzna pragnie uległej, podatnej na jego wpływ kobiety - powiedział.

Spała głęboko, bezpieczna i wolna od bólu, wypartego przez uczucie zaspokojenia i wewnętrznego ciepła.

W nocy zrobiło się chłodniej, przywarła więc mocniej do pleców Delaney'a, objawszy go ręką w pasie. Jej sny były nader skomplikowane, radosne, wypełnione światłem i śmiechem. Przeszłość i przyszłość splatały się z sobą, przywołując uśmiech na jej uspioną twarz.

Kiedy tuż po świcie drzwi szalasu otworzyły się z hukiem, Chauncey głośno krzyknęła.

Na progu stało dwóch mężczyzn, uzbrojonych w strzelby.

W wyższym rozpoznała Barona Jonesa, mężczyznę, którego spotkali na nabrzeżu w San Francisco i z którym Del niegdyś się pojedynkował. Był to szczupły, czarnowłosy mężczyzna o rysach zbyt doskonałych, by mogły być uznane za naprawdę pociągające, i o rumianej cerze. Jego oczy, zimne i niezgłębione niczym Morze Północne, miały tę samą co ono szarą barwę. Drugi intruz prezentował się znacznie gorzej: był chudy, niemal kościsty i miał pałakowate nogi. Gapił się na Chauncey z otwartymi ustami, prezentując dwa rzędy poczerniałych zębów.

- Jezu, Baron - jęknął krzywonogi - spójrz tylko na te cycki.

Słyszając to, Chauncey chwyciła błyskawicznie pled i zakryła się nim aż po szyję.

- Del zawsze potrafił zapewnić sobie najlepszą dupę w okolicy. A z tą nawet się ożenił. Prawda, Saxton?

Chauncey poczuła, że mąż obejmuje ją z tyłu ramieniem. Odwróciła się, aby na niego spojrzeć i krew zamarła jej w żyłach.

W jego spojrzeniu malowała się lodowata wściekłość, jakiej nie widziała u niego nigdy dotąd.

- Czego chcesz, plugawy sukinyś? - zapytał spokojnie Del, jak gdyby gawędzili o pogodzie.

- No cóż, przybyliśmy tu po tę lady - uprzejmym tonem wyjaśnił Baron Jones.

- Rozumiem - powiedział Del, w pełni panując nad głosem. - Indianin się nie spisał.

- Głupie bękarty - syknął Baron. - Nie można ufać, że zrobią cokolwiek, jak należy. Oczywiście, teraz lepiej go rozumiem. Stary Jasper się nie myli. Ta suka ma naprawdę śliczne cycki.

Chauncey słuchała, oszołomiona. Wynajęli Chatce, aby ją zabił! Lecz on jej pożądał. I Delaney odkrył prawdę. Poczowała, jak odsuwa się od niej i wstaje. Facet, zwany Jasperem, zaśmiał się cicho.

- Nie ma wątpliwości, czym zajmowali się przez całą noc, co Baron?

- Powinienem być zabić cię przed dwoma laty, Baron. Tak, zdecydowanie - powiedział Delaney, mierząc Jonesa lodowatym spojrzeniem.

- Nic z tego, Saxton, straciłeś swoją szansę. Prawdę mówiąc, wkrótce stracisz resztę. Zastanawiam się, czy ramię ci dokucza, kiedy zanosz się na zmianę pogody - powiedział, pocierając bezwiednie nogę.

- Wiesz, ta kula nadal tam jest. I za każdym razem, kiedy boli mnie noga, myślę o tobie, Saxton. Nie wahałem się ani przez chwilę, kiedy zlecono mi

.tę robotę. Nareszcie będę miał okazję wyrównać rachunki.

- A gdzie to podziwia się Paul Montgomery? - zapytał Delaney, nawet nie drgnąwszy.

Baron roześmiał się głośno.

- Ten naiwny Angol ulokował się bezpiecznie i wygodnie w mieście Nevada. Biedny, mały dżentelmen. Trudno mu znieść nasz ewidentny brak kultury i wyrafinowania. Zastanawiam się, jakiego dowodu mu dostarczyć, aby uwierzył, iż ostatecznie rozwiązaliśmy jego problem.

Chauncey odzyskała wreszcie głos.

- Proszę - powiedziała - pozwólcie odejść Delowi. On nie ma nic wspólnego z Paulem Montgomerym. Nic.

- No cóż, kochanie, może dobijemy targu. Delaney zacisnął dłoń na ramieniu Chauncey.

- Cicho bądź - powiedział wyraźnie i z naciskiem.

Spojrzała na męża błagalnie.

- Spójrz no, Baron, dzierlatka ma bandaż na ramieniu. Może Indianin jednak próbował ją sprzątnąć.

Baron uśmiechnął się olśniewająco i wzruszył ramionami.

- No cóż, Jasper, nigdy się już tego nie dowiemy, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zastrzeliłem sukinsyna, a razem z nim resztę tej hołoty.

O Boże, wymordowali wszystkich! I Cricket także!

Biedna Cricket, która uratowała jej życie.

Wszystko to stało się za sprawą Paula Montgomery'ego. Poczula gniew tak przemożny, że aż zaczęła się trząść. Owinęła się ciasniej pledem, podniosła niepewnie i stanęła na drżących nogach.

ROZDZIAŁ 30

- Ach, Baron, ten parszywy pled! - powiedział Jasper podekscytowany i postąpił krok na przód. Delaney szybko stanął pomiędzy nim a Chauncey.

- Nie dotkniesz jej, padalcu! Rozerwę ci gardło, jeśli spróbujesz!

Jasper zamarł i zbladł, lecz po chwili wróciła mu odwaga.

- To ja mam strzelbę, Saxton, nie ty! Więc czemu na mnie wrzeszczysz?

- Spokojnie, Jasper, nie denerwuj się tak. Nasz stary Del po prostu próbuje ochronić swoją kobietę.

Chauncey cofała się powoli, dopóki nie poczuła za plecami ściany szafasu.

- Czy mają panowie coś przeciwko temu, bym włożył spodnie? - zapytał Del.

Baron Jones pomachał strzelbą.

- Nic zupełnie. Nie chcielibyśmy, by twoją małą panią zaczęły nawiedzać zdrożne myśli.

Delaney starał się zachować spokój. Przyłapano ich, ponieważ nie miał się na baczności. Jest głupcem, skoro nie przewidział, iż Montgomery może wynająć szubrawca pokroju Barona, aby upewnić się, czy Indianin, Chatca, wykonał zleconą mu brudną robotę. Zapiął bryczesy, włożył koszulę i wsunął ją w spodnie. Podniósł z podłogi ubranie Chauncey i ruszył powoli w jej kierunku.

- Hej, ty - zaskrzeczał Jasper. - Nie było mowy o zakrywaniu wdzięków naszej małej ślicznotki!

Delaney zignorował go. Usłyszał dźwięk odwodzonego kurka, a potem głos Barona:

- Daj spokój, Jasper. To tylko bluzka i spódnica, nic wielkiego.

- Posłuchaj mnie - szepnął Delaney, wręczając Chauncey ubranie - chcę, żebyś była cicho. Jeżeli zaczniesz mówić, ściągniesz na siebie ich uwagę.

Zwróciła ku niemu przerażony wzrok.

- I co my teraz zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Baron to typ, który będzie chciał się trochę porozkoszować swoją przewagą.

Odwrócił się i głośno powiedział:

- Proponuję, panowie, abyśmy zostawili na chwilę moją żonę, by mogła spokojnie się ubrać.

- Chcę na nią popatrzeć! - zarechotał Jasper.

- Chcę znowu zobaczyć te cycuszki.

- Będziesz miał na to dość czasu - powiedział Baron, spoglądając z satysfakcją na twarz Delaneya.

- Ten tu Del wie wszystko o tym, jak być dżentelmenem. Na dworze jest wiadro z wodą, a mnie chce się pić. Chodź, Jasper.

Delaney wyszedł powoli z chaty. Baron zatrzymał się na chwilę, spostrzegł strzelbę Delaneya i wsadził ją sobie pod pachę, a pas z rewolwerem przerzucił przez ramię.

- Prawdopodobnie nie potrafisz odróżnić jednego końca strzelby od drugiego, kochanie, ale po co

kusić los?

Uśmiechnął się do niej w sposób, od którego ścierpła jej skóra na karku, i wyszedł z chaty za Delaneyem.

Została sama. Wydawało jej się, że minęła wieczność, nim mogła się poruszyć.

Ubierz się, do cholery!

Po chwili wpychała już bluzkę za pasek spódnicy. Wspomnienia wczorajszej dyskusji na temat gwałtu kłębiły jej się w głowie jak oszalałe. Gwałt to nic wielkiego w porównaniu z tym, co zamierzają ci dwaj, pomyślała. Delaney też umrze, i to z jej powodu.

Odetchnęła głęboko, aby się uspokoić, i zaczęła metodycznie przeszukiwać chatę. Żadnej broni. Szybko pochyliła się nad bagażami Delaney'a. Nie miała nadziei, że znajdzie jakąś broń, więc kiedy zobaczyła swój mały rewolwer o rękojeści wykładanej masą perłową, zamrugła, myśląc, że to przywidzenie.

- O, Boże - szepnęła - spraw, by był naładowany. Był. Znajdował się dokładnie tam, gdzie go schowała, zanim napadli ich Indianie. Wsunęła broń do głębokiej, wystrzępionej kieszeni spódnicy. Serce biło jej jak szalone. Oni się domyśla. Na pewno się domyśla!

Kiedy mężczyźni wrócili do chaty, stała pośrodku, nieruchoma niczym posąg.

- Siadaj na podłodze, Del - rozkazał baron - i zachowuj się spokojnie. A co do ciebie, moja słodka, to jesteśmy z Jasperem głodni. Przygotuj nam kawę i coś do żarcia.

- Ona nie da rady - powiedział Delaney. - Była postrzelona w obozie Indian.

Baron przez chwilę przyglądał się obojgu, niezdecydowany, w końcu wzruszył ramionami.

- Doskonale. Podejź tu, dziewczyno. Jeśli twój mąż zrobi choć jeden fałszywy ruch, przestrzele ci tę śliczną główkę. Słyszałeś, Saxton?

- Słyszałem.

Kątem oka spostrzegł, że Jasper przysuwa się powoli do Chauncey, powiedział więc:

- Nieźle to załatwiłeś, Baron. Powiedz mi, jak nawiązałeś kontakt z Montgomerym?

Jones wyprostował się i aż pojaśniał z dumy. Jasper przestał się skradać i spojrzał na swego towarzysza.

- Widzisz, Del, tak się składa, że znam Hoolihana. Zdziwiony, co? Widziałem, jak Monk się z nim włóczy, Monk i ten drugi, którego wynająłeś. Ale widzisz, Montgomery przebywał wtedy w San Jose, więc pojechałem do niego i powiedziałem mu, że jego człowiek został schwytany. On płaci mi bardzo dobrze, Del, naprawdę bardzo dobrze. Już wkrótce będę mógł otworzyć własną szulernię. Gdzieś w mieście Nevada, jak sądzę. A Jasper dopilnuje, by żaden górnik nie opuścił okolicy, jeśli nie zostawi u mnie części swego złota.

- Dobrze wszystko przemyślałeś.

- Tak, rzeczywiście. Co do Montgomery'ego, to kiedy tylko spotkamy się z nim w Nevadzie, zapłaci nam i wyruszy z powrotem do Anglii. Swoją drogą, chętnie bym się dowiedział, dlaczego tak mu zależy na tym, aby załatwić twoją żonę. Niczego mi nie wyjaśnił.

Delaney postawił na stole kubki i zaczął nalewać do nich kawę. Przyszło mu na myśl, że mógłby chlusnąć im wrzątkiem w twarz, lecz Jasper znajdował się zbyt blisko Chauncey.

Postaraj się zyskać na czasie, powtórzył sobie po raz kolejny.

- No cóż, to, co ci powiem, nie stawia Montgomery'ego w zbyt pochlebnym świetle. Zamordował ojca mojej żony i okradł go. Chociaż w dzieciństwie nieraz trzymał Chauncey na kolanach, teraz postanowił się jej pozbyć, ponieważ obawia się, że mogłaby odkryć jego machinacje. Uważam, że

powinien zostać tu, na Zachodzie. Jest prawnikiem i doskonale pasowałby do tutejszej zgrai szakali.

- To nie była ładna historia - zauważył Jasper.

- Próbował ją zabić, nim opuściła Anglię, ale udało jej się uniknąć śmierci. Przypuszczam, że wsiadł na następny statek i popłynął za nią. On nie zasługuje na to, by żyć.

- Nie, ani trochę mi się to nie podoba - powtórzył Jasper, potrząsając głową. - Nie moglibyśmy go załatwić?

- Chodzi o honor, drogi Jasperze, złodziejski honor. Wieści się rozchodzą, a niedotrzymanie umowy nie wpływa dobrze na reputację człowieka.

- Czy wiecie, że on jeszcze po śmierci ojca udawał mojego przyjaciela? - odezwała się Chauncey drżącym głosem. - I nawet uronił kilka łez na pogrzebie.

- A to dopiero wredny staruch! - stwierdził Jasper z odrazą.

- Uspokój się, Jasper - powiedział Baron z odcieniem rozbawienia w głosie. - Facet jest sprytny, nawet ty musisz to docenić. A teraz, Del, masz może coś do jedzenia? Nie lubię pracować z pustym brzuchem.

- Spleśniały chleb, nic poza tym. Jeżeli chcesz zjeść coś konkretnego, będziesz musiał to upolować.

Baron przez chwilę popijał kawę.

- No cóż, jak wiesz, nie uda nam się dotrzeć do Nevady przed jutrem. Nie sędzę, by stała się jakaś szkoda, jeśli zjecie wasz ostatni posiłek. Tak, jakbyście przygotowywali się do egzekucji. - Potarł udo. - Tak, do egzekucji.

Delaney poczuł przyływ nadziei, ale nie pokazał tego po sobie.

- Jak chcesz - powiedział tylko, wzruszając ramionami.

Chauncey opuściła nisko głowę, gdyż obawiała się, że nie zdoła ukryć błysku radości w oczach.

- Przekonajmy się, czy potrafisz coś ustrzelić, Jasperze - powiedział Baron. - Nakarmimy naszą ślicznotkę, a wtedy będzie miała więcej sił, by się opierać. Pomyśl o tym.

Jasper mruknął coś pod nosem, lecz posłusznie wstał.

- Najpierw upewnimy się, że Del nie będzie próbował czegoś głupiego.

Baron oderwał od pledu kilka pasów materiału i związał Delaneyowi dłonie i nogi w kostkach. A potem spojrzał z zainteresowaniem na Chauncey.

- Zostaw w spokoju jej cycki, Baron. Ja chcę wziąć ją pierwszy.

- Tylko nieco ją rozpalę - odparł Baron. Powinienem był chlusnąć im w twarz kawą i wykorzystać szansę.

Delaney przymknął oczy. Teraz był bezradny, a wiedział doskonale, że Baronowi bardziej zależy na tym, by napawać się jego wściekłością, niż by skrzywdzić Chauncey. Zaczął szarpać więzy. Jasper wyszedł z chaty.

- Zaraz wracam - zawołał przez ramię.

- Nie śpiesz się, Jasper, nie śpiesz się. - Baron mówił cicho, tak by słyszeli go jedynie Chauncey i Del. - Wiesz co, Del? Kiedy już ciebie nie będzie, postaram się dać tej dziwce Marie parę lekcji. Ta suka miała czelność powiedzieć, że nie posiadam niczego, co powinien mieć prawdziwy mężczyzna. Tak... - dodał, rozmarzony. - Pokażę jej, na co mnie stać.

Wyprostował się nagle i spojrzał znacząco na Chauncey.

- Prawdę mówiąc, mógłbym poćwiczyć na twojej żonie. W końcu zarówno ona, jak i Marie dzieliły z tobą łóżko. Pozwólmy, niech nam opowie, jak zachowuje się w łóżku prawdziwy mężczyzna.

No, Del, bądź rozsądny. Nic nie możesz zrobić. Zaciśnij zęby, jeśli chcesz. Skłamałem Jasperowi. Chcę znowu zobaczyć te śliczne cycuszki.

Delaney naparł z całej siły na więzy, lecz nic to nie dało. Zaciśnął zęby, by opanować ból. Przerażony obserwował, jak Baron skrada się ku jego żonie. Spojrzał na Chauncey i zamarł. W jej oczach nie było lęku, jedynie, co wydawało się niemożliwe, oczekiwanie. I z trudem maskowana niecierpliwość.

- Wstań, kochanie - powiedział Baron. - Chcę zdjąć z ciebie te łańcuchy.

Chauncey zrobiła, co kazał, a nawet uśmiechnęła się przy tym leciutko.

- Potrzebujesz strzelby? - spytała z odcieniem kpiny w głosie. - Mąż nigdy nie musiał stosować wobec mnie przemocy. - Wzruszyła ramionami. - No, ale ty nie jesteś nim...

Oczy Barona zwięziły się.

- Co ty knujesz? Uważasz, że zdołasz mnie pokonać? Kochanie, mógłbym przetrącić ci kark jedną ręką.

- Czy właśnie to chcesz zrobić? - spytała szyderczo. Odstawił na bok strzelbę i ruszył ku dziewczynie.

Chwycił ją i mocno objął, przyciskając jej ramiona do boków.

Chauncey słyszała, jak Delaney krzyczy, przeklinając Barona słowami, o których istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Mimo to nie poruszyła się. Poczowała na policzku dotyk jego warg. Wzmocnił uścisk. Na razie nie było co marzyć o posłużeniu się rewolwerem. Osunęła się bezwładnie w ramiona napastnika.

- Widzisz, Saxton? Twoja żona to zwykła dziwka. One wszystkie są takie!

Podstawił jej nogę i pchnął ją tak, że upadła na plecy. Poczowała ból w zranionym ramieniu, ale zignorowała go. Baron całował ją gorączkowo, starając się rozerwać jej bluzkę.

- Podoba ci się to, prawda? - zapytał ze śmiechem. Ugryzł ją w szyję, a kiedy jęknęła z bólu, roześmiał się jeszcze głośniejsze.

Zdołał wreszcie uporać się z bluzką i wsparł się na łokciu.

- Biedny Jasper - powiedział, dysząc lekko. - Ja będę miał cię pierwszy.

Chauncey nie poruszyła się. Czowała, że Baron wpycha jej język do ust i z trudem powstrzymała się, by go nie ugryźć. Jeszcze chwila, pomyślała. Jeszcze tylko chwila.

Nagle Baron odsunął się i gwałtownym ruchem zadarł jej spódnice. Zaczerpnął gwałtownie powietrza i spojrzał na nią.

- Jezu - powiedział, oblizując wargi. Chauncey uniosła rękę i położyła na jego ramieniu.

- Tak - szepnęła, uśmiechając się do mężczyzny. - O, tak.

Baron rozpiął spodnie, a potem runął na nią. Poczowała na udach dotyk jego nabrzmiałej męskości.

Zduszony odgłos wystrzału przerwał w pół przekleństwo, którym Delaney akurat obrzucał Barona. Gwałtciciel uniósł się na łokciach. W jego piersi widniała wielka dziura, z której krew chlustała prosto na obnażony tors Chauncey.

- Ty śmieciu! - wrzasnęła Chauncey, strzelając po raz kolejny.

Śmiertelnie ugodzony napastnik runął twarzą na szorstkie deski podłogi.

Rzuciła się ku Delaneyowi i zaczęła gorączkowo szarpać jego więzy.

- Szybko - wydyszała. - Zachowałam się niemądrze. Zużyłam obie kule. Jasper musiał usłyszeć strzały i zaraz tu będzie. Szybko, Del! O Boże, twoje ręce! Są takie poranione!

- To bez znaczenia - odparł Delaney, zdrętwiałymi dłońmi zrywając więzy z nóg. - Musimy

poradzić sobie z Jasperem!

Rzucił się ku swojej strzelbie i rewolwerowi, ale nie zdążył dopaść broni, gdyż od drzwi rozległ się skowyt:

- Zabiłaś go! Ty suko!

Chauncey zamarła, wpatrując się w szalejącego z wściekłości Jaspera. Nie poruszyła się nawet, gdy podniósł lufę strzelby i w nią wycelował.

- Jasper! - zawołał Delaney, a kiedy mężczyzna odwrócił w jego stronę głowę, Del rzucił się ku niemu. Wylądował o stopę przed Jasperem i chwycił go za ramiona, pociągając na siebie.

Chauncey obserwowała walkę. Delaney był wyższy i silniejszy, lecz Jasper nadal miał strzelbę.

Jasper wył rozpaczliwie, starając się unieść lufę. Kopnął Delaneya w krocze, a ten rozluźnił uścisk, lecz tylko na chwilę.

Huk wystrzału rozległ się dudniącym echem. Chauncey zachwiała się.

- Del - szepnęła zduszonym głosem.

Delaney powoli odsunął się od Jaspera, na którego koszuli widać było wielką plamę krwi.

Chauncey krzyknęła. A potem zobaczyła, że Jasper osuwa się na ziemię.

Zapadła przerażająca cisza.

- Nic mi nie jest, Chauncey - powiedział Delaney, a jego głos znów brzmiał spokojnie. - Już po wszystkim, kochanie.

Rzuciła się ku niemu i przywarła do jego piersi, łkając rozpaczliwie. Czując na plecach kojący dotyk dłoni męża, słyszała, jak szeptał ciche, uspokajające słowa bez znaczenia.

Otworzyła oczy i zobaczyła rozciągnięte na podłodze ciało Barona.

- Zabiłam go - powiedziała jakby z niedowierzaniem. - Naprawdę zabiłam człowieka. O Boże!

- Uspokój się i posłuchaj mnie, Chauncey. Ocaliłaś siebie i mnie. Byłaś bardzo dzielna. Kocham cię i dziękuję ci. Rozumiesz? Zrobiłaś to, co musiałaś.

Objął dłońmi twarz żony i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Zrozumiałaś, co powiedziałem? Westchnęła ciężko.

- Chciałbym, byś wzięła jedną z moich koszul - niestety, żadna nie jest już czysta - i poszła wykopać się w strumieniu. Zostań nad wodą, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Uświadomiła sobie, iż Delaney zamierza pochować zabitych, aby oszczędzić jej okropnego widoku, i posłusznie zrobiła, o co prosił.

ROZDZIAŁ 31

Minęły zaledwie trzy godziny, pomyślała Chauncey, nadal nieco oszołomiona. Trzy godziny od chwili, kiedy Baron i Jasper wdarli się do chaty. Teraz byli już martwi i pogrzebani. Ich konie Delaney oddał pierwszym napotkanym górnikom.

Tym razem Chauncey prawie nie zauważała piękna okolicy. Teraz mijali wielu ludzi - na ogół wypłukujących złotonośny piasek z łóżysk strumieni. Powietrze było czyste i suche, a temperatura niezbyt wysoka. Jednym słowem, piękny dzień na podróż.

W końcu odwróciła się w siodle i zapytała:

- Czy zmierzamy do miasta Nevada?

- Jeszcze nie, kochanie. Najpierw pojedziemy do Grass Valley, małego górniczego miasteczka o pięć mil na zachód od Nevady. Być może tego nie zauważyłaś, ale nie prezentujemy się zbyt elegancko. Spędzimy noc w hotelu Davidsona, kupimy sobie trochę ubrań i jutro pojedę do Nevady.

Umilkł na moment i ściągnął gniewnie brwi, wpatrując się w drogę przed sobą.

- Kiedy stawię czoło Montgomery'emu, chcę wyglądać normalnie, nie jak włóczęga.

- Co rozumiesz przez „pojadę”?

- Dokładnie to, co powiedziałem - oświadczył Delaney tonem niedopuszczającym dyskusji.

- Ty, Del - powiedziała, dziwiąc się, że jej głos brzmi tak spokojnie i rozsądnie - nigdy nie widziałeś Paula Montgomery'ego. A nie wydaje mi się, żeby był na tyle głupi, by posługiwać się swoim prawdziwym nazwiskiem.

- Ja uważam inaczej. On nie ma powodu, by zawracać sobie głowę zmianą nazwiska. Zostaniesz w Grass Valley, bezpieczna. Choć raz.

- Nie, nie zostanę.

- O ile sobie przypominam, przysięga małżeńska dotyczy też posłuszeństwa.

- Bzdury! Nie wierzę własnym uszom, Del! Zaledwie trzy godziny temu mówiłeś mi, jaka jestem dzielna i jak bardzo jesteś ze mnie dumny, a teraz mam z powrotem stać się bezradnym kobieciątkiem?

Nie patrzył na nią.

- Nie zdołałem cię ochronić. Byłem głupi, ponieważ nie pomyślałem o tym, że Indianin mógł zostać wynajęty. Moja głupota o mało nie kosztowała cię życia. Zostaniesz w Grass Valley i dość o tym.

- Nie możesz zostawić mnie tu samej, bo się zgubię. I nie potrzebuję tego rodzaju ochrony.

Odwrócił się w siodle i spojrział na nią. Jego zły humor nie przetrwał nawet chwili, ponieważ Chauncey wyglądała prześlicznie, ubrana jedynie w postrzępioną, spłowiałą spódnicę i obszerną męską koszulę.

- Boże, ciekawe, co powiedziałaby Montgomery, gdyby cię teraz zobaczył! Angielska dama!

- Wreszcie się śmiejesz! - powiedziała, odwzajemniając uśmiech. - A to już poważny krok ku rozsądnemu myśleniu.

Uśmiech znikł z jego twarzy w tej samej chwili.

- Chauncey, zastanawiałem się nad tym. Pamiętam, co powiedziałem dziś rano. Mówiłem poważnie. Ale nie jestem w stanie znów się z tym zmierzyć. Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony, nigdy też nie czułem się aż tak bezradny.

- No cóż, nie zgadzam się na to, byś sam stawił czoło Montgomery'emu. To moja wojna, Del. Aż do dzisiejszego ranka byłeś tylko jej obserwatorem.

- Nie będę więcej z tobą dyskutował, Chauncey.

- Doskonale.

Jechali w milczeniu, dopóki nie znaleźli się na grzbiecie niewielkiego wzgórza. W dolinie leżało Grass Valley.

- Jak tu pięknie - powiedziała Chauncey. - Tak spokojnie.

Delaney wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Poczekaj tylko do soboty wieczór. Górnicy ściągają do miasta, by się zabawić i wtedy zaczyna się tu piekło. W mieście znajduje się więcej knajp i saloonów niż domów i sklepów. Nie ma tu ani jednego przedstawiciela prawa.

Minęli grupkę poszukiwaczy złota.

- Są tutaj od czterdziestego ósmego - powiedział Delaney, wskazując na mężczyzn. - Jedziemy teraz wzdłuż Wilczego Strumyka. Złoto odkryto tu bardzo wcześnie. Być może poznasz George'a McKnighta, który przybył w te strony w pięćdziesiątym. Ten szczęściarz potknął się na skale, która dziwnie błyszczała. Jak się okazało, była poprzecinana żyłami złota. Do dziś ten region uchodzi za drugi pod względem ilości wydobywanego w Kalifornii kruszcu.

- Próbujesz odwrócić moją uwagę, Del, lecz to ci się nie uda. A jeśli chodzi o to małe senne miasteczko, o którym wspominałeś, spójrz tylko na ten tłum!

Jechali właśnie Auburn Street, szeroką ulicą wytyczoną drewnianymi budynkami. Końskie kopyta wzniewały tumany kurzu, gdyż deszcz nieczęsto tu padał, a słońce mocno przygrzewało. Kiedy zbliżyli się do Bank Street, tłum jeszcze zgęstniał. Mężczyźni pokrzykiwali radośnie i kogoś pozdrawiali.

Delaney wręczył wodze swego konia Chauncey, a potem zeskoczył z siodła i spytał jakiegoś brodacza:

- Co tu się, u licha, dzieje?

- Nie słyszałeś? Przyjechała Lola Montez! Boże! Jest na co popatrzeć! Przywiozła z sobą męża. Chodzą słuchy, że zamierzają się tutaj osiedlić.

Delaney osłonił dłonią oczy. Bez wątplenia to Pat Hull stał obok słynnej tancerki. Wydawał się zadowolony z przyjęcia, jakie spotkało jego żonę.

Delaney wrócił do Chauncey i poinformował ją, co się dzieje.

- Boże. Słynny Taniec Pająka w Grass Valley! To ci dopiero gratka!

- Zważywszy na to, co wydarzyło się po kilku jej pierwszych występach w San Francisco, nie jestem pewien, jak długo będzie to taka znów gratka.

Biedna Lola, pomyślała Chauncey, jej występy nie okazały się wówczas wielkim sukcesem.

Nagle wzrok Chauncey padł na mężczyznę tak bardzo przypominającego Paula Montgomery'ego, że aż westchnęła głośno.

Delaney natychmiast to zauważył.

- Co się stało? Boli cię ramię?

- Nie - wykrztusiła. - Wszystko w porządku, Del, naprawdę.

Nie mogła powiedzieć mu prawdy, bo uznałby to za jeszcze jeden powód pozostawienia jej w mieście.

Przebili się jakoś przez tłum i skierowali ku Mili Street. Hotel Davidsona - niedawno odnowiony, piętrowy drewniany budynek - stał na rogu ulicy.

- Najpierw zatroszczymy się o pokój, a potem pójdziemy na zakupy - zdecydował Del.

Zgarbiony mężczyzna w okularach, urzędujący za ladą recepcyjną, zawołał uradowany:

- A, to pan Saxton. Witamy z powrotem w Grass Valley.

- Dziękuję, Ben. Czy magazyn Hocka to nadal najlepszy sklep z odzieżą damską w mieście?

- Taaa... I z męską także. Założyłbym się jednak, że stary Bernie stoi teraz przed sklepem i podziwia wdzięki tej słynnej tancerki.

- Więc dajmy mu chwilę, aby się nimi nasycił - powiedział Delaney. - Czy mógłbyś przysłać na górę ciepłą wodę dla mnie i mojej żony?

- Oczywiście, panie Saxton. Witamy w Grass Valley, pani Saxton.

- To miło, iż pewne rzeczy są niezmiennie. Nie przypuszczałem, że Ben pozostanie w hotelu, a jednak tu jest. Widać Davidson przyjął swego pracownika do spółki, aby powstrzymać go przed wyruszeniem po złoto.

Wreszcie wszystko wygląda czysto, pomyślała Chauncey, rozglądając się po skromnie umeblowanym pokoju, w którym znajdowały się jedynie: nowa, pachnąca świeżym drewnem dębowa szafa, komoda z małą miednicą, duże łóżko, przykryte bawełnianą pikowaną kapą i zawieszony na hakach wełniany kilimek.

- Ach, być wreszcie w domu! - westchnęła, uśmiechając się do męża.

W domu towarowym Hocka znajdowało się kilka kobiet, które zamarły na widok stroju Chauncey. Jednak ich spojrzenia wyrażały nie tyle potępienie, ile ciekawość.

Gdybym pojawiła się w takim stanie w Londynie, wywołałabym zamieszki, pomyślała Chauncey, rozbawiona. „Stary Bernie” liczył sobie nie więcej niż czterdzieści lat, był równie okrągły jak wysoki i miał wesoły uśmiech.

- Zaraz was tu wyszykujemy, Del! - zawołał podekscytowany.

I rzeczywiście tak się stało. Sukienki, które wybrała Chauncey, uszyte były z mocnej bawełny, podobnie jak bielizna. Żadnych jedwabi ani satyny, przykazała sobie.

- Wystarczy ci na to pieniędzy? - spytała, wskazując na stos damskiej i męskiej odzieży na ladzie.

- Jakoś sobie poradzę, madame - odparł.

Wieczorem jedli kolację w małej restauracji, zwanej Curlie, mieszczącej się nieco w bok od Main Street. Jedzenia było w bród i Chauncey czuła, jak ślinka napływa jej do ust na widok chleba i masła.

- Prawdziwa uczta - powiedziała, zacierając dłonie.

- Zawsze uważałem, że trochę niewygód pomaga człowiekowi docenić to, co ma.

Wkrótce kelner poganiany ich niecierpliwymi spojrzeniami, przyniósł dwa grube steki, zielony groszek, smażone ziemniaki i dwa olbrzymie kawałki szarlotki.

- O Boże. Chyba umarłam i jestem w niebie! - zawołała Chauncey.

Spostrzegła, że Delaney zeszywniał, wspomniawszy, jak blisko śmierci byli tego ranka.

- Przestań, Del! - powiedziała stanowczo. - Przeżyliśmy, mamy się całkiem dobrze i zamierzamy

pozostać w tym stanie jak najdłużej.

W milczeniu cieszyli się posiłkiem. W końcu Chauncey odłożyła widelec i odsunęła się od stołu.

- Jeszcze jeden kęs i będę musiała wyskoczyć z tej wspaniałej, nowej sukienki! To był najsmaczniejszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadłam!

Delaney przytaknęła, nadal wielce zainteresowany zawartością swego talerza.

- Wiesz, Chauncey - zaczął po chwili - nigdy już nie przeżyję dnia, nie uświadamiając sobie, jak dobrze jest żyć i mieć przy boku żonę, śmiać się z nią i nawet kłócić. Życie bywa czasami cholernie kruche.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się z nim spokojnie. - Del, proszę, musimy porozmawiać o Paulu Montgomerym.

- Nie. Nie dzisiaj.

- Co masz zamiar z nim zrobić?

- Kochanie, może zjadłabyś jeszcze kawałek szarlotki? Albo napiła się wina?

Zmarszczyła brwi i zacisnęła dłonie.

- Chcesz mnie ochronić, traktując jak idiotkę?

- Doskonale, porozmawiamy o tym rano. Dzisiaj zaś, żono, moje ciało pragnie upewnić się, że jeszcze żyje. Pragnę cię Chauncey, i to bardzo.

Chauncey ani przez chwilę nie wątpiła, że ona także go pragnie, jednak później, w łóżku, przekonała się, że nie jest w stanie pozbyć się obsesyjnych myśli i strachu. Tyle rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie. I tyle się jeszcze miało wydarzyć.

- Mieliśmy wiele szczęścia. Obawiam się, że kiedyś to szczęście się wyczerpie - wyszeptała.

Przesunął dłoń w dół jej brzucha. Była wilgotna, lecz jeszcze niegotowa. Musiał najpierw uwolnić jej umysł od strachu. Lepiej od razu stawić temu czoło, pomyślał.

- Posłuchaj, kochanie. Zamierzam zabić Montgomery'ego. Muszę. Jeśli tego nie zrobię, już nigdy nie będziemy czuli się bezpieczni. Ale nie chcę, żebyś na to patrzyła. Doświadczyłaś już zbyt wiele przemocy i śmierci.

Ku jego zdumieniu ciało Chauncey zeszywniało.

- On zabił mojego ojca - wysyczała przez zaciśnięte zęby. - Chcę, żeby umarł. Sama go zabiję!

- Nie. Nie mogę na to pozwolić.

Wyczuwał w niej opór i żądzę krwi. Pocałował ją namiętnie i wsunął się na nią. Po chwili rozchylił jej uda i uniósł biodra, by łatwiej mu było w nią wejść. Jęknęła cicho, lecz on nie przestał, nie mógł przestać. Ciało Delaneya eksplodowało rozkoszą.

Nie poruszyła się. W środku czuł chłód, równy temu, jaki przenikał jego głos.

- Sprawilem ci ból? - zapytał.

- Nie.

Chauncey czuła dziwne oddalenie. Nie miała do niego żalu, ponieważ prawdopodobnie rozumiała powody jego działań lepiej niż on sam.

Delaney zsunął się z niej i legł na plecach, wpatrując się w ciemniejszy sufit.

- Nie chciałem tego zrobić. Nie zamierzałem cię wykorzystać.

- Wiem. Jutro, Del, zdecydujemy razem, jak mamy poradzić sobie z Paulem Montgomerym.

Nagle zaczął się śmiać i ten głęboki, grzmiący odgłos sprawił, że ona także się uśmiechnęła.

- Powinienem był wiedzieć - wykrztusił, wstrząsany śmiechem. - Powinienem był wiedzieć, że nigdy nie zakochałbym się w kobiecie, która posłusznie robiłaby to, co bym jej kazał. Doskonale.

Razem zdecydujemy, jak postąpić. Ale to nie ty go zabijesz, Chauncey, zgoda?

- Zgoda.

- Przysięgnij, bo inaczej powieszę cię za kostki u nóg.

Chauncey przesunęła dłoń w dół jego piersi, a potem niżej, na brzuch. A kiedy jej palce lekko zacisnęły się na nim, powiedziała słodko:

- Przysięgam... wołałabym, żebyś zrobił ze mną coś całkiem innego.

- Jezu - mruknął, zdjęty podziwem dla własnego ciała, które tak błyskawicznie odpowiedziało na wezwanie. - A już myślałem, że mam dosyć!

Wyjechali z Grass Valley o dziesiątej następnego ranka. Letni dzień wstał słoneczny i ciepły, a na błękitnym niebie nie widać było ani jednej chmurki.

- Za godzinę będziemy w Nevadzie - powiedział, odwracając się w siodle, by na nią spojrzeć.

- Tak. Już mi mówiłeś.

- Coś jeszcze przyszło mi na myśl. Pamiętasz wiadomość, jakoby w mojej kopalni w Downieville zaczęły się zamieszki? To był prawdopodobnie kolejny podstęp. Bez wątpienia wymyślił go Baron. Montgomery zapewne spodziewał się, że wyjadę, a ty zostaniesz sama w San Francisco. Kiedy okazało się, że ich oczekiwania spaliły na panewce, musieli opracować inny plan. Ten facet jest inteligentny, nie ma co do tego wątpliwości. A człowiek inteligentny to człowiek niebezpieczny.

- Tak, lecz on nie ma żadnego doświadczenia na obszarach, gdzie kończy się to, co uważa za cywilizację. Pamiętam, że w Anglii nawet nie polował. Nie mogę też sobie przypomnieć, bym kiedykolwiek widziała go ze strzelbą czy rewolwerem w dłoni.

- Zabił twego ojca.

- Za pomocą laudanum.

Przez kilka minut podróżowali w milczeniu.

- Mam pewien plan, Chauncey - powiedział w końcu Delaney. - Nie podoba mi się, że uwzględnia on twój udział, ale należy rozważyć wynikające z niego korzyści, na przykład takie, że, być może, uda nam się wywabić Montgomery'ego z miasta i sprowadzić do miejsca, w którym stanie się łatwym celem. Jednakże musisz mi obiecać, że zrobisz dokładnie to, o co cię poproszę. I nic poza tym.

Obrzuciła go długim spojrzeniem.

- Ty też jesteś inteligentny. I ufam ci, teraz, kiedy już się na tobie poznałam. Obiecuję.

- Mimo to element ryzyka nadal istnieje.

- W ciągu ostatnich sześciu miesięcy ani przez chwilę nie czułam się bezpieczna. Teraz przynajmniej mogę się spodziewać, iż zagrożenie zostanie wyeliminowane, i to raz na zawsze. - Doskonale. Posłuchaj zatem.

ROZDZIAŁ 32

Paul Montgomery wyszarpnął zegarek z kieszeni kamizelki i spojrzał na niego po raz kolejny. Gdzie, u licha, podziwia się Baron? Schował zegarek i rozejrzał się po opustoszałym saloonie, w którym o tej porze znajdowało się zaledwie kilku pijaków i paru zawziętych hazardzistów, nieoddalających się na krok od ruletki. Czuł się tak, jakby już umarł i trafił do piekła. Co za okropne miejsce. Zakurzona podłoga, krzykliwe malowidło zawieszona nad barem, przedstawiające nagą kobietę, i okrągłe drewniane stoliki, jakich nie pozwoliłby umieścić w swojej stajni, raziły jego poczucie dobrego smaku.

Chciał mieć to wreszcie za sobą. Chciał wrócić do domu i spędzić resztę życia w spokoju i poczuciu bezpieczeństwa. Aby to sobie zapewnić, przebył długą drogę do tego zapomnianego przez Boga miejsca. Zaklął cicho, wspominając gniew, jaki go ogarnął, kiedy Elizabeth udało się uniknąć śmierci w Plymouth. Uświadomienie sobie, co musi zrobić, nie zabrało mu wówczas wiele czasu. Gdyby tylko Saxton nie miał tak wpływowych krewnych w Anglii! Jednak wiedział, co by się stało, gdyby pozwolił jej żyć. Wzdrygnął się na samą myśl o księciu i księżnej Graffton. Być może zdążyłby opuścić Anglię i osiedlić się na Kontynencie, gdzie mógłby żyć jak król przez resztę życia. Lecz nie, nie było na to szans. Jeśli Elizabeth odkryje prawdę, nie spocznie, dopóki nie pomści ojca.

Nie miał wyboru: musiał pozbyć się dziewczyny raz na zawsze.

I, oczywiście, chodzi także o pieniądze. Mnóstwo pieniędzy, i wszystkie jego. Fatalnie, że Elizabeth zdążyła wyjść za mąż, gdyż teraz w przypadku jej śmierci majątku nie odziedziczą Penworthy'owie, lecz mąż. Delaney Saxton. Mógł się tylko modlić, by Elizabeth nie odkryła zbyt wcześnie, iż małżonek nie jest takim diabłem wcielonym, jak go jej odmalował. Przełknął gwałtownie na myśl o tym, że list, opisujący jego szachrajstwa, być może został już napisany i znajduje się w drodze do Anglii. Nie, do diaska, z pewnością nie jest jeszcze za późno! Nie może być!

Uderzył pięścią w stół. Gdyby tylko Hoolihan nie zawalił sprawy! Gdyby Saxton nie pochwycił go i nie zmusił do gadania! Gdyby...

Gdzie jest Baron?

Zapłacił już za hotel i spakował bagaże.

- Proszę pana. Panie Montgomery! Montgomery odwrócił się i stanął twarzą w twarz z chudym wyrostkiem, odzianym w przykrótkie flanelowe spodnie i jaskrawoczerwoną koszulę.

- Tak? Czego chcesz?

- Mam dla pana list.

Paul Montgomery przez kilka chwil wpatrywał się bezmyślnie w poskładany arkusz papieru, a potem sięgnął do kieszeni, wyjął z niej monetę i wręczył chłopcu.

Powoli rozłożył papier i przeczytał:

Montgomery, Saxton nie żyje. Trzymamy dziewczynę w starej kopalni Hopkinsa o milę na południe od miasta Nevada. Możesz sobie ją zabić. Nie będzie to wymagało zbyt wiele wysiłku.

Baron

Przeczytał wiadomość jeszcze raz. Przeklęty Baron! Cholerny tchórz!

Co ma na celu ta gra? Możesz ją sobie zabić. Nie będzie to wymagało zbyt wiele wysiłku. Z pewnością ci dranie ją zgwałcili, pomyślał. Dlaczego nie mogli po prostu dokończyć sprawy? A tak bardzo chciał, żeby to wszystko zakończyło się szybko i bez niepotrzebnego bałaganu. Próbował tak to załatwić, naprawdę próbował.

Przeklęta dziwka! Ma więcej żywotów niż kot!

Wyjął z kieszeni okulary. Powoli, starannie przeczyścił szkła chusteczką. To zawsze go uspokajało.

Saxton nie żyje.

Poczuł żal, lecz przecież, powtórzył to sobie po raz kolejny, musiał się go pozbyć. Nie miał wyboru. Żadnego.

Będzie musiał zabić! Tylko jak?

Poczuł, że robi mu się niedobrze. Nie był takim przeklętym dzikusiem i barbarzyńcą, jak ci bandyci z doków, Hoolihan czy Baron. A ten ostatni naprawdę był draniem czystej krwi. Dlaczego więc sam jej nie zabił?

Do diabła z nim!

Podniósł się i choć z początku nieco trzęsły się pod nim kolana, to z każdym krokiem odzyskiwał pewność siebie i sprężysty chód.

- Kopalnia Jeba Hopkinsa została rok wcześniej porzucona przez swego zrozpaczonego i mocno rozczarowanego właściciela - wyjaśnił Delaney, by zabić czas. - Żył złota i bogatych złóż kwarcu nigdy nie udało się znaleźć, a jeśli już, to w kwarcu było zbyt mało złota, by opłacało się je oddzielać.

Główny tunel i szyb, prowadzący wprost do wnętrza ziemi, nadal znajdowały się w dobrym stanie.

- Wilgotno tutaj - powiedziała Chauncey, obejmując się ramionami. - I zimno.

- Tak, wiem. Biedny stary Hopkins pracuje teraz gdzie indziej, prawdopodobnie na wzgórzu Ophir, gdzie niedawno odkryto bogate złoża. Te podziemne instalacje z pewnością warte są obejrzenia, ale nie dziś. On wkrótce tu będzie, Chauncey. Obiecuję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Po prostu chcę mieć to już za sobą - spróbowała się uśmiechnąć.

- Baron!

Chauncey zerwała się na równe nogi, jednak Delaney ją powstrzymał.

- Spokojnie, kochanie - szepnął.

- Gdzie jesteś, Baron?

- To on - szepnęła Chauncey. Spojrzała na Delaneya rozszerzonymi lękami oczami.

- Posłuchaj. Nie mogę ryzykować, że on pozna po głosie, iż nie jestem tym, kogo szuka. Chciałbym, żebyś teraz głośno wrzasnęła, tak głośno, jak tylko zdołasz.

Chauncey zwilżyła językiem suche wargi. Jej wrzask odbił się echem od ścian sztolni.

Delaney wycofał się nieco w mrok tunelu. Wydobył z olstra rewolwer i skierował go lufą w kierunku wejścia do kopalni.

- Elizabeth? - zabrzmiało ciszej i zdecydowanie bliżej.

Chauncey zakwiliła, a potem krzyknęła raz jeszcze.

- Daj ją tutaj, Baron. Nie zamierzam wchodzić w głąb tej piekielnej dziury.

Chauncey spojrzała skonsternowana na męża. Myśl, głupcze!

- Baron nie czuje się dobrze, proszę pana!

Czy jego głos brzmi jak głos Jaspera? Proszę, spraw, Boże, by wydał się taki Montgomery'emu.

- Wyrzuje sobie wnętrzności. Dziwka ledwie zipie. Niech pan nam da nasze pieniądze i dziewczyna jest pańska.

- To ty, Bridges?

Bridges. Jasper Bridges. Co za przyjemne nazwisko.

Delaney wstrzymał oddech. Słyszał zbliżające się kroki.

Bliżej, bękarcie! Bliżej!

Skinął na Chauncey, która krzyknęła raz jeszcze. On z pewnością usłyszy, jak mocno bije mi serce, pomyślała, rozgorączkowana.

Montgomery pojawił się u wejścia do tunelu.

- Elizabeth? - zawołał, postępując jeszcze krok naprzód.

- Tu jestem.

- Ja także, sukinsynu.

Delaney wysunął się z cienia, trzymając w dłoni rewolwer, wycelowany w serce Montgomery'ego.

Montgomery'emu zabrakło czasu, aby wydobyć z kieszeni broń.

- Nawet nie próbuj, Montgomery.

- Gdzie Baron?

- Nie musisz już się kłopotać ani o niego, ani o Jaspera.

Montgomery zaczerpnął głęboko powietrza. Jego wzrok zwolna przyzwyczajał się do panującego w kopalni półmroku.

- Ta wiadomość... to ty ją wysłałeś.

- Zgadza się. Musiałem jakoś wyciągnąć cię z miasta.

Chauncey w milczeniu przyglądała się mężczyźnie, którego znała od dzieciństwa i któremu do niedawna całkowicie ufała. To dziwne, ale wyglądał starzej, niż to zapamiętała. I jakby stracił na wadze.

Jego oczy połyskiwały za grubymi szklami okularów; widziała w nich strach i rezygnację.

- Dlaczego zabił pan mego ojca? - spytała załamującym się głosem.

Paul Montgomery odwrócił się powoli, by spojrzeć jej w twarz.

- Nie miałem wyboru - stwierdził obojętnym tonem.

- Nie miał pan wyboru! - krzyknęła. - Mój ojciec pana uwielbiał! A ja nazywałam pana wujkiem!

- Twój ojciec był głupcem - stwierdził Montgomery z jawną pogardą w głosie. - Przez całe życie zakładał, że pieniądze po prostu są, wystarczy o nie poprosić. Wszystko, co najlepsze, dla sir Aleca! Kiedy on zabawiał się w Oksfordzie, ja harowałam jak niewolnik, przymierając głodem! O, tak, był moim przyjacielem. Dość szybko odkrył, że mnie potrzebuje, potrzebuje moich umiejętności, by móc zarządzać pieniędzmi. Zniżył się nawet do tego, by po pięciu latach znajomości zacząć zwracać się do mnie po imieniu. Lecz nigdy nie zaprosił mnie na kolację, gdy podejmował swoich wytwornych przyjaciół! Gdybym miał w tej sprawie coś do powiedzenia, nie zostałabyś wychowana w ten sposób! Miałaś wszystko, co najlepsze! Piękny dom, służbę, konie! Do licha, dlaczego nie wysłał za

sir Guya? Dlaczego?

Chauncey parsknęła dziwnym, pełnym napięcia śmiechem.

- Nie miałam wyboru. Wychowano mnie nie tylko w luksusie, ale i w poszanowaniu honoru. Młoda dama nie oczekuje od dżentelmena, że ten dotrzyma słowa i ożeni się z nią, skoro została bez grosza.

- Nie chciałem cię zabić, Elizabeth, jednak...

- Wiem - przerwał mu Delaney lodowatym tonem - znowu nie miałeś wyboru. Wiedziałeś, że ona odkryje prawdę.

- Zgadza się - powiedział Montgomery nadzwyczaj spokojnie.

Delaney widział pobladłą twarz i rozszerzone źrenice Chauncey.

- Chcę, żebyś teraz wyszła, Chauncey - powiedział stanowczo. - Zaczekaj przy koniach.

- Ale...

- Proszę, choć raz mnie posłuchaj.

Paul Montgomery nie odezwał się. W milczeniu patrzył, jak Chauncey prostuje ramiona i otrzepuje z kurzu spódnicę. Nie spojrzała na niego, po prostu wyszła z kopalni prosto w jasny słoneczny blask, nie oglądając się za siebie.

Nie odrywała wzroku od skalistego podłoża, starając się o niczym nie myśleć. Doszła do miejsca, w którym zostawili konie, i bezwiednie pogładziła jedwabiste chrapy Dolores. Klacz naparła na jej ramię i Chauncey przysunęła się bliżej, wtulając twarz w ciepłą końską szyję.

Gdzieś z tyłu, za nią, rozległ się strzał. Tylko jeden.

Poczuła, że łzy szczypią ją w oczy. Nie były to łzy żalu z powodu Paula Montgomery'ego. Przeznaczone były dla jej męża i spowodowane świadomością tego, co musiał zrobić, by chronić swoją żonę.

Nagle poczuła na barkach dotyk ciepłych dłoni.

- Przykro mi, kochanie - powiedział spokojnie. Odwrócił ją twarzą do siebie i mocno przytulił.

- Nie - szepnęła z przekonaniem - to nie tobie powinno być przykro.

Delaney ujął w dłonie twarz żony i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Już po wszystkim.

- Tak. Tyle ci zawdzięczam, Del, tak wiele od ciebie otrzymałam. Proszę, przebacz mi.

Lecz on tylko wzmacnił uścisk.

- Nie ma czego wybaczać. Jesteś moją żoną, najważniejszą dla mnie osobą na świecie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Przymknęła na chwilę powieki, porażona intensywnością jego spojrzenia.

- Nie, nie zapomnę.

- A zatem wracajmy do domu. Do San Francisco - zaproponował, obejmując ją.

- Tak - powiedziała. - Wracajmy.